

MR PERFECT

LINDA HOWARD

*Prolog**Denver, 1975*

— To śmieszne! — Kobieta przycisnęła torebkę tak mocno, że zbieleły jej knykcie, i łypnęła na dyrektora szkoły. — Twierdzi, że na wet nie dotknął tego chomika, a moje dziecko nie kłamie. Co za po— myśl!

J. Clarence Cosgrove był dyrektorem szkoły Ellington Middle już od sześciu lat, a nauczycielem od dwudziestu. Obcował dość często z zagniewanymi rodzicami, lecz ta wysoka, chuda kobieta i chłopiec siedzący spokojnie obok doprowadzali go do szału. Nie znosił używać uczniowskiej gwary, ale oboje byli naprawdę zdrowo świrnięci. Choć wiedział, że to strata czasu, zdecydował się na polemikę.

— Jest świadek...

— Pani Whitcomb zmusiła go na pewno, żeby to powiedział. Corin nie zrobiłby przecież krzywdy chomiczkowi. Prawda, kochanie?

— Nie, mamusiu. — Głos brzmiał niemal anielsko i słodko, lecz oczy pozostały zimne i nieruchome. Dzieciak wpatrywał się w pana Cosgrove tak, jakby chciał sprawdzić, jakie wrażenie wywrze na nim tak stanowcze zaprzeczenie.

— A nie mówiłam! — wykrzyknęła triumfalnie kobieta.

— Pani Whitcomb... — Dyrektor nie ustawał w wysiłkach.

— ...znienawidziła Corina już od pierwszego dnia. To ją powinien pan przesłuchać, a nie moje dziecko. — Kobieta ze złości zacisnęła usta. — Rozmawiałam z nią dwa dni temu o tych brudach, jakie wbija dzieciom do głowy. Powiedziałam, że nie mam wprawdzie wpływu na to, co mówi innym, ale absolutnie sobie nie życzę, aby w obecności mojego dziecka poruszała... — zerknęła niespokojnie na Corina — ...tematy związane z seksem. I dlatego go oskarżyła.

— Pani Whitcomb cieszy się naprawdę znakomitą reputacją. Nigdy by...

— A jednak! Proszę mi nie opowiadać, do czego ta kobieta nie byłaby zdolna, skoro fakty wyraźnie temu przeczą. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby wyszło na jaw, że to ona zabiła tego chomika!

— Przecież chomik należał do niej. Przyniosła go do szkoły, aby nauczyć dzieci...

— To niczego nie zmienia. Dobry Boże! W końcu to był tylko duży szczur — powiedziała gniewnie matka Corina. — Nie rozumiem tego całego zamieszania, nawet jeśli Corin rzeczywiście zabił chomika, czego oczywiście nie zrobił. A teraz ona go prześladowuje. Prześladowuje! I ja na to nie pozwolę. Albo pan sam się zajmie tą nauczycielką, albo ja to zrobię.

Pan Cosgrove zdjął okulary i przetarł szkła, po prostu po to, aby się czymś zająć. Tymczasem myślał intensywnie, w jaki sposób zneutralizować truciznę sączoną przez tę kobietę, zanim będzie za późno. Polemika nie wchodziła w grę. Rozmówczyni praktycznie nie dopuszczała go do słowa. Zerknął na Corina. Dziecko wciąż nie spuszczało z niego anielskiego spojrzenia, choć oczy pozostawały zimne.

— Czy mogę porozmawiać tylko z panią? — spytał.

Wydawała się zdziwiona.

— Po co? I tak mnie pan nie przekona, że moje biedactwo...

— Chwileczkę — przerwał, z trudem kryjąc satysfakcję, iż tym razem to on wpadł jej w słowo. — Proszę — dodał, mimo że już i tak przekroczył granice dobrego wychowania.

— No dobrze — odparła niechętnie, nie ukrywając irytacji. — Corin, kochanie, wyjdź na zewnątrz. Stań tuż przy drzwiach, żeby mama cię widziała.

— Dobrze, mamo.

Pan Cosgrove podniósł się z krzesła i stanowczym ruchem zamknął za nim drzwi. Przerazona faktem, że dziecko zniknęło jej z oczu, kobieta uniosła się na krzesło.

— Proszę usiąść — nakazał dyrektor tonem nieznoszącym sprzeciwu. — Bardzo proszę.

— Ale Corin...

— Jest całkowicie bezpieczny. — Z satysfakcją odnotował kolejny sukces w dziedzinie przerywania, poprawił się na krzesło, podniósł z biurka pióro i zaczął nim uderzać o suszkę. Szukał jakiegoś dyplomatycznego sposobu, by wreszcie przekazać matce Corina rezultat swoich przemyśleń. Żaden ze znanych mu sposobów nie wydawał się jednak wystarczająco dyplomatyczny dla tej kobiety, toteż postanowił po prostu nie owijać niczego w bawełnę.

— Czy myślała pani kiedyś o tym, by zapewnić Corinowi jakąś pomoc? Dobry psycholog...

— Oszałał pan? — syknęła i gwałtownie zerwała się z miejsca. Na jej twarzy malowała się wściekłość. — Corin nie potrzebuje psychologa. Nic mu nie dolega. To ta jędza stwarza problemy, nie on. Wiedziałam, że spotkanie z panem to strata czasu. Musi pan trzymać jej stronę.

— Pragnę jedynie dobra Corina — odparł, z trudem panując nad głosem. — Chomik to ostatni incydent, nie pierwszy. Niewłaściwe zachowanie Corina zdecydowanie wykracza poza kanon uczniowskich figli.

— Inne dzieci są o niego zazdrosne — odparła kobieta oskarżycielskim tonem. — Te małe dranie bez przerwy mu dokuczają, a ta jędza nigdy go nie broni. Corin wszystko mi opowiada. Jeśli pan naprawdę myśli, że dopuszczę do tego, że moje dziecko nadal zostanie w tej szkole i będzie prześladowane, to...

— Ma pani rację. — W konkurencji przerywania rozmowy i tak już prowadził, ale był to wymarzony moment, by po raz kolejny wpaść jej w słowo. — Inna szkoła byłaby rzeczywiście idealnym wyjściem. Corin jakoś tu nie pasuje. Mógłbym pani polecić dobrą szkołę prywatną...

— Proszę się nie fatygować — warknęła, zmierzając w kierunku drzwi. — Nie rozumiem, z jakiego powodu miałabym polegać na pańskiej opinii. — Zadawszy ów cios na pożegnanie, otworzyła na oścież drzwi i chwyciła Corina za ramię. — Idziemy, kochanie. Już nie będziesz musiał tutaj wracać.

— Tak, mammo.

Pan Cosgrove podszedł do okna. Matka i syn wsiedli do starego, dwudrzwiowego pontiaca z żółtą karoserią i plamami rdzy na lewym błotniku. Osiągnął na razie jedynie cel doraźny — udało mu się obronić panią Whitcombe — lecz zdawał sobie doskonale sprawę z tego, ile jeszcze problemów mogły sprawić osoby, które wyszły przed chwilą z jego gabinetu. Niech Pan Bóg ma w opiece radę pedagogiczną szkoły, którą zamierza wybrać Corin. Może jednak stwarzało to również pewną szansę na interwencję specjalisty, zanim będzie za późno.

Dopóki kobieta nie wyjechała poza teren szkoły, w samochodzie panowała groźna, pełna napięcia cisza. Na widok znaku „stop” przystanęła i uderzyła Corina w twarz tak mocno, że dziecko rąbnęło głową w szybę.

— Ty draniu — syknęła przez zęby. — Jak śmiesz mnie w ten sposób poniżać! To przez ciebie zostałam wezwana do gabinetu dyrektora, który rozmawiał ze mną jak z kompletną kretynką. Chyba wiesz, co cię czeka w domu, prawda? Prawda? — wrzasnęła.

— Tak, mamó. — Twarz dziecka była zupełnie pozbawiona wyrazu, lecz w oczach błysnęło coś na kształt radości.

Chwyciła kierownicę obiema rękami, jakby chciała ją zgnieść.

— Będziesz idealny, nawet gdybym musiała cię pobić! Słyszysz? Mój syn musi być idealny.

— Tak, mamó — odparł Corin.

Rozdział 1

Warren, Michigan 2000

Jaine Bright obudziła się w nie najlepszym humorze. Jej najbliższy sąsiad, zakała otoczenia, wrócił do domu około trzeciej nad ranem, bardzo hałasując. Nawet jeśli jego samochód miał tłumik, to owo praktyczne urządzenie już dawno przestało funkcjonować. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że sypialnia Jaine znajdowała się po tej samej stronie co podjazd sąsiada i nawet naciągnięta na głowę poduszka nie mogła zagłuszyć ryku ośmiocyndrowego pontiaca. Sąsiad zatrzasnął drzwiczki, zapalił na ganku lampę umieszczoną w ten sposób, by świeciła prosto w oczy osobie leżącej naprzeciwko twarzą do okna, nie domknął wewnętrznych drzwi, które odbiły się przez to trzykrotnie od framugi, w kilka minut później wrócił na ganek i wszedł z powrotem do domu, najwyraźniej zapominając o lampie — świeciła jeszcze długo potem, jak zgasły światła w kuchni.

Gdyby wiedziała o tym sąsiedzie, zanim jeszcze dokonała transakcji, nabyłaby z pewnością inną posesję. Choć sprowadziła się tutaj zaledwie przed dwoma tygodniami, ten okropny facet zdażył już obrzydzić jej pierwszy w życiu dom.

Był pijakiem. Ale dlaczego nie upijał się na wesoło? — myślała kwaśno Jaine. Nie, musiał być ponurym, zgryźliwym, do tego stopnia niesympatycznym gburą, że Jaine bała się nawet wypuścić kota, ilekroć on był w domu.

BooBoo w zasadzie nie był jakimś szczególnym kotem — w dodatku nie jej własnym — lecz mama Jaine darzyła go naprawdę ogromnym sentymentem. Dla-

tego Jaine nie mogła dopuścić do tego, by pod jej kuratelą doznał jakiegokolwiek krzywdy. Jaine nie śmiałyby spojrzeć rodzicom w oczy, gdyby BooBoo zniknął lub co gorsza rozstał się z tym światem podczas ich pobytu na wymarzonych wakacjach w Europie.

Sąsiad miał natomiast powody, by żywić urazę do BooBoo od czasu, gdy odkrył ślady jego łap na szybie i masce auta. Na podstawie jego reakcji można by jednak sądzić, że jeździ nowym rolls—royce'em, a nie starym, pobijanym pontiakiem.

Pech sprawił, że oboje wychodzili do pracy w tym samym czasie. To znaczy Jaine sądziła do tej pory, że gburowaty sąsiad wychodzi do pracy. Może jeździł po prostu po alkohol, a jeśli w ogóle pracował, to o bardzo dziwnych porach.

Niemniej w dniu, kiedy wypatrzył ślady łap na samochodzie, Jaine próbowała być dla niego miła. Posunęła się nawet do uśmiechu, co nie przyszło jej wcale łatwo po tym, jak sąsiad miał do niej pretensje o to, że przyjęcie, jakie urządziła z okazji kupna domu, zakłóciło mu sen. O drugiej po południu! Gbur nie zwrócił jednak uwagi na pokojowy uśmiech.

— Może by tak pani trzymała tego zwierzaka z daleka od mojego auta — wrzasnęła, wyskakując z samochodu, choć dopiero zdążył usadowić się za kierownicą.

Uśmiech zamarł jej na twarzy. Jaine nie lubiła marnować uśmiechów, szczególnie dla takich nieogolonych, nieuprzejmych prostaków o przekrwionych oczach. Miała wprawdzie w zanadru ostrą replikę, ale ugryzła się w język. W końcu była zupełnie nowa w tej okolicy, a już zdążyła popaść w konflikt z najbliższym sąsiadem i ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, była wojna. Postanowiła dać raz jeszcze szansę dyplomacji, choć podczas oblewania nowego domu taktyka ta nie przyniosła spodziewanych efektów.

— Bardzo mi przykro — odparła, siłąc się na spokój. — Spróbuję go pilnować. Zresztą opiekuję się nim tylko pod nieobecność rodziców, więc już niedługo go oddam. Jeszcze tylko pięć tygodni.

Warknął coś niezrozumiałego w odpowiedzi i wśliznął się z powrotem do auta, a potem odjechał z rykiem silnika. Jaine nadstawiła ucha. Karoseria

pontiaca była w strasznym stanie, ale mechanizmy działały bardzo sprawnie. Pod maską kryło się najwyraźniej sporo koni mechanicznych.

Dyplomacja nie odniosła skutku.

A teraz sąsiad, który miał do niej pretensje o zakłócenie popołudniowej drzemki, znów budził o trzeciej nad ranem całą okolicę wyciem tego przeklętego auta. Porażona taką niesprawiedliwością, Jaine poczuła nagłą ochotę, by stanąć pod jego drzwiami, przycisnąć palec do dzwonka i nie odrywać go, dopóki winowajca nie zerwie się z łóżka.

Problem polegał jednak na tym, że trochę się go bała.

Nigdy przed nikim nie tchórzyła, lecz w towarzystwie tego człowieka naprawdę czuła się nieswojo. Nie знаła nawet jego nazwiska, gdyż — choć spotkali się już dwukrotnie — żadna z tych okazji nie sprzyjała wymianie personaliów. Jaine wiedziała jedynie, że sąsiad wygląda dość nieciekawie i nie ma chyba stałego zajęcia. W najlepszym przypadku mógł być pijakiem, a pijacy są często nieprzyjemni i kłopotliwi. W najgorszym — był zamieszany w jakieś nielegalne interesy, co do tej listy przymiotników dodawało jeszcze jeden, a mianowicie „niebezpieczny”.

Potężny, dobrze zbudowany, miał ciemne włosy ostrzyżone niemal tak krótko jak skinhead. Za każdym razem, gdy go spotykała, wyglądał, jakby się nie golił co najmniej od dwóch dni. Wszystko to razem, łącznie z przekrwionymi oczyma i okropnym charakterem, świadczyło aż nadto wyraźnie o nadużywaniu alkoholu.

Jego wzrost i muskularna budowa ciała wzmagały lęk Jaine. Sąsiedztwo wydawało się spokojne, lecz ona nie czuła się bezpiecznie, mieszkając tuż obok takiego człowieka.

Mamrocząc coś pod nosem, wstała z łóżka i zasunęła rolety, choć zazwyczaj nie zasłaniała okien na noc. Budzik nigdy jej nie budził — słońce zawsze. Świt działał znacznie lepiej niż jakiegokolwiek dźwięki. Wielokrotnie zdarzało się jej znaleźć budzik na podłodze, co znaczyło, że terkot pobudził ją do walki, lecz nie zmusił do wstania. Teraz miała tylko przejryste firanki, a za nimi rolety, które unosiła natychmiast po zgaszeniu światła. Gdyby tego dnia spóźniła się do pracy, byłaby to wina sąsiada, gdyż to on zmusił ją, by polegała na zegarku, a nie na

słońcu.

W drodze do łóżka potknęła się o BooBoo. Kot podskoczył do góry z przerażonym miauknięciem, a Jaine o mało nie dostała ataku serca.

— Chryste! BooBoo! Chcesz, żebym umarła ze strachu?! — Nie była przyzwyczajona do zwierząt w mieszkaniu i zawsze zapominała patrzeć pod nogi. Dlaczego matka wybrała akurat ją, a nie Shelley czy Dave'a do opieki nad kotem? Oboje mieli przecież dzieci, które mogły bawić się z BooBoo i dostarczać mu rozrywki. Na czas wakacji szkołę zamykano, co znaczyło, że w obu domach przez cały czas ktoś przebywa.

Ale nie. To Jaine musiała się opiekować BooBoo. Fakt, że mieszkała sama, pracowała przez pięć dni w tygodniu i nie była przyzwyczajona do zwierząt, zupełnie się nie liczył. Zresztą, nawet gdyby zdecydowała się na zwierzątko, to na pewno nie takie jak BooBoo, który po wykastrowaniu popadł w bardzo zły humor i wyładowywał swoją frustrację na meblach. Pewnego dnia podrapał pazurami sofę do tego stopnia, że Jaine musiała ją oddać do tapicera.

Poza tym BooBoo nie lubił Jaine. Do czasu, gdy przebywał w swoim własnym domu, tolerował jej obecność i nawet pozwalał się czasem głaskać, lecz przeprowadzka zupełnie mu nie odpowiadała. Za każdym razem, gdy Jaine próbowała go popieścić, prężył grzbiet i syczał.

Na domiar złego Shelley poczuła się urażona wyborem, jakiego dokonała matka, i o powstałą sytuację winiła Jaine. W końcu była najstarsza i prowadziła najbardziej ustabilizowany tryb życia. Jaine rozumiała doskonale uczucia siostry, lecz nie poprawiło to wcale zadrażnionych stosunków.

Co gorsza, David, o rok młodszy od Shelley, też żywił urazę do Jaine. Nie z powodu BooBoo, jako że był uczulony na koty. Ojciec wstawił jednak swój cenny samochód do garażu młodszej córki — pozbawiając ją w ten sposób możliwości parkowania pod dachem i narażając na niewygody — co doprowadziło Davida do szału. Jaine wolałaby tysiąc razy, by to David musiał przejąć pieczę nad autem. Ojciec mógł zresztą skorzystać z własnego garażu, ale bał się zostawić samochód bez opieki na całe sześć tygodni. Jaine wcale się zresztą temu nie dziwiła, lecz nie potrafiła dociec, dlaczego musi się zajmować i autem, i kotem. Shelley nie rozumiała wyboru opiekuna kota, David wyboru

garażu, a Jaine w ogóle nic z tego nie rozumiała.

Tak więc zarówno siostra, jak i brat byli na nią wściekli, BooBoo systematycznie niszczył sofę, Jaine umierała ze strachu, że coś może się stać z samochodem ojca, a w dodatku sąsiad alkoholik uprzykrzał jej życie.

Dobry Boże, dlaczego zdecydowała się na kupno domu? Gdyby została w swoim apartamencie, nic by się nie stało, gdyż tam garażu w ogóle nie miała, a w budynku nie wolno było trzymać zwierząt.

Jaine zakochała się niestety w tej okolicy i starych, porośniętych winem domach z lat czterdziestych, o odpowiednio niskich cenach. Widywała tu raczej sympatyczne towarzystwo — od młodych małżeństw z dziećmi począwszy, skończywszy na emerytach, których co niedziela odwiedzała rodzina. Sędziwi mieszkańcy osiedla siadywali wieczorami na werandach, pozdrawiali przechodniów, a dzieci biegały po dziedzińcach, nie bojąc się żadnej przypadkowej strzelaniny. Teraz Jaine żałowała, że nie zainteresowała się dokładniej wszystkimi sąsiadami, ale na pierwszy rzut oka okolica wydawała się przyjemna, bezpieczna dla samotnej kobiety i Jaine była zachwycona nabyciem nowego domu za tak niską cenę.

Wiedząc, że już nie zaśnie, gdyż nie pozwoli jej na to myśli o sąsiedzie, spłótła ręce pod głową i zapatrzyła się w sufit. Chciała zrobić w tym domu naprawę bardzo dużo — zarówno kuchnia, jak i łazienka wymagały modernizacji, łączących się z wydatkami, na które Jaine nie mogła sobie obecnie pozwolić. Zamierzała też wymienić okiennice i otynkować cały budynek, co z pewnością poprawiłoby znacznie wygląd domu od zewnątrz. Dobrym pomysłem wydawało się także wyburzenie ściany pomiędzy salonem i jadalnią, tak by jadalnia stanowiła bardziej wnękę niż osobny pokój, z łukiem pomalowanym na jeden z tych pseudonaturalnych kolorów przypominających barwę kamienia.

Obudził ją irytujący terkot budzika. Przynajmniej tym razem to cholerstwo okazało się skuteczne — pomyślała, przewracając się na drugi bok, by uciszyć zegarek. Czerwone cyferki tarczy raziły ją w oczy.

— Niech to... — mruknęła z obrzydzeniem, wstając z łóżka. Szósta pięćdziesiąt osiem — budzik terkotał prawie godzinę, co znaczyło, że Jaine już się spóźniła. I to bardzo.

— Cholera, cholera, cholera — powtarzała, biorąc prysznic i wyskakując z

kabiny w minutę później. Umyła szybko zęby i popędziła do kuchni, gdzie otworzyła puszkę z kocim jedzeniem dla BooBoo, który siedział już przy misce i lypał na nią spode łba.

Splunęła do zlewu i odkręciła kran, by splukać pastę.

— Dlaczego akurat dzisiaj nie wskoczyłeś na łóżko, skoro byłeś głodny? Nie, dzisiaj czekałeś i teraz przez ciebie ja pójdą do pracy bez śniadania.

BooBoo dał jej wyraźnie do zrozumienia, że interesuje się wyłącznie własnym żołądkiem.

Wbiegła do łazienki, zrobiła szybki makijaż, włożyła kolczyki i zegarek, a następnie mało kłopotliwe ubranie, po które sięgała zawsze, gdy się spieszyła — czarne spodnie i białą jedwabną bluzkę oraz szykowny, czerwony żakiet. Wbiła stopy w buty, chwyciła torebkę i wybiegła z domu. Był to akurat dzień wywożenia śmieci. Niech to diabli, szlag, cholera i wszystko inne — mruzczała Jaine, zawracając. — Próbuję jakoś ograniczyć przeklinanie — warknęła do BooBoo, wyciągając torbę ze śmieciami z wiadra pod zlewem — ale ty i pan Sympatyczny całkowicie mi to uniemożliwiacie. BooBoo odwrócił się do niej tyłem.

Znów wybiegła na podjazd, przypomniała sobie, że nie zamknęła drzwi, popędziła z powrotem do domu, wyciągnęła metalowy pojemnik ze śmieciami na krawężnik i wrzuciła do niego najnowsze ulotki reklamowe. Tym razem jednak nie usiłowała zachować ciszy. Chciała obudzić nieuprzejmego sąsiada z domu obok.

Wsiadła do swego ukochanego auta, wiśniowoczerwonego dodge'a vipera, i tak na wszelki wypadek, już po włączeniu silnika, wcisnęła parę razy pedał gazu, a dopiero potem wrzuciła wsteczny. Samochód wystrzelił do tyłu i z ogromnym hukiem zderzył się z jej pojemnikiem na śmieci, który wpadł z łoskotem na pojemnik sąsiada, w wyniku czego metalowa pokrywa spadła na chodnik i potoczyła się w dół ulicy.

Jaine przymknęła oczy i uderzyła głową o kierownicę — delikatnie, ponieważ nie chciała doznać wstrząsu. Choć może powinna sobie zafundować jakiś drobny wstrząs, przynajmniej nie musiałaby się martwić o dotarcie na czas do pracy, co teraz zresztą było już i tak fizycznie niemożliwe. Mimo wszystko nie zaczęła kłać. Jedynych słów, jakie przychodziły jej do głowy, naprawdę nie chciała użyć.

Wyłączyła silnik i wysiadła. Teraz musiała się opanować, a nie wściekać. Wyprostowała pogięty pojemnik, umieściła w nim z powrotem torby foliowe i rzuciła na nie pokrywę. Ustawiła również kontener sąsiada i posprzątała jego śmieci — nie wiązał torebek tak starannie jak Jaine — czego się można w końcu spodziewać po pijaku, po czym poszła szukać wieka.

Leżało pogięte przy krawężniku na wprost sąsiedniego domu. Jaine pochylała się właśnie, by je podnieść, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi.

Zrealizowała swój cel. Ten bezmyślny pijak jednak się obudził.

— Co pani, u diabła, wyprawia? — warknął. Miał na sobie spodnie od dresu, podarty brudny podkoszulek, był zarośnięty i łypał na nią groźnie. Naprawdę budził strach.

Zawróciła, podeszła do pojemników sąsiada i przykryła jeden z nich wieczkiem.

— Zbieram pańskie śmieci — warknęła.

Patrzył na nią z ogniem w oczach. Prawdę mówiąc, to oczy miał po prostu przekrwione jak zawsze, ale wyglądał groźnie.

— Dlaczego nie pozwala mi pani spać, do cholery? Jest pani najbardziej hałaśliwą kobietą, jaką widziałem w życiu.

Ta jawna niesprawiedliwość kazała jej zapomnieć o strachu. Jaine podeszła do sąsiada, zadowolona, że włożyła tego dnia buty na pięć—ciocentymetrowych obcasach i sięga mu aż do... podbródka. No, prawie.

No i co z tego, że był wyższy? Ona za to była wściekła, a „wściekły” znaczyło o wiele więcej niż „duży”.

— Jestem hałaśliwa? — spytała przez zęby. Zaciśnięta z wściekłości szczęka utrudniała głośne mówienie, lecz Jaine i tak postanowiła spróbować. — To ja jestem hałaśliwa? — powtórzyła, celując w sąsiada palcem. Zupełnie nie miała ochoty go dotykać, bo miał na sobie podarty, brudny podkoszulek, poplamiony... nawet dobrze nie wiedziała czym. — To nie ja jeżdżę tym złomem, który postawił na nogi całe sąsiedztwo o trzeciej nad ranem! Niech pan kupi tłumik, na miłość boską! To nie ja trzasnęłam raz drzwiczkami auta, a potem jeszcze trzykrotnie drzwiami — co, zapomniał pan flaszki i musiał pan po nią wrócić? — i w końcu nie ja zostawiłam światło na ganku, które nie pozwoliło mi zasnąć przez całą noc!

Już otwierał usta, żeby jej odpowiedzieć, ale Jaine nie dawała za wygraną,
— Poza tym ludzie śpiąją na ogół o trzeciej rano, a nie o drugiej po południu
czy — zerknęła na zegarek — dwadzieścia trzy po siódmej rano. — Boże, już była
spóźniona! — Wracaj do domu, kolego. Wracaj do swojej butelczyny. Jak wreszcie
dosyć wypijesz, prześpisz wszystko.

Kiedy znów otworzył usta, Jaine dźgnęła go palcem w tors. Fúj! Będzie
musiała teraz wygotować palec!

— Jutro kupię panu nowy pojemnik, więc proszę siedzieć cicho! A jeżeli
zrobi pan choć najmniejszą krzywdę kotu mojej matki, porwę pana na komórki.
Zniszczę pańskie DNA tak, żeby już nie można było go powielić. Tak będzie zresztą
lepiej dla ludzkości. — Otaksowała płomiennym spojrzeniem jego porwane, nie-
chlujne ubranie i zarośniętą szczękę. — Rozumie pan?!

Przytaknął.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, próbując trzymać nerwy na wodzy.

— Dobrze. To już chyba wszystko. Na pański widok chce mi się kłać, a
bardzo się staram tego nie robić.

Popatrzył na nią dziwnie.

— Fakt. Rzeczywiście nie powinna pani tak rzucać mięsem.

Odgarnęła włosy z twarzy, próbując sobie przypomnieć, czy w ogóle się
dzisiaj czesała.

— Jestem już spóźniona — powiedziała. — Prawie nie spałam, nie jadłam
śniadania, nie wypiłam nawet kawy. Lepiej już pójdę, zanim zrobię panu krzywdę.

Przytaknął z wyraźną aprobata.

— To niezły pomysł. Nie chciałbym pani aresztować.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Co takiego?

— Jestem gliną — wyjaśnił, odwrócił się i poszedł do domu.

Jaine popatrzyła za nim zaszokowana. Glina?

— Pieprzę taki interes — rzuciła przez zęby.

Rozdział 2

W każdy piątek Jaine i jej trzy koleżanki z Hammerstead Technology spotykały

się po południu w grill—barze u Erniego, gdzie wypijały po kieliszku wina, zjadały posiłek, którego nie musiały same przygotowywać, i plotły trzy po trzy. Po całym tygodniu spędzonym w męskim towarzystwie miały ogromną ochotę na babskie pogaduszki.

Hammerstead było spółką—satelitą dostarczającą technologii komputerowej fabrykom General Motors w całym okręgu Detroit, a w świecie komputerów wciąż dominowali mężczyźni. W tej sporej firmie, gdzie obok maniaków komputerowych nie rozumiejących, co to znaczy „strój odpowiedni do pracy”, pracowali również typowi przedstawiciele nowoczesnej kadry kierowniczej, panowała dość dziwna atmosfera. Gdyby Jaine zatrudniła się w jakiegokolwiek placówce badawczo—rozwojowej zatrudniającej podobnych dziwaków, nikt by nawet nie zauważył, że się spóźniła. Niestety, zarządzała działem płac, a jej bezpośredni przełożony przywiązywał ogromną wagę do punktualności.

Musiała nadrobić poranne spóźnienie, zatem do Erniego spóźniła się prawie piętnaście minut, lecz pozostała trójka już, dzięki Bogu, zajęła stolik.

U Erniego — jak zwykle w weekendy — powoli zaczynało brakować miejsc, a Jaine nie lubiła czekać na stolik, siedząc przy barze, nawet gdy była w dobrym humorze, co dzisiaj, rzecz jasna, nie miało miejsca.

— Co za dzień! — powiedziała, opadając na puste krzesło. Dziękując Bogu, do listy podziękowań dodała fakt, że jest już piątek. Dzień był wprawdzie okropny, ale na szczęście ostatni w tygodniu... aż do poniedziałku.

— Już lepiej nic nie mów — mruknęła Marci, gasząc papierosa i natychmiast zapalając następnego. — Brick ostatnio bez przerwy się mnie czepia. Czy to możliwe, żeby mężczyźni cierpieli z powodu syndromu napięcia przedmiesiączkowego?

— Im to niepotrzebne — odparła Jaine, myśląc o swoim sąsiedzie. Jak się niedawno okazało: sąsiedzie—policjancie. — Od urodzenia są zatruci testosteronem.

— Ach, więc o to chodzi. — Marci przewróciła oczami. — Myślałam, że to pełnia, albo coś takiego... Nigdy byście się nie domyśliły! Kellman złapał mnie dzisiaj za tyłek.

— Kellman? — ze zdziwieniem spytały wszystkie trzy jednocześnie, zwrac-

cając uwagę siedzących dookoła, a potem wybuchnęły śmiechem. Akurat Kellmana nigdy by nie posądziły o próby molestowania seksualnego.

Derek Kellman, lat dwadzieścia trzy, był chodzącą definicją słów: nudziarz i pracoholik. Wysoki, kościsty, poruszał się z wdziękiem pijanego bociana. Jabłko Adama miał tak wystające, jakby połknął cytrynę, która na zawsze utkwiała mu w gardle. Rude włosy wyglądały nawet dziwniej niż szczotka — miejscami skołtunione przylegały gładko do głowy, by w innych miejscach sterczeć niczym kolce jeża — nieuleczalny przypadek fryzury zaraz po wstaniu z łóżka. Kellman znał się jednak świetnie na komputerach i wszystkie przyjaciółki bardzo go lubiły w specyficzny, opiekuńczy, siostrzany sposób. Poza tym Kellman był nieśmiały, niezdarny i — poza komputerami — nie miał o niczym pojęcia. Biurowa plotka głosiła wprawdzie, że słyszał o istnieniu dwóch płci, ale wiadomo, jak to bywa z plotkami. W każdym razie żadna z kobiet z tej czwórki nie przypisała mu skłonności do łapania kogokolwiek za tyłek.

— Niemożliwe — oświadczyła Luna.

— Wymyśliłaś to sobie — powiedziała T.J. oskarżycielskim tonem.

Marci parsknęła ochryplym śmiechem palaczki i zaciągnęła się głęboko papierosem.

— Przysięgam na wszystko, to prawda. Mijałam go po prostu w korytarzu. A potem on chwycił mnie obiema rękami za pośladek i stał tak przez chwilę, jakby mój tyłek to była piłka do koszykówki, a on zamierzał dryblować.

Ta wizja znów pobudziła je do śmiechu.

— I co zrobiłaś? — spytała Jaine.

— Właściwie nic — przyznała Marci. — Najgorsze jest to, że widział nas Bennett.

Jęknęły. Bennett Trotter uwielbiał donosić na współpracowników, a szczególnie na Kellmana.

— Co miałam robić? — spytała Marci, kręcąc głową. — Nie mogłam dać temu dupkowi kolejnych argumentów. Pogłaskałam więc Kellmana po policzku i powiedziałam coś zalotnego typu: „Nie wiedziałam, że ci się podobam”. Kellman zrobił się czerwony jak burak i dał nura do toalety.

— A co zrobił Bennett? — spytała Luna.

— Uśmiechnął się obrzydliwie... znacie ten jego uśmieszek, i mruknął, że sam zaofiarowałby mi charytatywnie swoje usługi, gdyby wiedział, jaka jestem napalona.

Wszystkie zgodnie przewróciły oczami.

— Innymi słowy, jak zwykle zachował się po chamsku — podsumowała Jaine.

Stosunki służbowe swoją drogą, rzeczywistość swoją Rzeczywistość była taka, że ludzie to tylko ludzie. Niektórzy faceci z Hammerstead zachowywali się okropnie i żadne treningi wrażliwości nie mogły tego zmienić. Większość jednak dawała się lubić i w ten sposób wszystko grało, jako że niektóre kobiety przypominały do złudzenia drut kolczasty.

Jaine przestała już szukać doskonałości w miejscu pracy czy też w jakimkolwiek innym miejscu. Luna uważała Jaine za osobę niezwykle cyniczną. Jednak Luna, jako najmłodsza z nich, wciąż patrzyła na świat przez różowe okulary. Miejscami wyblakłe, ale wciąż jeszcze różowe.

Pozornie mogło się wydawać, że tej czwórki nie łączy nic poza miejscem pracy. Marci Dean, główna księgowa, miała czterdzieści jeden lat i była najstarsza. Trzykrotnie zamężna i rozwiedziona, od czasu ostatniej wycieczki do sądu wolała zdecydowanie mniej formalne związki. Jej platynowoblond włosy zaczynały już płowieć, palenie odbijało się na cerze, a ubrania wydawały się zawsze zbyt ciasne. Lubiała piwo, robotników fizycznych, ostry seks i kręgle. Mawiała, że jest marzeniem każdego mężczyzny, bo gustuje w piwie, choć stać ją na szampana.

Obecny chłopak Marci — mocno umięśniony osiłek, który nie cieszył się sympatią żadnej z pozostałych kobiet — miał na imię Brick i był tępy jak zużyta żyletka. Dziesięć lat młodszy od Marci, pracował wyłącznie dorywczo, a większość czasu spędzał przed telewizorem, pijąc piwo. Z tego, co mówiła Marci, wynikało, że Brick lubi taki sam seks jak ona, co stanowi wystarczający powód, żeby go na razie nie wyrzucać z domu.

Lunę Scissum, najmłodszą z całej czwórki, zaledwie dwudziesto-czteroletnią dziewczynę, uznano za cudowne dziecko działu sprzedaży. Wysoka i giętka, poruszała się z wdziękiem i dostojeństwem kota. Cudowna cera Luny przypominała jasny, kremowy karmel, głos brzmiał cicho i lirycznie, a męż-

czyżni padali jak muchy u jej stóp. Ogólnie rzecz ujmując, eteryczna Luna stanowiła całkowite przeciwstawienie krzykliwej Marci. Luna złościła się tylko wówczas, gdy ktoś ośmielał się ją nazwać Afroamerykanką.

— Jestem Amerykanką — warczała, odwracając się buńczucznie do takiego śmiałka. — Urodziłam się w Kalifornii, ojciec dochrapał się majora u komandosów. Mam czarne korzenie, ale białych też mi nie brak. — Wyciągała rękę i oglądała uważnie jej kolor. — Chyba jestem brązowa. Różnimy się tylko odcieniami brązu, więc proszę mnie w żaden sposób nie wyróżniać.

W takich razach nieszczęśnik bełkotał coś, co brzmiało jak przeprosiny, a Luna, jak to Luna, uśmiechała się do niego uroczo i wybaczała tak sympatycznie, że facet zapraszał ją na randkę. Obecnie spotykała się regularnie z piłkarzem Lwów z Detroit. Niestety obdarzyła uczuciem Shamala Kinga, znanego z dzikich ekscesów seksualnych w każdym mieście, które mogło się poszczycić drużyną pierwszej ligi. Orzechowe oczy Luny często zasnuwały się smutkiem, ale dziewczyna nie chciała rezygnować z ukochanego.

T.J. Yother pracowała w dziale kadr i prowadziła dość tradycyjny tryb życia. Równolatka Jaine, z czwartym krzyżykiem na karku, poślubiła dziewięć lat wcześniej swego chłopaka ze szkoły średniej. Mieszkali w domku na przedmieściach z dwoma kotami, papugą i cocker—spanielką. Jedynym problemem T. J. było to, że ona pragnęła dzieci, podczas gdy Galan nie chciał o nich słyszeć. Jaine uważała, że T.J. powinna być trochę bardziej niezależna. Choć Galan, kierownik nocnej zmiany w fabryce chevroleta, pracował od trzeciej po południu do jedenastej w nocy. T.J. zawsze zerkała na zegarek, tak jakby musiała wracać do domu o jakiejś określonej porze. Galan nie aprobował ich piątkowych wieczorów, choć spotykały się tylko u Erniego, jadły kolację i nigdy nie rozstawały się później niż o dziewiątej. Nie włóczyły się przecież po barach i nie piły do świtu.

Cóż, trudno o życie doskonałe — myślała Jaine. Jej samej nie powiodło się najlepiej w dziedzinie uczuć. Trzykrotnie zaręczona, ani razu nie zdołała doprowadzić narzeczonego do ołtarza. Po trzecim rozstaniu uznała, że nadszedł czas, by przez chwilę odpocząć od romansów i skupić się na pracy. Od tamtej pory minęło siedem lat, a ona wciąż się skupiała. Miała wysoką zdolność kredytową i całkiem

sporo oszczędności. Niedawno kupiła nowy dom, ale przez tego gbura—sąsiada nie cieszyła się z tego wcale tak bardzo, jak przewidywała. Może facet rzeczywiście był glina, ale i tak nie czuła się przy nim najlepiej, bo — glina czy nie glina — robił takie wrażenie, jakby mógł spalić dom swego wroga. A Jaine stała się jego wrogiem już od pierwszego dnia,

— Znów miałam dziś rano przeboje z sąsiadem — powiedziała, wzdychając, po czym położyła łokcie na stole i wsparła głowę na splecionych palcach.

— Co zrobił tym razem? — spytała T.J. ze współczuciem. Wszystkie przyjaciółki znały problemy Jaine, a wiadomo, że okropny sąsiad może naprawdę obrzydzić życie.

— Bardzo się spieszyłam i wjechałam na pojemnik ze śmieciami. Wiecie przecież, że kiedy się spieszycie, zawsze dzieje się coś takiego, co nigdy by się nie zdarzyło, gdybyście miały czas. Dziś rano nic mi się nie udawało. W każdym razie mój pojemnik przewrócił jego pojemnik, a pokrywa upadła na chodnik. Wyobrażacie sobie ten hałas? A on wyleciał z domu jak szarżujący niedźwiedź, wrzeszcząc, że jestem najbardziej hałaśliwą osobą, jaką widział w życiu.

— Powinnaś była kopnąć ten pojemnik — stwierdziła Marci. Najwyraźniej nie wierzyła w nadstawianie drugiego policzka.

— Wtedy na pewno by mnie aresztował za zakłócanie spokoju — odparła ponuro Jaine. — To glina.

— Wykluczone! — Wszystkie popatrzyły na Jaine z niedowierzaniem. Opisywała im sąsiada wielokrotnie, a czerwone oczy, nieogolony zarost i brudne ubranie nie pasują do policjanta.

— Gliny to tacy sami pijacy jak inni — powiedziała T.J. z lekkim wahaniem. — Powiedziałabym nawet, że mają większe skłonności do kieliszka.

Jaine zmarszczyła czoło. Próbowwała sobie przypomnieć poranne spotkanie.

— Właściwie nic od niego nie czułam. Wyglądał, jakby chlał na umór trzy dni z rządu, ale nie śmierdział alkoholem. Aż mi trudno, cholera, uwierzyć, że można się tak wściekać nie na kacu.

— Płacisz — oświadczyła Marci.

— Niech to szlag! — zaklęła Jaine, wściekła na siebie. Chcąc się oduczyć

używania brzydkich wyrazów, ustaliła z przyjaciółkami, że każde przekleństwo kosztuje ćwierć dolara.

— Podwójnie — zarechotała T.J., wyciągając rękę.

Mamrocząc pod nosem, ale nie klnąc, Jaine wygrzebała z kieszeni pięćdziesiąt centów dla każdej z nich. Ostatnio zawsze przed wyjściem z domu sprawdzała, czy ma drobne.

— Ale w końcu to tylko sąsiad — powiedziała uspokajająco Luna. — Możesz go unikać.

— Do tej pory jakoś mi się to nie udaje — przyznała Jaine, łypiąc na stolik. W chwilę później wyprostowała dumnie plecy: nie mogła dopuścić do tego, żeby taki gbur zdominował jej życie i myśli na całe dwa tygodnie. — Dość już o nim. Co ciekawego słychać u was?

Luna zagryzła wargę, a jej twarz zasnuł smutek.

— Zatelefonowałam wczoraj do Shamala. Odebrała kobieta.

— Niech to cholera! — Marci przechyliła się przez stół, żeby pogłaskać Lunę po rękę, a Jaine pozazdrościła jej swobody doboru słów.

Akurat w tym momencie kelner podał im karty, których zresztą wcale nie potrzebowały, ponieważ znały menu na pamięć. Kiedy złożyły zamówienia, kelner zebrał zamknięte karty i odszedł, a wtedy wszystkie przysunęły się bliżej stolika.

— Co zamierzasz? — spytała Jaine.

Była ekspertem od rozstań — sama zrywała wielokrotnie z narzeczonymi, a także i ją porzucano. Drugi narzeczony, wyjątkowy skurczybyk, czekał do dnia próby ceremonii ślubnej, by jej oznajmić, że nie da rady przez to przejść. Jaine potrzebowała czasu, żeby się pogodzić z losem, i nie starczyłoby jej pieniędzy na opłacenie wszystkich przekleństw, jakie krażyły jej po głowie. Nigdy jednak nie wypowiedziała ich na głos. Zresztą czy „skurczybyk” to rzeczywiście przekleństwo? Czy istniała gdzieś jakaś lista, na której można by to sprawdzić?

Luna wzruszyła ramionami. Była bliska łez, choć próbowała zachowywać się nonszalancko.

— Nie jesteśmy zaręczeni. Oboje spotykamy się z innymi osobami. Nie mam prawa narzekać,

— Nie, ale możesz się bronić i przestać go widywać — odparła łagodnie T.J.
— Czy on naprawdę jest wart takich cierpień?

— Żaden chłop nie jest tego wart — prychnęła Marci.

— Amen — podsumowała Jaine, przywołując na myśl swoje zerwane zaręczyny.

Luna wzięła w palce serwetkę.

— Czasem mi się wydaje, że jemu naprawdę na mnie zależy. Jest słodki, kochający, troskliwy...

— Oni wszyscy są tacy, dopóki nie dostaną tego, czego chcą. — Marci zgasła trzeciego papierosa. — Przemawia przeze mnie doświadczenie, rozumiecie. Zabaw się z nim, ale nie sądz, że się zmieni.

— To prawda — przytaknęła smętnie T.J. — Oni nigdy się nie zmieniają. Przez jakiś czas próbują udawać kogoś innego, ale kiedy już dojdą do wniosku, że zrobili z ciebie niewolnicę, rezygnują z gry i znów wyłazi z nich pan Hyde.

— Zupełnie jakbym siebie słyszała... — powiedziała ze śmiechem Jaine.

— Tylko że T.J. nie klnie — zauważyła Marci.

T.J. machnęła ręką, chcąc przerwać te żarty. Luna wydawała się coraz bardziej zgnębiona.

— Więc albo powinnam się pogodzić z rolą kolejnej żony w haremie, albo przestać się z nim widywać?

— No... tak.

— Ale tak przecież nie powinno być. Dlaczego właściwie Shamal spotyka się z tymi wszystkimi kobietami, skoro twierdzi, że mu na mnie zależy?

— To jasne — odparła Jaine. — Jednooki wąż nie ma gustu.

— Kochanie — powiedziała Marci najśłodziej jak umiała — jeśli szukasz idealnego mężczyzny, wciąż będziesz przeżywać kolejne rozczarowania, bo taki ktoś nie istnieje. Musisz zadbać o swoje interesy, to jasne, ale problemów nie usuniesz.

— Wiem, że on nie jest doskonały...

— Ale chcesz, żeby był — dokończyła T.J.

Jaine pokręciła głową.

— Nic z tego. Idealny mężczyzna, taki Mr Perfect, to czysta science fiction. Zresztą, my też nie jesteśmy doskonałe — dodała natychmiast — lecz

większość kobiet przynajmniej się stara. A mężczyźni nie. Dlatego z nich zrezygnowałam. Jakoś nie potrafię żyć w stałym związku. — Urwała. — Nie miałabym jednak nic przeciwko niewolnikowi, który musiałby uprawiać ze mną seks.

Wszystkie trzy, łącznie z Luna, wybuchnęły śmiechem.

— Idę na to — oznajmiła Marci. — Tylko skąd takiego wziąć?

— Spróbujcie w Związku Zawodowym Niewolników Seksualnych — zaproponowała T.J.

— Pewnie mają adres internetowy — dorzuciła Luna, krztusząc się ze śmiechu.

— Oczywiście, że tak. — Jaine zachowywała kamienną powagę. — Mogę go wam nawet podać. To www.niewolnicyseksualni.com.

— Wystarczy wypełnić ankietę, wpisać wymagania i możecie wynająć Mr Perfecta na cały dzień albo na godziny. — T.J. machnęła entuzjastycznie szklanką.

— Na cały dzień? — zawtórowała sceptycznie Jaine. — Bądź realistką. Już godzina to cud.

— Poza tym ktoś taki przecież nie istnieje — przypomniała Marci.

— Tak naprawdę to nie, ale niewolnik seksualny musiałby udawać, że jest dokładnie taki, jak chcesz.

Marci nie ruszała się nigdzie bez swojej teczki z miękkiej skórki. Otworzyła ją, wyjęła ze środka notatnik oraz pióro i rzuciła je na stół. — Jasne. Zaraz się przekonamy, jaki powinien być nasz Mr Perfect.

— Musiałby zmywać co drugi dzień bez przypominania. — T.J. walnęła dłonią w stół i popatrzyła pytająco na koleżanki.

Kiedy wreszcie przestały się śmiać, Marci sięgnęła po notatnik.

— Okay, numer jeden. Zmywanie.

— Nie, nie. Zmywanie nie może być na pierwszym miejscu — zaprotestowała Jaine. — Mamy poważniejsze problemy.

— Właśnie — zgodziła się Luna. — Poważnie. Jaki powinien być według nas prawdziwy mężczyzna? Nigdy o tym nie myślałam w takich kategoriach. Może powinnam sobie uzmysłwić, co tak naprawdę lubię w mężczyź-

nie.

Wszystkie zamilkły. Jaine zmarszczyła nos.

— Idealny mężczyzna. Mr Perfect? Serio?

— Serio.

— To trzeba przemyśleć — zawyrokowała Marci.

— Ja nie muszę — powiedziała poważnie T.J. — Najważniejsze jest to, żeby facet wymagał od życia dokładnie tego samego co ty.

Znowu zaległa cisza. Przez chwilę zaintrygowani ich śmiechem goście siedzący przy sąsiednich stolikach skierowali uwagę na bardziej interesujące obiekty.

— Wymaga tego samego od życia — powtórzyła Marci, notując. — To numer jeden. Zgoda?

— Bardzo ważny punkt, fakt — odezwała się Jaine. — Nie jestem jednak pewna, czy najważniejszy.

— W takim razie co ty byś postawiła na pierwszym miejscu?

— Wierność. — Pomyślała o swoim drugim narzeczonym, nazywanym w myślach skurczybykiem. — Życie jest zbyt krótkie, by marnować je na kogoś, komu nie możesz ufać. Powinnaś oczekiwać od swojego mężczyzny choć tego, że nie będzie cię oszukiwał ani zdradzał. Na takich podstawach możesz już coś budować.

— Dla mnie to też najważniejsze — przyznała Luna.

T.J. myślała chwilę.

— Dobra — powiedziała w końcu. — Gdyby Galan nie był mi wierny, nie chciałabym mieć z nim dziecka.

— Zgadzam się — mruknęła Marci. — Ja też nie znoszę skoków w bok. Numer jeden: Jest wierny. Nie oszukuje i nie kłamie.

Wszystkie skinęły zgodnie głowami.

— Co jeszcze? — Pióro Marci zawisło przez chwilę nad kartką.

— Powinien być miły — zaproponowała T.J.

— Miły? — powtórzyła Marci z niedowierzaniem.

— Tak, miły. Która z nas chciałaby spędzić życie z gburem?

— Albo mieć takiego za sąsiada? — mruknęła Jaine i kiwnęła głową na

znak zgody. — Miły może zostać. Nie brzmi to wprawdzie jakoś szczególnie ekscytująco, ale pomyślcie tylko... Uważam, że Mr Perfect powinien być dobry dla dzieci i zwierząt, pomagać starszkom przejść przez ulicę, nie obrażać cię, gdy się z nim nie zgadzasz.

Luna popatrzyła na nią z aprobatą.

— No dobra — powiedziała Marci. — Mnie także przekonaliście. Chyba nigdy nie poznałam żadnego miłego faceta. Numer dwa: „miły”. — Zapisała to na kartce. — Numer trzy? Mogę coś zaproponować. To powinien być facet, na którym można polegać. Jeśli mówi, że coś zrobi, to powinien dotrzymać słowa. Jeżeli ma się ze mną spotkać o siódmej, niech przychodzi na czas, a nie o wpół do dziesiątej albo i wcale. Głosujemy?

Wszystkie podniosły zgodnie ręce na znak aprobaty, a pod numerem trzecim wpisano „niezawodny”.

— Czwórka?

— To oczywiste — powiedziała Jaine. — Stała praca.

— Auuu! — skrzywiła się Marci. — Bolało. Brick siedział ostatnio na tyłku i nic nie robił.

— Stała praca to element niezawodności. I rzeczywiście jest ważna. Świadczy o powadze i poczuciu odpowiedzialności.

— Stała praca — zapisała Marci.

— Powinien mieć poczucie humoru — zasugerowała Luna.

— Chodzi ci oczywiście o coś więcej niż uwielbienie dla seriali komediowych? — spytała Jaine.

— Dlaczego mężczyźni tak lubią seriale komediowe? — prychnęła T.J., przewracając oczami. — I jeszcze dowcipy fizjologiczne? Marci, zapisz koniecznie na pierwszym miejscu: Rynsztokowe dowcipy wykluczone.

— Numer pięć: poczucie humoru — zachichotała Marci. — Ale jeżeli mamy być sprawiedliwe, nie wolno nam chyba ustalać, z czego wolno mu się śmiać.

— Oczywiście, że nam wolno — sprostowała Jaine. — Przecież będzie naszym niewolnikiem seksualnym, już zapomnieliście?

— Szóstka. — Marci postukała ołówkiem w oprawkę od okularów. —

— Wracajmy do rzeczy. Co wpisać pod szóstką?

Popatrzyły na siebie i wzruszyły ramionami. — Pieniądze też byłyby nie od rzeczy — odezwała się w końcu T.J. — To nie jest oczywiście wymagane, no i nie mówimy o prawdziwym życiu, ale pomarzyć zawsze można, prawda? Mr Perfect powinien mieć pieniądze.

— Wielkie pieniądze czy godziwe pieniądze?

Myślały chwilę.

— Ja osobiście lubię wielkie pieniądze — wyznała Marci.

— Ale taki miałby na pewno całe mnóstwo kochanek... Weszłoby mu to w krew.

— Wykluczone. Dobra. W porządku. Pieniądze, ale nie za wielkie. Mr Perfect jest dobrze sytuowany.

Cztery ręce uniosły się w górę i obok numeru sześć zapisano: „pieniądze”.

— Skoro to tylko fantazje, to jeszcze powinien być przystojny. Ale nie rewelacyjny, bo taki może stwarzać problemy. Z naszej czwórki tylko Luna jest wystarczająco ładna, żeby utrzymać przy sobie naprawdę atrakcyjnego faceta.

— Jak się okazuje, nie bardzo mi to wychodzi — wtrąciła gorzko Luna. — Ale zgoda. Skoro Mr Perfect ma być ideałem, to powinien się nam podobać.

— Proszę, proszę. Numer siedem to: musi się nam podobać. — Marci uniosła głowę znad kartki i uśmiechnęła się. — Powiem teraz coś, o czym wszystkie myślicie. Musi być świetny w łóżku. Nie dobry. Świetny. Musi mieć wigor konia wyścigowego i zapach nastolatka.

Wciąż jeszcze tarzały się ze śmiechu, gdy kelner przyniósł im zamówienie.

— Co tak panie bawi? — spytał.

— Nie zrozumiałby pan — wykrztusiła z trudem T.J.

— No to już wiem — odparł inteligentnie. — Rozmawiały panie o mężczyznach.

— Nie, o science fiction — sprostowała Jaine, co wywołało kolejną salwę śmiechu.

Kelner odszedł. Marci pochyliła się nad stołem.

— A skoro już o tym mowa, to chciałabym, żeby Mr Perfect miał takiego

na dwadzieścia pięć centymetrów.

— O rety! — T.J. udała, że się wachluje. — Czego to ja bym nie mogła zrobić z dwudziestopięciocentymetrowym... albo raczej, co bym mogła?

Jaine trzymała się za brzuch ze śmiechu.

— Dajcie spokój — wykrztusiła. — Wszystko ponad dwadzieścia centymetrów to tylko dodatek. Do pokazywania. Jest, ale nie możesz z tego skorzystać. Może wygląda nieźle w przebieralni na basenie, ale spójrzmy prawdzie w oczy: te pięć centymetrów to zbędny zbytek.

— Zbędny zbytek — zaśmiewała się Luna. — Zapiszmy coś o zbytku.

— O rany! — Marci otarła zalzawione ze śmiechu oczy. — To dopiero! Co jeszcze ma Mr Perfect?

T.J. machnęła bezwładnie ręką.

— Mnie — wyjąkała między jednym a drugim parsknięciem. — Może mieć mnie.

— Jeżeli cię nie zdepczemy, jak się będziesz do niego wrywać — dodała Jane i uniosła kieliszek.

Pozostała trójka poszły w jej ślady. Brzęknęło szkło.

— Pańskie zdrowie, Mr Perfect! Gdziekolwiek pan jest.

Rozdział 3

W sobotę bardzo szybko zrobiło się jasno. Stanowczo za jasno i stanowczo za szybko. BooBoo obudził Jaine o szóstej rano, miauczając jej prosto w ucho.

— Idź sobie — mruknęła, naciągając poduszkę na głowę.

BooBoo miauknął powtórnie i pacnął łapą w poduszkę. Jaine zrozumiała wiadomość — wstanie — albo kot wystawi pazury. Odsunęła poduszkę na bok.

— Okropny jesteś, wiesz? — mruknęła, patrząc na niego spode łba. — Nie mogłeś tego zrobić wczoraj? Nie, ty musiałeś poczekać, aż będę się wreszcie mogła wyspać.

Oskarżenia Jaine nie wywarły na BooBoo żadnego wrażenia. Takie już są koty, nawet te najbardziej parszywe — zawsze przekonane o swojej wyższości. Kiedy Jaine podrapała BooBoo za uchem, natychmiast zaczął mruścić i

przymrużył żółte oczy z rozkoszy.

— Jeszcze mnie popamiętasz — zagroziła. — Najpierw cię uzależnię od tego drapania, a potem nagle przestanę to robić.

BooBoo zeskoczył z łóżka i wybiegł z otwartej sypialni, zatrzymując się po drodze, żeby sprawdzić, czy Jaine na pewno wstała. Jaine ziewnęła i odrzuciła na bok kołdrę. Cieszyła się przynajmniej z tego, że w nocy samochód sąsiada nie zakłócił jej spokoju. Poza tym zaciągnęła rolety i spała smacznie, dopóki nie obudził jej BooBoo. Teraz uniosła roletę i wyjrzała przez firankę na podjazd obok. Zdezelowany pontiac stał spokojnie na swoim miejscu. Mogło to oznaczać dwie rzeczy: albo Jaine była strasznie zmęczona i spała jak zabita, albo sąsiad kupił nowy tłumik. Po chwili wahania doszła jednak do wniosku, że bardziej prawdopodobna jest pierwsza opcja.

BooBoo najwyraźniej sądził, że Jaine traci czas, gdyż miauknął ostrzegawczo. Westchnęła, odgarnęła włosy z twarzy i — wymijając BooBoo, który oplatał się wokół jej kostek — weszła w końcu do kuchni. Rozpaczliwie potrzebowała kawy, ale wiedziała z doświadczenia, że BooBoo nie da jej spokoju, dopóki go nie nakarmi. Otworzyła więc puszkę z kocim jedzeniem, wyrzuciła je na talerzyk i postawiła na podłodze. Kiedy kot zajął się śniadaniem, nastawiła kawę i i ruszyła pod prysznic.

Zdjęła letnią piżamę składającą się z podkoszulka i majteczek — strój, który uzupełniała w zimie o skarpetki — stanęła pod strumieniem ciepłej wody i poddała się jej ożywczemu działaniu. Niektórzy ludzie to skowronki, inni to sowy, ale Jaine nie należała do żadnego z tych gatunków. Nie mogła normalnie funkcjonować bez porannej kąpieli i filiżanki mocnej kawy, a w łóżku lubiła być najpóźniej o dziesiątej. BooBoo zakłócał natomiast naturalny porządek rzeczy, domagając się jedzenia w pierwszej kolejności. Jak matka mogła jej zrobić coś podobnego?

— Jeszcze tylko cztery tygodnie i sześć dni — mruknęła.

Któż mógł przewidzieć, że ten zwykle uroczy kot oderwany od domu stanie się nagle takim tyranem?

Odświeżona długim prysznicem i po dwóch filiżankach kawy Jaine przypomniała sobie wreszcie, co ma do zrobienia. Kupić sąsiadowi nowy pojemnik

na śmieci, a także coś do jedzenia na weekend, zrobić pranie, skosić trawę.

Przy ostatnim punkcie poczuła lekkie podniecenie. Miała skosić trawę, swoją własną trawę! Odkąd wyprowadziła się od rodziców; mieszkała w apartamentach, nie w domach, i żaden z nich nie miał ogródka. Pomiedzy chodnikiem i budynkiem rozciągał się wprawdzie zawsze jakiś pas zieleni, ale o zieleni dbała zwykle administracja. Tak maleńkie trawniczki można było ostrzyć nawet nożyczkami. Nowy dom Jaine miał jednak trawnik. Jaine zainwestowała już nawet w piękną kosiarkę do trawników z własnym napędem. Mogła się założyć, że na widok tej kosiarki jej brat, David, zzielenieje z zazdrości. Aby jej dorównać, musiałby kupić kosiarkę z kierownicą, a że jego trawnik nie był wcale większy niż trawnik Jaine, tak kosztowna kosiarka mogła się wydawać jedynie zbędną ekstrawagancją, konieczną wyłącznie w celu podbudowania własnego ego. Jaine sadziła, że Valrie — żona Davida — wkroczy do akcji, zanim jej małżonek podejmie tę nierozsądną decyzję.

Tego dnia miało się odbyć inauguracyjne koszenie trawy. Jaine nie mogła się już doczekać chwili, w której potężny czerwony potwór zacznie pulsować w jej dłoniach, by za chwilę pościnać głowy wszystkim zanadto wyrosniętym źdźbłom. Jaine kochała czerwone maszyny wszelkiego rodzaju.

Najpierw jednak obowiązek, potem przyjemność. Musiała pobiec do Wal—Marta i nabyć nowy pojemnik na śmieci dla sąsiada. Słowo się rzekło, a Jaine zawsze bardzo się starała dotrzymać obietnic.

Przygotowawszy sobie na później talerz musli, wciągnęła dżinsy i podkoszulek, wsunęła stopy w sandały i wyszła z domu.

Któż by mógł się spodziewać, że tak trudno będzie znaleźć metalowy pojemnik na śmieci?

U Wal—Marta sprzedawali tylko plastikowe pojemniki. Korzystając z okazji, Jaine kupiła taki dla siebie, lecz uważała, że nie ma prawa narzucać wyboru sąsiadowi. Od Wal—Marta pojechała do sklepu typu „Dom i Ogród”, ale stamtąd także odeszła z kwitkiem. Gdyby sama nabyła swój metalowy pojemnik, wiedziałaby, gdzie ich szukać, ale dostała go od mamy — królowej praktycznych prezentów.

Kiedy w końcu znalazła odpowiedni kontener w sklepie z artykułami że-

laznymi, dochodziła dziewiąta i zaczynało robić się gorąco. Wiedziała, że jeśli nie przystąpi natychmiast do koszenia trawy, będzie musiała zaczekać do wieczora, kiedy ustanie upał. W tej sytuacji uznała, że zakupy żywnościowe mogą poczekać, wtoczyła pojemnik do bagażnika i wyruszyła na południe w stronę ulicy Van Dyke, aż w końcu dotarła do Ten Mile Road i skręciła w prawo. W parę minut później wjechała w uliczkę, przy której mieszkała, i uśmiechnęła się do porządnym, starych domów wtulonych w cień wysokich drzew.

Przed niektórymi budynkami stały rowery i rowerki trzykołowe. Starsze dzielnice przeżywały drugą młodość dzięki napływowi młodych małżeństw szukających domów po okazjnych cenach. Dzięki nim domy te nie niszczały, a wręcz przeciwnie; mogły liczyć na lifting i korektę sylwetki. Wzrost cen nieruchomości był oczywiście nieunikniony, ale na razie dzielnica wydawała się bardzo odpowiednia cenowo dla ludzi rozpoczynających życie.

Kiedy Jaine wysiadła z samochodu, jej druga sąsiadka, pani Kulavich, podeszła do białego płotka oddzielającego posesje i pomachała do niej ręką.

— Dzień dobry — zawołała.

— Dzień dobry — odpowiedziała Jaine.

To miłe starsze małżeństwo poznała pierwszego dnia po wprowadzeniu się do domu. Pani Kulavich przyniosła jej wtedy pełen garnek gulaszu i pachnące bułeczki domowego wypieku. Gdyby tylko ten okropny sąsiad mieszkający z drugiej strony mógł być choć trochę podobny do pani Kulavich, Jaine byłaby zapewne w siódmym niebie choć nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić tego człowieka z tacą bułeczek w ręku.

Podeszła do płotka.

— Piękny dzień, prawda? — Dzięki panu Bogu za pogodę, bez niej świat przeżywałby zapewne konwersacyjny pat.

— Będzie straszny upał — odparła z uśmiechem pani Kulavich i machnęła szpadelkiem. — Muszę oporządzić ogródek, zanim zrobi się za gorąco.

— Ja postanowiłam skosić trawę.

Inni sąsiedzi doszli najwyraźniej do podobnych wniosków — z kilku

ogródków dochodziły już ryki kosiarek.

— Mądra dziewczynka. Niech się tylko pani za bardzo nie zgrzeje. Kiedy Greg kosi, zawsze kładzie sobie na karku mokry ręcznik, chociaż teraz pomagają mu wnuki i nie zajmuje się tym tak często jak kiedyś. — Puściła oko do Jaine. — Wyciąga kosiarkę głównie po to, by znów się poczuć jak mężczyzna.

Jaine uśmiechnęła się w odpowiedzi i już chciała elegancko zakończyć rozmowę, gdy naraz przysła jej do głowy pewna myśl. — Czy zna pani może tego człowieka, który mieszka po drugiej stronie mojego domu?

Przecież gbur mógł kłamać. Może wcale nie był gliną? Świetnie by się ubawił jej kosztem, gdyby nagle zaczęła chodzić wokół niego na paluszkach.

— Sama? Ależ oczywiście. Znam go od dziecka. Mieszkali tu kiedyś jego dziadkowie. Uroczy ludzie. Byłam bardzo zadowolona, kiedy Sam wprowadził się tutaj w zeszłym roku po śmierci babci. Czuję się znacznie bezpieczniej, mając policjanta w pobliżu. A pani nie?

Cóż, to ucinało w zarodku wszelkie spekulacje. Jaine z trudem zdobyła się na uśmiech.

— Oczywiście. — Zrobiła jeszcze parę uwag na temat dziwnego trybu życia, jaki prowadził sąsiad, ale widząc błysk w oczach pani Kulavich, natychmiast ugryzła się w język. Nie chciała, by ta starsza pani posadziła ją o jakiegokolwiek zainteresowanie gburem. Mogłaby się nawet z nim podzielić swoimi refleksjami, skoro znali się tak dobrze. — Bałam się, że to może handlarz narkotyków albo ktoś w tym stylu.

Pani Kulavich była wyraźnie oburzona.

— Sam handlarzem narkotyków? Mój Boże! On by przecież nigdy czegoś takiego nie zrobił?

— No to mi ulżyło. — Jaine znowu się uśmiechnęła. — Chyba zacznę kosić, zanim zrobi się jeszcze goręcej.

— Proszę pić dużo wody — krzyknęła za nią pani Kulavich.

— Oczywiście.

A niech to — myślała, wytaczając pojemnik z samochodu. Gbur naprawdę był gliną. Nie kłamał. A ona już marzyła, że zobaczy go w kajdanach.

Zostawiła metalowy kontener za domem sąsiada, a następnie wyjęła z bagażnika swój nowy nabytek. Gdyby nie to, że pojemnik był plastikowy, nigdy by się jej nie udało wtłoczyć go do bagażnika, ale tworzywo na szczęście okazało się giętkie i teraz, kiedy Jaine otworzyła bagażnik, pojemnik wyskoczył na nią jak coś żywego. Ulokowała go szybko przy wejściu kuchennym, daleko od ulicy, po czym weszła do domu i przebrała się w szorty i obcisłą, krótką bluzkę — strój, jaki zwykle nosiły panie mieszkające na przedmieściach, kiedy chciały skosić trawnik. W chwilę później przypomniała sobie jednak o starszych sąsiadach i zamiast króciutkiej bluzeczki wciągnęła podkoszulek. Nie chciała, żeby pan Kulavich dostał zawału.

Otwierając kłódkę, na którą zamykała garaż, poczuła dreszcz podniecenia. Wślizgnęła się do środka i długo szukała włącznika zapalającego jedyne — górne — światło w pomieszczeniu. Tu właśnie stała duma jej ojca — auto całkowicie przykryte brezentową plandeką, tak by nie było narażone na najmniejszy odprysk lakieru. Cholera, dlaczego ojciec nie zostawił samochodu u Davida? Auto nie było wprawdzie tak kłopotliwe jak BooBoo, ale Jaine o wiele bardziej się o nie martwiła.

Doszła w końcu do wniosku, że na decyzją ojca wpłynął zasadniczo typ drzwi garażowych. Garaż Jaine miał bowiem tradycyjne, podwójne drzwi, dzięki którym — w przeciwieństwie do nowoczesnych garaży z unoszonymi drzwiami — samochodu nie można było zobaczyć z ulicy. Aby dostać się do garażu, wystarczyło je otworzyć na dwadzieścia centymetrów, podczas gdy wewnątrz podwójnego garażu Davida przestawało stanowić jakąkolwiek tajemnicę przy każdym jego otwarciu. Jaine postanowiła, że też każe zamontować w garażu nowoczesne drzwi.

Kiedy kupiła kosiarkę, natychmiast wstawiła ją do garażu, żeby się nie zakurzyła. Teraz usunęła brezentową płachtę i przesunęła dłonią po chłodnym metalu. Może jednak niski standard garażu nie stanowił decydującego kryterium wyboru. Może ojciec powierzył właśnie Jaine swoją ukochaną maszynę, gdyż tylko ona dzieliła z nim uwielbienie dla samochodów. Tylko ona wisiała nad błotnikiem rodzinnego sedana, zaglądając w tajemnicze mechaniczne wnętrza, podczas gdy ojciec wymieniał olej czy świece. Jaine przejęła te

obowiązki, zanim skończyła dwanaście lat. Zamierzała nawet skończyć studia związane z konstrukcją maszyn i pojazdów, ale nauka trwała długo, a Jaine nie była na tyle ambitna. Chciała mieć dobrze płatną pracę, której by nie nienawidziła, a z liczbami dawała sobie radę równie dobrze, jak z samochodami. Lubiła samochody, nie chciała ich łączyć z pracą zarobkową.

Wyprowadziła kosiarkę z garażu, uważając, żeby nie potracić auta, które było wprawdzie przykryte od góry do dołu brezentową plandeką, ale Jaine i tak nie chciała ryzykować. Otworzywszy jedno skrzydło zaledwie na tyle, by starczyło miejsca dla kosiarki, wytoczyła ją na zewnątrz. Czerwony lakier połyskiwał w słońcu, chromowane ręczki lśniły. Jakże była piękna!

W ostatniej chwili przypomniała sobie coś o rytuale koszenia i wyprowadziła swoje auto na ulicę. Przypadkowo wyrzucony w powietrze—trzy kamień mógł z łatwością zbić szybę lub uszkodzić lakier. Zerknęła na auto gburą i wzruszyła ramionami. Może i dostrzegł ślady łap BooBoo, ale nigdy by nie zauważył następnego wgniecenia. Z uśmiechem zadowolenia Jaine uruchomiła silnik.

Już dawno zdołała odkryć, że koszenie trawy gwarantuje natychmiastowe poczucie sukcesu. Widać, od czego zaczynasz i co ci się udało osiągnąć. Gdy Jaine dorastała, koszenie wchodziło w zakres obowiązków Davida i ojca, co zresztą przyjmowała z ulgą, ponieważ wówczas to zajęcie wydawało się jej wyjątkowo nudne. Dopiero w wieku trzydziestu lat uległa pokusie posiadania własnego trawnika i czuła się dzięki niemu jak prawdziwie dorosła osoba. Kupiła dom. Kosила własną trawę. Super.

Ktoś poklepał ją nagle po ramieniu.

Krzyknęła, puściła ręczki kosiarki, odskoczyła na bok i stanęła twarzą do napastnika. Kosiarka się zatrzymała.

Na wprost Jaine stał gbur, drwiąco uśmiechnięty, w brudnym ubraniu, z przekrwionymi oczami — czyli wyglądał tak samo jak zawsze. Wyciągnął rękę, przesunął dźwignię kosiarki na pozycję „0” i wydajny mały silniczek od razu przestał warczeć.

Zapadła cisza.

Najwyżej na pół sekundy.

— Po jaką cholere pan to zrobił? — wrzasnęła i z rumieńcami na policzkach postąpiła krok w stronę gburą, bezwiednie zaciskając pięść prawej dłoni.

— Myślałem, że chce pani przestać kłać — zakpił.

— Pan by i świętego wyprowadził z równowagi!

— Więc chyba nie panią.

— Ma pan cholerną rację.

Popatrzył na prawą pięść Jaine.

— Zamierza pani zrobić z tego użytek czy zachować resztki rozsądku?

— Co...? — Popatrzyła na swoją rękę, wyraźnie przygotowującą się do ciosu. Z wielkim wysiłkiem rozprostowała palce, które jednak natychmiast znów zwinęły się do walki.

Naprawdę chciała go rąbnąć, a fakt, że nie może tego zrobić, jeszcze bardziej wyprowadzał ją z równowagi.

— Rozsądna? — wrzasnęła, robiąc krok w przód. — Pan mówi o rozsądku! Przecież to pan śmiertelnie mnie przestraszył i wyłączył kosiarkę.

— Próbuję zasnąć — wyjaśnił, wymawiając dobitnie każde słowo. — Czy proszę o zbyt wiele?

Wybałuszyła oczy.

— Zachowuje się pan tak, jakbym kosiła o świcie. A przecież do chodzi dziesiąta! W dodatku nie jestem jedyną osobą w sąsiedztwie która popełniła zbrodnię polegającą na koszeniu trawy! Proszę posłuchać — zakomenderowała, gdyż stłumiony ryk kosiarek dochodził z wielu ogródków położonych przy ich ulicy.

— Ale oni nie hałasują bezpośrednio pod moim oknem!

— Proszę się w takim razie kłaść o przyzwoitej porze. To nie moja wina, że nie sypia pan w nocy.

Poczerwieniał równie mocno jak Jaine.

— Pracuję w policji, proszę pani. To nie jest robota od dziewiątej do piątej. Śpię, kiedy mogę, czyli odkąd pani się tu sprowadziła niezbyt często.

Uniosła ręce w geście poddania.

— W porządku. Dobrze. Dokończę koszenie później, kiedy zrobi się chłodniej. — Machnęła wymownie ręką. — Proszę wracać do łóżka. Ja pójdę

do domu i przez jedenaście godzin będę wyłącznie siedzieć. A może to też przeszkodzi panu w wypoczynku? — spytała słodko.

— O ile nie ma pani petard w tyłku, to nie — warknął i powlókł się w stronę domu.

Ciskanie kamieniami w cudze domy jest zapewne zakazane przez prawo — pomyślała. Prychając ze złości, wtoczyła kosiarkę z powrotem do garażu, starannie zamknęła na kłódkę drzwi i postawiła samochód na podjeździe. Miała ochotę pokazać gburowi, co potrafiłaby zrobić z paroma fajerwerkami. Na pewno by na nich nie siedziała!

Weszła do holu i łypnęła na BooBoo, który zignorował ją całkowicie, ponieważ był zajęty myciem łap.

— Pracuje w policji — mruknęła. — Ale ja nie jestem nierozsądna. Mógł po prostu spokojnie wszystko wytłumaczyć. Chętnie przełożyłabym koszenie na później. Jednak nie. On musiał zachować się jak kretyn.

BooBoo łypnął na nią wymownie.

— Kretyn to nie przekleństwo — powiedziała obronnym tonem. — Poza tym to nie ja tu zawiniłam. Powiem ci coś w tajemnicy na temat naszego sąsiada, BooBoo. To nie jest Mr Perfect. Na pewno nie!

Rozdział 4

Przez pozostałą część weekendu Jaine udało się uniknąć konfrontacji z gburowatym sąsiadem. W poniedziałek zjawiała się w pracy piętnaście minut wcześniej, aby odpokutować za swoje piątkowe spóźnienie, mimo że i tak w piątek pracowała dłużej. Gdy zatrzymała się przy bramie, strażnik wychylił się z budki i popatrzył z dezaprobatą na vipera.

— Kiedy pozbędzie się pani tego złomu i kupi chevroleta?

Takich uwag wysłuchiwała prawie codziennie — każdy zatrudniony w okolicy Detroit w branży choćby luźno związanej z przemysłem samochodowym musiał się z tym liczyć. Należało wykazywać się lojalnością w stosunku do każdego z członków Wielkiej Trójki, niezależnie od tego, dla którego z nich się aktualnie pracowało.

— Jak mnie będzie stać — odpowiadała niezmiennie Jaine, choć viper kosz-

tował ją fortunę, mimo że był używany i miał ponad dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów na liczniku. — Właśnie kupiłam dom. Gdybym nie dostała tego auta od ojca, to bym pewnie nim nie jeździła.

Ostatnia uwaga była rzecz jasna oczywistym kłamstwem, lecz dzięki niej zyskiwała chwilowy spokój. Na szczęście nikt w okolicy nie znał ojca Jaine, bo gdyby go znał, wiedziałby również, że pracuje dla Forda. Kiedy Jaine kupiła vipera, ojciec czuł się osobiście urażony i nie szczędził jej krytycznych uwag.

— Ojciec powinien był lepiej wybrać.

— Ale on się nie zna na samochodach. — Zamarła, w obawie, że za to bluźnierstwo zostanie za chwilę porażona piorunem. Ustawiła vipera w rogu parkingu, gdzie był mniej narażony na odrapanie. Pracownicy Hammerstead żartowali często, że viper stroni od innych aut. Oczywiście, parkowanie w tak odległym miejscu narażało Jaine na pewne niewygody, szczególnie podczas deszczu ale wolała moknąć niż pozwolić na to, by viperowi stała się krzywda. Już sama jazda po autostradzie 696 przysparzała jej siwych włosów.

Hammerstead mieściło się w czteropiętrowym budynku z czerwonej cegły z łukowym szarym portykiem i sześcioma zakrzywionymi stopniami prowadzącymi prosto do reprezentacyjnego wejścia z którego korzystali jednak wyłącznie goście. Pracownikom udostępniono boczne metalowe drzwi z elektronicznym zamkiem, przez które wchodzili bezpośrednio do wąskiego holu pomalowanego na obrzydliwie zielony kolor przypominający wymiociny. Tam mieściły się biura administracji i pokoje konserwatorów, a także bardzo ciemne pomieszczenie z napisem: Magazyn. Jaine wolała nie wiedzieć, co się tam przechowuje.

Przy końcu rzygozielonkawego holu znajdowały się trzy schodki prowadzące do kolejnych metalowych drzwi, przez które wchodziło się do korytarza wyłożonego dywanem. Korytarz ciągnął się wzdłuż budynku i miał całą masę rozgałęzień wiodących do innych korytarzy i gabinetów. Dwa niższe piętra zarezerwowano do dyspozycji maniaków komputerów rozmawiających ciągle w dziwnym języku na temat bajtów i portów USB. Dostęp do tego piętra było mocno ograniczony — wejście do rzygozielonkawego holu wymagało specjalnej karty. Osobna karta umożliwiała dostęp do gabinetów i biur. W budyn-

ku kursowały dwie windy, a przy samym końcu znajdowały się schody przeznaczone do użytku tych bardziej energicznych.

Gdy Jaine weszła do rzygozielonkawego holu, uwagę jej przykuła od razu tablica ze starannie wypracowanym napisem. Tabliczkę umieszczono bezpośrednio ponad guzikami windy. Nową dyrektywę zarządu wypisano zielono—fioletowymi markerami i ujęto w czarne ramki. DO NATYCHMIASTOWEJ REALIZACJI — krzyczała tabliczka. WSZYSTKICH PRACOWNIKÓW UPRASZA SIĘ O ZAŻYWANIE GINKGO I VIAGRY, ŻEBY NIE ZAPOMNIELI, Z CZYM SIĘ MUSZĄ CODZIENNIE PIEPRZYĆ.

Jaine zachichotała. Maniacy byli w doskonałej formie. Z natury przeciwni władzy i organizacji, umieszczali często takie tabliczki w widocznych miejscach, a później usuwał je ktoś z zarządu. Do tego czasu winni skandalu obserwowali z uciechą reakcję na swój ostatni atak na dostojeństwo władzy.

Słyszając szcęk otwieranych drzwi, Jaine odwróciła głowę, by zobaczyć, kto przyszedł, i omal się nie skrzywiła.

Leah Street pracowała w kadrach i odznaczała się kompletnym brakiem poczucia humoru. Ta kobieta marzyła, by awansować do zarządu, choć nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. Wolą się ubierać w dziewczęce stroje niż oficjalne garsonki, które pasowałyby znacznie bardziej do jej smukłej sylwetki. Była wysoką, atrakcyjną blondynką o ślicznej cerze, ale zupełnie nie znała się na modzie. Największy jej atut stanowiły piękne, wąskie, zawsze starannie wymanikiurowane dłonie.

Na widok napisu wierna konwenansom Leah wydała cichy okrzyk przerażenia.

— To haniebne! — warknęła i wyciągnęła rękę w stronę tabliczki, najwyraźniej chcąc ją zerwać.

— Jeśli ją dotkniesz, zostawisz wszędzie odciski palców — powiedziała Jaine z kamienną miną.

Leah zamarła w bezruchu z ręką oddaloną zaledwie o centymetr od tablicy.

— Trudno powiedzieć, ile osób widziało ten napis — ciągnęła Jaine, wciśkając guzik. — Zaraz dowie się o tym ktoś z kierownictwa i wszystko sprawdzi,

nawet jeśli tabliczka zniknie. Ktoś może cię z nią zobaczyć i co wtedy? No, chyba że zamierzasz ją zjeść, ale takiego rozwiązania nie polecam, bo na pewno roi się na niej od bakterii.

Leah obrzuciła Jaine niechętnym spojrzeniem.

— Ty pewnie uważasz, że to śmieszne?

— Istotnie tak mi się wydaje.

— Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że to twoja sprawka.

— Może powinnaś na mnie donieść — zasugerowała Jaine, wsiadając do windy, która wreszcie stanęła na parterze. — Zadzwoń na gorącą linię.

Drzwi windy zamknęły się za nią bezszelestnie, a Leah została w holu, odprowadzając Jaine nienawistnym spojrzeniem. Do tak nieprzyjemnej wymiany zdań doszło między nimi dopiero po raz pierwszy, choć Leah nie słyszała z umiejętności współżycia z ludźmi. Jaine nie mogła zrozumieć, w jaki sposób ta kobieta w ogóle dostała pracę w Hammerstead. Ona osobiście na ogół jej współczuła.

Ale nie dziś.

Najbardziej pracowitymi dniami w dziale płac były poniedziałki, ponieważ właśnie w te dni spływały tam karty czasu pracy z całego tygodnia. A Hammerstead zajmowało się dostarczaniem technologii komputerowych do General Motors, a nie opracowywaniem własnego systemu wynagrodzeń. W firmie wciąż bazowano zatem na przestarzałym czytniku czasu, co pociągało za sobą całą masę roboty papierkowej, ale przynajmniej awarie sprzętu lub programów nie wstrzymywały nigdy wypłaty poborów. Może dlatego Hammerstead nie wprowadzało nowych technologii, a listy płac, podobnie jak poczta, musiały przejść przez wiele rąk.

O dziesiątej Jaine miała już ochotę na przerwę. Na każdym piętrze znajdowało się pomieszczenie socjalne z automatami do napojów i kanapkami. Stały tam tanie kawiarniane stoliki, metalowe krzesła, lodówka, maszynka do kawy i kuchenka mikrofalowa. Gdy Jaine weszła do środka, przy jednym ze stolików siedziała już grupka kobiet i jeden mężczyzna. Kobiety niemal płakały ze śmiechu, mężczyzna miał natomiast mocno urażoną minę.

Jaine naląła sobie wymarzoną filiżankę kawy.

— Co jest? — spytała.

— Wydanie specjalne biuletynu firmowego — odparła jedna z kobiet, Dominica Flores. Oczywiście miała mokre od śmiechu. — Z pewnością przejdzie do historii.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego — warknął facet, łypiąc na nią pogardliwie.

— Nic dziwnego — odpowiedziała, parszcząc śmiechem, i podała biuletyn Jaine. — Popatrz tylko.

Biuletyn firmowy nigdy nie został formalnie uznany, zresztą nikt nawet nie próbował tego zrobić. Powstał na pierwszych dwóch piętrach, wspólnymi siłami maniaków komputerowych. Ukazywał się w nieregularnych odstępach czasu i zawsze zawierał treści, które zmuszały kierownictwo do konfiskaty nakładu.

Patrząc na biuletyn, Jaine przełknęła kolejny łyk kawy. Chłopcy zrobili naprawdę kawał profesjonalnej roboty, choć przy takim sprzęcie, jakim akurat dysponowali, nie mogło być inaczej. Biuletyn zatytułowano „Hammerhead — ryba—młot”. Ta sama ryba służyła również jako logo pisemka. Nie była to wprawdzie dokładnie ryba—młot, ale nikt się tym nie przejmował. Pismo było dobrze zilustrowane przez dowcipnego rysownika — podpisującego swe prace Mako — który wykpiwał wiele aspektów firmowego życia.

Najnowszy nagłówek wypisano ogromnym, tłustym drukiem, a brzmiał on: CZY MASZ ODPOWIEDNI WYMIAR? Pod spodem widniało zdanie: „Oto czego chcą kobiety”, a obok metr krawiecki zwinięty w spiralę jak gotowa do ataku kobra.

„Dajcie sobie spokój, panowie — pisał autor biuletynu. — Większość z nas i tak się nie nadaje. Wmawiano nam całe lata, że nie chodzi o to, co mamy, tylko o to, jak się tym posługujemy, ale teraz znamy prawdę. Cztery panie pracujące w naszej firmie stworzyły listę wymagań, jakie musi spełniać idealny mężczyzna”.

Jaine omal nie jęknęła, ale opanowała tę pokusę i zerknęła tylko z zaciekawieniem na mężczyznę siedzącego przy tym samym stoliku. Cholera, co ta Marci zrobiła z Listą?! Teraz wszyscy będą z nich bezlitośnie kpili. Do końca życia

nie dadzą spokoju. Oczywiście wyobraźni Jaine już widziała dwudziestopięciocentymetrowe odcinki miarki na swoim biurku.

Szybko przebiegła wzrokiem artykuł. Bogu dzięki, nie zawierał ich nazwisk. Figurowały w biuletynie jako A, B, C i D. Jaine wciąż zamierzała skrócić kark Marci, lecz teraz nie musiała przynajmniej nadziewać jej na pal ani ćwiartować.

Biuletyn prezentował całą Listę, rozpoczynającą się od „wierny” pod numerem pierwszym. Lista wydawała się zresztą całkiem niezła, aż do punktu ósmego, który brzmiał: „światny w łóżku”. Potem już robiło się coraz gorzej. Dziewiątka zawierała dwudziestopięciocentymetrowe wymagania Marci i wszystkie komentarze, łącznie z uwagą Jaine o „zbędnym zbytku”.

Numer dziesięć określał, jak długo Mr Perfect powinien wytrwać w łóżku. „No, w każdym razie trochę dłużej niż reklama telewizyjna” — stwierdziła pogardliwie T.J., czyli Pani D. W końcu przyjaciółki uzgodniły optymalny czas na pół godziny, nie licząc gry wstępnej.

„Dlaczego nie? — zapytywała pani C, czyli Jaine. — Przecież to czcza fantazja. A fantazja ma być dokładnie taka, jak chcesz. Mój Mr Perfect byłby zdolny do trzydziestominutowego bara—bara. No, chyba żebym była akurat w nastroju na szybki numerek... wtedy stanowczo by przesadził”.

Wszystkie siedzące przy stoliku kobiety wyły ze śmiechu i Jaine poważnie się przestraszyła, że może bawi je tak bardzo jej mina. Miała jednak nadzieję, że wygląda raczej na zdziwioną niż przerażoną. Mężczyzna — chyba nazywał się Cary albo Craig — z minuty na minutę robił się coraz bardziej czerwony na twarzy.

— Gdyby jakaś banda facetów doszła nagle do wniosku, że idealna kobieta musi mieć wielkie cycki, wcale byście się z tego nie śmiały — warknął, wstając.

— Och, daj spokój — powiedziała Dominica, nie przestając się uśmiechać. — Przecież wiadomo, że faceci lubią wielkie cycki już od kołyski. A ten mały babski rewanż jest bardzo miły.

Świetnie. Wojna płci. Jaine wyobrażała sobie rozmowy prowadzone w budynku. Oddając Dominice biuletyn, zmusiła się do uśmiechu,

— To chyba będzie na razie temat dnia.

— Żartujesz? Ja oprawię swój w ramki i powieszę tak, żeby była to pierwsza rzecz, jaką widzi mój mąż, kiedy się budzi.

Gdy Jaine wróciła do swego gabinetu, wybrała natychmiast numer wewnętrzny Marci.

— Zgadnij, co wyczytałam w naszym biuletynie — warknęła cicho,

— Cholera! — wykrzyknęła Marci. — Jest bardzo źle? Jeszcze tego nie widziałam...

— Z tego, co widzę, cytują nas dosłownie. Niech to szlag, Marci, jak mogłaś?

— Ćwierć dolara — powiedziała automatycznie Marci. — A to był wypadek. Nie chcę mówić za dużo w biurze, ale gdybyś mogła zjeść ze mną lunch, wyjaśniłabym ci dokładnie, co się stało.

— Dobra. W takim razie Railroad Pizza o dwunastej. Zadzwoń do T.J. i Luny, one też pewnie zechcą tam przyjść.

— Stypa przed linczem — mruknęła Marci.

— Niewykluczone — odparła Jaine i odłożyła słuchawkę.

Railroad Pizza mieściła się dokładnie dwieście metrów od Hammersmith, dzięki czemu cieszyła się sporą popularnością wśród pracowników firmy. Restauracja specjalizowała się głównie w dowożeniu pizzy do klienta, ale w niewielkim wnętrzu znajdowało się sześć stolików i sześć nisz. Jaine usiadła w niszy na samym końcu pomieszczenia, żeby mogły spokojnie porozmawiać. Po chwili do pizzerii weszła pozostała trójka. T.J. usiadła obok Jaine, dwie pozostałe panie naprzeciwko.

— Boże, naprawdę przepraszam — jęknęła najwyraźniej załamana Marci.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że pokazałaś komuś Listę. — T.J. była przerażona. — Jeżeli Galan się o tym dowie...

— Nie rozumiem, czym się tak przejmujecie — wtrąciła Luna z lekkim zdziwieniem w głosie. — Jasne, gdyby wszyscy się dowiedzieli, kto stworzył Listę, byłoby to pewnie krępujące, ale w sumie cała sprawa jest raczej zabawna.

— I nie zmienisz zdania nawet wtedy, kiedy jeszcze za pół roku faceci

będą ci chcieli pokazać, że się mieszczą w odpowiednich granicach?

— Galan na pewno by się z tego nie śmiał — dodała T.J., kręcąc głową.
— On by mnie po prostu zabił.

— Fakt — odparła ponuro Marci. — Brick nie należy do wrażliwych, ale na pewno by się wkurzył na te dwadzieścia pięć centymetrów. — Zmusiła się do uśmiechu. — Nie wypadłby najlepiej.

— Jak to się stało? — T.J. ukryła twarz w dłoniach.

— W sobotę rano poszłam po zakupy i wpadłam na Dawne, jak jej tam, wiecie, tę taką podobną do Elviry — zaczęła Marci. — Pogadałyśmy trochę, poszłyśmy na późny lunch i wypiliśmy po dwa piwa. Pokazałam jej Listę, pośmiałyśmy się i Dawna poprosiła mnie o egzemplarz. Nie widziałam powodu, żeby jej odmówić. Po paru piwach nie odmawiam wielu rzeczy. Dawna zadała parę pytań i w końcu spisałam jej wszystko, co mówiłyśmy.

Marci miała niemalże fotograficzną pamięć. Niestety piwa nie upośledziły jej pamięci, a odebrały tylko rozsądek.

— Przynajmniej nie podałaś nazwisk — pocieszała się T.J.

— Ona wie, kim jesteśmy — zauważyła Jaine. — Marci miała listę, więc każdy idiota mógł się domyślić, że to jedna z czterech autorek. A dalej już nie-trudno zgadnąć.

T.J. zasłoniła sobie twarz.

— Już nie żyję. Albo jestem rozwiedziona.

— Chyba nic nam nie grozi — powiedziała uspokajająco Luna. — Gdyby Dawna chciała nas wydać, to już by wypaplała wszystko facetom z pierwszego piętra. Jesteśmy bezpieczne. A Galan niczego się nie dowie.

Rozdział 5

Przez resztę dnia Jaine była w stanie skrajnego zdenerwowania. Czekala, aż rozpęta się burza. Wolala nawet nie myśleć, co czuje T.J. — gdyby sprawa wyszła na jaw i dowiedział się o niej Galan, nie dałby T.J. spokoju do końca życia. T.J. miała w razie czego najwięcej do stracenia. Marci mieszkała z Brickiem, ale nie była przynajmniej mężatką. A związek Luni z Shamalem Kingiem — jeżeli jeszcze trwał — nie pociągał za sobą poważnych zobowiązań.

Z całej tej czwórki to właśnie Jaine nie obawiała się żadnych poważnych kłopotów, gdyby nazwiska autorek Listy stały się powszechnie znane. Przestała się interesować mężczyznami, nie miała chłopaka i nie musiała się przed nikim z niczego tłumaczyć.

Przeanalizowała więc dokładnie sytuację, doszła do pocieszających wniosków i postanowiła się nie przejmować. Nawet jeśli jakiś biurowy kłown chciałby się popisać dowcipem, Jaine nie widziała powodu do zmartwienia.

W domu stwierdziła, że BooBoo — chcąc jej zapewne udowodnić, jak bardzo źle się czuje u obcych — podarł jedną z leżących na kanapie poduszek i humor trochę się jej popsuł. Kłaczki wyściółki wały się po całym salonie. Jaine przymknęła oczy i policzyła do dziesięciu. Po co miała złościć się na kota? On i tak niczego by nie zrozumiał, a jeśli nawet, to najgorsza awantura nie wywarłaby na nim wrażenia. BooBoo był ofiarą okoliczności, podobnie jak Jaine. Kiedy do niego podeszła, syknął i łypnął na nią spod oka. W takich razach Jaine zwykle dawała mu spokój, lecz w przypływie współczucia wsunęła palce w miękką sierść i zaczęła ugniatać napięte mięśnie kociego grzbietu.

— Biedny kotek — szepnęła. — Nie wiesz, co się dzieje, prawda?

BooBoo prychnął na nią groźnie, lecz po chwili zepsuł cały efekt zadowolonym mruczeniem.

— Jeszcze tylko cztery tygodnie i pięć dni. W sumie trzydzieści trzy dni. Tyle chyba ze mną wytrzymasz.

Sądząc z miny BooBoo, kot nie podzielał jej zdania, lecz dopóki Jaine masowała mu grzbiet, nie zamierzał się wdawać w żadne dyskusje. Jaine zanieśliła go do kuchni i nakarmiła, a potem postawiła na podłodze, gdzie leżała puszysta myszka do zabawy.

Dobrze. Kot niszczył jej dom. Z tym mogła się jakoś pogodzić. Wiedziała, że mama zauważy zniszczenia i zapłaci za wszystkie straty, więc nie miała powodu, żeby aż tak bardzo się tym przejmować.

Tak łagodne podejście do sprawy wywarło ogromne wrażenie na niej samej.

Nalała sobie szklankę wody i wciąż jeszcze stała przy zlewie, gdy do domu wrócił jej sąsiad. Na widok brązowego pontiaca poczuła, że cała jej łagod-

ność ścieka do kanalizacji. Samochód jednak nie hałasował, co znaczyło, że sąsiad wymienił tłumik. Skoro on wykazał odrobinę dobrej woli, również i Jaine mogła się zdobyć na gest. W myślach zakorkowała odpływ łagodności.

Patrzyła przez okno, jak sąsiad wysiada z samochodu i otwiera kuchenne drzwi. Ubrany był w spodnie i bawełnianą koszulę, krawat zwisał mu luźno spod kołnierzyka, marynarkę przerzucił niedbale przez ramię. Wyglądał na zmęczonego, a kiedy otwierał drzwi, Jaine dostrzegła kaburę z wielkim, czarnym pistoletem przypiętą do pasa. Po raz pierwszy w życiu zauważyła u niego coś poza starym, brudnym ubraniem i czuła się lekko zdezorientowana, tak jakby świat zmienił punkt ciężkości. Wiedzieć, że sąsiad jest policjantem, i przekonać się o tym na własne oczy to dwie różne rzeczy. Fakt, że sąsiad ubierał się po cywilnemu, świadczył o tym, że nie pracuje w drogówce, tylko jest co najmniej detektywem.

Wciąż pozostawał gburem, lecz takim, na którym ciążyła spora odpowiedzialność, więc Jaine postanowiła się zdobyć na większą tolerancję. Gdyby jednak chciała sprawdzić, czy sąsiad śpi, mogła tylko zapukać do jego drzwi, co przypominało jednak wylanie dziecka z kąpielą. Uznała więc, że powinna na razie zrezygnować z koszenia trawy, jeśli on będzie w domu. Kropka. Co wcale nie znaczyło, że nie zdarłaby mu skóry z twardego tyłka, gdyby to on ośmielił się zakłócić jej spokój. Dobra wola dobrą wola, ale musiała sobie w końcu jakoś ułożyć z nim stosunki. Sąsiadami mieli w końcu pozostać przez całe lata. Boże, ta myśl naprawdę ją przygnębiała. Łagodne i wspaniałomyślne nastawienie do otaczającego ją świata przetrwało najwyżej dwie godziny.

O siódmej trzydzieści usadowiła się w fotelu, żeby pooglądać telewizję i poczytać. Często robiła obie te rzeczy jednocześnie, wychodząc z założenia, że jeśli na ekranie pojawi się coś naprawdę ciekawego, ona z pewnością to zauważy. Tuż przy jej łokciu dymiła łagodnie filiżanka zielonej herbaty, którą sączyła miarowo dla zdrowia. Spokój tego mikrokosmosu zakłócił nagły huk. Jaine wyskoczyła z fotela, wsunęła stopy w sandały i wybiegła na zewnątrz. Znała ten dźwięk, słyszała go setki razy w dzieciństwie; kiedy ojciec zabierał ją na testowanie nowych modeli samochodów, gdzie rozbijano jedno auto za drugim.

Wzdłuż całej ulicy pozapalały się światła, pootwierały drzwi, a na ze-

wnętrz wysunęły głowy — niczym żółwie wychylające się ze skorup. Pięć domów dalej latarnia oświetlała płataninę pociętego metalu.

Z bijącym sercem i ściśniętym żołądkiem Jaine pobiegła w dół ulicy, przygotowując się w duchu na cokolwiek, co mogła tam zobaczyć, i przypominając sobie zasady udzielania pierwszej pomocy. Z innych domów też wyszli ludzie, głównie starsi, kobiety w kapciach, bezkształtnych szlafrokach i podomkach, mężczyźni w podkoszulkach bez rękawów. Rozległy się cienkie, dziecięce piski i głosy matek próbujących zatrzymać swe pociechy w domu oraz ojców ostrzegających:

— Uwaga, uwaga, może wybuchnąć.

Jaine, która widziała w życiu wiele wypadków, sądziła, że eksplozja jest raczej mało prawdopodobna, lecz pożaru nigdy nie można było wykluczyć. Zanim zdążyła dobiec do auta, drzwi po stronie kierowcy otworzyły się nagle i zza kierownicy wyszedł młody, wojowniczy mężczyzna.

— Co za cholera! — wrzasnął, patrząc na zniszczony przód auta, którym uderzył w jeden z wozów zaparkowanych wzdłuż krawężnika.

Z domu bezpośrednio za nimi wybiegła kobieta, oczy miała szeroko otwarte z przerażenia.

— O Boże, Boże, moje auto!

Wojowniczy młody człowiek odwrócił się do niej gniewnie.

— To twój samochód, ty dziwko? Dlaczego, do cholery, parkujesz na ulicy?

Był pijany. Czując opary alkoholu, Jaine cofnęła się o krok. Wokół niej rozbrzmiewały odgłosy sąsiedzkiej troski zmieniające się stopniowo w obrzydzenie.

— Niech ktoś zadzwoni po Sama — mruknął jakiś starszy pan.

— Ja się tym zajmę — oświadczyła pani Kulavich i szurając szmacianymi kapciami, skierowała się znów w stronę domu.

No tak, a on gdzie się podziewa? — myślała Jaine. Wszyscy inni wylegli na ulice.

Młoda kobieta, której samochód został rozbity, płakała, przyciskała rękami usta i patrzyła na wrak auta. Za nią, z niepewnymi minami, stała dwójka dzieci w wieku pięciu i siedmiu lat. — Cholerna dziwka — mruknął pijak, ruszając w jej stronę.

— Hej, ty tam, uważaj na język — zgromił go starszy pan.

— Pieprz się, dziadku. — Pijak zbliżył się do kobiety, chwycił ją za ramię i odwrócił twarzą do siebie.

Jaine postąpiła krok naprzód, czując, jak wzbiera w niej gniew.

— Te, koleś — powiedziała ostro. — Odwal się od niej.

— Ty też się pieprz — odparł. — Ta dziwka zniszczyła mi samochód.

— Sam sobie zniszczyłeś. Jesteś pijany i wjechałeś na zaparkowane auto.

Wiedziała, że to daremny trud. Trudno dyskutować z pijakiem. Problem polegał na tym, że facet był na tyle nietrzeźwy, żeby być agresywny, a nie na tyle żeby się chwiać. Popchnął właścicielkę auta, która gwałtownie poleciała do tyłu, zaczepiła obcasem o wystający korzeń jednego z drzew rosnących przy ulicy i rozłożyła się jak długa na chodniku. Kiedy dzieci usłyszały jej krzyk, wybuchnęły płaczem.

Jaine natarła na pijaka tak ostro, że ten aż się zatoczył. Próbował przez chwilę odzyskać równowagę, ule upadł na pośladki z nogami do góry. Pozbierał się jednak i z kolejnym plugawym przekleństwem ruszył na Jaine.

Odkoczyła i podstawiała mu nogę. Potknął się, lecz tym razem nie przewrócił, tylko łypał na nią przekrwionymi oczyma. Cholera, chyba przesadziła!

Natychmiast przyjęła bokerską postawę, trenowaną wielokrotnie podczas walk z bratem. Toczyła jednak te walki dawno temu i czuła, że przegra, ale miała nadzieję, że zada pijakowi przynajmniej kilka dotkliwych ciosów.

Serce biło jej jak oszalałe, wokół niej rozbrzmiewały głosy, których jednak — w obliczu zagrożenia życia — nie słyszała zbyt wyraźnie.

— Niech ktoś zadzwoni pod dziewięćset jedenaście.

— Sadie sprowadzi Sama. On sobie z tym poradzi.

— Ja już zadzwoniłam pod dziewięćset jedenaście — powiedziała mała dziewczynka.

Pijak ruszył na nią z wściekłością i tym razem Jaine nie uniknęła ciosu. Pod wpływem nagłego ataku runęła na chodnik. Ani na chwilę nie przestała jednak kopać i wymachiwać pięściami, dzięki czemu choć w pewnym stopniu odpierała atak. Mimo to jedno z uderzeń trafiło ją w żebra, a jego siła wprawiła Jaine w zdumienie. Natychmiast otoczyli ich sąsiedzi, kilku młod-

szych mężczyzn próbowało oderwać od niej pijaka, a starsi kopali go obutymi w kapturze nogami. Jaine i pijak przetoczyli się po chodniku, pozbawiając równowagi kilku staruszków, którzy wylądowali na samej górze tej plataniny.

Jaine uderzyła głową o chodnik, a zamaszty cios trafił ją w policzek. Jedną rękę unieruchomił jej padający staruszek, ale drugą dłonią zdołała chwycić fałdę skóry w talii napastnika i mocno go uszczypnąć. Pijak ryknął jak zarzynany bawół.

I nagle zniknął, uniesiony do góry z taką łatwością, jakby ważył tyle, co poduszka. Zaskoczona patrzyła, jak jej przeciwnik pada na chodnik nieopodal, twarzą prosto w pył, a na wykręconych do tyłu i nadgarstkach zjawiają się kajdanki.

Zdołała wstać i stanęła twarzą w twarz z sąsiadem gburem.

— Cholera, mogłem się domyślić, że to pani. Powinieniem aresztować was oboje za pijaństwo i zakłócanie porządku.

— Nie jestem pijana — zaprotestowała z oburzeniem.

— Nie, on jest pijany, a pani zakłóca porządek.

Słyszając to niesprawiedliwe oskarżenie, zmeła w ustach przekleństwo, co niewątpliwie wyszło jej na dobre, gdyż słowa, jakie zamierzała wypowiedzieć, na pewno zaprowadziłyby ją do aresztu.

Wokół niej zaniepokojone żony pomagały wstać swoim stetryczalym mężom i robiły strasznie dużo zamieszania, szukając zadrapań i połamanych kości. W wyniku burdy nikt jednak poważnie nie ucierpiał, chociaż Jaine miała wrażenie, że to wydarzenie będzie przyprawiało jej sąsiadów o przyspieszone bicie serca jeszcze przez co najmniej kilka lat.

Wokół młodej kobiety, siedzącej teraz na chodniku, zebrała się grupka pań. Głowa poszkodowanej krwawiła, jej dzieci wciąż płakały. W poczuciu solidarności, lub może dlatego, że czuły się pominięte, inne dzieci również zaczęły zawodzić. Z daleka dochodziło wycie syren, które z każdą chwilą stawało się głośniejsze.

Sam klęczał przy obezwładnionym pijaczku, tocząc zdumionym wzrokiem wokół.

— Jezu — mruknął, kręcąc głową.

Starsza pani z przeciwnka, z włosami nawiniętymi na wałki, pochyliła się nad Jaine.

— Dobrze się pani czuje, kochanie? Nigdy w życiu nie widziałam odważniejszego postępcu! Szkoda, że cię tu nie było. Sam! Kiedy ten... chuligan przewrócił Amy, ta oto młoda osoba rąbnęła go tak, że wylądował na siedzeniu! Jak pani ma na imię, kochanie? — spytała. — Ja nazywam się Eleonor Hollander i mieszkam naprzeciwko.

— Jaine — odparła, patrząc na sąsiada. — Zgadzam się z panią. Szkoda, Sam, że cię tu nie było.

— Brałem prysznic — warknął. — Nic ci nie jest?

— Wszystko w porządku. — Wstała. Nie wiedziała, czy czuje się dobrze, czy źle, ale kości miała całe i nie odczuwała zawrotów głowy, więc nie mogła chyba odnieść żadnych poważnych obrażeń.

Popatrzył na jej gołe nogi.

— Kolano ci krwawi.

Zerknęła w dół. Lewa kieszeń dżinsowych szortów była naderwana. Z zadrapania na prawym kolanie ciekła krew. Szarpnęła kieszenia, oderwała ją na dobre i przycisnęła materiał do skaleczenia.

— To nic.

Po chwili nadjechała kawaleria w postaci dwóch samochodów policyjnych i ambulansu. Umundurowani policjanci zaczęli przepychać się przez tłum, a sąsiedzi zaprowadzili lekarzy do rannych.

W trzydzieści minut później było po wszystkim. Pomoc drogową odholowała rozbite pojazdy, a mundurowi zajęli się pijakiem. Poszkodowaną kobietę zabrano do szpitala na zszycie rany głowy. Dzieci nie odstępowały jej ani na chwilę. Pielęgniarze opatrzyli i obandażowali pomniejszych obrażenia i wiekowi rycerze udali się do domów.

Kiedy karetki wreszcie odjechały, Jaine zdjęła z kolana okazały opatrunek z gazy. Teraz, gdy napięcie minęło, czuła tylko zmęczenie — marzyła wyłącznie o tym, by wziąć gorący prysznic, zjeść czekoladowe ciasteczko i położyć się do łóżka. Idąc chwiejnym krokiem w stronę domu, ziewała raz po raz.

Sam—gbur szybko się z nią zrównał. Zaszczyciwszy go obojętnym spojrzeniem, nie zwolniła kroku. Nie podobał się jej ani wyraz jego twarzy, ani to, że wisiał nad nią jak gradowa chmura. Ależ on był, cholera, wielki, grubo ponad metr dziewięćdziesiąt i jeszcze te szerokie ramiona...

— Zawsze rzucasz się głową naprzód w niebezpieczne sytuacje? — zapytał.

Myślała chwilę.

— Tak — odparła w końcu.

— No to się nie pomyliłem.

Zatrzymała się na środku ulicy, oparła ręce na biodrach i spojrzała mu w oczy.

— Co niby miałam robić? Stać i czekać, aż ten facet stłucze ją na kwaśne jabłko?

— Dwaj faceci na pewno by go jakoś obezwładnili — Mogłaś poczekać.

— Nikt się jakoś nie kwapił, więc nie czekałam.

Zza zakrętu wyjechało auto. Sam wziął Jaine za ramię i odsunął z drogi.

— Ile ty masz wzrostu? Metr sześćdziesiąt?

Łypnęła na niego.

— Metr sześćdziesiąt pięć.

Wzniósł oczy do nieba. Wyraz jego twarzy mówił wyraźnie „Niech ci będzie...”. Zgrzytnęła zębami. Miała metr sześćdziesiąt pięć. No... prawie. Trzy głupie centymetry nie mogły się liczyć.

— Amy, ta ranna kobieta jest od ciebie wyższa przynajmniej osiem centymetrów i waży co najmniej piętnaście kilo więcej. A ty myślałaś, że sobie z nim poradzisz?

— Nie.

— Co nie? Nie myślałaś? No jasne.

Nie mogę walnąć gliny — przemknęło jej przez głowę. Powtórzyła sobie w duchu to zdanie kilkakrotnie, zanim znów otworzyła usta.

— Wcale nie myślałam, że sobie z nim poradzę.

— Przecież się na niego rzuciłaś.

— W przypiływie obłędu — powiedziała, wzruszając ramionami.

— Z tym się zgadzam.

Tego już było za wiele. Znowu się zatrzymała.

— Słuchaj, mam dosyć twoich kaśliwych uwag. Chciał zbić tę kobietę na kwaśne jabłko w obecności jej dzieci, a ja to udaremniłam. Oczywiście, nie zachowałam się racjonalnie i zdaję sobie sprawę, że mogłam oberwać. Niemniej jednak, gdyby sytuacja się powtórzyła, zrobiłabym to samo. A teraz zabieraj tyłek, bo nie chce mi się spacerować w twoim towarzystwie.

— Mocne — mruknął i ujął ją za ramię.

Musiała iść albo pozwolić, żeby on ją ciągnął. W tej sytuacji przyspieszyła kroku. Chciała się z nim rozstać jak najszybciej.

— Spieszysz się? — zapytał, zaciskając rękę na jej ramieniu i zmuszając tym samym, by zwolniła.

— Tak, nie chcę się spóźnić na... — próbowała sobie przypomnieć, co ma być w telewizji. — BooBoo zaraz zwymiotuje kołtuna i chcę przy tym być.

— Lubisz kołtuny, co?

— Są bardziej interesujące niż moje obecne towarzystwo — odparła słodko.

Skrzywił się.

— Auu.

Doszli do domu Jaine i Sam musiał puścić jej rękę.

— Przyłóż sobie lód na kolano, bo będziesz miała siniaka.

Skinęła głową, zrobiła parę kroków w stronę drzwi i odwróciła się. Stał w dalszym ciągu przy końcu alejki i nie spuszczał z niej wzroku.

— Dzięki, że kupiłeś nowy tłumik.

Chciał zrobić jakąś ironiczną uwagę, poznała to po jego minie, ale po chwili wzruszył tylko ramionami.

— Nie ma za co. — Urwał. — Dziękuję za pojemnik na śmieci.

— Nie ma za co.

Patrzyli na siebie jeszcze przez chwilę, jakby czekali, które z nich na nowo rozpocznie bitwę, ale w końcu Jaine przerwała tę dziwną wartę i weszła do domu. Zamknęła za sobą drzwi i patrzyła przez chwilę na przytulny, już

znajomy, domowy salon. BooBoo znowu wojował z poduszką — wyraźnie wskazywały na to kłaczki leżące na dywanie.

Westchnęła.

— Rezygnuję z ciastka — powiedziała głośno. — To wymaga lodów.

Rozdział 6

Następnego ranka Jaine obudziła się wcześniej, bez pomocy zegarka czy słońca. Przewróciła się tylko z boku na bok, a od razu wszystkie jej mięśnie krzyknęły z oburzenia. Bolały ją żebra, paliły kolana, ręce przy najmniejszym poruszeniu dawały się ostro we znaki. Nawet pośladki miała obolałe. Tak wielu dolegliwości naraz nie odczuwała od czasu, gdy po raz pierwszy w życiu wróciła z jazdy na rolkach.

Jęcząc, zmusiła się, by usiąść, i z trudem spuściła nogi z łóżka. Pomyślała, że skoro ona czuje się tak fatalnie, to staruszkowie cierpią na pewno znacznie bardziej. Nie zostali wprawdzie pobici, lecz skutki upadku w tak podeszłym wieku musiały być poważniejsze.

Obolałe mięśnie potrzebowały raczej zimna niż ciepła, ale Jaine nie odważyła się na chłodny prysznic. Woląca stanąć oko w oko z agresywnym pijakiem niż znaleźć się pod strumieniem lodowatej wody. Ostatecznie wybrała letni tusz i po pewnym czasie zaczęła stopniowo zakręcać kran z gorącą wodą. Nie przyniosło to jednak spodziewanego efektu. Jaine znosiła zimno przez dwie sekundy, a potem wyszła z kabiny dwa razy szybciej, niż do niej weszła.

Drżąc na całym ciele, szybko wytarła się ręcznikiem i włożyła długą, niebieską podomkę zapinaną z przodu na zamek błyskawiczny. W lecie wkładała ją rzadko, tego dnia czuła się w niej jednak wyjątkowo dobrze.

Wczesne wstanie z łóżka miało jednak dobre strony — to Jaine budziła BooBoo, nie odwrotnie.

Kot jednak najwyraźniej nie lubił, by mu zakłócano poranną drzemkę — syknął wściekle, przeniósł się w inne, spokojne miejsce i znów zapadł w sen. Jaine uśmiechnęła się.

Tego ranka wyjątkowo nie musiała się spieszyć — wstała stanowczo za wcześniej, co wyszło jej na dobre, ponieważ obolałe mięśnie nie pozwalały

na pośpiech. Kawę piła powoli, na co rzadko mogła sobie pozwolić w ciągu tygodnia, i zamiast zadowolić się zimnymi płatkami, wrzuciła do tosterka zamrożony wafel, a gdy się upiekł, położyła na wierzch pokrojone truskawki. W końcu kobieta, która brała udział w burdzie ulicznej, zasłużyła sobie na trochę luksusu.

Zjadła wafel, wypila kolejną filiżankę kawy i podwinęła sukienkę, by obejrzeć stłuczone kolano. Zgodnie z otrzymaną instrukcją poprzedniego dnia przyłożyła do niego lód, ale ogromny siniak nie zniknął, a kolano było sztywne i obolałe. Nie mogła się wylegiwać przez cały dzień obłożona woreczkami z lodem, więc zażyła dwie aspiryny i pogodziła się z tym, że przez dwa dni będzie się czuła źle. Pierwsze zaskoczenie tego dnia przeżyła, kiedy zaczęła się ubierać i włożyła biustonosz. Ledwo umocowała zapięcie i zacisnęła opaskę wokół obolałych żeber, zrozumiała, że musi zrezygnować z biustonosza. Stojąc na wprost szafy w samych majteczkach, dostrzegła kolejny problem: Co powinna włożyć kobieta bez biustonosza, jeśli nie chce, by inni wiedzieli, że go nie nosi?

Nawet w klimatyzowanym biurze było zbyt gorąco, żeby przez cały dzień chodzić w żakiecie. Jaine miała w szafie kilka ładnych sukienek, lecz pod cienką tkaniną widać by było na pewno zarys sutek. Chyba czytała coś kiedyś o opaskach na sutki... Warto spróbować.; Wyjęła z apteczki dwa plastry z opatrunkiem, przykleiła je do sutek, włożyła sukienkę i przejrzała się w lustrze. Plastry wyraźnie prześwitywały.

Trudno. Nie podziałało. Zwykły bandaż spełniłby zapewne zadanie, ale Jaine nie miała go w apteczce. Poza tym sukienka odsłaniała skaleczone kolano, które wyglądało okropnie. Zerwała więc plastry i poszła przeszukać szafę.

W końcu wybrała długą spódnicę w kolorze khaki, górę z białej dzianiny, na którą narzuciła granatową jedwabną bluzkę. Końce bluzki związała w pasie, na ręce włożyła niebiesko—zielone bransoletki. Widok, jaki ujrzała w lustrze, wywarł na niej bardzo dobre wrażenie. — Nieźle — mruknęła. — Całkiem nieźle.

Na szczęście włosy nie stanowiły problemu — były grube, lśniące i gę-

ste. Miały ładny, lekko rudawy odcień, a ostatnio Jaine nosiła fryzurę, która wymagała tylko szczotkowania. W jej sytuacji było to wyjątkowo szczęśliwym zbiegiem okoliczności, gdyż ilekroć podnosiła ręce, bolały ją żebra. Czesanie nie zajęło jej zatem zbyt wiele czasu.

Na policzku miała jednak siniaka. Zerknęła do lustra i dotknęła niepewnie niebieskiej plamy. Siniak nie sprawiał jej bólu, ale był z pewnością niebieski. Jaine rzadko robiła pełny makijaż — po co się miała wysilać do pracy? — ale tego dnia musiała wytoczyć ciężką artylerię.

Wychodząc z domu w szykownym, choć przypadkowo dobranym ubraniu, pomyślała, że wygląda całkiem nieźle.

Kiedy stanęła na podjeździe, Sam—gbur otwierał właśnie samochód. Odwróciła się więc i zaczęła bardzo wolno zamykać drzwi, w nadziei, że Sam wsiądzie po prostu do auta i odjedzie. Nic z tego.

— Dobrze się czujesz? — spytał, stając tuż za nią, tak że omal nie wyskoczyła ze skóry. Tłumiąc okrzyk, odwróciła się na pięcie. Pomysł okazał się fatalny. Żebra zaprotestowały gwałtownie, a Jaine wydała niezamierzony jęk i upuściła kluczyki.

— Cholera! — wrzasnęła, kiedy znów odzyskała oddech. — Przestań się tak podkradać!

— Nie potrafię inaczej — odparł. Jego twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu. — Gdybym czekał, aż się odwrócisz, to bym się nie podkradał. — Zawiesił na chwilą głos. — Znowu używasz brzydkich wyrazów.

Tak jakby musiał jej to wytykać. Wściekła, pogrzebała w portmonetce, wyjęła ćwierćdolarówkę i wręczyła ją Samowi. Zamrugął niepewnie oczami.

— Po co to?

— Zakląłam. A kiedy ktoś mnie na tym przyłapie, muszę zapłacić ćwierć dolara. W ten sposób usiłuję się odzwyczaić od używania brzydkich wyrazów.

— W takim razie jesteś mi winna znacznie więcej. Wczoraj wieczorem trochę sobie pofolgowałaś.

Zagryzła wargi.

— Co było, a nie jest... Nie możesz wymagać, żebym płaciła za dawne

grzechy, bo musiałabym opróżnić konto. Musisz mnie na tym złapać.

— Złapałem. W sobotę, kiedy kosiłaś trawnik. Wtedy mi nie zapłaciłaś.

Zacisnęła zęby i bez słowa wyjęła kolejną ćwierćdolarówkę.

Z zadowoloną miną schował do kieszeni pięćdziesiąt centów.

W każdej innej sytuacji pewnie by się roześmiała, ale była zła za to, że tak ją przestraszył. Stłuczone żebra dawały się mocno we znaki, a kiedy się pochyliła, żeby podnieść kluczyki, poczuła jeszcze większy ból. Jakby tego było mało, kolana odmówiły jej posłuszeństwa i nie chciały się zgiąć. Jaine wyprostowała się i popatrzyła na Sama z taką wściekłością i żalem, że drgnął mu kącik ust

Jeśli się roześmieje, kopnę go w podbródek — pomyślała. Stała jeszcze na ganku i kąt był wymarzony.

Nie roześmiał się. Policjantów najwyraźniej uczono ostrożności. Zamiast tego podniósł jej kluczyki.

— Kolanka nie chcą się zginać, co?

— Żebra też nie lepsze — powiedziała gderliwie, odbierając od niego kluczyki i schodząc trzy stopnie w dół.

Opuścił brwi.

— Masz jakiś problem z żebrami?

— Walnął mnie w klatkę piersiową.

Poirytowany, wypuścił powietrze.

— Dlaczego nic wczoraj o tym nie powiedziałaś?

— Po co? Nie są złamane, tylko posiniaczone.

— Wiesz to na pewno? Nie sądzisz, że mogą być złamane?

— Nie czuję, żeby były.

— Tyle razy łamałaś żebra, że byś to wyczuła? — Zacisnęła zęby.

— To są moje żebra i mówię ci jeszcze raz, że nie są złamane. Koniec dyskusji.

— Czy możesz mi coś powiedzieć? — zaczął, gdy ruszyli w stronę samochodu. — Czy są takie dni, kiedy nie wywołujesz awantur?

— Kiedy cię nie widzę — odpaliła. — I to ty zacząłeś! Chciałam być dobrą sąsiadką, ale ty przy każdym spotkaniu miałeś mi coś do zarzucenia. Nawet

wtedy, kiedy BooBoo usiadł ci na samochodzie. Poza tym sądziłam, że jesteś pijakiem.

Przystanął, wyraźnie zdziwiony tym oskarżeniem.

— Pijakiem?

— Przekrwione oczy, brudne ubranie, powroty do domu nad ranem, hałasy, gburowatość... tak, jakbyś miał kaca. Co miałam myśleć?

Potał twarz.

— Przepraszam. Zanim przyszedłem ci powiedzieć, że mogłabyś postawić na nogi umarłego, powinienem był wziąć prysznic, ogolić się i przebrać.

— Czyste spodnie wystarczyłyby w zupełności. — Otworzyła vipera i zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle zdoła wsiąść do tej nisko zawieszanej małej rakiety.

— Odnawiam szafki w kuchni — oświadczył po krótkim milczeniu. — Pracuję jednak ostatnio o takich porach, że nie mogę zrobić wszystkiego od razu. Czasem po prostu zasypiam w brudnym ubraniu.

— Nie myślałeś nigdy o tym, żeby zająć się szafkami w wolne dni i dzięki temu trochę więcej spać? Poprawiłbyś sobie kondycję.

— Mojej kondycji nie można niczego zarzucić.

— Może tylko tyle, że to kondycja wściekłego skunksa. — Otworzyła drzwiczki od samochodu, wrzuciła torebkę na siedzenie i zaczęła przygotowywać się psychicznie do zajęcia miejsca za kierownicą.

— Niezła bryka — powiedział, taksując wzrokiem vipera.

— Dzięki. — Zerknęła na pontiaca i powstrzymała się od komentarzy. Cisza bywała czasem bardziej litościwa niż słowa.

Dostrzegł jej spojrzenie i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Bardzo żałowała, że to zrobił. Z tym uśmiechem wyglądał prawie jak człowiek. Wolałaby również, żeby nie stali w pełnym słońcu, gdyż dzięki temu widziała jego gęste rzęsy i ciemne prążki w piwnych tęczęwkach. No dobrze, nie wyglądał źle, kiedy nie miał przekrwionych oczu i nie gderał.

Nagle popatrzył na nią zimno i delikatnie potarł kciukiem jej policzek.

— Masz siniaka.

— Niech to... — ugryzła się w język. — Niech to drzwi ścisną — do-

kończyła niewinnie. — Myślałam, że go zamalowałam.

— Poradziłaś sobie całkiem niezłe. Dopóki nie stanęłaś w słońcu, nic nie było widać. — Skrzyżował ramiona. — Jeszcze jakieś inne obrażenia?

— Tylko obolałe mięśnie. — Popatrzyła smętnie na samochód. — Boję się wsiąść.

— Zerknął na auto, a potem na Jaine, która chwyciła właśnie otwarte drzwi i unosząc z trudem prawą nogę, wśliznęła się do środka. Wypuścił powietrze, jakby przygotowywał się psychicznie na wykonanie nieprzyjemnego zadania, po czym przytrzymał ją za ramię, by mogła zająć miejsce za kierownicą.

— Dzięki — szepnęła szczęśliwa, że zadanie wykonano.

— Nie ma za co. — Przykucnął przy viperze. — Chcesz go oskarżyć o napaść?

Zagryzła wargi.

— Ja uderzyłam pierwsza.

Odniosła wrażenie, że Sam walczy z kolejnym uśmiechem. Boże, miała nadzieję, że wygra. Nie chciała znów tego oglądać i w dodatku tak szybko. Mogłaby uwierzyć, że ma do czynienia z człowiekiem.

— Fakt — Wstał i zaczął zamykać drzwiczki auta. — Masaż na pewno złagodziłby ból. Nie wspominając o gorącej kąpieli.

Popatrzyła na niego z przerażeniem.

— Gorącej? Chcesz powiedzieć, że dziś rano męczyłam się na darmo pod tą zimną wodą?

Zaczął się śmiać, choć Jaine zdecydowanie by wolała, żeby tego nie robił. Miał miły, głęboki śmiech i bardzo białe zęby.

— Zimno też skutkuje. I koniecznie weź masaż.

Hammerstead nie dysponowało chyba nigdzie gabinetem odnowy, ale w końcu mogła zadzwonić i zamówić sobie masaż na popołudnie, po pracy. Skinęła głową. Dobry pomysł. Zatrzasnął drzwiczki auta i cofnął się o krok, uniósł rękę na pożegnanie i podszedł do samochodu. Zanim zdążył usiąść za kierownicą, Jaine jechała już z warkotem w dół ulicy.

Może jednak jakoś mogłaby sobie ułożyć stosunki z sąsiadem — po-

myślała z uśmiechem. Poprzedniego wieczoru Sam i jego kajdanki bardzo się jej przydały.

Mimo że pozwoliła sobie na chwilę pogawędki, do pracy przyszła wcześniej, co dało jej czas na ostrożne, niespieszne wygramolenie się z auta. Tego dnia na tabliczce nad windą widniał napis: NIE MUSISZ POPEŁNIAĆ BŁĘDÓW. I TAK ZAWIERA JE TWOJE OPROGRAMOWANIE. Nowy slogan doprowadziłby zapewne kierownictwo do szewskiej pasji, lecz wszyscy maniacy komputerowi z dwóch pięter uważali pomysł za niezwykle zabawny.

Biuro stopniowo wypełniało się ludźmi. Tego ranka rozmowy dotyczyły wyłącznie artykułu w biuletynie. Część osób skupiła się na treści artykułu, inni usiłowali rozszyfrować tożsamość czterech kobiet. Większość sądziła, że wszystko to tylko wymysł autora, a cztery przyjaciółki są wytworem jego wyobraźni. Taka koncepcja bardzo jej odpowiadała. Dlatego nie odzywała się ani słowem i zaciskała kciuki, żeby się udało.

— Zeskanowałem artykuł i wysłałem kuzynowi w Chicago — powiedział ktoś, gdy mijali się w holu. Domyślała się, że nie chodzi o artykuł w „Detroit News”.

Doskonale. Zyskiwały popularność.

Aby wyjechać na lunch do restauracji, musiały się najpierw wgramolić do auta, a potem z niego wysiąść, co utwierdziło ją w przekonaniu, że powinna się zadowolić krakersami z masłem orzechowym i napojem orzeźwiający w pokoju socjalnym. Mogła poprosić T.J. lub innych, żeby przynieśli jej coś na lunch, ale nie miała ochoty im wyjaśniać, dlaczego ma kłopoty z wsiadaniem do wozu. Gdyby powiedziała, że pobiła się z pijakiem, mogliby to uznać za przechwałki, podczas gdy tak naprawdę Jaine była za bardzo na siebie wściekła, żeby mówić spokojnie o tym, co zrobiła,

Leah Street weszła do pokoiku i wyjęła z lodówki starannie zapakowany lunch. Jadła kanapkę — pierś z indyka i sałatę na pieczywie pełnoziarnistym — zupę jarzynową podgrzaną w kuchence mikrofalowej, a na deser miała pomarańczę. Jak można lubić kogoś, kto jest tak wspaniale zorganizowany? Ludzie jak Leah żyli na tym padole wyłącznie po to, by zawstydzać innych. Gdyby Jaine pomyślała o tym odpowiednio wcześniej, mogłyby też

przygotować sobie lunch, a nie pogryzać teraz krakersy z masłem orzechowym i pić wodę sodową.

— Mogę się przysiąc? — spytała Leah i Jaine poczuła ukłucie winy. Ponieważ nikogo oprócz nich w pokoju nie było, sama mogła poprosić Leah, żeby to zrobiła. Większość personelu Hammerstead po prostu by usiadła, lecz być może Leah tak często spotykała się z niechęcią ze strony współpracowników, że wolała zapytać.

— Jasne — odparła Jaine, próbując nadać głosowi trochę ciepła. — Z przyjemnością zjem w towarzystwie.

Gdyby była katoliczką, z pewnością musiałaby się z tego wyświadczyć. Kłamała nawet bardziej niż wtedy, gdy twierdziła, że jej ojciec nie zna się na samochodach.

Leah poukładała swój pożywny, atrakcyjny posiłek na stoliku i usiadła. Wzięła do ust maleńki kęs kanapki, starannie go przeżuła i wytarła usta. Następnie zjadła maleńką łyżkę zupy i tak samo starannie jak poprzednio osuszyła wargi. Jaine patrzyła na nią jak zahipnotyzowana. Przypuszczała, że ludzie żyjący w epoce wiktoriańskiej mieli podobne maniery. Jaine nie miała sobie wprawdzie nic do zarzucenia, ale przy Leah czuła się jak skończony barbarzyńca.

— Pewnie przeczytałaś wczoraj ten odrażający biuletyn — zagaiła Leah.

Jaine zauważyła, że Leah szczególnie sobie upodobała słowo „odrażający”.

— Masz chyba na myśli artykuł — powiedziała, by od razu przejść do rzeczy. — Nie czytałam go w całości, tylko przejrzałam.

— Przez takie kobiety wstydzę się swojej płci.

Tego już było za wiele. Jaine wiedziała, że powinna zostawić sprawę w spokoju, ale jakiś diabełek podkusił ją nagle, żeby otworzyła usta.

— Dlaczego? Myślałam, że są szczerze.

Leah odłożyła kanapkę i popatrzyła na Jaine z przerażeniem.

— Szczerze? Przecież mówiły zupełnie jak dziwki. Wszystko, czego oczekują od mężczyzny, to pieniądze i duży... duży...

— Penis — podpowiedziała Jaine, uznawszy, że Leah nie zna chyba tego słowa. — I chyba nie tylko tego. Pamiętam też coś o wierności, odpowiedzialności, poczuciu humoru...

Leah machnęła tylko ręką.

— Chcesz w to wierzyć, to wierz, ale główny punkt całego wyводу to seks i pieniądze. To zupełnie oczywiste. A także złe i okrutnej bo pomyśl tylko, jak mogli się poczuć mężczyźni, którzy nie mają pieniędzy i dużego... no wiesz.

— Penisa — przerwała Jaine. — To się nazywa penis.

Leah zacisnęła usta.

— O niektórych rzeczach nie należy mówić publicznie, ale zauważyłam, że ty się nie liczysz ze słowami.

— Nieprawda — zaprzeczyła gorąco Jaine. — Przyznaję, że czasem przeklinam, ale próbuję się od tego odzwyczaić. Poza tym penis to nie jest przecież brzydkie słowo, tylko nazwa części ciała. Coś takiego jak „noga”. Masz również obiekcje co do „nogi”?

Leah chwyciła za krawędź stołu tak mocno, że pobielały jej knykcie. Zaczepnęła głęboko powietrza.

— Tak jak już mówiłam, pomyśl, jak oni się czuli. Pewnie myślą, że nie są wystarczająco dobrzy, po prostu gorsi.

— Niektórzy są — mruknęła Jaine. Sama była zaręczona z trzema z gatunku tych gorszych. Gorszych, ale wcale nie z powodu genitaliów.

— Nikt nie powinien się tak czuć — powiedziała Leah głośno. Gdy podniosła kanapkę do ust, Jaine zauważyła, że drżą jej ręce. Leah była naprawdę zdenerwowana.

— Posłuchaj, większość ludzi uznała, że ten artykuł jest śmieszny — rzekła pojednawczo. — taki miał być.

— Ja tego zupełnie w ten sposób nie odbieram. Był brudny, odrażający i złośliwy.

Koniec z nadzieją na pojednanie.

— Nie zgadzam się — powiedziała Jaine, zbierając śmieci i wkładając je do kubła. — Ludzie widzą w nim to, co spodziewają się zobaczyć. Źli ludzie

sądzą, że otacza ich zło, ci, którzy mają sprośne myśli, wszędzie widzą brudy.

Leah zbladła, a potem poczerwieniała.

— Chcesz powiedzieć, że ja mam sprośne myśli?

— Możesz to sobie rozumieć, jak chcesz — Jaine wróciła do swojego pokoju, zanim to nieporozumienie przekształciło się w otwartą wojnę. Co się z nią działo? Najpierw sąsiad, teraz Leah. Dlaczego nie potrafiła sobie z nikim ułożyć stosunków, nawet z BooBoo? Oczywiście, nikt nie przepadał za Leah, więc Jaine nie wiedziała, czy powinna brać ją pod uwagę, ale na pewno zamierzała bardziej się starać o lepszy układ z Samem. Trudno, nadepnął jej parę razy na odcisk, ale ona nie pozostała mu dłużna. Problem polegał na tym, że po zerwaniu trzecich zaręczyn Jaine odzwyczaiła się od mężczyzn i miała ich na razie dość.

Która kobieta by jednak nie miała? Trzech narzeczonych i trzy rozstania przed ukończeniem dwudziestego trzeciego roku życia to kiepska statystyka. Jaine mogła się oczywiście podobać — w lustrze widziała wyraźnie szczupłą, ładną kobietę z małymi dołeczkami w policzkach. W szkole średniej była bardzo lubiana, do tego stopnia, że w ostatniej klasie zaręczyła się z Brettem, gwiazdą baseballu. Ona jednak chciała iść na studia, a on wolał baseball i ich drogi jakoś się rozeszły. Brett zresztą nie zrobił kariery sportowej.

Potem był Alan. Jaine, świeżo upieczona absolwentka, miała wtedy dwadzieścia jeden lat. Dopiero w wieczór poprzedzający ślub tuż przed próbą, Alain wyznał jej, że kocha swoją byłą dziewczynę. Spotykał się z Jaine, gdyż chciał sobie udowodnić, że jest inaczej. Nie udało mu się. Bardzo mu przykro. Ma nadzieję, że Jaine nie będzie miała do niego żalu.

Jasne, draniu, możesz sobie pomarzyć.

Potem zaręczyła się z Warrenem, ale wtedy była już ostrożna i bała się zbyt mocno angażować w taki związek. Z jakiejś przyczyny, mimo że Warren poprosił ją o rękę, a ona się zgodziła, oboje się z tego wycofali i ich związek umarł śmiercią naturalną. Oboje z ulgą pogrzebali to nieporozumienie.

Jaine mogła pewnie wyjść za mąż za Warrena, mimo braku entuzjazmu z obu stron, ale była zadowolona, że tak się nie stało. A gdyby mieli dzieci i potem się rozstali?

Nigdy nie uważała, że to ona jest odpowiedzialna za rozpad swoich związków. Dwukrotnie rozstawała się z partnerami za obopólną zgodą, raz zawińił Alan, ale... czy coś było z nią nie w porządku?

W mężczyznach, z którymi się umawiała, nie budziła jakiejś szczególnej żądzy, a już na pewno nie było to oddanie.

T.J. wsunęła głowę przez drzwi i wyrwała Jaine z tych niemiłych rozmów.

— Dziennikarz z „News” rozmawia właśnie z Dawną — wykrztusiła T.J., blada jak płótno. — Boże, chyba nie sądzisz...

Popatrzyły po sobie wymownie.

— A niech to cholera — powiedziała Jaine z obrzydzeniem, a T.J. była tak zdenerwowana, że nawet nie zażądała ćwierćdolarówki.

Tego samego wieczoru Corin po raz kolejny czytał ten sam artykuł. Brudny, ohydny brudny.

Ręce mu drżały, litery tańczyły przed oczyma. Czy one wiedzą, jak to boli? Czy się śmiały?

Chciał wyrzucić biuletyn, ale nie mógł. Ani na chwilę nie przestał się dreczyć. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę pracuje z ludźmi którzy mówili te wszystkie straszne rzeczy, którzy kpili i terroryzowali...

Zaczerpnął głęboko powietrza. Musiał nad sobą panować. Tak kazali lekarze. Zażywaj pigułki i panuj nad sobą. A on się stosował do tych zaleceń. Długo zachowywał się grzecznie, nawet bardzo grzecznie... Czasem nawet udawało mu się zapomnieć.

Ale nie teraz. Teraz nie mógł zapomnieć. Sprawa okazała się zbyt istotna.

Kim one były?

Chciał wiedzieć. Musiał wiedzieć...

Tego samego wieczoru Corin po raz kolejny czytał ten sam artykuł.

Brudny, ohydny brudny.

Ręce mu drżały, litery tańczyły przed oczyma. Czy one wiedzą, jak to boli? Czy się śmiały?

Chciał wyrzucić biuletyn, ale nie mógł. Ani na chwilę nie przestawał się dreczyć.

Rozdział 7

Następnego dnia rano Jaine pomyślała ponuro, że czuje się tak, jakby wisiał jej nad głową miecz Demoklesa. Jeszcze nie spadł, ale spaść musiał. Wszystko zależało od tego, kiedy Dawna rozpowie wszem i wobec, że dostała Listę od Marci. Po ujawnieniu nazwiska Marci wszystkie trzy mogły przypiąć sobie znaczek z napisem: „Jestem winna”.

Biedna T.J. zamartwiała się na śmierć, gdyby zaś Jaine była żoną Galana Yothera, też by się na pewno zamartwiała. W jaki sposób niewinna zabawa czterech przyjaciółek mogła nagle zniszczyć czyjeś małżeństwo?

Znów fatalnie spała. Aby uśmierzyć ból mięśni, zażyła jeszcze kilka aspiryn, zanurzyła się w gorącej wannie i zanim położyła się do łóżka, odczuła znaczną ulgę. Rozważania na temat tego nieszczęsnego artykułu nie pozwoliły jej zasnąć o zwykłej porze, a obudziły przed świtem. Bała się kupić poranną gazetę i stanowczo wolała pobić się z jakimś kolejnym pijakiem niż iść do pracy.

Wypiła kawę i popatrzyła na jaśniejące niebo. BooBoo z pewnością jej wybaczył, że znów go obudziła — usiadł obok, myjąc łapki, i mruczał, ilekroć drapała go za uchem.

To, co się wtedy stało, nie było jej winą. Stała właśnie przy zlewie, wycierając filiżankę, kiedy w kuchni domu naprzeciwno też zapaliło się światło, a oczom Jaine ukazał się Sam.

Wstrzymała powietrze. Płuca odmówiły jej posłuszeństwa.

— Słodki Jezu! — jęknęła i odetchnęła.

Widziała znacznie więcej Sama niż kiedykolwiek — widziała wszystko. Stanął na wprost lodówki goły jak święty turecki, nachylił się zdjął z półki butelkę soku pomarańczowego, otworzył i pociągnął sażnisty łyk. Nie zdołała się jednak nacieszyć widokiem jego fantastycznych pośladków, gdyż Sam odwrócił się do niej przodem. Od frontu prezentował się jeszcze lepiej, co było naprawdę ogromnym komplementem, bo tyłek miał wspaniały.

— Rety, BooBoo — jęknęła, — Popatrz no tylko. — Sam naprawdę robił wrażenie. Wysoki, szczupły w talii, wspaniale umięśniony. Popatrzyła trochę bardziej do góry i dostrzegła szeroki, owłosiony tors. O tym, że Sam ma ciekawą —

choć trochę poobijaną — twarz, wiedziała już od dawna. Seksowne ciemne oczy, białe zęby, kapitalny uśmiech.

Przycisnęła ręce do piersi. Serce nie trzepotało, waliło tak, jakby chciało jej przebić na wylot klatkę piersiową. Inne części ciała podzielały to podniecenie. W chwili obłędu Jaine chciała pobiec do Sama i zaoferować mu swoje usługi jako materac.

Nie zwracając uwagi na zamęt w sercu Jaine ani na zapierający dech w piersiach widok BooBoo lizał sobie łapki. Najwyraźniej miał nieuporządkowaną hierarchię wartości.

Jaine chwyciła się zlewu, żeby nie upaść na podłogę jak szmaciana lalka. Dobrze, że przestała się interesować mężczyznami, bo pobiegłaby na przełaj przez dwa podjazdy i stanęła pod kuchennymi drzwiami Sama. Zainteresowana mężczyznami czy nie, wciąż ceniła sztukę, a jej sąsiad — oscylujący między greckim posagiem i gwiazdą porno — był niewątpliwie dziełem sztuki.

Choć zupełnie nie miała na to ochoty, musiała mu jednak powiedzieć, aby zasłonił kotary. Na ślepo, nie chcąc uronić ani sekundy z rozgrywającego się na jej oczach przedstawienia, sięgnęła po słuchawkę i zawahała się. Uświadomiła sobie, że nie zna ani numeru telefonu Sama, ani nawet jego nazwiska. Ale z niej sąsiadka — mieszkała w tym domu od dwóch i pół tygodnia, a wciąż jeszcze nie zdążyła mu się przedstawić. On zresztą też specjalnie się nie kwapił do prezentacji. Wyłącznie dzięki pani Kulavich wiedziała, że ma na imię Sam.

Mimo to mogła działać. Na skrawku papieru leżącym obok telefonu zapisała wcześniej numer do pani Kulavich i teraz zdołała oderwać wzrok od spektaklu naprzeciwko, by ten numer przeczytać. Wybrała więc numer do starszych sąsiadów i — już poniewczasie — pomyślała z troską, że może ich obudzić.

Pani Kulavich odpowiedziała już po pierwszym dzwonku.

— Halo — zaświergotała tak entuzjastycznie, że Jaine od razu przestała się martwić.

— Dzień dobry pani, tu Jaine Bright z naprzeciwka. Jak się pani miewa? — Nie powinna zapomnieć o formach, a ponieważ miała do czynienia z przedstawicielką starszego pokolenia, mogło jej to zająć trochę czasu... oby przynajmniej dziesięć, piętnaście minut... Sam wypił sok i odstawił butelkę.

— Och, Jaine! Jak to miło, że dzwonicz! — powiedziała pani Kulavich takim tonem, jakby Jaine zatelefonowała do niej z drugiej półkuli. — U nas wszystko dobrze. A u ciebie?

— Wspaniale — odparła automatycznie, nie spuszczać wzroku z okna. Teraz wyjął mleko, otworzył je i powąchał. Gdy uniósł ramię, dojrzała, jak napina się jego biceps.

— O rety — szepnęła. Mleko najwyraźniej nie przeszło testu, gdyż Sam odchylił głowę i odstawił je na bok.

— Co takiego? — spytała pani Kulavich.

— Nic, mówiłam, że świetnie. — Jaine odwróciła na chwilę uwagę od okna. — Jak Sam ma na nazwisko? Muszę do niego zadzwonić w pewnej sprawie.

— Donovan, kochanie. Sam Donovan. Mam tu jego numer. Ten sam, co kiedyś. Bardzo się z tego cieszę, bo mogę go łatwiej zapamiętać. Łatwiej się zestarzeć niż zmądrzeć. — Roześmiała się z własnego dowcipu.

Jaine też się roześmiała, choć nie wiedziała z czego. Sięgnęła po ołówek. Pani Kulavich wolno podyktowała numer, a Jaine zapisała go w notesie, co nie było wcale łatwe, zważywszy, że nie patrzyła na to, co pisze. Mięśnie jej szyi zastygły w pozycji pionowej, tak więc nie miała wyboru: musiała zaglądać do okna naprzeciwko.

Podziękowała pani Kulavich, pożegnała się i zaczerpnęła głęboko powietrza. Musiała to zrobić. Niezależnie od tego, jak wielką sprawiłoby jej to przykrość. Znów zaczerpnęła głęboko powietrza i wybrała numer. Dostrzegła, że Sam sięga po słuchawkę bezprzewodowego aparatu. Teraz stał do niej profilem. O rety! Podwójne rety.

Poczuła, że w ustach zbiera się jej ślina. Ten facet doprowadzał ją naprawdę do okropnego stanu.

— Donovan — rzucił lekko schrypniętym głosem, jakby się jeszcze całkiem nie obudził, a w tym jednym jedynym słowie wyraźnie zabrzmiała irytacja.

— Mhm... Sam?

— No?

Nienadzwyczajna zachęta. Próbowwała przełknąć ślinę, ale z wysuniętym

językiem nie było to zadanie łatwe. Zwinęła więc język w trąbkę, schowała go i smutno westchnęła.

— Tu Jaine, sąsiadka. Przykro mi, że to mówię, ale może zechciałbyś zaciągnąć zasłonkę.

Sam podszedł do okna i stanęli na wprost siebie, oddzieleni tylko dwoma podjazdami. Sam nie uskoczył w bok, nie usunął się z pola widzenia, nie zrobił nic, co mogłoby wskazywać na zażenowanie. Zamiast tego po prostu się uśmiechnął. Zdecydowanie wolałaby, żeby tego nie robił.

— Miałaś na co popatrzeć, nie? — zapytał, podchodząc do okna.

— Owszem. — W ciągu ostatnich pięciu minut nawet nie mrugnęła. — Dziękuję. — Sam zasunął firanki, a całe ciało Jaine pograżyło się w żalobie.

— Cała przyjemność po mojej stronie — zachichotał. — Może kiedyś się zrewanżujesz?

Odłożył słuchawkę, zanim zdążyła odpowiedzieć, z czego była zresztą bardzo zadowolona, ponieważ odebrało jej mowę. W myślach puknęła się w czoło. Teraz będzie musiała bez przerwy zasłaniać okna.

— Jak jakaś nienormalna — wyjaśniła BooBoo.

Wizja zdejmowania ubrania przed Samem głęboko nią wstrząsnęła. Czyżby była ekshibicjonistką? W przeszłości nie, ale teraz... Sutki miała twarde, sterzące jak maliny, a co do reszty... No cóż. Nie lubiła przypadkowego seksu, ale teraz zapalała nagle pożądaniem. I to w dodatku do takiego gbura. Jak to możliwe, że Sam przeistoczył się nagle z gbura w kusiciela, po prostu zdejmując ubranie?

— Czyżbym była taka płytka? — zwróciła się do BooBoo i dodała po chwili namysłu: — Chyba tak.

BooBoo miauknął, najwyraźniej podzielając jej zdanie.

O rany. Czy będzie mogła spojrzeć teraz na Sama, nie pamiętając, jak on wygląda bez ubrania? Czy będzie mogła spojrzeć mu w oczy, nie dając jednocześnie do zrozumienia, że ma na niego ochotę? Tysiąc razy wolała widzieć w nim wroga, nie zaś obiekt swojej żądzy. Wolała, by takie obiekty znajdowały się w jakiejś bezpiecznej odległości na przykład na ekranie.

On jednak nie był zażenowany, więc nie widziała powodu, dla którego

miałaby się tak czuć. Widywała przecież już wcześniej nagich mężczyzn. Dlaczego on nie mógł mieć otluszczonego brzucha i pomarszczonego penisa zamiast pośladków twardych jak skała i imponującej porannej erekcji?

Znowu zaczęła się ślinić.

— To odrażające — powiedziała na głos. — Mam trzydzieści lat i nie jestem już nastolatką zakochaną w... w kim one się teraz kochają? Wszystko jedno. Powinnam przynajmniej kontrolować gruczoły ślinowe.

Gruczoły robiły jednak, co chciały. Za każdym razem — czyli mniej więcej co dziesięć sekund — gdy pojawiał się jej w głowie obraz Sama. Jaine zachwycała się nim przez dziewięć sekund, nerwowo przełykała ślinę i wyrzucała go z pamięci.

Poprzedniego dnia wyszła do pracy wcześniej niż zwykle i natknęła się na Sama. Zatem gdyby dzisiaj wyszła o zwykłej porze, uniknęłaby tego spotkania.

Sam pracował o nieregularnych porach, toteż Jaine nie mogła zaplanować swojego wyjścia tak, by zyskać pewność, że go nie spotka. Postanowiła więc, że będzie postępować tak jak dotąd i zaciskać kciuki na szczęście. Następnego dnia pewnie już zdobędzie się na spokój, ale nie dziś, nie przy tak napiętych mięśniach i zbierającej się w ustach ślinie. Powinna po prostu o wszystkim zapomnieć i przygotować się do pracy.

Stała na wprost otwartych drzwi do szafy i próbowała rozwiązać dylemat: co należy włożyć na wypadek spotkania z sąsiadem, którego widziało się przed chwilą w stroju Adama?

W końcu doszła do wniosku, że dziękuje Bogu za skaleczenie na kolanie. Na razie musiała zrezygnować z wystąpienia w krótkiej czarnej sukni koktajlowej na ramiączkach, którą zwykle wkładała na przyjęcia, kiedy chciała wyglądać szczupło i interesująco. Czarna suknia prosiła wyraźnie: „Spójrz, czy nie wyglądam seksownie?“, ale zupełnie nie nadawała się do pracy. Skaleczone kolano ocaliło ją przed popełnieniem wielkiego faux pas.

Jaine doszła w końcu do wniosku, że lepszy jest zbytek ostrożności niż przesadne ryzyko, i wybrała spodnie o surowym, męskim kroju.

Lubiła je wprawdzie głównie za sposób, w jaki przylegały do jej sie-

dzenia i budziły pełne zachwyty komentarze kolegów z pracy, ale to w zasadzie nie odgrywało roli... I tak nie miała szansy na spotkanie z Samem. Przecież po tym, co się wydarzyło, musiał się czuć jeszcze bardziej niezręcznie niż Jaine. Jeśli ktoś miał tu kogoś unikać, to chyba on jej, a nie odwrotnie.

Czy zawstydzony mężczyzna uśmiechałby się jednak tak szelmowskim uśmiechem? Sam wiedział, że świetnie się prezentuje. Nawet lepiej niż świetnie.

Próbując zapomnieć o jego wyglądzie, Jaine włączyła telewizor, żeby obejrzeć poranne wiadomości. Przez ten czas ubrała się i zrobiła makijaż.

Maskowała właśnie korektorem siniak na policzku, kiedy spikerka lokalnych wiadomości powiedziała szczebiotliwym głosem:

— Freud nigdy nie zdołał ustalić, czego pragną kobiety. Gdyby jednak porozmawiał z czterema paniami mieszkającymi w tej okolicy, niewątpliwie poznałby odpowiedź na swoje słynne pytanie. Tymczasem sprawdźcie, czy wasz mąż lub chłopak to Mr Perfect.

Jaine była tak zdumiona, że nie mogła wydobyć głosu. Czując nagłą miękkość w kolanach, opadła na sedes. Ta suka Dawna musiała przekablować. Nie... gdyby знаła nazwiska, telefon dzwoniłby przecież bez przerwy. Na razie pozostały zatem anonimowe, ale to mogło się zmienić.

Pobiegła do sypialni i wybrała numer T.J., modląc się w duchu, by przyjaciółka jeszcze była w domu. T.J. mieszkała dalej niż Jaine, więc zwykle wyruszała do pracy wcześniej.

— Cześć — powiedziała teraz pospiesznie, z lekką irytacją w głosie.

— Tu Jaine. Oglądałaś dziś wiadomości?

— Nie, dlaczego?

— Główny punkt to Mr Perfect.

— O mój Boże... — jęknęła T.J., jakby miała właśnie zemdleć, zwymiotować, albo jedno i drugie naraz.

— Jeszcze nie mają naszych nazwisk, bo nikt do tej pory nie dzwonił. Ktoś z Hammerstead na pewno się jednak wszystkiego domyśli, więc do popołudnia wszystko stanie się jasne.

— Ale chyba nie podadzą tego w telewizji? Galan zawsze ogląda wia-

domości...

— Kto wie? — Jaine potarła czoło. — Wszystko zależy od przepływu informacji. Na twoim miejscu wyłączyłabym jednak telefony i oczywiście automatyczną sekretarkę.

— Zrobi się. — Po chwili dodała: — Chyba przekonam się ostatecznie, co mnie łączy z Galanem — dodała ponuro. — Trudno mi od niego wymagać, żeby się z tego cieszył, ale mam chyba prawo liczyć na zrozumienie. Po naszej rozmowie o Mr Perfect trochę myślałam i...

I doszłaś do wniosku, że Galan nie spełnia warunków. — dokończyła za nią w duchu Jaine.

— Chyba jednak nie wyłączę telefonów — powiedziała cicho T.J. — Jeśli już coś ma się stać, to niech się stanie jak najszybciej.

Jaine odłożyła słuchawkę i szybko dokończyła przygotowania do wyjścia. Krótka rozmowa telefoniczna nie zajęła jej dużo czasu, reklamy właśnie dobiegały końca. Na dźwięk dziarskiego głosu spikerki zmarszczyła brwi.

— Cztery kobiety podały do wiadomości publicznej listę wymagań wobec mężczyzny...

Trzy minuty później Jaine przymknęła oczy i oparła się o lustro. Trzy minuty! Trzy minuty wydały się jej wiecznością. Akurat tego dnia nie było żadnej strzelaniny, nie wydarzył się też żaden wypadek, nic, co usunęłoby z programu tę nieważną historyjkę.

W wiadomościach nie podano wprawdzie wszystkich wymagań, ale dołożono starań, by widzowie mogli zapoznać się z Listą za pośrednictwem internetu. Kobiety i mężczyźni pytano o reakcję na Listę. Wszyscy wydawali się zgodni co do pierwszych pięciu wymagań, dalsze punkty wzbudzały jednak kontrowersje, przy czym kobiety miały zupełnie inny punkt widzenia niż mężczyźni.

Może gdyby Jaine poprosiła o tygodniowy urlop, począwszy od dziś, wszystko rozeszłoby się po kościach. Tak jednak postępowali tchórze. Jeśliby T.J. potrzebowała wsparcia, Jaine musiałaby jej tego wsparcia udzielić. Marci też groził koniec związku, lecz według Jaine strata Bricka nie byłaby niczym godnym uwagi. Poza tym Marci zasłużyła na karę za to, że wygadała wszyst-

ko Dawnie.

Coraz bardziej przerażona ruszyła w stronę auta. Włożywszy kluczyk do zamka, usłyszała tuż za sobą odgłos otwieranych drzwi i odwróciła się przez ramię. Sam zamykał właśnie kuchnię. Przez chwilę patrzyła na niego tępo, a potem nagle z całą siłą wróciły wspomnienia i Jaine znowu zaczęła gmerać kluczykiem w zamku.

Wystarczy odrobina sławy i kobieta już zapomina o tym, że chce uniknąć pewnego mężczyzny — pomyślała w przyływie paniki. Może Sam ją obserwował?

— Czujesz się lepiej? — zapytał podchodząc. — Jeszcze nie zdążyłaś mnie obrazić, a rozmawiamy co najmniej od... — zerknął na zegarek — ...trzydziestu sekund.

— Jestem w łagodnym nastroju — odparła cicho. — Oszczędzam energię na coś naprawdę ważnego.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Dobra dziewczynka. Teraz czuję się lepiej. — Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. — Siniak zniknął.

— Wcale nie. Makijaż to wspaniała rzecz.

— Fakt — Powiódł palcem w dół, aż do zagłębienia w podbródku i nim cofnął rękę, lekko je poklepał. Jaine zastygła nieruchomo, przerażona konstatacją, że — Boże! — Sam z nią flirtuje, a serce znów wali jak młot kowalski.

O rany!

— Nie całuj mnie — powiedziała ostrzegawczo, gdyż odniosła wrażenie, że Sam się do niej zbliżył, choć nie widziała, by się poruszył. Patrzył tak, jak zwykle czynią to mężczyźni, zanim uczynią pierwszy krok.

— Nie zamierzam — odparł, uśmiechając się lekko. — Nie mam przy sobie bata ani krzesła. — Wyprostował się i zrobił krok do tyłu, z ręką na kłamce drzwiczek. — Poza tym nie mam teraz czasu — dodał, spoglądając na nią z góry. — Oboje musimy jechać do pracy, a ja nie lubię roboty na łapu—capu. Potrzebuję co najmniej dwóch godzin.

Wiedziała, że powinna milczeć. Wiedziała, że powinna po prostu zatrzasnąć drzwiczki i odjechać. Zamiast tego powtórzyła jednak tylko:

— Dwoch godzin?

— No. — Znów uśmiechnął się do niej tym swoim leniwym, niebezpiecznym uśmiechem. — A trzy będą nawet lepsze, bo kiedy cię w końcu pocałuję, na pewno wylądujemy nadzy w łóżku.

Rozdział 8

— O rany — mruczała Jaine. W drodze do pracy uruchomiła autopilota, co przy nateżeniu ruchu, jakie panowało w Detroit, było nawet więcej niż ryzykowne. — O rany! Co w nią wstąpiło? Dlaczego nie powiedziała na przykład: „Możesz sobie pomarzyć, kolego”. Dlaczego w ogóle się nie odezwała, tylko wydała z siebie jakiś bliżej nieartykułowany bełkot? Przecież nawet we śnie radziła sobie zwykle znacznie lepiej.

Nie mruknęła w dodatku nonszalancko, tak jakby prosiła o informację i otrzymała niezbyt satysfakcjonującą odpowiedź. Teraz Sam na pewno pomyśli, że gdyby tylko do niej wpadł, od razu przybrałaby pozycję horyzontalną.

A najbardziej irytowało ją to, że chyba miałyby rację. Och nie. Nie, nie, nie, nie, nie. Nie interesował jej przecież przypadkowy seks, a poważne związki jakoś się nie udawały. Nie zamierzała odstawiać numerków z sąsiadem z naprzeciwka, którego jeszcze poprzedniego dnia nazywała gburem.

Nawet go nie lubiła. W każdym razie nie bardzo. Kiedy jednak przygwoździł tego pijaka twarzą do chodnika, wzbudził w niej podziw. Czasem tępa siła okazywała się jedyną skuteczną metodą działania. Widząc napastnika leżącego na ziemi, bezradnego jak dziecko, Jaine odczuwała specyficzny rodzaj satysfakcji.

Czy w Samie podobało się jej jeszcze coś oprócz ciała — które otrzymał od natury — i łatwości, z jaką dawał sobie radę z pijakami?

Myślała chwilę. Mężczyzna odnawiający szafki wydawał się jej niewątpliwie pociągający, choć nie mogła zrozumieć dlaczego. Może stawał się przez to bardziej swojski? Musiał przecież mieć jakieś cechy równoważące tę pozę macho. Tyle że on wcale nie pozował. Nie musiał, szczególnie z tym pistoletem — wielkim jak suszarka — w kaburze na pasku. W kategoriach symboli fallicznych trafił w dziesiątkę — chociaż z tym, co nosił w spodniach, nie potrzebował żadnych symboli.

Ścisnęła mocniej kierownicę, próbując zapanować nad oddechem. Włączyła klimatyzację i ustawiła wentylator tak, by strumień zimnego powietrza dmuchał jej prosto w twarz. Czowała, że jej sutki są twarde. Gdyby mogła teraz na nie popatrzeć, okazałoby się na pewno, że stoją na baczność jak żołnierzyki.

Dobrze. Miała do czynienia, z ciężkim przypadkiem napalenia. Fakty mówiły same za siebie i Jaine musiała im stawić czoło, co znaczyło, że powinna postąpić jak zdrowa na umyśle, inteligentna dorosła osoba i jak najszybciej zacząć zażywać tabletki antykoncepcyjne. Lada dzień spodziewała się okresu, co ułatwiało sytuację — wystarczyło kupić pigułki i zacząć je natychmiast zażywać. Oczywiście jemu nie zamierzała o tym mówić. Pigułki stanowiły tylko środek ostrożności, niezbędny gdyby hormony zapanowały nad szarymi komórkami. Tak głupia rzecz nigdy się jej dotąd wprawdzie nie przydarzyła, ale również nigdy dotąd nie zaczęła się ślinić na widok wystającej części mężczyzny.

Co było z nią nie tak? — myślała gniewnie. Widywała już wcześniej takie wystające części. Jasne, interes Sama robił wrażenie, ale jako ciekawa świata studentka college'u widziała parę filmów porno i przerzuciła kilka „Playboyów”, więc widywała większe. Poza tym mimo całej zabawy, jakiej dostarczyła czterem przyjaciółkom rozmowa na temat Mr Perfect i jego penisa, tak naprawdę penis był znacznie mniej ważny od mężczyzny, do którego był przyczepiony.

Mr Perfect. Wspomnienie wróciło jak uderzenie w twarz. Cholera, jak mogła zapomnieć?

Tak samo jak wcześniej zapomniała o Samie, ponieważ przejęła się za nadto porannymi wiadomościami. Jako rozpraszacze uwagi oba tematy plasowały się wysoko, podobnie jak na przykład płonący dom.

Tego dnia Jaine mogła być jednak spokojna. Należało założyć, że z ośmiuset czterdziestu trzech pracowników Hammerstead zaledwie kilka osób widziało wiadomości. Gdyby ktoś zaczął się domyślać, zwróciłby się bezpośrednio z zapytaniem do Dawny, a ona wygadałaby resztę i informacja rozeszłaby się po całym budynku z szybkością błyskawicy. Dopóki jednak ograniczała się do Hammerstead, T.J. miała przynajmniej szansę, by utrzymać ją w sekrecie przed Galanem. Galan nie widywał się prawie wcale ze współpracownikami żony, wyjąwszy obowiązkowe przyjęcia bożonarodzeniowe, na których zwykle

pozostawał na uboczu i okropnie się nudził.

Tego dnia musiało się przecież wydarzyć coś ważniejszego — jeśli nie na skalę międzynarodową, to przynajmniej lokalną. Z drugiej strony panował właśnie sezon ogórkowy, Kongres nie obradował, a wszyscy parlamentarzyści albo pojechali do domów, albo włóczyli się po świecie, toteż żadnych istotnych wiadomości spodziewać się raczej nie należało, chyba że w grę wchodziła jakaś katastrofa. Jaine nie chciała oczywiście, żeby rozbił się samolot albo cokolwiek w tym rodzaju, ale może mogło wydarzyć się coś atrakcyjnego, co nie pociągnęłoby jednak za sobą niczyjej śmierci.

Zaczęła się modlić o jakiś nagły spadek akcji na giełdzie, oczywiście pod warunkiem, że przed końcem dnia wszystko wróciłoby do normy. Taka sytuacja przykułaby z pewnością uwagę dziennikarzy na wystarczająco długo, żeby zapomnieć o Mr Perfect.

Kiedy tylko podjechała pod bramę Hammerstead, zrozumiała, że jej optymistyczne prognozy są mocno przesadzone. Pod bramą stały trzy wozy telewizyjne, a trzech niezbyt eleganckich facetów z kamerami wideo filmowało dwóch mężczyzn i kobietę stojących w tle. Trzej reporterzy starali się sobie wzajemnie nie przeszkadzać, każdy z nich filmował inną osobę, mówiąc jednocześnie coś do mikrofonu. Jaine poczuła, że kurczy się jej żołądek. Wciąż jednak miała nadzieję. Giełda nie rozpoczęła jeszcze działalności.

— Co się dzieje? — usłyszała, wchodząc do budynku. Tuż przed nią maszerowali korytarzem dwaj mężczyźni. — Po co te ekipy? Kupili nas? A może zamknęli budę?

— Nie oglądałeś porannych wiadomości?

— Nie miałem czasu.

— Zdaje się, że jakieś babki, które tu pracują, obmyśliły własną definicję idealnego faceta — Mr Perfect. Wszystkie stacje telewizyjne o tym trąbia.

— Jaka jest ta ich definicja? Mr Perfect to ktoś, kto zawsze opuszcza deskę klozetową?

Choroba — pomyślała Jaine. — O tym zapomnieliśmy.

— Nie, z tego, co wiem, to podoba im się taki typowy harcerzyk, wiesz,

wierny, uczciwy, taki, co to przeprowadza staruszki przez jezdnię. Tego typu bzdury...

— Ty, mnie chyba na to stać — oznajmił pierwszy mężczyzna tonem odkrywcy.

— No to lu.

— Ale nie powiedziałem, że chcę.

Roześmieli się. Jaine wyobrażała sobie przez chwilę, jak by to było miło, gdyby kopnęła ich w tyłek, ale zadowolila się pytaniem:

— Chcecie przez to powiedzieć, że jesteście niewierni? Wspaniale!

Obejrzel się za siebie, jakby byli zdziwieni jej widokiem, choć musieli przecież słyszeć, że ktoś za nimi idzie. Znała ich twarze, ale nie nazwiska. Należeli do młodszej kadry kierowniczej, mieli dwadzieścia kilka, może trzydzieści lat, wystrojeni byli w eleganckie niebieskie koszule i tradycyjne krawaty.

— Przepraszam — rzekł pierwszy, uśmiechając się nieszczerze. — Nie widzieliśmy cię.

— To prawda — odparła, przewracając oczami. Potem jednak pomyślała, że wcale nie musi się angażować w tego rodzaju rozmowy. Niech ta szczególna bitwa płci toczy się bez niej; im mniej uwagi na siebie zwracały autorki Listy, tym lepiej.

Podeszli w ciszy do trzech wind. Tym razem nikt nie wywiesił żadnego śmiesznego napisu i Jaine poczuła się zawiedziona. Marci, zdenerwowana i spięta, czekała na nią w biurze.

— Chyba oglądałaś wiadomości — powiedziała do Jaine.

Jaine przytaknęła.

— Dzwoniłam do T.J. i ostrzegłam ją.

— Nawet nie wiesz, jak mi przykro — rzekła Marci, zniżając głos, gdyż ktoś właśnie mijał otwarte drzwi.

— Wiem — odparła Jaine z westchnieniem. Nie było sensu wściekać się na Marci. To i tak niczego nie zmieniało. Zresztą nie nastąpił jeszcze koniec świata, a nawet gdyby Galan dowiedział się prawdy, w wyniku czego rozwiódłby się z T.J., to ich małżeństwo i tak nie było specjalnie udane.

— Dawna podała im moje nazwisko — ciągnęła Marci. — Telefon do-

prowadzał mnie dziś do szau. — Wszystkie stacje z „Wiadomościami” na czele domagają się wywiadu. — Widziałaś artykuł?

Jaine kompletnie zapomniała o porannej gazecie. Peep—show pochłonał całą jej uwagę.

— Jeszcze nie czytałam gazet.

— Był słodki. Umieścili go w dziale z przepisami i tego rodzaju rzeczami, więc może zbyt wielu ludzi go nie czytało.

Listę włączono zatem do działu porad, a nie wiadomości. Na szczęście wielu czytelników nawet nie zaglądało do kolumn kobiecych. Jeśli nie chodziło o dziecko lub zwierzę, wszystkie te historyjki miały krótki żywot. Ta przekroczyła już przeciętny.

— Zamierzasz z nimi rozmawiać? Mam na myśli dziennikarzy.

— Skąd. — Marci potrząsnęła głową. — Wykluczone. Gdyby chodziło o mnie, to tak, zabawiłabym się trochę. Buck najwyżej trochę by się powściekał. Ale jesteście jeszcze wy i sprawa wygląda inaczej.

— Tak naprawdę to powody do zmartwienia ma T.J. Myślałam o tym wczoraj. Ja nic nie tracę, więc o mnie nie musicie się martwić. Luna też nie była specjalnie zmartwiona. — Ale T.J., cóż... — Jaine pokręciła głową. — To naprawdę problem.

— Osobiście nie uważam, żeby świat się skończył, gdyby T.J. rozstała się z Galanem, ale ja nie jestem nią, a ona pewnie myśli to samo; o mnie i o Bricku. — Marci wyszczerzyła zęby w uśmiechu. — Cholera! Ja zresztą podzielam jej zdanie.

Nic dziwnego — przemknęło Jaine przez głowę. Gina Landretti, która również pracowała w dziale płac, weszła do i biura. Na widok Marci i Jaine rozbłyły jej oczy.

— Hej — powiedziała z uśmiechem. — To wy! To znaczy mam na myśli cztery przyjaciółki. Powinnam była domyślić się tego wcześniej, kiedy przeczytałam nazwisko Marci, ale dopiero teraz to do mnie dotarło. Te dwie pozostałe to pewnie ta ładna z działu sprzedaży i druga z działu kadr. Widziałam, jak chodzicie razem na lunch.

Nie było sensu zaprzeczać. Jaine i Marci wymieniły znaczące spojrzenia i

wzruszyły ramionami.

— Super! — entuzjasmowała się Gina. — Pokazałam artykuł mężowi. Kiedy doszedł do numeru ósmego, naprawdę się wściekł, chociaż odwraca się przecież zawsze na widok kobiety z dużymi cyckami. Aż się musiałam roześmiać. A on dalej się do mnie nie odzywa. — Gina nie wydawała się specjalnie przejęta tym faktem.

— Po prostu żartowałyśmy. Sytuacja wymknęła się spod kontroli.

— Wcale nie. Przecież to świetny pomysł. Opowiedziałam tę historię siostrze z Nowego Jorku, a ona poprosiła o kopię całego artykułu, a nie tylko o skrót z porannej prasy.

— Twoja siostra? — Jaine poczuła, że ziemia znów osuwa się jej spod nóg. — Ta, która pracuje dla jednej z tych wielki stacji?

— ABC. Konkretnie w „Good Morning America”.

— Marci wyraźnie się zaniepokoiła.

— Zainteresowała się tym osobiście?

— Uważała, że to strasznie śmieszne. Nie byłabym wcale zdziwiona, gdyby do was zadzwonili. Siostra mówiła, że Lista zrobi furorę... — Gina pożeglowała w stronę biurka, zadowolona, że dostarcza im reklamy.

Jaine wygrzebała dolara z torebki, dała go Marci i wypowiedziała cztery bardzo brzydkie słowa.

— Rety! — Marci była wyraźnie pod wrażeniem. — Nigdy czegoś podobnego od ciebie nie słyszałam.

— Zachowuję ten repertuar na wyjątkowe okazje.

Zadzwonił telefon Jaine. Wbiła w niego wzrok. Nie było jeszcze ósmej, więc telefon nie miał żadnego powodu, żeby dzwonić. Natarczywy brzęczyk mógł oznaczać tylko złe wiadomości

Przy trzecim dzwonku Marci podniosła słuchawkę.

— Płace — powiedziała energicznie. — Och... T.J. Tu Marci. Rozmawialiśmy właśnie... cholera, kochanie, tak mi przykro – zakończyła z troską.

Jaine wyrwała jej słuchawkę.

— Co się stało? — spytała.

— Wszystko się wydało — odparła ponuro T.J. — Odśluchałam wia-

domości. Było siedem telefonów od dziennikarzy. Do was też pewnie dzwoniłi.

Jaine popatrzyła na światelko automatycznej sekretarki. Migalo jak wściekle.

— Może odczepią się od ciebie i Luny, jeżeli ja i Marci zgodzimy się z nimi pogadać — zaproponowała. — Zależy im wyłącznie na historyjce, prawda? A historyjkę muszą zilustrować czyjaś twarzą. Potem dadzą sobie spokój i zajmą czymś innym.

— Mają wszystkie cztery nazwiska.

— Co nie znaczy, że potrzebują czterech osób do rozmowy. Wystarczy im jakikolwiek komentarz.

— Sama mogę udzielić im wywiadu — powiedziała Marci, która zrozumiała całą treść rozmowy wyłącznie na podstawie wypowiedzi Jaine.

T.J. usłyszała propozycją Marci.

— Możesz spróbować. Ale ja nie zamierzam się od niczego wymigiwać. Jeśli nie zadowolili ich rozmowa z tobą i Marci albo z samą Marci, wtedy usiądziemy we czwórkę, udzielimy im wywiadu i co będzie, to będzie. Absolutnie nie zamierzam czuć się winna tylko z tego powodu, że dla zabawy ułożyliśmy jakąś głupią Listę.

— Dobra — powiedziała Marci, kiedy Jaine odłożyła słuchawkę. — Zadzwońię do Luny, a potem do tych dziennikarzy i umówię się z nimi w porze lunchu. Wezmę wszystko na siebie. — Zacisnęła kciuki. — Musi się udać.

Przez całe rano współpracownicy Jaine zaglądali do jej gabinetu, czyniąc różne żartobliwe uwagi... a przynajmniej kobiety postępowały w ten sposób. Zgodnie z jej oczekiwaniami, dwóch panów zaproponowało, żeby dokonała pomiarów, inni zrobili kilka sarkastycznych uwag. Leah Street popatrzyła na nią z przerażeniem, ale nie zaczęła rozmowy, z czego Jaine mogła się tylko cieszyć. Niemniej jednak Jaine obawiała się poważnie, że na jej biurku może się w każdej chwili pojawić kartka z napisem: „nierządnica z Babilonu”. Leah przeżywała całą tę sprawę głębiej niż T. J., co dawało wiele do myślenia.

Wszystkie wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce pochodziły od reporterów. Jaine po prostu je skasowała i do nikogo niej oddzwoniła. Marci zajęła się widocznie na serio porządkowaniem całej sprawy, bo po dziewiątej

nikt się już nie odezwał. Rekiny krażyły; teraz wyłącznie wokół Marci.

Aby jednak nie ryzykować spotkania z barbarzyńcami, Jaine kupiła kanapkę w automacie. Gdyby plan Marci zawiódł i panujący na razie spokój okazał się tylko ciszą przed burzą, Jaine i tak postanowiła to wykorzystać. Jak się jednak okazało, spokój był pozorny, gdyż w pokoju socjalnym siedziała cała masa ludzi. Wśród nich znajdowała się też Leah Street, która jadła lunch samotnie przy stoliku, choć inne były zatłoczone.

Gdy w drzwiach stanęła Jaine, gwar rozmów ustąpił miejsca mieszaniu gwizdów i aplauzu. Te ostatnie pochodziły od kobiet.

Mogła tylko ukłonić się na tyle nisko, na ile pozwalało jej na to odrapane kolano i obolałe zębra.

— Dziękuję wam bardzo — powiedziała, imitując Elvisa. Wrzuciła pieniądze do automatu i szybko uciekła, ignorując komentarze typu: „To było takie śmieszne” i „No tak, wy, kobiety, zawsze się wściekacie, jak tylko jakiś facet komentuje wasze...”

Pokój socjalny zmienił się nagle w pole bitwy między płciami.

— Cholera, cholera, cholera — mruzczała Jaine, wracając do biura z zimnym napojem i krakersami. Komu miała płacić, jeśli klęła w samotności? Może powinna odkładać pieniądze na przyszłe wykroczenia?

Marci zadzwoniła o drugiej. Lunch już dawno się skończył.

— Wywiady skończone — powiedziała zmęczonym głosem. — Teraz się przekonamy, czy ustanie wrzawa.

Kiedy Jaine wychodziła z pracy, reporterów nie było już przy bramie. Pojechała szybko do domu, żeby obejrzeć lokalne wiadomości, i zahamowała gwałtownie na podjeździe, wzbijając tuman żwiru. Cieszyła się, że Sama nie ma w domu, bo na pewno wypomniałby jej zakłócenie porządku.

BooBoo znów dobrał się do poduszki. Jaine nie zwróciła uwagi na strzępki wyściółki, chwyciła pilota, włączyła telewizor i przysiadła na brzeжку krzesła. Przeczekała reportaż z giełdy — nie zanotowano żadnych gwałtownych spadków ani zwyżek — potem prognozę pogody i wiadomości sportowe. Kiedy już miała nadzieję, że wywiad z Marci w ogóle nie ukaże się na ekranie, spiker oznajmił dramatycznym tonem:

— Teraz Lista. Cztery panie z Detroit precyzują swoje wymagania w stosunku do mężczyzn.

Jęknęła i opadła z powrotem na krzesło. BooBoo wskoczył jej na kolana po raz pierwszy od przeprowadzki. Jaine machinalnie podrapała go za uszami, a kot zaczął mrużyć z zadowolenia.

Po reklamach wznowiono program.

— Cztery mieszkanki Detroit: Marci Dean, Jaine Bright, T.J. Yoisher i Luna Scissum, sporządziły listę cech, jakie powinien posiadać idealny mężczyzna. Cztery przyjaciółki pracują w Hammerstead Technology, a tekst zwany „Listą” powstał w wyniku burzy mózgów, jaka miała miejsce podczas przerwy na lunch.

Nieprawda — pomyślała Jaine. Nie podczas lunchu, tylko u Erniego, po pracy. Albo reporter po prostu o to nie zapytał i założył, że koleżanki jadły razem lunch, albo też „pora lunchu” brzmiała lepiej niż „bar w piątkowy wieczór”. Tak było zresztą na pewno korzystniej dla T.J., jako że Galan nie aprobował piątkowych pogawędek u Erniego. Na ekranie mignęła twarz Marci. Wypoczęta i zadowolona uśmiechała się do kamery, a gdy reporter zadał jej pytanie, zarechotała radośnie, odrzucając głowę do tyłu.

— Która nie chciałaby idealnego mężczyzny? — zapytała. — Oczywiście każda kobieta ma inne wymagania, tak więc to, co znalazło się na naszej liście, mogłoby zostać pominięte na innej.

Dobra. Całkiem dyplomatycznie — pomyślała Jaine. Wypowiedź jak do tej pory nie budziła kontrowersji.

A potem Marci wszystko popsuła. Dziennikarka, poprawna aż do czubków palców u nóg, oświadczyła, że precyzowanie wymagań o charakterze czysto fizycznym wydaje się dość płytkie. Marci uniosła brwi, a jej oczy zrobiły się okrągłe jak koraliki. Jaine jęknęła cicho — wiedziała, że Marci przygotowuje się w ten sposób do ataku.

— Płytkie? — powtórzyła Marci. — Sądzę, że raczej szczerze. Myślę, że każda kobieta marzy o mężczyźnie... powiedzmy... hojnie obdarzonym przez naturę.

— Chyba tego nie redagowałaś! — wrzasnęła Jaine, zrywając się na równe nogi i zrzucając BooBoo z kolan. Kot wylądował bezpiecznie na dywanie ale po-

patrzył na nią z wyrzutem. Nie zwróciła na niego uwagi. — Przecież to pora telewizji rodzinnej! Jak mogliście puścić coś podobnego na antenie?

Oglądalność. Oto jak. Wszystkie stacje telewizyjne w kraju walczyły o widzów. Jak wiadomo, seks świetnie się sprzedaje, a Marci właśnie dokonała transakcji.

Rozdział 9

Zadzwonił telefon. Jaine wahała się przez chwilę, czy podnieść słuchawkę. Reporterzy nie powinni już dzwonić, gdyż Marci udzieliła im wywiadu. Zważywszy porę, telefonował jednak ktoś, kto ją znał i chciał rozmawiać, tak jakby jej piętnastominutowa sława mogła się mu udzielić dzięki znajomości z tak popularną osobą. A Jaine nie chciała już ani słowem wspominać o Liście. Pragnęła wyłącznie o niej zapomnieć.

Z drugiej strony mogła przecież telefonować Luna, T.J. albo Marci.

Odebrała po siódmym dzwonku, postanawiając, że w razie czego zacznie mówić z włoskim akcentem i udawać kogoś innego.

— Jak mogłaś mi to zrobić? — warknął jej brat, David.

Jaine zamrugała oczyma, próbując się przestawić na inny temat. Boże, czy on już nigdy jej nie wybaczy tymczasowej opieki nad autem ojca?

— Nic ci nie zrobiłam. To nie moja wina, że tatuś chciał zostawić samochód u mnie. Wolałabym tysiąc razy, żebyś ty pilnował auta, bo nie musiałabym parkować na podjeździe, tylko w garażu.

— Nie chodzi o samochód — zawył. — Mówię o telewizji! Jak mogłaś? Jak ja przez ciebie wyglądam?!

Czyste szaleństwo. W jaki sposób ta sprawa mogła wpłynąć na Davida? — myślała gorączkowo. W końcu doszła do wniosku, że David nie spełnia po prostu kryteriów Listy i nie chce, by Valerie się dowiedziała, że w ogóle istnieją jakiegokolwiek kryteria. Jaine nie miała jednak najmniejszej ochoty dyskutować na temat fizycznych atrybutów brata.

— Jestem pewna, że Valerie nie będzie robiła żadnych porównań — powiedziała na tyle dyplomatycznie, na ile to było możliwe. — Nastawiłam czajnik i muszę...

— Valerie? A co ona ma z tym wspólnego? Chcesz mi wmówić, że brała udział w tej całej historii z Listą?

Coraz większe szaleństwo. Jaine podrapała się po głowie.

— Chyba nie wiem, o czym mówisz — odparła w końcu.

— O tym, co było w telewizji!

— Przecież to ciebie nie dotyczy!

— Podałaś nazwisko! Gdybyś kiedykolwiek wyszła za mąż, nie nazywałabyś się Bright. Ale nie, ty musiałaś pozostać samotna, więc nazywamy się tak samo. A nazwisko nie jest niestety popularne. Pomyśl tylko, co mnie czeka w pracy!

To już przekraczało wszelkie granice, nawet jak na możliwości Davida. Jego paranoja objawiała się jak dotąd w mniej oczywisty sposób. Jaine kochała brata, choć on ani na chwilę nie przestał myśleć, że świat się wokół niego kręci. W szkole średniej mogła go jeszcze zrozumieć, bo był wysoki, przystojny i uwielbiany przez dziewczyny, ale David skończył szkołę piętnaście lat temu.

— Nikt nie zwróci na to uwagi — powiedziała ostrożnie. — Nie uważam, by...

— Właśnie — przerwał. — Nie uważasz na to, co mówisz.

Teraz też nie uważała.

— Pocałuj mnie w dupę — warknęła i trzasnęła słuchawką. Reakcja niezbyt dojrzała, niemniej zadowolająca.

Znowu zadzwonił telefon. Tym razem nie zamierzała odbierać. Po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie kazała zainstalować identyfikatora rozmów. Może naprawę go potrzebowała.

Telefon nie przestawał dzwonić. Doliczyła do dwudziestu i chwyciła słuchawkę.

— Co? — wrzasnęła. Jeśli David sądził, że może ją tak prześladować, postanowiła się przekonać, co zrobi, kiedy ona zadzwoni do niego o drugiej nad ranem. Bracia!

To jednak była Shelley.

— No, tym razem przesadziłaś — zaczęła.

Jaine potarła czoło. Czowała, że zaczyna boleć ją głowa. Po wymianie zdań z Davidem już wiedziała, czego się może spodziewać.

— Nie będę mogła wejść do kościoła z podniesioną głową.

— Zesztywniał ci kark? Byłaś u lekarza?

— Ależ ty się lubisz popisywać! W dodatku myślisz wyłącznie o sobie. Czy choć raz przyszło ci do głowy, że coś takiego może się odbić na moich dzieciach? Stephanie jest przerażona. Wszystkie koleżanki wiedzą, że jesteś jej ciotką.

— Skąd wiedzą? Nigdy nie miałam okazji ich poznać.

— Chyba od Stephanie...

— Jest przerażona i przyznała się do pokrewieństwa z taką osobą? Dziwne.

— Dziwne czy nie — odparła Shelley, odzyskując pewność siebie — uważam, że nie należy obnażać się publicznie.

Jaine szybko przejrzała w myślach wywiad z Marci.

— Marci chyba niczego nie zdjęła...

— Marci? O czym tym mówisz?

— O tym wywiadzie w telewizji.

— Więc to dotarło aż do telewizji? — spytała Shelley z przerażeniem.
— Och nie...

— Jeżeli nie widziałaś tego w telewizji, to o czym mówisz? O jakim publicznym obnażaniu?

— O Internecie. Stephanie dowiedziała się o tym z Internetu.

Internet? Głowa rozboleła ją na dobre. Jeden z tych maniaków z pracy opublikował artykuł w Internecie. A czternastoletnia Stephanie otrzymała niezłą lekcję.

— Ja nie umieściłam Listy w Internecie. Musiał to zrobić ktoś z moich kolegów.

— Ale ty ją ułożyłaś.

Nagle Jaine poczuła, że już dłużej tego nie wytrzyma. Czowała się tak, jakby od paru dni chodziła po linie. Była maksymalnie zestresowana, a ludzie, od których przede wszystkim oczekiwała wyrozumiałości i pomocy, dawali się jej mocno we znaki. Nie mogła już tego znieść i nawet nie przychodziła jej do głowy żadna kąśliwa riposta.

— Wiesz — odezwała się cicho, przerywając monolog Shelley — mam

absolutnie dość tego, że zarówno ty, jak i David obwiniacie mnie o całą tę aferę i nawet nie próbujecie dojść, jak do tego wszystkiego doszło. On jest na mnie wściekły za samochód, ty za kota, więc nawet nie pytacie, jak sobie z tym wszystkim radzę. A gdybyście choć przez chwilę pomyśleli, musielibyście dojść do wniosku, że nie czuję się najlepiej. Właśnie zaproponowałam Davidowi, żeby pocałował mnie w dupę i... wiesz co, Shelley? Ty możesz zrobić to samo. — Z tymi słowami odłożyła słuchawkę, kończąc w ten sposób rozmowę z siostrą. Na szczęście nie miała już więcej rodzeństwa. — Taka właśnie ze mnie dyplomatka — zwróciła się do BooBoo i zamrugła, czując zupełnie nietypową wilgoć pod powiekami.

Kiedy znów zadzwonił telefon, wyłączyła go bez zastanowienia. I tak już nagrano jej zbyt dużo wiadomości na sekretarce. Skasowała wszystkie, nawet ich nie odsłuchując, i poszła do sypialni zmienić ubranie. BooBoo potupał za nią.

Nie sądziła, by kot mógł ją pocieszyć, ale wzięła go na ręce i potarła policzek o czubek jego głowy. Znosił pieszczotę przez minutę, po czym wyrwał się z jej uścisku i zeskoczył na podłogę.

Jaine była zbyt spięta i przygnębiona, by usiąść i odpocząć czy nawet jeść. Pomyślała, że może udałoby się jej zużyć trochę energii podczas mycia auta, i szybko włożyła szorty oraz podkoszulek. Viper nie był bardzo brudny — ponad dwa tygodnie nie padało — lecz lubiła, kiedy lśnił. Mycie i polerowanie nie tylko spalało energię, ale dawało zadowolenie. A ona potrzebowała czegoś, co przyniosłoby jej choć trochę satysfakcji.

Prychała gniewnie, przygotowując akcesoria niezbędne przy myciu auta. Powinna zanieść BooBoo do Shelley — niechby zniszczył jej poduszki. Shelley miała zresztą nowe meble — zawsze sprawiała takie wrażenie, jakby miała nowe meble — i na pewno nie zniosłaby tej strawy z równie stoickim spokojem jak Jaine. Przed przeniesieniem BooBoo do Shelley powstrzymywał ją jednak fakt, że mama powierzyła kota jej opiece, a nie opiece Shelley.

Co do Davida... cóż, sytuacja wyglądała identycznie. Jaine odstawiłaby już dawno samochód do garażu Davida, gdyby nie fakt, że to ją ojciec poprosił o pomoc w tej sprawie. A gdyby coś stało się z pontakiem pod kuratelą Davida,

Jaine czułaby się wręcz podwójnie winna. Tak czy inaczej nie miała wyjścia.

Wzięła irchowe szmatki, kubel, szampon samochodowy, który nie powodował matowienia lakieru, wosk i płyn do szyb, po czym wypuściła BooBoo na podwórko za domem, tak by kot mógł obserwować jej poczynania. Koty nie lubią wody, toteż prawdopodobieństwo, że BooBoo zainteresuje się myciem auta, było nikłe, ale Jaine pragnęła towarzystwa. BooBoo usadowił się wygodnie na nasłonecznionym skrawku chodnika i zapadł szybko w kocią drzemkę.

Na sąsiednim podjeździe nie stał pogięty, brązowy pontiac, dzięki czemu Jaine nie musiała się martwić, że przez przypadek go ochłapie i wzbudzi gniew Sama, choć jej zdaniem ten stary grat wymagał mycia. Co nie znaczyło jednak, że mycie cokolwiek by tu zmieniło — powierzchowne zabiegi kosmetyczne nie naprawiłyby zniszczeń — ale brudne auta obrażały jej poczucie estetyki. Samochód Sama stanowił zagrożenie dla zmysłu smaku.

Zajęła się na razie własnym autem — myła je i wycierała po kawałku, tak że szampon nie miał czasu wyschnąć i spowodować zacieków. Zresztą ten konkretny szampon podobno nigdy nie powodował zacieków, ale Jaine nie ufała reklamom. Ojciec nauczył ją myć samochody taką, a nie inną metodą, a ona nigdy nie znalazła lepszego sposobu.

— Hej.

— Cholera! — wrzasnęła, upuszczając ścierkę. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Zamarła z węzem w ręku.

Sam odskoczył gwałtownie do tyłu, bo woda zmoczyła mu nogi.

— Uważaj, co robisz — warknął.

Jaine poczuła natychmiast, że wzbiera w niej gniew.

— Dobrze — odparła przymilnie i skierowała strumień wody prosto w twarz Sama.

Wrzasnął i uskokzył. Zamarła z węzem w ręku, patrząc, jak Sam wyciera dłonią policzki. Pierwszy atak, mimo że przypadkowy, zmoczył mu dzinsy od kolan w dół. Drugi załatwił podkoszulek, którego przód przylegał teraz Samowi do piersi jak plaster. Jaine udawała, że nie dostrzega mocno umięśnionego torsu.

Stali na wprost siebie jak rewolwerowcy, oddaleni zaledwie o trzy metry.

— Do kurwy nędzy! Oszalałaś?! — wrzasnął.

Oblała go ponownie. Mściwie chlustała na niego wodą, patrząc, jak usiłuje uskoczyć przed zimnym strumieniem.

— Nie mów mi, że oszalałam! — wrzasnęła, przysłaniając nieco otwór, tak by woda tryskała z większym impetem. — Mam już absolutnie dość ludzi, którzy bez przerwy się mnie czepiają. — Znow trysnęła mu wodą w twarz. — Robi mi się niedobrze na samą myśl o tobie, Shelley, Davidzie i wszystkich kolegach z pracy, głupich dziennikarzach i BooBoo niszczącym mi poduszki. Dość, rozumiesz?

Zmienił natychmiast taktykę — zaniechał ucieczki i przeszedł do ataku. Ruszył na nią jak taran, nie próbując się nawet uchronić przed kolejną porcją wody. Jaine chciała uskoczyć na bok, ale było za późno — Sam chwycił ją w tali, przygniótł plecami do vipera i zręcznie niczym atakująca żmija, wyrwał jej waż z ręki. Sięgnęła po waż. Bez skutku. Sam przyciskał ją zbyt mocno do auta.

Oboje dyszeli z wysiłku. Sam ociekał wodą, a woda z jego ubrania moczyła podkoszulek i szorty Jaine.

Gdy podniosła na niego wzrok, on spojrzał na nią z góry. Ich nosy dzieliło zaledwie parę centymetrów.

Na rzęsach Sama osiadły krople wody.

— Oblałaś mnie — powiedział oskarżycielskim tonem, jakby nie mógł uwierzyć, że Jaine jest do tego zdolna.

— A ty mnie przestraszyłeś — odparła. — To był wypadek.

— Za pierwszym razem. Potem oblałaś mnie specjalnie.

Skinęła głową.

— Poza tym powiedzałaś: „cholera” — „niech to szlag”. Jesteś mi winna pół dolara.

— Wprowadzam nową zasadę. Nie możesz doprowadzać mnie do szału, a potem karać za to, że się wściekam.

— Próbujesz mnie oszukać? — spytał z niedowierzaniem.

— Jasne. To wszystko przez ciebie.

— Jakim cudem?

— Przestraszyłeś mnie celowo. Nawet nie próbuj zaprzeczać. Dlatego pierwsze przekleństwo to wyłącznie twoja wina — powiedziała, próbując wyswobodzić się z uścisku. Cholera, był ciężki i równie mało elastyczny jak karoseria, do której ją przygniatał.

Zdusił próbę ucieczki w zarodku, opierając się o Jaine całym ciężarem ciała. Woda z jego ubrania ściekała jej po nogach.

— A drugie?

— Powiedziałeś k... — Ugryzła się w język. — Moje oba słowa razem nie są tak okropne jak to jedno twoje.

— Wprowadzasz system punktowy?

Popatrzyła na niego z pogardą.

— Chodzi o to, że nie użyłabym żadnego z tych brzydkich wyrazów, gdybyś po pierwsze mnie nie przestraszył i po drugie nie kłął.

— Skoro tak, to ja bym nie kłął, gdybyś mnie nie oblała.

— A ja bym cię nie oblała, gdybyś mnie nie przestraszył. Widzisz, mówiłam, że to wszystko twoja wina — powiedziała triumfalnie, wysuwając podbródek.

Zaczerpnął powietrza, a jego tors spłaszczył jeszcze bardziej jej piersi. Jaine zdała sobie boleśnie sprawę, że jej sutki są aż nadto wyraźnie świadome bliskości męskiego ciała. Oczy rozszerzyły się jej z przerażenia.

Sam patrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— Puść mnie — powiedziała, z trudem kryjąc zdenerwowanie

— Nie!

— Nie? — powtórzyła. — Nie możesz odmówić. Łamiesz prawo.

— Nie łamię prawa, tylko przygniatam cię do auta.

— Siłą.

Wzruszył ramionami. Nie wydawał się przejęty.

— Puść mnie natychmiast — powtórzyła.

— Nie mogę.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

— Dlaczego? — Tak naprawdę obawiała się poważnie, że wie, dlacze-

go. Przyczyna rosła już od dobrych paru minut w jego mokrych dżinsach. Jaine próbowała za wszelką cenę nie zwracać na to uwagi i od talii w górę — pomijając sterczące sutki — odniosła sukces. Od talii w dół przegrała z krete sem.

— Bo zamierzam zrobić coś, czego pożałuję. — Pokręcił głową, jakby nie rozumiał sam siebie. — Wciąż nie mam krzesła ani bata, ale trudno. Zaryzykuję.

— Zaczekaj — pisnęła, lecz było za późno.

Pochylił głowę.

Późne popołudnie zawirowało jak kołowrotek. Z końca ulicy dotarł do niej śmiech dziecka. Obok przejechał samochód. Zaklekotał sekator. Wszystkie te dźwięki zdawały się dochodzić z bardzo daleka i Jaine odniosła wrażenie, że nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Prawdziwe były tylko usta Sama na jej ustach, jego język oplatający jej język, zapach męskiego ciała wypełniającego nozdrza i płuca i ten smak... smak Sama. Smakował jak czekoladka. Jak batonik Hersheya. Miała ochotę go pożreć.

Zdała sobie nagle sprawę, że wpija dłonie w mokry podkoszulek. Nie przerywając pocałunku, Sam oderwał jej dłonie od mokrej bawełny i zarzucił je sobie na szyję, przyciskając się do Jaine jeszcze mocniej — od kolan po barki.

To niemożliwe, żeby zwykły pocałunek tak bardzo ją podniecił. Ale nie był to zwykły pocałunek. Sam pocierał torsem o jej sutki stwardniały niemal do bólu, a jego erekcja wbijała się Jaine w brzuch powolnym rytmem, który mimo swej subtelności okazał się potężny niczym przyływ oceanu.

Usłyszała dziki, stłumiony krzyk, który wyrwał się z jej z gardła, i uczyniła wysiłek, by unieść się nieco wyżej, tak by wybrzuszenie w dżinsach Sama znalazło się w tym najbardziej właściwym miejscu. Płonęła z podniecenia, umierała niemal z gorąca, oszalała z niezaspokojonego pożądania.

Sam wciąż trzymał wąż w dłoni. Splótł ramiona i uniósł Jaine na upragnioną wysokość. Woda oblała BooBoo, który syknął dziko i uskoczył, a następnie chlusnęła na auto, mocząc przy okazji Sama i Jaine. Ona jednak nie zwracała na to uwagi. Z językiem wciąż w ustach Sama, oplotła go nogami w biodrach tak, że wybrzuszenie w spodniach znalazło się dokładnie tam, gdzie chciała je poczuć.

Znów wykonał ten subtelny, kolisty ruch. Jaine omal nie zaczęła szczytować. Wbiła mu paznokcie w ramiona, wygięła plecy w łuk i wydała gardłowy jęk.

Oderwał wargi od jej ust, dyszał, a w jego oczach pojawił się nowy, dziki wyraz.

— Chodźmy do środka — powiedział cicho, niemal niezrozumiale.

— Nie — jęknęła. — Nie przestawaj. — Była tak blisko... blisko. Przycisnęła się do niego mocniej.

— Chryste! — Przymknął oczy, próbując opanować pożądanie. — Jaine. Przecież nie mogę się z tobą pieprzyć na podwórku. Musimy wejść do środka.

Boże, właśnie miała to z nim zrobić, a jeszcze nie zaczęła brać tabletek.

— Zaczekaj — krzyknęła w panice, odpychając się od niego gwałtownie. — Przestań! Puść!

— Przestań? — spytał z niedowierzaniem. — Czy ty naprawdę powiedziałaś „przestań”?

— Zmieniłam zdanie. — Wciąż usiłowała się od niego odepchnąć. Nadal bez skutku.

— Nie możesz zmienić zdania — powiedział z rozpaczą.

— Owszem, mogę.

— Masz opryszczkę?

— Nie.

— Syfilis?

— Nie.

— Rzeżączkę?

— Nie.

— AIDS?

— Nie!

— W takim razie nie wolno ci zmienić zdania.

— Mam za to dojrzałe jajeczko. — Prawdopodobnie kłamała. Niemal na pewno kłamała. Następnego dnia spodziewała się okresu, ale mimo wszystko nie chciała ryzykować ewentualnego potomstwa. Jeśli w wiązce DNA koła-

tało się jeszcze jakieś życie, to sperma Sama na pewno by je podtrzymała. Są rzeczy, które po prostu nie budzą wątpliwości.

Dojrzałe jajeczko zmusiło go do myślenia.

— Mogę użyć prezerwatywy — zaproponował.

Popatrzyła na niego miażdżącym spojrzeniem. Przynajmniej miała taką nadzieję. Sam jednak nie wydawał się zmiażdżony.

— Prezerwatywy są skuteczne zaledwie w dziewięćdziesięciu czterech procentach. Co znaczy, że w sześciu przypadkach na sto zawodzą.

— Więc nie jest tak źle.

Kolejne miażdżące spojrzenie.

— Naprawdę? Możesz sobie wyobrazić, co by było, gdyby jeden z twoich żołnierzyków dobrał się do mojej dziewczynki?

— Zaczęliby walczyć jak dwa wściekłe koty w worku.

— Nawet nie przedstawiliśmy się sobie — zauważyła.

— Cholera. — Potarł dłonią twarz. — Nazywam się Sam Donovan.

— Wiem. Pani Kutavich mi powiedziała. Jestem Jaine Bright

— Wiem. Też od pani Kulavich. Znam nawet pisownię twojego imienia.

— W jaki sposób pani Kulavich to wykryła? Miałam się nazywać Janine — wyjaśniła. — Jednak pierwsze „n” wypadło ze świadectwa urodzenia, a mamie zaczęło się to podobać. — Jaine żałowała, że nie ma na imię Janine. Imiona: Shelley, David, Janine, bardzo do siebie pasowały. Jaine pochodziła z innej bajki.

— Ja wolę Jaine. Nie wyglądasz na Janine.

Fakt — pomyślała ponuro. Trudno zaprzeczyć.

— Na czym w takim razie polega twój problem z... jak im tam? Ach, tak. Z Shelley, Davidem, kolegami z pracy, dziennikarzami i BooBoo? Dlaczego prześladują cię dziennikarze?

Pamięć Sama naprawdę zrobiła na niej wrażenie. Ona na pewno nie wyrecytowałaby całej listy imion, zasłyszanej w czasie zimnego prysznicu.

— Shelley to moja starsza siostra. Jest na mnie wściekła, bo mama oddała mi BooBoo pod opieką, a ona sama chciała się tym zająć. David jest mo-

im bratem. On z kolei ma do mnie pretensję o to, że auto taty jest w moim garażu. BooBoo znasz.

— Tak, to ten kot, który siedzi na masce twojego wozu.

— O rany! — Odwróciła się z przerażeniem. BooBoo spacerował po masce vipera. Zanim zdążył zeskoczyć, chwyciła go za kark i odniosła do domu. Potem natychmiast wróciła do samochodu i zaczęła szukać rys.

— Widać ty też nie tolerujesz kotów na masce — zauważył Sam. Rzuciła mu kolejne miażdżące spojrzenie, choć Sam był już i tak wystarczająco zmiażdżony dojrzałym jajeczkiem.

— Nasze samochody są po prostu nieporównywalne — powiedziała i popatrzyła ze zdziwieniem na pusty podjazd. Nie było żadnego brązowego pontiaca. A Sam stał przecież tuż obok. — Gdzie twój wóz?

— Pontiac nie jest mój. To własność miasta.

Poczuła nagły przyływ ulgi. Dzięki Bogu. Gdyby poszła do łóżka z właścicielem takiego wraka, doznałaby poważnego uszczerbku na honorze. Z drugiej strony, może potrzebowała pontiaca jako psychicznego hamulca dla swoich impulsów seksualnych. Gdyby ten grat stał na podjeździe, do poprzedniego incydentu w ogóle by nie doszło.

— W jaki sposób dostałeś się do domu? — spytała.

— W garażu trzymam traka. Przynajmniej się tam nie kurzy i ptaszki go nie brudzą.

— Traka? Jakiego traka?

— Chevroleta.

— Napęd na cztery koła?

Popatrzył na nią z pogardą.

— A są jakieś inne?

— O rany — westchnęła. — Mogę zobaczyć?

— Najpierw skończymy negocjacje.

— Negocjacje?

— Tak. Najpierw trzeba dokończyć to, co się zaczęło.

Otworzyła usta ze zdziwienia.

— To znaczy, że nie pozwolisz mi obejrzeć traka, dopóki nie pójde z to-

ba do łóżka?

— Właśnie.

— Chyba oszalałeś, skoro sądzisz, że aż tak mi na tym zależy — wrzasnęła.

— Jest czerwony!

— O rany — jęknęła.

Skrzyżował ramiona.

— Zgódź się i nie gadaj.

— Tak od razu?

— Powiedziałem, że wynegocjujemy termin randki, a nie, że zaraz pójde z tobą do łóżka. Za żadne skarby świata nie chciałbym się zbliżyć do twojego jajeczka.

— Zgodzę się na wszystko, jeśli tylko pokażesz mi traka.

— Nie ma mowy.

O samochodzie ojca nigdy nikomu nie mówiła. Mimo to wszystkie jej przyjaciółki wiedziały, że tata Jaine ma bzika na punkcie samochodu. Samochód stanowił jednak wspaniały punkt przetargowy, asa w rękawie, dzięki niemu można było osiągnąć niemal gwarantowany skutek. Poza tym Sam był gliną. Można mu było powierzyć taką tajemnicę. Niech wie, że jej garaż potrzebuje ochrony. Ojciec Jaine ubezpieczył wprawdzie samochód na bardzo wysoką sumę, ale żadne pieniądze nie mogłyby mu powetować takiej straty.

— Jeżeli pokażesz mi traka, pozwolę ci obejrzeć auto taty — powiedziała nieśmiało.

Zupełnie wbrew własnej woli zrobił zaciekawioną minę. Oczy Jaine mówiły wyraźnie, że samochód jej ojca musi być wyjątkowy.

— Jaka to marka?

— Takich słów nie wymawiam publicznie.

Nachylił się i nadstawił ucha.

— W takim razie wyszepcz.

Zbliżyła usta do jego ucha i wyczuła delikatny, męski zapach. Wyszepiała dwa słowa.

Wyprostował się tak gwałtownie, że uderzył ją w nos.

— Auuul — Potarła obolały koniuszek.

— Pokaż — zażądał ochryplym głosem.

Skrzyżowała ramiona, przedrzeźniając jego wcześniejszą pozę.

— Umowa stoi? Ty oglądasz samochód taty, a ja twojego traka?

— Cholera! Możesz go nawet poprowadzić! — Odwrócił się i popatrzył na garaż takim wzrokiem, jakby to był święty Graal. – Jest w środku?

— Całkiem bezpieczny.

— To oryginał? Nie podróba?

— Oryginał.

— A niech mnie — mruknął, ruszając w stronę garażu.

— Wezmę klucz. — Weszła na chwilę do mieszkania po klucz do kłódki.

Sam czekał na nią niecierpliwie.

— Uważaj i uchyl drzwi tylko na tyle, by wśliznąć się do środka. Nie chcę, żeby go było widać z ulicy.

— Dobra, dobra... — Zabrał jej klucz i włożył do kłódki.

Gdy weszli do ciemnego garażu, Jaine zaczęła szukać włącznika. Nad ich głowami rozbłysły żarówki, oświetlając przykryty plandeką wzgórek.

— W jaki sposób go dostał? — spytał Sam pełnym szacunku szeptem i wyciągnął rękę w stronę plandeki.

Z gardła wydarł mu się jęk.

Jaine wiedziała, co czuje Sam. Widok auta ojca zawsze zapierał jej dech w piersiach, mimo że widywała je przecież od dziecka.

Nie było szczególnie błyszczące. Dawniej nie używano lakierów z takim połyskiem jak teraz. Samochód miał srebrzystoszarą barwę i brakowało mu tak typowego obecnie luksusowego wyposażenia. Nigdzie nie zainstalowano na przykład uchwytu na filizanki.

— A niech mnie — powtórzył, patrząc na tablicę rozdzielczą. Większość znanych jej osób, dziewięćdziesiąt na sto, nie oparłaby się pokusie. Niektórzy posunęliby się nawet do tego, żeby usiąść za kierownicą. Sam natomiast traktował auto z należnym szacunkiem i Jaine poczuła dziwny ucisk w sercu. Zakręciło się jej w głowie, widzenie straciło ostrość. Wyraźna była tylko twarz Sama. Zaczęła szybko oddychać, zamrugała powiekami i po chwili świat wrócił na

swoje miejsce.

Rany boskie! O co tu chodziło?

Okrył samochód tak czule, jak matka niemowlę, po czym sięgnął do kieszeni dzinsów i wyjął bez słowa kluczyki.

Wzięła je i popatrzyła na swoje ubranie.

— Jestem mokra.

— Wiem — odparł. — Patrzyłem na twoje sutki.

Otworzyła szeroko usta i szybko zakryła dłońmi obszerne fragmenty podkoszulka.

— Dlaczego nic nie mówiłeś? — spytała gniewnie, prychnął pogardliwie.

— Uważasz mnie za wariata?

— Naprawdę powinnam się przejechać twoim trakiem bez ubrania. To ci się ode mnie należy!

Wzruszył ramionami.

— Pozwoliłaś mi obejrzeć to auto i swoje cycki, więc chyba jestem twoim dłużnikiem...

— Na nic ci nie pozwalałam. Patrzyłeś bez upoważnienia — zaczęła ale przypomniała sobie nagle, że sama widziała znacznie więcej, i zdecydowała się w ogóle nie poruszać tego tematu.

Tak jakby miała jakiś wybór...

— Poza tym widziałaś mojego ptaka. A to jest warte więcej punktów niż cycki.

— Cóż. Każda liszka swój ogonek chwali. Poza tym, o ile pamiętasz, każałam ci się zasłonić.

— A jak długo się na mnie gapiłaś?

— Zdażyłam tylko zadzwonić do pani Kulavich i zdobyć twój numer telefonu — powiedziała szczerze, bo tak właśnie wyglądała prawda. No i co z tego, że pogawędziła przez chwilę z sąsiadką? — Ty jednak nie uznałeś za stosowne się zasłonić. Nie, machałeś nim na prawo i lewo, jakbyś dawał sygnał do rozpoczęcia wyścigu.

— Chciałem cię podniecić.

— Nieprawda! Nie wiedziałeś, że patrzę!

Uniósł brew.

Rzuciła w niego kluczykami.

— Teraz, nawet gdybyś mnie o to błagał, i tak nie przejechałabym się twoim trakiem. Pewnie jest zawoszony. Ty zbereźniku, ohydny ekshibicjonisto!

Złapał kluczyki jedną ręką.

— Twierdzisz, że nie byłaś podniecona?

Już miała mu powiedzieć, że nie czuła nawet odrobiny podniecenia, ale język odmówił jej posłuszeństwa i nie zdobyła się na to, by wypowiedzieć największe kłamstwo swego życia.

— Tak myślałem — mruknął z krzywym uśmiechem. Zachować twarz mogła tylko w jeden sposób: oparła rękę na biodrze i wypięła biust tak, żeby piersi przywarły do cienkiego biustonosza i podkoszulka. Dostrzegła, że Sam przełyka ślinę.

— Nie grasz fair — powiedział zmienionym głosem.

— Zapamiętam — odparła, kierując się do wyjścia.

Wyprzedził ją zrecznie.

— Pójde pierwszy — oświadczył. — Chcę widzieć, jak wychodzisz na słońce.

Znów zasłoniła rękami piersi.

— Psujesz zabawę — mruknął i wysunął się na zewnątrz przez szparę w drzwiach. Wrócił jednak do środka tak gwałtownie, że prawie się zderzyli.

— Masz dwa problemy.

— Naprawdę?

— Tak, zostawiłaś odkręconą wodę, więc dostaniesz koszmary rachunek.

Westchnęła. Podjazd zapewne tonał. Sam musiał odebrać jej rozum, gdyż w przeciwnym wypadku nie byłaby tak nieostrożna.

— A drugi?

— Przed twoim domem jest tłum dziennikarzy. Chyba coś o nich wspominałaś.

— Cholera jasna — jęknęła.

Rozdział 10

Sam opanował sytuację. Wszedł z garażu i zamknął kłódkę, żeby żaden dziennikarz nie mógł zajrzeć do środka i zobaczyć Jaine. Może zresztą chronił raczej samochód niż ją. Przystawiła ucho do drzwi. Sam podszedł do vipera.

— Przepraszam, ale muszę zakręcić kran — powiedział uprzedzająco grzecznie. Dlaczego nie był nigdy taki uprzejmy w stosunku do niej? Oczywiście jego słowa brzmiały bardziej jak rozkaz niż prośba, ale...

— Czym mogę służyć, panowie?

— Chcemy porozmawiać z Jaine Bright o Liście — powiedział jakiś obcy głos.

— Nie znam żadnej Jaine Bright — skłamał Sam.

— Ale ona tu mieszka. Z dokumentów wynika, że przed kilkoma tygodniami kupiła ten dom.

— Pomyłka. To ja go kupiłem. Cholera, widać popełniono błąd przy rejestracji transakcji. Muszę to jakoś wyprostować.

— Jaine Bright tu nie mieszka?

— Przecież już powiedziałem, że nie znam żadnej Jaine Bright. A teraz, jeżeli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym dokończyć mycie auta.

— Ale...

— Może powinienem się przedstawić — powiedział Sam bardzo łagodnym tonem. — Nazywam się Donovan i pracuję w policji. A wy weszliście bez pozwolenia na teren prywatny. Czy musimy kontynuować tę dyskusję?

Nie musieli. Jaine stała przez chwilę nieruchomo, patrząc na odjeżdżające samochody. Jakimś cudem dziennikarze nie słyszeli ich rozmowy w garażu. Pewnie gadali między sobą, gdyż w przeciwnym wypadku coś na pewno by do nich dotarło. Widać ona i Sam byli tak pochłonięci rozmową, że nie zauważyli przybycia reporterów.

Czekała, by Sam otworzył garaż. On jednak niczego takiego nie zrobił. Do uszu Jaine dotarł szum wody i fałszywe gwizdanie.

Gbur mył jej auto.

— Mam nadzieję, że robisz to prawidłowo — syknęła przez zaciśnięte zęby. — Jeżeli szampon zaschnie na karoserii, obedrę cię ze skóry.

Bała się jednak interweniować, gdyż jakiś dziennikarz mógł się wciąż kręcić po okolicy. Zresztą gdyby którykolwiek z nich miał mózg, doszedłby pewnie do wniosku, że owszem, Sam zmieściłby się jakoś do vipera, ale na pewno nie wydałby takiej forsy na auto, które musiałby prowadzić z kolanami pod brodą. Vipery nie były produkowane z myślą o wysokich mężczyznach. Trak nadawał się dla niego znacznie lepiej. Pomyślała o czerwonym chevrolecie i wygięła usta w podkówkę. Już prawie takiego kupiła, ale potem jej serce podbił viper.

Nie miała na ręku zegarka, ale wydawało się jej, że Sam uchylił dzwi do garażu po godzinie, może nawet półtorej. Podczas gdy Jaine czekała niecierpliwie na uwolnienie, zmierzch przeszedł w noc, a jej podkoszulek zdążył już wyschnąć.

— Chyba się specjalnie nie spieszyłeś — syknęła, wychodząc z garażu.

— Nie ma za co — burknął.— Dokończyłem mycie twojego auta, a potem je nawoskowałem i wypolerowałem.

— Dziękuję. Czy zrobiłeś to właściwie? — Podeszła do samochodu, ale było zbyt ciemno, by mogła dojrzeć ewentualne zacieki.

Nie wydawał się urażony tym brakiem zaufania.

— Chcesz, żebym ci opowiedział o dziennikarzach?

— Nie. Wolę o wszystkim zapomnieć.

— To się chyba nie uda. Wróca, kiedy tylko sprawdzą księgi i stwierdzą, że jestem właścicielem domu obok. A to się stanie już jutro z samego rana.

— Wtedy będę w pracy.

— Jaine — powiedział, tym razem policyjnym tonem. Westchnęła i usiadła na ganku.

— Chodzi o tę głupią Listę.

Usadowił się obok i wyciągnął przed siebie długie nogi.

— Jaką Listę?

— Tę z cechami idealnego mężczyzny.

Popatrzył na nią uważniej.

— Tę Listę? Tę z gazety?

Skinęła głową.

— Ty ją ułożyłaś?

— Nie całkiem. — Jestem jedną z czterech autorek. Cała ta afery wynikała przypadkiem. Ta Lista miała nigdy nie wyjść poza nasz krąg, ale dostała się do firmowego biuletynu, a teraz jest już nawet w Internecie. Lawinowy efekt. — Otuliła kolana ramionami i oparła na nich głowę.

— Ale bałagan. Chyba nic innego się nie dzieje, skoro Lista budzi aż tak wielkie zainteresowanie. Już nawet zaczęłam się modlić o krach na giełdzie.

— Wypluj to słowo.

— Tymczasowy.

— Nie rozumiem — powiedział po chwili. — Co jest takiego ciekawego w tej Liście? Wierny, miły, dobra posada... Wielkie mecyje.

— Gazeta nie podała wszystkiego. Tam było coś jeszcze... — jęknęła.

— To znaczy? Jakie jeszcze?

— No wiesz. Coś więcej.

Myślał chwilę.

— W sensie fizycznym? — spytał ostrożnie.

— W sensie fizycznym — potwierdziła.

Kolejna pauza.

— O ile więcej?

— Nie chcę o tym mówić.

Położył jej rękę na karku i mocno ścisnął.

— Nie może być aż tak źle.

— Może. T.J. grozi rozwód. A Shelley i David są na mnie wściekli, bo postawiłam ich w złym świetle.

— Myślałem, że chodzi o kota i samochód.

— Też. Kot i samochód to pretekst, żeby jeszcze bardziej wściekać się o Listę.

— Shelley i David muszą być wyjątkowo upierdliwi.

— Ale to moje rodzeństwo. Kocham ich. — Przygarbiła plecy. — Przyniosę ci pieniądze.

— Jakie pieniądze?

— Za brzydkie słowa.

— Chcesz mi zapłacić?

— To jedyne honorowe wyjście. Teraz jednak znasz już reguły i płacę ci po raz ostatni w sytuacji, kiedy mnie sprowokujesz. Siedemdziesiąt pięć centów, tak? Dwa wcześniej, jedno, kiedy zobaczyłam dziennikarzy.

— Chyba tak.

Weszła do środka i wygrzebała siedemdziesiąt pięć centów. Nie miała już ćwierćdolarówek, musiała więc zapłacić dziesiątkami i piątkami. Kiedy wróciła, Sam wciąż siedział na schodkach, ale wstał, by włożyć drobniaki do kieszeni.

— Zaprosisz mnie do środka? Może przyrządzisz kolację?

Prychnęła.

— Na jakim świecie ty żyjesz?

— Tak sądziłem. Dobra, chcesz coś przekąsić?

Myślała chwilę. Istniały na pewno argumenty za i przeciw. Oczywiście korzyścią było to, że nie musiałaby jeść sama, gdyby miała ochotę coś przygotować. To jednak nie miało miejsca. Ponadto musiałaby spędzić z Samem więcej czasu. A to było niebezpieczne. Wcześniej uratowało ją tylko, że znajdowali się w miejscu publicznym. Gdyby jednak wylądowała w samochodzie Sama, kto wie, co mogłoby się wydarzyć. Z drugiej strony miałyby okazję, żeby się przejechać chevroletem.

— Nie proszę cię, żebyś się zastanowiła nad sensem życia — powiedział z irytacją. — Chcesz zjeść hamburgera czy nie?

— Ale jeśli pójde, nie wolno ci mnie dotknąć.

Uniósł rękę.

— Przysięgam. Już ci zresztą mówiłem, że za żadne skarby świata nie chciałbym się znaleźć blisko tego twojego spermożernego jajeczka. Kiedy zaczniesz zażywać pigułki?

— A skąd wiesz, że zacznę?

— Lepiej zacznij.

— Trzymaj się ode mnie z daleka, to nie będziesz się musiał tym martwić.

W żadnym wypadku nie mogła mu powiedzieć, że zamierza brać pigułki.

Zapomniała wprowadzić wpaść do apteki, ale była to pierwsza rzecz, jaką chciała zrobić następnego dnia.

— Dobrze grasz, ale ja i tak prowadzę. Zaraz będzie piłka setowa. I meczowa. Potem już nie pozostanie ci nic innego, jak tylko się położyć.

Gdyby odezwał się do niej w ten sposób inny mężczyzna, rozdarłaby go na strzępy. W tym przypadku mogła się jednak tylko droczyć.

— Wciąż serwuję.

— Tak, ale przegrałaś poprzednie dwa sety.

— Możesz na przykład nie odebrać.

— Wątpię.

— Jeszcze zobaczymy — warknęła.

— Co jest, do diabła? Robisz z tego turniej?

— Ty zacząłeś. Piłka setowa, kurczę pieczone.

— Ćwierć dolara.

— Kurczę to nie jest brzydkie słowo.

— I kto to mówi... — Zamilkł i westchnął głęboko. — Nieważne, Odwróciłaś moją uwagę od tematu. Chcesz iść coś zjeść czy nie?

— Wolę chińszczyznę niż hamburgery.

Kolejne westchnienie.

— Lubię tę restaurację przy Twelve Mile Road.

— Dobrze! — ryknął.

Uśmiechnęła się promiennie.

— Pójdę się przebrać.

— Ja też. Pięć minut.

Jaine poszła szybko do domu. Wiedziała, że Sam też się spieszy. Nie wierzył, że wystarczy jej pięć minut na zmianę stroju. Miał więc okazję się o tym przekonać.

Biegając do sypialni, zrzuciła ubranie. BooBoo ruszył za nią, miaucząc prosząco. Już dawno powinien był dostać obiad. Włożyła suche majtki i suchy biustonosz, szybko narzuciła czerwoną bluzkę z krótkimi rękawami, wciągnęła białe dzinsy i wsunęła stopy w sandały. Pobiegła do kuchni, otworzyła puszkę z jedzeniem dla BooBoo, wyłożyła je na talerzyk, chwyciła torebkę i

znalazła się na podjeździe w chwili, gdy Sam wyskoczył na ganek i ruszył w stronę garażu.

— Spóźniłaś się — powiedział.

— Nieprawda. Poza tym ty tylko zmieniłeś ubranie. A ja musiałam jeszcze nakarmić kota.

Sam zainstalował w garażu nowoczesne drzwi. Wcisnął guzik pilota i podniosły się niczym naoliwiony jedwab. Westchnęła zaatakowana nagłym przyływem garażowej zawiści. A potem, w świetle, które zapaliło się automatycznie po otwarciu drzwi, dojrzała błyszczącego czerwonego potwora. Chromowane rury wydechowe, chromowane listwy. Opony tak wielkie, że musiałaby się chyba katapultować na siedzenie, gdyby Sam nie zainstalował również poręczy dla tych, których los nie obdarzył taką długością nóg, jaką on mógł się poszczycić.

— Och — westchnęła i klasnęła w dłonie. — Takiego właśnie chciałam, dopóki nie zobaczyłam vipera.

— Rozkładane siedzenia — powiedział i uniósł znacząco brew. — Jak będziesz grzeczna, zaczniesz brać pigułki i kontrolować jajeczka, pozwolę ci się uwieść w traku.

Zdołała nie zareagować. Dzięki Bogu, Sam nie zdawał sobie sprawy, jak trudno jej było zachować równowagę, choć pobudziła ją sama myśl o uwiedzeniu Sama, nie zaś sugestia, że mogłoby się to odbyć w samochodzie.

— Nic nie powiesz? — spytał.

Pokręciła głową.

— Cholera — powiedział, objął ją w talii i bez trudu wsadził do kabiny. — Zaczynam się martwić.

Plan Marci nie powiódł się i po trzecim telefonie od dziennikarza T.J. musiała pogodzić się z losem. Boże, dlaczego cała ta afera nie mogła się skończyć? Co tak fascynującego było w tej śmiesznej Liście? Oczywiście Galan na pewno nie doszuka się w niej nic śmiesznego — myślała zgnębiona. Galana już nic zresztą nie bawiło, chyba że było to coś, co wydarzyło się u niego w pracy.

A przed ślubem tak lubił się śmiać i żartować.

Teraz się już nawet prawie nie widywali. T.J. pracowała od ósmej od

piątej, Galan od trzeciej do jedenastej. Kiedy on wracał do domu, ona już spała. Kiedy T.J. wychodziła do pracy, on jeszcze leżał w łóżku. Najbardziej znamienny był jednak fakt, że Galan wcale nie musiał pracować na takiej zmianie. Sam ją sobie wybrał. I jeśli chciał w ten sposób uciec od T.J., to na pewno osiągnął cel.

Może ich małżeństwo po prostu dobiegło końca, a ona nie zwróciła na to uwagi? Może Galan nie chciał mieć dzieci, gdyż zdawał sobie sprawę z kryzysu?

Poczuła dziwne ukłucie w piersi. Kochała Galana. Kochała jednak bardziej tego Galana, którego ukrywał w tej ponurej powłoce, jaką miała okazję oglądać przez ostatnie lata. Jeśli jednak chciało jej się spać lub myślała o czymś innym i nagle przypomniawszy sobie o Galanie, zawsze widziała młodego, roześmianego chłopca, w którym zakochała się do szaleństwa jeszcze w szkole średniej. Niezdarnego uroczego chłopca, z którym po raz pierwszy w życiu uprawiała seks na siedzeniu starego oldsmobila taty. On też zresztą nie robił tego nigdy wcześniej z żadną kobietą. Kochała mężczyznę, który w pierwszą rocznicę ślubu przyniósł jej jedną różę, bo nie mógł pozwolić sobie na więcej.

Nie kochała natomiast mężczyzny, który po raz ostatni wyznał jej miłość tak dawno temu, że już nawet nie pamiętała, kiedy to uczynił. W porównaniu z przyjaciółkami czuła się zupełnie bezbronna. Jeśli jakkolwiek facet usiłował wejść na głowę Marci, ona zawsze odprawiała go z kwitkiem i szukała następcy. Luna była przygnębiona zdradami Shamala, ale nie czekała na niego w domu. Żyła swoim życiem. A Jaine — Jaine była zupełnie inna. Wszystkim sytuacjom życiowym potrafiła stawić czoło odważnie i z humorem. Żadna z nich nie wytrzymałaby z mężczyzną, który odnosiłby się do nich tak jak Galan do T.J. przez ostatnie dwa lata.

Nienawidziła własnej słabości. Co by się właściwie stało, gdyby jej związek z Galanem przestał nagle istnieć? Musieliby sprzedać dom, który kochała, ale co z tego? Mogłaby się przenieść do mieszkania. Jaine całymi latami wynajmowała mieszkanie. T.J. mogłaby mieszkać sama, choć nigdy dotąd tego nie próbowała. Musiałaby sobie ze wszystkim radzić sama. Kupiłaby sobie kota. Nie, lepiej psa, żeby jej bronił. I znów zaczęłaby chodzić na randki. Jak by to

było spotykać się z mężczyzną, który nie próbowałby jej obrazić, ilekroć się do niej odzywał?

Kiedy zadzwonił telefon, od razu wiedziała, że to Galan. Ręka, którą podniosła słuchawkę, wcale jej jednak nie drżała.

— Oszalałaś? — spytał na samym wstępie. Oddychał ciężko, dając jej tym samym do zrozumienia, że wpadł w gniew.

— Nie, nie sędzę — odparła spokojnie.

— Zrobiłaś ze mnie pośmiewisko całej firmy.

— Jeśli ktokolwiek się z ciebie śmieje, to dlatego, że mu na to pozwalasz — przerwała. — Zresztą nie zamierzam dyskutować na ten temat przez telefon. Jeśli chcesz ze mną porozmawiać w cywilizowany sposób, jak wrócisz do domu, to na ciebie zaczekam. Jeżeli jednak będziesz się wściekać i rzucać, to przyjmij do wiadomości, że mam lepsze rzeczy do roboty.

Galan przerwał połączenie.

Teraz, gdy odkładała słuchawkę, ręka jednak jej drżała, do oczu napływały łzy. Galan oczekiwał zapewne błagania o wybaczenie i srodze się zawiódł. Ostatnie dwa lata T.J. żyła na postawionych przez niego warunkach i bardzo z tego powodu cierpiała. Może nadszedł czas, by teraz ona zaczęła stawiać warunki. Nawet gdyby straciła Galana, udałoby się jej zachować szacunek do siebie samej. W pół godziny później zadzwonił telefon.

T.J. zmarszczyła brwi i poszła odebrać. Nie sądziła, by dzwonił do niej poownie Galan, ale może przemyślał ostatnią rozmowę i doszedł do wniosku, że T.J. nie zamierza już więcej kłaść uszu po sobie, ilekroć on podniesie na nią głos.

— Halo — powiedziała.

— Która to? — spytał jakiś upiorny szept.

Zmarszczyła czoło.

— Co takiego? Kto mówi?

— Pani A? A może B? Która to?

— Spadaj — warknęła nowa T.J. i rzuciła słuchawkę.

Rozdział 11

Następnego ranka Jaine wyskoczyła z łóżka wcześniej rano, zdecydowana wyruszyć do pracy, zanim Sam zdąży otworzyć oczy. I choć serce biło jej mocno na samą myśl o kolejnej potyczce, rozum podpowiadał, że poprzedniego wieczoru, kiedy wrócili do domu po obżarstwie w chińskiej knajpie, gdzie spożyli ogromną ilość pączków, Sam na pewno znalazł Listę w Internecie. Był jeszcze gorszy niż pitbull — nigdy nie dawał za wygraną, a przez cały poprzedni wieczór wiercił jej dziurę w brzuchu, wypytując o dalszy ciąg Listy. Woląла nie wiedzieć, co on sądzi na temat punktów następujących po siódemce.

Kiedy wychodziła z domu o siódmej rano — porze zupełnie nieludzkiej — spostrzegła, na automatycznej sekretarce znowu nagrano dużo wiadomości. W pierwszej chwili chciała wcisnąć guzik kasowania, ale zaczęła się wahać. Jej rodzice podróżowali po Europie i należało brać pod uwagę wszystkie możliwości: jedno z nich mogło zachorować lub też stało się coś równie nagłego. Kto wie? A może to Shelley lub David dzwoniли z przeprosinami.

Słabe szanse — pomyślała, wciskając guzik odtwarzania.

Odsłuchiwała wiadomości od trzech dziennikarzy — jednego z gazety, dwóch z telewizji. Wszyscy prosili o wywiad. Potem następowały dwa głuche telefony. Jako szósta telefonowała Pamela Morris, która przedstawiła się jako siostra Giny Landretti. Specyficznym, aksamitnym głosem prezenterki telewizyjnej informowała Jaine, że bardzo chciałyby przeprowadzić z nią wywiad w „Good Morning America” i porozmawiać o Liście, która robiła absolutną furorę w całym kraju. Siódma wiadomość pochodziła z miesięcznika „People”, który domagał się tego samego.

Z wzbierającą histerią odsłuchiwała trzy głuche telefony. Ktoś czekał na prawdę bardzo długo, zanim odwiesił słuchawkę. Idiota.

Skasowała wiadomości. Nie miała zamiaru na nie odpowiadać. Cała ta sytuacja, i tak od początku głupia, stawała się powoli absurdalna.

Wyjechała z podjazdu, unikając szczęśliwie spotkania z Samem, co wróżyło spokojny początek dnia. Jaine czuła się tak dobrze, że włączyła stację z muzyką country i wysłuchiwała Dixie Chicks śpiewających, że Earl musiał umrzeć. W pewnej chwili zaczęła im nawet wtórować i zaczęła się zastanawiać, czy Sam, będąc w końcu gliną, uważał zabójstwo Earla za uzasadnione. Może mogliby się nawet o

to pokłócić.

Zrozumiała, że nie jest z nią najlepiej. Perspektywa kłótni z Samem wydawała się jej bardziej podniecająca niż wygrana na loterii. Nigdy dotąd nie miała okazji poznać nikogo, kto przyjmowałby wszystkie jej riposty bez zmrużenia oka, a rewanzował się pięknym za nadobne bez najmniejszego wysiłku. Świadomość, że i tak niczym go nie zaszokuje, dawała jej błogie poczucie swobody. Odnosiła wrażenie, że Sam lubił się z nią droczyć. Był świetny — pod wieloma względami — inteligentny, irytujący, męski i seksowny jak diabli. Ponadto odnosił się z należnym szacunkiem do samochodu jej taty, a vipera umył i nawoskował naprawdę fachowo.

Musiała szybko kupić te pigułki antykoncepcyjne.

Przy wjeździe do Hammerstead znowu kłębili się dziennikarze. Ktoś widocznie zdradził tej zgrai markę samochodu Jaine, ponieważ ledwo zbliżyła się do barierki, zaczęły strzelać flesze. Strażnik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Chcesz mnie zabrać na przejażdżkę i sprawdzić, czy spełniam wymagania? — spytał, mrugając.

Jaine przybyła do pracy tak wcześnie, że rzygozielony hol świecił pustkami. Nie na tyle jednak wcześnie, by wyprzedzić paru maniaków. Przy windzie wisiała nowa tablica: PAMIĘTAJ: NAJPIERW PŁĄDRUJ, POTEM PAL. CI, KTÓRZY ZŁAMIĄ ZASADY, ZOSTANĄ WYRZUCENI Z GANGU.

Od razu poczuła się lepiej. Dzień bez hasła przy windzie uznawała za dzień stracony.

Już w pokoju zdała sobie sprawę, że ani dziennikarze, ani strażnik nie wyprowadzili jej z równowagi. Byli bez znaczenia. Walka z Samem wydawała się Jaine znacznie bardziej interesująca, tym bardziej że oboje wiedzieli, dokąd ona prowadzi. Nigdy przedtem nie miała romansu, ale przewidywała, że ten, który zamierzała nawiązać z Samem, stanowi poważnie zagrożenie dla pościeli. Co oczywiście nie znaczyło, że zamierzała się łatwo poddać. To była zresztą reguła numer jeden.

Ponadto irytowanie Sama sprawiało jej przyjemność.

Gina Landretti też przysłała wcześnie do pracy. Na widok Jaine siedzącej przy biurku rozbłysły jej oczy.

— Świetnie — powiedziała. — Muszę z tobą porozmawiać, a miałam na-

dzieję, że o tej porze uda się nam to zrobić bez świadków.

Jaine wydała bezgłośny jęk. Już wiedziała, co się szykuje.

— Wczoraj dzwoniła do mnie Pam — zaczęła Gina. — Moja siostra, wiesz... Tak czy inaczej próbowała się z tobą skontaktować i zgadnij... Chce cię zaprosić do programu „Good Morning America”. Czy to nie wspaniale? Oczywiście zamierza pokazać całą waszą czwórkę, ale ja jej powiedziałam, że to pewnie ty jesteś rzecznikiem.

— Chyba nie mamy rzecznika — powiedziała Jaine, trochę zakłopotana słowami Giny.

— Ale gdybyście miały, to byłabyś nim ty.

Gina wydawała się tak dumna z siebie, że Jaine zaczęła gorączkowo szukać w myślach sposobu grzecznej odmowy.

— Nie wiedziałam, że to twoja siostra zaprasza gości do programu.

— Bo zwykle tego nie robi, ale rozmawiała z redaktorką i ona też jest tym poważnie zainteresowana. Ten program na pewno pomógłby Pam — dodała Gina. — Wszyscy twierdzą, że inne stacje zamierzają się z tobą dzisiaj skontaktować, więc Pam chciała je uprzedzić. To byłby zwrot w jej karierze.

Znaczyło to wyraźnie, że gdyby Jaine odmówiła współpracy, kariera siostry Giny mogłaby być zagrożona.

— To może być problem — powiedziała Jaine najbardziej skruszonym tonem, na jaki było ją stać. — Mąż T.J. nie jest specjalnie zadowolony z tej nagłej popularności.

Gina wzruszyła ramionami.

— W takim razie wystąpicie we trzy. Zresztą równie dobrze mogłabyś być sama.

— Luna jest znacznie ładniejsza.

— Tak, ale bardzo młoda. Brakuje jej twojego autorytetu

Wspaniale. Więc teraz Jaine miała autorytet. Spróbowała zatem ten autorytet wykorzystać i przybrała bardzo stanowczy ton.

— Nie wiem, mnie się też to nie podoba. Wolałabym, żeby zainteresowanie całą sprawą jak najszybciej wygasło.

Gina popatrzyła na nią z przerażeniem.

— Chyba nie mówisz poważnie. Nie chcesz być sławna i bogata?

— Bogata owszem. Sławna nie. Poza tym nie rozumiem, w jaki sposób mogłabym się wzbogacić dzięki występowi w programie „Good Morning America”.

— Przecież dzięki temu możesz sobie załatwić kontrakt na książkę! Wiesz, jeden z tych opiewający na miliony. Tak jak te kobiety, które napisały książkę o zasadach.

— Gina! — prawie krzyknęła Jaine. — Pomyśl realistycznie. Jak można z Listy zrobić książkę? No, chyba że o rozmiarach penisa będzie się pisać przez co najmniej trzysta stron...

— Trzysta? — Gina popatrzyła na nią z powątpiewaniem. — Myślę, że sto pięćdziesiąt wystarczy.

Jaine rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, w co mogłaby wałnąć głową.

— Proszę, powiedz, że nie odmówisz Pam — nalegała Gina, składając błagalnie ręce.

— Muszę porozmawiać z koleżankami — odparła Jaine w przebłysku geniuszu. — Albo pójdziemy wszystkie, albo żadna.

— Przecież mówiłaś, że T.J. nie...

— Obgadamy sprawę z pozostałymi — ucięła Jaine.

Gina zrobiła nieszczęśliwą minę. Nie pozostawało jej jednak nic innego jak ulec domniemanemu autorytetowi Jaine.

— Myślałam, że będziesz zachwycona — wymamrotała.

— Nie jestem. Cenię prywatność.

— Dlaczego w takim razie opublikowałaś Listę w biuletynie?

— Nic podobnego nie zrobiłam. Marci trochę za dużo wyplą i wygadała wszystko Dawnie jak jej tam...

— Och... — Gina zrobiła jeszcze bardziej nieszczęśliwą minę, tak jakby dopiero teraz zrozumiała, że Jaine jest znacznie mniej rozbawiona całą sytuacją, niż się jej dotąd wydawało.

— Cała rodzina wścieka się na mnie z tego powodu — marudziła Jaine. Gina była bardzo miłą dziewczyną. Przysiadła teraz na brzeжку biurka

Jaine i popatrzyła na nią ze współczuciem.

— Dlaczego? Co to ma z nimi wspólnego?

— Właśnie. Siostra twierdzi, że nie będzie mogła wejść do kościoła z podniesioną głową, a w dodatku moja czternastoletnia siostrzenica ściągnęła Listę z Internetu, więc sama rozumiesz... Brat jest zły, bo wstydzi się teraz przed kumplami z pracy.

— Nie rozumiem dlaczego... chyba że porównywali sobie w łazience i kiepsko wypadł... — odparła Gina i zachichotała.

— Nie chcę o tym myśleć — powiedziała Jaine i też zaczęła chichotać.

Wymieniły spojrzenia i wybuchnęły niepowstrzymanym śmiechem. Śmiały się aż do łez, które rozpuściły im kompletnie makijaż. Ocierając oczy, udały się więc do łazienki, żeby naprawić szkody.

O dziewiątej Jaine została wezwana do gabinetu swego bezpośredniego przełożonego.

Nazywał się Ashford M. de Wynter. Za każdym razem, gdy słyszała to nazwisko, odnosiła wrażenie, że śni o Manderley. Zawsze chciała zapytać, czy M to pierwsza litera imienia Max, ale bała się uzyskać odpowiedź. Może Ashford chciał sprawiać takie wrażenie, ale tak czy inaczej ubierał się zawsze w europejskim stylu i mówił „toteż” zamiast „więc”.

Był również dupkiem.

Niektórzy już się tacy rodzą. Inni usilnie próbują na to zasłużyć. Ashford należał do obu grup.

— Witam panią — powiedział z taką miną, jakby wyczuł jakiś nieprzyjemny zapach.

— Witam pana — odparła.

Zmarszczył czoło, z czego wywnioskowała natychmiast, że nie oczekiwał odpowiedzi.

— Sytuacja przy bramie jest nie do opanowania.

— To prawda. Może gdyby wystarał się pan o nakaz sądowy... — Nie dokończyła. Ashford nie miał wystarczającej władzy, by starać się o nakaz, nawet gdyby miał szansę go uzyskać. „Sytuacja” nie stwarzała zagrożenia, w dodatku dziennikarze nie przeszkadzali pracownikom. Spojrzał na nią ze zło-

ścią.

— Pani bezczelność przekracza wszelkie granice. Przecież to pani spowodowała „sytuację”. To gorszące, absorbujące, a niektórzy zaczynają być już nawet bardzo niezadowoleni.

„Niektórzy”, czyli „przełożeni” — pomyślała.

— Dlaczego pan akurat mnie o to wini? — spytała.

— Ta pani wulgarna Lista...

Może Ashford i Leah Street to bliźniaki rozdzielone zaraz po urodzeniu? — pomyślała.

— Ta Lista nie jest wcale bardziej moja niż Marci, Pisałyśmy ją wspólnie. — Dlaczego wszyscy uważali właśnie ją za główną autorkę Listy? Czy znów wchodził w grę jakiś bliżej nieokreślony autorytet? Jeśli jednak posiadała taką siłę, może powinna z niej częściej korzystać? Może mogła wymuszać pierwszeństwo w kolejce lub odśnieżanie ulicy w pierwszej kolejności?

— Bardzo panią proszę... — zaczął Ashford, z trudem tłumiąc gniew.

Chciał przez to powiedzieć, żeby nie traktowała go jak głupca. Za późno. Co się miało stać, już się stało.

— Ma pani specyficzne poczucie humoru — dodał. — Może nie była pani jedyną osobą zaangażowaną w tę sprawę, ale na pewno głównodowodząca, toteż właśnie pani musi naprostować całą sytuację.

W rozmowach z przyjaciółkami Jaine wymieniała imię Dawny, ale nie zamierzała na nikogo donosić, de Wynter znał już i tak trzy pozostałe nazwiska. Jeśli chciał wierzyć, że to głównie Jaine jest za wszystko odpowiedzialna, i tak nie zmieniłby zdania.

— W porządku — powiedziała. — W czasie lunchu pójdę do tych dziennikarzy i powiem im, że nie podoba się panu rozdmuchiwanie całej tej sprawy i że jeżeli nie zostawią Hammerstead w spokoju, każe ich pan aresztować.

Wyglądał, jakby połknął makrełę.

— To chyba nie najlepszy sposób opanowania sytuacji.

— Co pan zatem proponuje?

Oto jest pytanie. Na twarzy de Wyntera malowała się kompletna pustka.

Ukryła ulgę. Jej ego ucierpiałoby bardzo poważnie, gdyby de Wynter wymyślił jakieś skuteczne rozwiązanie problemu, podczas gdy ona nie miała absolutnie żadnego pomysłu.

— Dzwoniła dziennikarka z „Good Morning America” — powiedziała. — Odeślę ją z kwitkiem. Z pewnością zatelefonują też z „People”. Nie odbiorę. Przecież taka darmowa reklama na pewno nie przyda się firmie.

— Telewizja? Telewizja publiczna? — spytał słabym głosem, wyciągając szyję jak indyk. — To byłaby wspaniała okazja, prawda?

Wzruszyła ramionami. Wspaniała czy nie, na pewno jakaś. W ten sposób oczywiście zapędziła się sama w kozi róg. Właśnie na popularności zupełnie jej nie zależało. Musiała chyba mieć poważną skazę charakteru, skoro nie mogła znieść, by Ashford de Wynter okazał się pod jakimkolwiek względem lepszy od niej.

— Może powinien pan przedyskutować to zagadnienie z zarządem? — zaproponowała, wstając. Jeśli miała szczęście, ktoś z górnych szczebli mógł zawetować pomysł.

De Wynter był wyraźnie podekscytowany, a jednocześnie nie chciał się przyznać, że musi kogokolwiek pytać o zdanie. Zupełnie jakby Jaine nie wiedziała, jakie piastuje stanowisko i co to za sobą pociąga. De Wynter zajmował środkowy szczebel na drabinie zarządzania i nie mógł już wyżej awansować.

Jaine wróciła do gabinetu i od razu zwołała naradę wojenną — Luna, Marci i T.J. zgodziły się spotkać na lunch w biurze Marci.

Jaine wyjawiała obecny stan rzeczy Ginie i przez resztę poranka — z jej wydatną pomocą — zręcznie unikała rozmów.

W porze lunchu, uzbrojone w krakersy i napoje dietetyczne, zebrały się w pokoju Marci.

— Chyba musimy uznać, że sytuacja wymknęła się zupełnie spod kontroli — powiedziała ponuro Jaine i poinformowała koleżanki o propozycji siostry Giny, telefonach z NBC i magazynu „People”.

Wszystkie skierowały wzrok na T.J.

T.J. wzruszyła ramionami.

— Teraz już nie widzę powodu, żeby gasić pożar. Galan wie. Wczoraj nie wrócił do domu.

— Och, kochanie... — powiedziała Marci ze współczuciem, dotykając jej ramienia. — Tak mi przykro.

T.J. miała podkrążone oczy, tak jakby płakała przez całą noc, ale zachowała spokój.

— A mnie nie — odparła. — To tylko uzdrowiło sytuację, Galan albo mnie kocha, albo nie. Jeśli nie, powinien się wynieść z mojego życia i przestać je rujnować.

— Rany! — wykrzyknęła Luna, mrugając pięknymi oczami. — Brawo, dziewczyno!

— A co z tobą? — zwróciła się Jaine do Marci. — Jakież kłopoty z Brickiem?

Marci uśmiechnęła się gorzkim uśmiechem osoby, która wszystko już widziała i większości z tego próbowała.

— Z Brickiem zawsze są kłopoty. Powiedzmy, że zareagował w typowy dla siebie sposób. Wrzeszczał i pił dużo piwa. Kiedy rano wychodziłam z domu, jeszcze spał.

Przeniosły wzrok na Lunę.

— Nie odezwał się — powiedziała i uśmiechnęła się do Jaine. — Miałaś rację. Rzeczywiście, każą mi się mierzyć i dowcipkują. Odpowiadam, że obstawałam przy dwudziestu pięciu centymetrach, ale zostałam przegłosowana. To sprowadza ich na ziemię.

— Mój wywiad nie załatwił sprawy — powiedziała Marci, kiedy przestały się śmiać. — A co tam... może byśmy przestały się tym przejmować i zaczęły bawić?

— De Wynter będzie dyskutował z szefostwem na temat darmowej reklamy — powiedziała Jaine.

— Myślisz, że nie rzuca się na taką okazję jak stado wygłodniałych wilków? — prychnęła Luna. — Zgadzam się z Marci. Bawmy się tą Listą. Dodajmy parę punktów, może trochę dodatkowych wyjaśnień.

— A niech tam! — powiedziała Jaine.

— A niech tam! — powtórzyła za nią Luna.

Popatrzyły na siebie z uśmiechem. Marci wyjęła notatnik i długopis.

— Możemy zaczynać. Przygotujemy coś odpowiedniego do druku.

T.J. pokręciła smętnie głową.

— Ściągniemy na siebie różnych świrów. Nie odbierałyście wczoraj żadnych dziwnych telefonów? Jakiś facet, to znaczy myślę, że facet, bo równie dobrze mogła dzwonić babka, wyszeptał w słuchawkę: „Która to?”. Pytał, czy ja to pani A, B czy C.

Luna zrobiła zdziwioną minę.

— Ja również miałam taki telefon. I trochę głuchych. To też pewnie on dzwonił. Ale masz rację. Szeptał jakoś tak dziwnie, że nie wiem, czy to facet, czy kobieta.

— Ta sama osoba nagrała mi się pięć razy na sekretarce — powiedziała Jaine. — Musiałam wyłączyć telefon.

— Wyszłam z domu, a Brick rozwalił sekretarkę o ścianę, więc na razie nie otrzymuję żadnych wiadomości. Kupię nową w drodze do domu.

— W takim razie do nas wszystkich dzwonił ten sam świr — podsumowała Jaine. Poczła dziwny niepokój i wdzięczność do losu za to, że ma sąsiada glinę.

T.J. wzruszyła ramionami.

— Cena sławy — powiedziała.

Rozdział 12

Jaine mówiła do siebie przez całą drogę do domu, lecz pamiętała, by zatrzymać się przed apteką i zakupić trzymiesięczny zapas pigułek antykoncepcyjnych. Kierownictwo wyższych szczebli uznało, że wykorzystanie Listy dla reklamy firmy to świetny pomysł, i od tego czasu wszystko potoczyło się bardzo szybko. W imieniu pozostałych koleżanek Jaine przyjęła zaproszenie do programu „Good Morning America”, choć zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego Listą interesują się akurat poranne wiadomości, którym nie wolno podjąć najbardziej soczystych zagadnień związanych z tym tematem. Wie-

działa, dlaczego Lista znalazła się w obrębie zainteresowań „Cosmopolitan” czy też nawet jednego z miesięczników dla mężczyzn. „People” nie mogło jednak wydrukować nic poza ploteczkami na temat autorek Listy oraz oceną, jak Lista wpłynęła na ich życie.

Najwyraźniej seks sprzedawał się dobrze nawet wówczas, kiedy nie wolno było o nim mówić.

Cała czwórka — zawczasu wystrojona, uczesana i umalowana — miała się stawić w filii ABC w Detroit o czwartej nad ranem, gdyż na tę godzinę zaplanowano rozpoczęcie filmowania wywiadu. Do Detroit wybierała się korespondentka ABC, nie Diane czy Charlie, choć zwykle gości sadzano po prostu na pustym planie ze słuchawkami w uszach, a pytania zadawał dziennikarz z Nowego Jorku. Fakt, że wywiad zostanie przeprowadzony przez dziennikarza z krwi i kości, należało traktować jak szczególne wyróżnienie. Jaine próbowała się czuć zaszczycona, ale już na samą myśl o wstaniu o drugiej nad ranem po to, by się ubrać i umalować, ogarniało ją zmęczenie.

Na sąsiednim podjeździe nie stał brązowy pontiac, z domu obok nie dochodziły żadne oznaki życia.

Włóczykij.

Gdy BooBoo wyszedł jej na spotkanie, wąsy miał ubrudzone wyściółką poduszki. Jaine nawet się nie pofatygowała, żeby zajrzeć do salonu. Aby chronić to, co zostało z kanapy, mogła tylko zamknąć drzwi. Wtedy jednak BooBoo wyladowałby frustrację na jakimś innym meblu. A kanapę i tak trzeba było naprawić, więc mogła ją zostawić na łasce i nielasce niesfornego kota.

Wizyta w łazience utwierdziła ją, że okres rozpoczął się zgodnie z planem. Wydała westchnienie ulgi. Na razie zatem mogła zapomnieć o swojej niewytłumaczalnej słabości do Sama. Może powinna też przestać golić nogi — na pewno nie rozpoczęłyby romansu z owłosionymi nogami. Chciała go trzymać od siebie z daleka przez jeszcze co najmniej dwa tygodnie wyłącznie po to, by doznał uczucia zawodu. Na samą myśl o zawiedzionym Samie robiło się jej lżej na sercu.

Idąc do kuchni, wyjrzała przez okno. Na podjeździe w dalszym ciągu nie stał żaden pontiac, choć równie dobrze Sam — podobnie jak poprzedniego

dnia — mógł jeździć trakiem. Kuchenne okna miał zasłonięte.

Trudno zawieść mężczyznę, którego nie ma.

Za viperem zaparkowało auto, z którego wysiadła para. Mężczyzna miał aparat fotograficzny na ramieniu i niósł niezliczoną ilość futerałów. Kobieta, mimo upału, była ubrana w żakiet, a w ręku ścisnęła torbę podróżną.

Unikanie dziennikarzy straciło sens, ale Jaine absolutnie nie zamierzała wpuszczać kogokolwiek do salonu, w którym fruwała wyściółka. Podeszła do kuchennych drzwi i wyszła na ganek.

— Proszę wejść — powiedziała zmęczonym głosem. — Macie państwo ochotę na kawę? Właśnie zaparzyłam.

Corin przyglądał się twarzy w lustrze. Czasem zniknął na całe tygodnie albo miesiące, lecz potem znowu pojawiał się w odbiciu, jakby nigdy nie wyjeżdżał. Tego dnia nie mógł pracować w obawie, co mogłoby się stać, gdyby zobaczył je znowu na żywo. Cztery suki. Jak śmiały z niego kpić, szydzić z niego całą Listą? Za kogo się uważały? Jego nie uznałyby na pewno za Mr Perfect, ale on wiedział swoje.

W końcu wychowała go Mama.

Kiedy przyjechała T.J., Galan był w domu. Żołądek skurczył się jej na chwilę, ale nie uległa słabości. W grę wchodziła godność osobista. Puściła drzwi i weszła do domu jak zwykle przez sionkę, przy której końcu znajdowała się kuchnia — jej piękna kuchnia z białymi szafkami i urządzeniami oraz lśniącymi garnkami zwisającymi z półki nad centralną wysepką. Kuchnia T.J. nadawała się do katalogu. Było to jej ulubione pomieszczenie w całym domu — choć nie dlatego, że lubiła gotować. Kochała natomiast kuchenną atmosferę. Z maleńkiej niszy pełnej roślin doniczkowych, ziół i kwiatów dobywał się piękny zapach świeżości. T.J. ustawiła tam dwa krzeselka i stolik, a także taboret pod zmęczone stopy. Nisza miała ściany z matowego szkła, które przepuszczały wprawdzie dużo światła, ale chroniły przed zimnem i upałem. T.J. lubiła przesiadywać tam z książką, przy filiżance gorącej herbaty, szczególnie w zimie, kiedy na ziemi leżał śnieg, a ona rozkoszowała się wygodą, otoczona swym wiecznym ogródkiem.

Galana nie było w kuchni. T.J. rzuciła torebkę i klucze na bufet, zdjęła buty i nastawiła czajnik z wodą na herbatę.

Nie zawołała Galana ani nie zaczęła go szukać. Sądziła, że jest u siebie w pokoju — ogląda telewizję i chowa urazę. Gdyby chciał z nią porozmawiać, wyszedłby na pewno ze swojej nory.

Przebrała się w szorty i obcisłą górę. Wciąż miała niezłe ciało, choć była bardziej umięśniona, niżby sobie tego życzyła — efekt wieloletniej gry w drużynie piłkarskiej. Wolałaby być wiotka jak Luna lub miejscami delikatnie zaokrąglona jak Jaine, ale generalnie nie narzekała. Jak większość mężatek odzwyczaiła się jednak od dopasowanych ubrań i w zimie wkładała zwykle bluzy, a w lecie wypychane podkoszulki. Może nadszedł czas, by wreszcie o siebie zadbać, tak jak wówczas, gdy umawiała się z Galanem na randki.

Galan na ogół nie bywał w domu na kolacji. T.J. albo zamawiała coś gotowego, albo odgrzewała półprodukty w mikrofalówce. Domyślając się, że Galan nie zjadłby niczego, nawet gdyby coś przygotowała — choćby po to, by jej pokazać, że chodzi głodny — wróciła do kuchni i wyjęła z zamrażalnika gotowe danie. Potrawa zawierała mało tłuszczu i kalorii, więc po kolacji mogła sobie pozwolić na lody.

Galan wyłonił się z pokoju, gdy zlizywała resztki lodów z patyka. Stał i patrzył na nią takim wzrokiem, jakby czekał na przeprosiny, które stworzyłyby mu pretekst do wygłoszenia przygotowanej wcześniej mowy.

T.J. nie spełniła jednak jego oczekiwań.

— Musisz być chory, skoro nie poszedłeś do pracy — odezwała się. Zaciśniętą usta, a T.J. pomyślała beznamiętnie, że jej mąż jest wciąż przystojnym facetem. Był świetnie ostrzyżony, opalony, a włosy miał tylko odrobinę rzadsze niż wówczas, kiedy umawiała się z nim na randki. Zawsze ubierał się świetnie — w stylowe kolory i wysokogatunkowe materiały, nosił drogie skórzane buty.

— Musimy porozmawiać — zaczął ponuro.

Uniosła pytająco brwi — tak, jakby zrobiła to Jaine. Jaine potrafiła osiągnąć więcej tym jednym uniesieniem brwi niż większość ludzi młotem pneumatycznym.

— To chyba nie był powód, żeby nie iść do pracy.

Z wyrazu jego twarzy wyczytała, że jest zdumiony taką ripostą. Sądził, że przywiązuje większą wagę do ich związku i jego humoru. Cóż, trudno.

— Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo mi zaszkodziłaś — zaczął. — Chyba nigdy ci nie wybaczę, że zrobiłaś ze mnie pośmiewisko. Powiem ci jedno: nie dojdziemy do porozumienia, jeżeli nadal będziesz się zadawać z tymi dziwkami, które uważasz za przyjaciółki. Nie życzę sobie, żebyś się z nimi spotykała, rozumiesz?

— Ach, więc to tak. — T.J. doznała nagle olśnienia. — Wydaje ci się, że możesz wykorzystać tę sytuację, żeby mi powiedzieć, z kim wolno mi się przyjaźnić, a z kim nie? Dobrze. W takim razie może zrobimy tak — ja zrezygnuję z Marci, a ty z Jasona. Za Lunę... wezmę Curta. A Jaine? Za Jaine poproszę o Steve'a, choć osobiście nic do niego nie mam. Dlatego będziesz musiał dorzucić kogoś ekstra.

Patrzył na nią tak, jakby nagle wyrosły jej dwie głowy. Steve Rankin był jego najlepszym przyjacielem od czasów szkoły średniej. Razem oglądali Tygrysy w lecie i Lwy w zimie. Robili wszystko, co najbardziej łączy mężczyzn.

— Oszalałaś! — wybuchnął.

— Dlatego że ci każę zrezygnować z przyjaciół? Coś takiego! Ale skoro ja muszę, to ty też.

— Ja nie rozbijam małżeństwa głupimi listami z opisem idealnego faceta — wrzasnął.

— Nie opisem idealnego faceta, tylko jego cech — sprostowała. — Wiesz, takich jak troskliwość. I wierność. — Wymawiając to słowo, uważnie mu się przypatrywała. Przyszło jej nagle do głowy, że może dwuletni brak zainteresowania ze strony Galana należy przypisać czemuś innemu niż zanik więzi małżeńskiej.

Odwrócił wzrok.

T.J. powstrzymała przyływ bólu, wsadziła go do małej skrzyneczki i upchnęła głęboko wewnątrz, tak by móc funkcjonować przez kolejne parę minut, dni i tygodni.

— Kim ona jest? — spytała tonem tak obojętnym, jakby chciała się dowiedzieć, czy Galan odebrał pranie.

— Kim jest kto? Jaka ona?

— Ta słynna trzecia. Ta, z którą w duchu mnie zawsze porównuj jesz.

Zarumienił się i wsadził ręce do kieszeni.

— Nie byłem ci niewierny — mruknął. — Próbujesz po prostu zmienić temat.

— Nawet jeśli mnie fizycznie nie zdradziłeś, w co chyba nie bardzo wierzę, to jest ktoś, kto ci się bardzo podoba, prawda?

Zaczerwienił się jeszcze mocniej.

T.J. podeszła do szafki, wyjęła filiżankę i torebkę herbaty.

Umieściła torebkę w filiżance i zalała wrzątkiem.

— Chyba powinieneś pójść do motelu — powiedziała po chwili.

— T.J.

Uniosła rękę, nawet na niego nie patrząc.

— Nie podejmuję żadnych pospiesznych decyzji o rozwodzie czy separacji. Chodziło mi tylko o to, że dziś powinieneś przenocować w motelu, żebym mogła spokojnie wszystko przemyśleć, nie słuchając, jak zwalasz całą winę na mnie.

— A co z tą cholerną Listą?

Machnęła ręką.

— Lista jest nieważna.

— Akurat! Wszyscy faceci z pracy bez przerwy mi trużą, że lubisz duże ptaki.

— Na co powinieneś był powiedzieć, że małżeństwo z tobą przewróciło mi w głowie. Dobrze. Lista stała się trochę ryzykowna. I co z tego? Ja uważam, że jest zabawna. Tak sędzi zresztą większość ludzi. Jutro wystąpimy w „Good Morning America”, a „People” prosi mnie o wywiad. Postanowiłyśmy rozmawiać ze wszystkimi, gdyż wówczas sprawa umrze śmiercią naturalną. Za parę dni pojawi się pewnie coś nowego, ale tymczasem chcemy się zabawić.

Wybałuszył na nią oczy.

— Nie jesteś kobietą, z którą się żeniłem — powiedział oskarżycielskim tonem.

Odwrócił się i wyszedł z kuchni. T.J. popatrzyła na trzymaną, w ręku filiżankę, z trudem hamując łzy. Cóż, wszystko się wydało. Powinna była już

wcześniej domyślić się prawdy. Przecież w końcu nikt lepiej niż ona nie wiedział, jak zachowuje się Galan, kiedy jest zakochany.

Brick nie spał jak zwykle na sofie, kiedy Marci wróciła do domu, choć jego pikap stał na podjeździe. Weszła do sypialni i zobaczyła, że upycha w torbie ubranie.

— Wybierasz się gdzieś? — spytała.

— Owszem — odparł ponuro.

Widziała, jak się pakuje. Był przystojny w typowy, trochę pijacki sposób — z długimi włosami, nieogolonym podbródkiem, niezbyt regularnymi rysami, w obcisłych dżinsach, podkoszulku i wysokich butach. Dziesięć lat młodszy od niej, nigdy nie potrafił się utrzymać w żadnej pracy, nie interesował się niczym poza sportem i — trzeba spojrzeć prawdzie w oczy — nie mógł uchodzić za zdobywcę stulecia. Na szczęście Marci nie była w nim zakochana. Nie kochała się w nikim od lat. Zależało jej tylko na towarzystwie i seksie. Brick dostarczał seksu, ale nie towarzystwa.

Zapiął torbę, ujął ją za rączki i wyminął Marci.

— Zamierzasz wrócić? — spytała. — Czy mam przesłać resztę rzeczy tam, gdzie się wybierasz?

Łypnął na nią.

— Dlaczego pytasz? Może na moje miejsce jest już kolejka facetów z dwudziestopięciocentymetrowymi kutasami? Takimi jak lubisz?

Przewróciła oczami.

— Chryste — jęknęła. — Chroń mnie, Panie, przed urażonymi męskimi ambicjami.

— Nie zrozumiałabyś — odparł i Marci, ku swemu zdziwieniu, dosłyszała w jego ochryplym głosie nutkę żalu.

Mrugając powiekami, patrzyła, jak Brick wypada z domu i pakuje się do pikapa. Odjechał z wizgiem opon, rozpryskując żwir.

Była zdumiona. Brick zraniony? Kto by pomyślał?

Cóż, wróci albo nie. Wzruszyła ramionami, otworzyła pudełko z nową automatyczną sekretarką i bezmyślnie powiesiła ją na ścianie. Nagrywając powitanie,

usiłowała dociec, ilu rozmów nie odbyła tylko dlatego, że Brick rozbił sekretarkę o ścianę. Bo gdyby chciało mu się nawet podnosić słuchawkę, na pewno nie przekazałby jej żadnej wiadomości. Nie w takim nastroju.

Jeśli jednak ktoś miał ważną sprawę — myślała — zatelefonuje jeszcze raz.

Dokładnie w tym samym momencie odezwał się telefon. Podniosła słuchawkę.

—Halo.

— Która to? — spytał szeptem głos.

Rozdział 13

Jaine otworzyła oko i lypnęła na zegarek, który wydawał irytujący, przeraźliwy dźwięk. Gdy wreszcie zrozumiała, że to budzik — w końcu nigdy nie słyszała go przed drugą — wyciągnęła rękę i wcisnęła guzik. Następnie zwinęła się w kłębek, próbując dociec, dlaczego budzik odezwał się o tej nieludzkiej godzinie. Dlatego że go na tę porę nastawiła. Oto dlaczego.

— Nie — jęknęła. — Nie mogę wstać. Spałam tylko cztery godziny.

Jednak wstała. Wieczorem wykazała tyle przytomności umysłu, by przygotować ekspres do kawy i nastawić czasomierz na pierwszą pięćdziesiąt. Przyciągnięta zapachem kawy, potykając się co krok, ruszyła do kuchni.

Włączyła górne światło i zmrużyła oczy.

Ludzie telewizji to jakiś dziwny gatunek. Prawdziwy człowiek nie mógłby regularnie wstawać o takiej porze.

Z filiżanką kawy w ręku weszła pod prysznic. Gdy na głowę zaczęła jej kapać woda, przypomniała sobie, że wcale nie zamierzała myć włosów. Ponieważ jednak nie przeznaczyła ani minuty na mycie włosów i ułożenie fryzury, już była praktycznie spóźniona. Jęknęła i oparła się o ścianę.

— Nie dam rady.

W chwilę później zmusiła się do działania. Szybko natarła się mydłem, opłukała i wyskoczyła spod prysznica. Trzymając w ręku drugą parującą filiżankę kawy, wysuszyła włosy i wtarła trochę wosku w spuszone kosmyki. Jeśli wstawalo się o takiej porze, makijaż był absolutnie niezbędny, by ukryć przerażony i zupełnie niedowierzający wyraz twarzy. Nałożyła szybko sporo podkładu,

chcąc osiągnąć taki efekt, jakby dopiero co wyszła z przyjęcia. I choć z makijażem na twarzy wyglądała raczej na osobę skacowaną, nie zamierzała tracić więcej czasu na beznadziejną sprawę.

Proszę nie wkładać niczego białego ani czarnego — powiedziała dziennikarka z telewizji. Jaine wciągnęła długą czarną spódnicę, doszła bowiem do wniosku, że chodziło raczej o górę, czyli coś, co będzie widoczne na ekranie. Do spódnicy dobrała czerwony sweterek z dekoltem i rękawem trzy czwarte, w talii zacisnęła pasek i mocując w uszach klasyczne złote klipsy, wsunęła nogi w czarne pantofle. Zerknęła na zegarek. Trzecia. Całkiem dobrze jej poszło. Powinna była raczej ugryźć się w język niż pomyśleć coś podobnego.

Co jeszcze? Jedzenie i woda dla BooBoo, który trzymał się od niej z daleka. Mądry kotek.

Wypełniwszy obowiązek wobec BooBoo, o trzeciej pięć wyszła z domu. Na podjeździe obok nie stał żaden samochód. Nie było ani brązowego pontiacca, a w nocy nie obudził jej warkot żadnego innego pojazdu. Sam nie wrócił na noc do domu.

Pewnie ma dziewczynę — myślała, zaciskając zęby. A niech to! Czowała się jak idiotka. Oczywiście, że miał dziewczynę. Mężczyźni typu Sama wodzili za nos przynajmniej jedną, a nawet dwie czy trzy kobiety naraz. Z nią — przez brak pigułek — daleko by nie zaszedł, tak więc szybko przeskoczył na inny kwiatek.

— Gbur — warknęła, wsiadając do vipera. Powinna była przypomnieć sobie swoje poprzednie związki i nie ekscytować się niepotrzebnie. Najwyraźniej hormony przesłoniły jej zdrowy rozsądek. Krótko mówiąc — popatrzyła tylko raz na jego nagie ciało i od razu dostała gorączki.

— Daj sobie spokój — mruzczała, jadąc uśpionymi, willowymi uliczkami. — Nie myśl o tym.

Jasne. Tak jakby mogła zapomnieć o tym kołyszącym się dumnie drażgu.

Na samą myśl, że już w przedbiegach będzie musiała zrezygnować z tej erekcji — budzącej zarówno lęk, jak apetyt — zachciało się jej płakać, ale poczucie godności własnej okazało się ważniejsze.

Nie zamierzała zostać jedną z wielu — ani w jego myślach, ani tym bardziej w łóżku.

Jedynym usprawiedliwieniem Sama mógłby być fakt, że leży w szpitalu, zbyt ciężko ranny, by wziąć do ręki słuchawkę. Wiedziała że nie został postrzelony, gdyż o tym mówiono by w wiadomościach, a o ewentualnym wypadku samochodowym doniosłaby jej na pewno pani Kulavich. Nie, Sam gdzieś tam sobie żył i dobrze się miewał. Problem polegał jednak na tym, gdzie on się dokładnie podziewał.

Przez chwilę próbowała nawet zacząć się o niego martwić, ale chęć, by poważnie mu dokuczyć, wzięła górę nad troską.

Zdażyła się już przekonać, że nie warto tracić głowy dla faceta. I właśnie to, że już zdażyła się o tym przekonać, było takie upokarzające. Wszystkie zerwane związki nauczyły ją wyłącznie tego, że kobieta powinna zawsze zachowywać rozsądek w relacjach z mężczyznami, w przeciwnym bowiem wypadku może doznać poważnej krzywdy. Sam oczywiście jej nie skrzywdził, w każdym razie nie bardzo, ale przez niego omal nie popełniła głupstwa i teraz ganiła się w myślach za bezgraniczną naiwność.

Niech go cholera, dlaczego przynajmniej nie zadzwonił? Gdyby miała pasmo jego włosów, mogłaby chociaż rzucić na niego klątwę, założyłaby się, że Sam nie pozwoli jej się do siebie zbliżyć z nożyczkami w ręku.

Tymczasem zabawiała się wyimaginowanymi klątwami, które zamierzała trzymać w pogotowiu na wypadek, gdyby udało się jej jednak zdobyć ten kosmyk. Z największą lubością powtarzała zaklęcie przyprawiające Sama o uwiad. Niechby zobaczył, jak reagują kobiety na jego całkowicie wyzuty z energii klusek.

Z drugiej strony, może jednak trochę przesadzała. Jeden pocałunek nie tworzył jeszcze związku. Nie miała prawa do Sama, jego czasu ani erekcji.

Oczywiście, że nie miała.

Dobra, tyle jeśli chodzi o logikę. W tym przypadku należało się kierować intuicją, gdyż na nic innego nie starczało miejsca. Jej uczucia do Sama nie mieściły się w żadnych normach — składały się w równym stopniu z furii, co z namiętności. Sam potrafił doprowadzić ją do szału znacznie łatwiej niż

ktokolwiek inny. Nie gadał również od rzeczy, twierdząc z przekonaniem, że gdyby ją pocałował, na pewno wylądowałiby w łóżku. Gdyby lepiej wybrał miejsce, gdyby nie stali wtedy na jego podjeździe, Jaine z pewnością nie odzyskałaby rozumu i nie próbowała go powstrzymać.

Skoro już potrafiła zdobyć się na szczerość w stosunku do samej siebie, musiała równocześnie przyznać, że wszystkie kłótnie z Samem dostarczają jej naprawdę wiele radości. W przypadku wszystkich trzech narzeczonych, a w zasadzie w przypadku większości ludzi, musiała się powstrzymywać przed ostrymi replikami. Wiedziała, że ma cięty język. Shelley i David powtarzali jej to wielokrotnie na różne sposoby. Matka próbowała nawet trochę temperować jej riposty i odniosła na tym polu częściowy sukces. Przez całą szkołę Jaine musiała się bardzo pilnować, żeby nie otwierać za często buzi, gdyż szybka praca jej umysłu wprawiała wszystkich jej kolegów, nie myślących równie szybko, w prawdziwe przerażenie. Poza tym nigdy nie chciała zranić niczyich uczuć.

Ceniła przyjaźń z Marci, T.J. i Luną, gdyż wszystkie trzy — tak bardzo od siebie różne — akceptowały nawet najostrzejsze uwagi Jaine i wcale się jej nie bały. Tę samą ulgę czuła w towarzystwie Sama, który dorównywał jej dowcipem i szybkością riposty.

Nie chciała rezygnować z tej znajomości. Kiedy już zdała sobie z tego sprawę, zrozumiała, że ma dwa wyjścia: mogła albo odejść — i taka była jej pierwsza decyzja — albo dać mu dobrą nauczkę. Niech wie, że nie wolno mu igrzać z jej uczuciami. Jeśli istniało coś, z czego nie lubiła żartować, to były właśnie jej uczucia. No dobrze, jeszcze viper. Ale... ale o Sama należało walczyć. Jeśli miewał w głowie i w łóżku inne kobiety, to Jaine musiała się po prostu ich pozbyć i zmusić Sama, by zapłacił za wszystkie kłopoty, na jakie ją naraził.

Właśnie. Od razu poczuła się lepiej. Ustaliła przynajmniej, co zamierza robić. I przybyła do telewizji znacznie wcześniej, niż się spodziewała, ale na autostradach i ulicach nie było o tej porze zbyt wielkiego ruchu. Luna dojechała na miejsce na chwilę przed Jaine. Gdy wysiadała ze swego camaro, wyglądała tak świeżo i ładnie, jakby dochodziła właśnie dziewiąta, a nie czwarta. Miała na sobie jedwabną złocistą sukienkę, przy której jej jasnobrązowa skóra jaśniała swoistym blaskiem.

— To niesamowite, prawda? — powiedziała, kiedy wraz z Jaine ruszyły zgodnie z instrukcją do tylnego wejścia.

— Rzeczywiście dziwaczne — przyznała Jaine. — To nienormalne, żeby wstawać i normalnie funkcjonować o takiej porze.

— Jestem pewna, że wszyscy, których spotkałam po drodze, mieli złe zamiary, bo co by o tej godzinie robili na ulicy?

— Wszyscy to pewnie handlarze narkotyków i zboczeńcy.

— Prostytutki.

— Bandyti.

— Mordercy i sadyści.

— Osobistości telewizyjne.

Kiedy nadjechała Marci, wciąż się śmiały.

— Widziałyście tych wszystkich dziwaków na ulicy? — spytała, podchodząc. — Wylegają chyba dopiero po północy...

— Już o tym mówiłyśmy — odparła z uśmiechem Jaine. — Chyba żadna z nas nie chodzi zbyt często na imprezy i nie przyczołguje się do domu wcześnie nad ranem.

— Ja się kiedyś czułłam — powiedziała z uśmiechem Marci. — Ale miałam od tego na rękach ślady po butach i w końcu mi się znudziło. — Rozejrzała się. — Nie mogę uwierzyć, że przyjechałam przed T.J. Przecież ona zawsze jest wcześniej niż trzeba, a to ja się spóźniam.

— Może Galan dostał szału i zabronił jej przyjechać — zasugerowała Luna.

— Nie, w takiej sytuacji na pewno by zadzwoniła — powiedziała Jaine, zerkając na zegarek. Dochodziła czwarta.

— Wejźmy do środka. Może mają kawę, a ja bez kawy zacznę bredzić.

Jaine widziała już kiedyś studio telewizyjne, więc nie dziwiła jej nawet ogromna przestrzeń ani panująca tam ciemność, ani węzowate kable na podłodze. Kamery i lampy stały na planie niczym wartownicy, a monitory rejestrowały każdy ruch. Wokół krążyli ludzie ubrani w dżinsy i sportowe buty, a wśród nich była również kobieta wystrojona w szykowny brzoskwiniowy kostium. Kobieta podeszła do nich z profesjonalnym uśmiechem i wyciągniętą

ręką.

— Witajcie. Nazywam się Julia Belotti, pracuję dla programu „Good Morning America”. Rozumiem, że mam przyjemność z Damami od Listy. — Śmiejąc się z własnego dowcipu, wymieniała z nimi uściski dłoni. — To ja przeprowadzę wywiad. Ale chyba jest was czwórka...

Jaine powstrzymała się od demonstracyjnego liczenia i uwagi typu „nie, wydaje mi się, że trójka”. Na właśnie tego typu riposty musiała bardzo uważać.

— T.J. się spóźnia — wyjaśniła Marci.

— T.J. Yother. Tak? — Pani Belotti najwyraźniej próbowała się popisać odrobioną pracą domową. — A pani nazywa się Marci Dean. Widziałam ten kawałek w telewizji lokalnej. — Otaksowała Jaine. — A pani...?

— Jaine Bright.

— Kamera zakocha się w pani twarzy — powiedziała pani Belotti i popatrzyła z uśmiechem na Lunę. — W takim razie pani nazywa się Luna Scisum. Muszę przyznać, że jeśli pani Yother jest równie atrakcyjna jak panie, to mamy prawdziwy przebój. Chyba zdają sobie panie sprawę z tego, jak ogromnego zamieszania narobiła Lista w Nowym Jorku?

— Chyba nie — odparła Luna. — Prawdę mówiąc, jesteśmy zdziwione, że cała ta sprawa wzbudziła takie zainteresowanie.

— Niech pani zrobi koniecznie podobną uwagę, kiedy już zaczniemy kręcić — poinstruowała pani Belotti i zerknęła na zegarek. Na jej czole pojawiła się właśnie zmarszczka irytacji, gdy do studia weszła T.J. — nienagannie uczesana i umalowana, ubrana w błękitną suknię podkreślającą karnację i kolor oczu.

— Bardzo przepraszam — powiedziała, podchodząc do grupki kobiet. Nie siliła się na usprawiedliwienia, po prostu przeprosiła. Jaine popatrzyła na nią bystro. Spod makijażu T.J. wyraźnie wyzierało przemęczernie. Wszystkie miały prawo czuć się zmęczone, ale T.J. była też wyraźnie zdenerwowana.

— Gdzie jest łazienka? — spytała Jaine. — Chciałabym poprawić szminkę, jeśli jeszcze mamy czas, a potem poszukać kawy. Macie kawę?

— W studiu telewizyjnym musi być kawa — odparła pani Belotti ze śmie-

chem. — A toaleta jest tam... — Wskazała im dłonią korytarz.

Ledwo zamknęły się za nimi drzwi, popatrzyły pytająco na T.J.

— Wszystko w porządku? — spytała Jaine.

— Jeśli chodzi ci o Galana, to owszem. Wczoraj wieczorem wysłałam go do motelu. Może sprowadził tam narzeczoną, ale to już je— go problem.

— Narzeczoną! — zawtórowała Luna, a jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

— Sukinsyn — mruknęła Marci.

— Teraz przynajmniej nie może się czepiać o tę aferę z Listą — powiedziała Jaine.

— I doskonale o tym wie — odparła T.J. i popatrzyła na stroskane twarze koleżanek. — Hej, nic mi nie dolega. Jeżeli Galan ma dość małżeństwa, to wolę to wiedzieć, zanim zacznę próbować je scalić i tracić na darmo czas. Doszłam wczoraj do tego wniosku i od razu przestałam się martwić.

— Jak długo trwa ten romans? — spytała Marci.

— On się w ogóle nie przyznaje do żadnego romansu. Twierdzi, że nie był mi fizycznie niewierny. Spytajcie, czy mu wierzę.

— Jasne. A ja wierzę w to, że słońce wschodzi na zachodzie — prychnęła Jaine.

— Może jednak Galan nie kłamie — wtrąciła Luna.

— Może, ale to nie jest bardzo prawdopodobne — powiedziała Marci głosem doświadczonej kobiety. — To, do czego oni się zwykle przyznają, należy zawsze uznawać za czubek góry lodowej. Taka już jest ludzka natura.

T.J. poprawiła szminkę.

— To mi nie robi różnicy. Jeżeli Galan kocha inną kobietę, to przecież wszystko jedno, czy z nią spał, czy nie. Tak czy owak, zapomnijcie o Galanie. Ja już zapomniałam. Jeżeli ktoś ma tu coś naprawiać, to on, a nie ja. Rozdmucham Listę tak bardzo, jak się da, i zamierzam się przy tym świetnie bawić. A jeżeli zaproponują nam naprawdę kontrakt na książkę, to się zgodzę. Należy nam się trochę forsy za te wszystkie kłopoty.

— Amen — powiedziała Marci. — Brick odszedł. Zraniłam jego uczucia.

Wszystkie wybałuszyły na nią oczy, próbując sobie wyobrazić uczucia Bricka.

— Jeśli nie wróci, znowu będę się musiała umawiać na randki — narzekała Marci. — Cholera, myślę o tym z przerażeniem. Znow będę chodziła na dansingi i pozwalała stawiać sobie drinki. Okropność.

Wyszły z łazienki, zaśmiewając się do rozpuku. Pani Belotti już na nie czekała. Szybko wskazała im dzbanek z kawą, ktoś inny zorganizował dwa kubki.

— Kiedy wreszcie będziecie gotowe, pójdziemy na plan. Już na was czekają. — W ten subtelny sposób dała im do zrozumienia, żeby wreszcie przestały mówić i usiadły. — Dźwiękowiec musi zrobić próbę mikrofonów, trzeba ustawić światła. Gdybyście zechciały pójść tędy...

Torebki i kubki zostały usunięte z pola widzenia i cała czwórka usadowiła się na planie urządzonym tak, by przypominał przytulny salon — z sofą, dwoma fotelami, dwoma sztucznymi paprotkami i dyskretną lampką, której na razie nie włączono. Chłopak, który nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia lat, zaczął przypinać im mikrofony. Pani Belotti sama umieściła własny mikrofon w klapie żakietu.

Żadna z Dam od Listy nie była jednak na tyle inteligentna, żeby włożyć żakiet. Miejsce na mikrofon znalazło się łatwo pod szalowym kołnierzem sukni Luny i przy marynarskim dekolcie sukni TJ. Marci miała na sobie golf bez rękawów, co znaczyło, że mikrofon mógł zostać przypięty wyłącznie pod szyją. W związku z tym Marci musiała bardzo ostrożnie poruszać głową, aby szum nie zagłuszył jej słów. Dźwiękowiec popatrzył na czerwony wycięty sweter Jaine i powiedział:

— Ooo.

Jaine uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

— Sama przypnę. Z boku czy w środku?

Odwzajemnił uśmiech.

— Dokładnie w środku.

— Tylko bez flirtów — przestrzegła chłopaka, wkładając mikrofon pod sweter i przypinając go od spodu na wysokości piersi. — Za wcześniej.

— Będę grzeczny. — Mrugnawszy porozumiewawczo, przylepił przewód do boku Jaine i wrócił do sprzętu. — Dobrze, teraz chciałbym, żebyście coś po kolei powiedziały. Sprawdzę dźwięk.

Pani Belotti podjęła niezobowiązującą rozmowę, pytając, czy wszystkie pochodzą z Detroit. Po sprawdzeniu dźwięku i ustawieniu kamer zaczęła na sygnał producentki i rozpoczęła gładko wstęp na temat sławnej lub — w zależności od punktu widzenia — niesławnej Listy.

— Lista dotarła do wszystkich zakątków kraju i dyskutowano o niej chyba przy każdym stole — powiedziała pani Belotti. Przedstawiła kolejno wszystkie panie i spytała:

— Czy w waszym życiu jest jakiś Mr Perfect?

Roześmiały się. Gdyby tylko wiedziała! Luna trąciła Jaine kolanem.

— Nikt nie jest doskonały — powiedziała Jaine, trafnie odczytując sygnał. — Kiedyś żartowałyśmy nawet, że nasza Lista to czysta science fiction.

— Science fiction czy nie, ludzie traktują Listę poważnie.

— To ich sprawa — wtrąciła Marci. — Cechy, jakie na niej umieściliśmy, to nasz pogląd na to, jaki powinien być idealny mężczyzna. Grupa czterech innych kobiet podałaby inne zalety lub też uszeregowała je w zupełnie odmiennej kolejności.

— Wiecie, że feministki są oburzone wymaganiami o charakterze fizycznym i seksualnym. Kobiety walczyły bardzo długo o to, by ich nie oceniać po wyglądzie lub rozmiarze biustu, i odnoszą wrażenie, że wy, kwalifikując mężczyzn według cech czysto fizycznych, zniweczyłyście ich trud.

Luna uniosła idealną brew.

— Sądziłyśmy, że część feministek życzyła sobie, by kobiety zyskały swobodę wyrażania opinii. My zrobiłyśmy całą listę, i byłyśmy szczerze. — Ta linia pytań była wodą na jej młyn. Luna uważała, że poprawność na pokaz jest po prostu odrażająca, i nigdy się nie wahała wyrazić takiej opinii publicznie.

— Poza tym nie sądziłyśmy, że Lista nabierze rozgłosu — powiedziała T.J. — Została zresztą rozpowszechniona przez przypadek.

— Byłybyście mniej szczerze, wiedząc, że Lista zostanie opublikowana?

— Nie — zarechotała Jaine. — Zwiększyłybyśmy wymagania. — Co u

diabła? Dlaczego miałyby się nie zabawić, tak jak proponowała T.J.?

— Mówiła pani, że nie ma w pani życiu żadnego Mr Perfect. Czy jest w ogóle jakiś mężczyzna?

Jaine pomyślała, że pani Belotti wbiła jej tę szpilę z łatwością eksperta. Może intencją wywiadu było zarysowanie sylwetek czterech kobiet, które nie umieją utrzymać przy sobie mężczyzny. Uśmiechając się lekko, musiała przyznać, że biorąc pod uwagę stan faktyczny, pomysł okazał się, niestety, nad wyraz trafny. Jeśli jednak pani Belotti chciała polemiki: proszę bardzo.

— Rzeczywiście nie. Żaden nie może sprostać moim wymaganiom.

Marci i T.J. roześmiały się głośno, Luna ograniczyła się do uśmiechu. Spoza planu dotarło do nich szybko stłumione prychnięcie.

— Z tej czwórki jest pani chyba jedyną mężatką — powiedziała pani Belotti, zwracając się do T.J. — Co pani mąż sądzi o Liście?

— Nie podoba mu się — przyznała pogodnie T.J. — Ja też bym zresztą nie była zachwycona, gdyby to on strzelał oczami za każdym wielkim biustem.

— Tak więc oko za oko?

— Raczej cycek za... — Marci nie dokończyła zdania, a pani Belotti, ganiąc się w duchu za ten niefortunny dobór słów, pomyślała, że program na szczęście nie jest nadawany na żywo, tylko filmowany.

— Problem polega na tym — powiedziała Luna — że większość wymagań to cechy, jakimi powinni się odznaczać wszyscy. Numer jeden to wierność, pamięta pani? Jeśli się z kimś jest, to trzeba być mu wiernym. Kropka.

— Czytałam cały artykuł na temat Listy i musi chyba pani przyznać, że większość rozmowy nie toczyła się raczej wokół cech takich jak wierność czy odpowiedzialność. Dyskutowałyście panie o fizycznych cechach mężczyzn.

— Żartowałyśmy tylko — powiedziała spokojnie Jaine. — I nie jesteśmy szalone. Mówimy wyłącznie o własnych preferencjach.

Pani Belotti zerknęła do notatek.

— W artykule nie podano waszych nazwisk. Przypisano wam litery alfabetu: A, B, C, D. Która z pań to A?

— Nie musimy chyba wyjawiać tej tajemnicy — powiedziała Jaine, a Marci wyprężyła plecy. — Miałam anonimowe telefony. Pytano mnie, którą

jestem.

— Do mnie też ktoś dzwonił — wtrąciła T.J. — Ale nie zamierzamy zdradzać tak dokładnie naszej tożsamości. Nie wszystkie wyrażone przez nas opinie są zgodne. Jedna eksponowała bardziej jeden punkt, druga inny. Chcemy przestrzegać naszej prywatności choć w tak małym zakresie.

Pani Belotti zwróciła się do Luny.

— Spotyka się pani z kimś? — spytała.

— Bez wyłączości — odparła. Zapamiętaj to sobie, Shamal. Dziennikarka popatrzyła na Marci.

— A pani?

— Teraz akurat nie. — Zapamiętaj to sobie, Brick.

— Więc tylko pani Yother pozostaje w stałym związku. Czy to może znaczyć, że macie panie zbyt wysokie wymagania?

— Dlaczego miałybyśmy obniżać poprzeczkę? — spytała Jaine z błyszczącymi oczyma i od tej chwili wywiad potoczył się gładko.

— Boże, jaka jestem śpiąca — powiedziała T.J., ziewając, kiedy o szóstej trzydzieści wyszły ze studia. Pani Belotti zebrała sporo materiału. W pewnym momencie odłożyła notatki i zaczęła forsować swój typowo feministyczny punkt widzenia. Jaine wątpiła, by w jakimkolwiek porannym programie nadano choćby ułamek z tego, co zostało nagrane, ale ekipa wydawała się zafascynowana.

Tak czy inaczej wywiad miał się pojawić na antenie w poniedziałek. Istniała szansa, że do tego czasu zainteresowanie sprawą umrze śmiercią naturalną. W końcu jak długo można dyskutować o Liście? Ludzie mieli swoje własne sprawy, a Lista żyła już i tak dłużej niż ustawowe pięć minut.

— Te telefony trochę mnie martwią — powiedziała Marci, marszcząc brwi. — Ludzie są dziwni. Nigdy nie wiadomo, za czyj sznurek ciągniesz.

Jaine wiedziała natomiast, czyj sznur miała nadzieję pociągnąć. Gdyby cokolwiek z tego, co powiedziała, nadano na antenie, Sam uznałby to za pewne za osobiste wyzwanie. Miała nadzieję, że tak się stanie, gdyż właśnie taki efekt chciała uzyskać.

Rozdział 14

— Dobrze — powiedziała Marci, kiedy podano im kawę i złożyły już zamówienia w restauracji, gdzie wstąpiły na śniadanie. — Opowiedz nam o Galanie.

— Mam raczej niewiele do powiedzenia — odparła T.J., wzruszając ramionami. — Wczoraj po powrocie zastałam go w domu. Zaczął od żądania, żebym zerwała z przyjaciółkami. Miał oczywiście na myśli szczególnie trzy osoby. Zgadnijcie, o kogo chodzi. Zrewanżowałam się propozycją, by w zamian za każdą przyjaciółkę on zrezygnował z jednego z kolegów. A potem... to chyba była typowo kobieca intuicja... przyszło mi do głowy, że może przez ostatnie dwa lata Galan był w stosunku do mnie taki zimny z powodu innej kobiety...

— Co mu jest? — spytała Luna z oburzeniem. — Czy naprawdę nie zdaje sobie sprawy, jakim jest szczęściarzem?

— Dzięki za wsparcie — powiedziała z uśmiechem T.J. — Nie zamierzam jednak rezygnować. Może jakoś sobie poradzimy, ale nawet jeśli nie, to ja i tak nie pozwolę, żeby mnie to zniszczyło. Zeszłej nocy sporo myślałam i doszłam do wniosku, że nie tylko Galan zawinił. Nie jestem wcale bardziej Mrs Perfect niż on Mr Perfect.

— Ale ty się z nikim nie spotykałaś — powiedziała dobitnie Jaine.

— Nie twierdzę, że jesteśmy równie winni. Jeśli Galan chce utrzymać nasze małżeństwo, ma sporo do nadrobienia. Ale ja też muszę naprawić błędy.

— Na przykład? — spytała Marci.

— No... nie całkiem się zaniedbałam, ale nie zrobiłam najmniejszego wysiłku, żeby mu się podobać. Poza tym — spójrzmy prawdzie w oczy: zgadzałam się ze wszystkim, co mówił, żeby sprawić mu przyjemność, ale jeśli Galanowi zależy na równym partnerze, to takie zachowanie musiało doprowadzać go do szału. Z wami potrafię się bawić i żartować, w jego towarzystwie też kiedyś byłam taka. Ostatnio stałam się jednak bardziej kucharką i gospożą niż partnerem i kochanką. Nic więc dziwnego, że miał dosyć.

— Wiesz, jakie to typowe? — spytała Jaine z oburzeniem — Kobiety zawsze winią siebie o wszystko. — Zamieszała kawę i zajrzała do filiżanki. — Wiem, wiem. Czasem tak trzeba. I chyba się nie mylę, do cholery.

— Ćwierć dolara — odparły chórem.

Poszukała w torebce drobnych, ale wygrzebała tylko czterdzieści sześć centów. Zamiast tego położyła na stole dolara.

— Możecie sobie rozmienić. Muszę znów nazbierać trochę drobnych. Sam mi wszystko zabrał.

Nastąpiła chwila ciszy. Trzy pary oczu wpatrzyły się w Jaine.

— Sam? Kto to jest Sam? — spytała w końcu Luna.

— Słyszałyście o Samie. To mój sąsiad.

Marci zacięła usta.

— Czy to ten sam sąsiad, który okazał się gliną? Ten gbur, pijak, handlarz narkotyków, brudas, który przynajmniej od stu lat nie oglądał prysznicza ani żyletki?

— Dobrze, już dobrze — mitygowała ją Jaine. — To ten sam facet.

— I jesteś z nim po imieniu? — spytała T.J. ze zdziwieniem.

— W pewnym sensie — mruknęła Jaine, oblewając się rumieńcem.

— O Boże! — Oczy Luny zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. — Ona się czerwieni.

Jaine wiła się jak piskorz, a na jej policzki wystąpiły jeszcze gorętsze wypieki.

— To nie moja wina — wykrztusiła. — On ma czerwonego traka. Napęd na cztery koła.

— Szczerze mówiąc, nie widzę związku — powiedziała T.J. patrząc w sufit.

— No więc dobrze. Sam nie jest wcale takim gburem. A właściwie to jest, ale jednak ma swoje dobre strony.

— A najlepszą w spodniach — podpowiedziała Marci, mistrzyni puenty.

Luna wykazała szokujący brak wychowania. Zawyla jak Indianin i niczym bohaterka filmu wojennego zaczęła wykrzykiwać: trafiony trafiony, trafiony.

— Przestań — syknęła Jaine. — Nie zrobiłam tego!

— Oho! — T.J. przysunęła się bliżej. — Czego nie zrobiłaś?

— Jeden pocałunek, to wszystko.

— Jeden pocałunek nie wywołałby takich rumieńców – powiedziała z uśmiechem Marci. — A już na pewno nie na twojej twarzy.

— Gdybyś kiedykolwiek całowała się z Samem, nigdy byś tego nie powiedziała.

— Taki jest dobry?

Nie potrafiła powstrzymać westchnienia, jakie wydarło się jej z płuc, ani wygięcia ust.

— Owszem.

— Więc jak długo to trwało?

— Przecież wam mówię, że się nie kochaliśmy. To był tylko pocałunek.

Tak jakby viper był tylko samochodem, a Mount Everest tylko górą.

— Właśnie pocałunek miałam na myśli — wyjaśniła niecierpliwie Marci. — Jak długo trwał?

Jaine nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Nie mierzyła dokładnie czasu, poza tym w trakcie pocałunku zaszły również inne ważne okoliczności, które odwróciły jej uwagę od tego problemu: na przykład zbliżający się orgazm, którego w końcu nie miała. — Nie wiem. Chyba pięć minut

Popatrzyły na nią, mrugając oczyma.

— Pięć minut? — spytała T.J. słabym głosem. — Jeden pocałunek trwał pięć minut?

I znów ten cholerny rumieniec. Czują go na twarzy. Luna pokręciła z niedowierzaniem głową.

— Mam nadzieję, że bierzesz pigułki, bo Sam jest już na polu karnym. Może w każdej chwili strzelić gola.

— On też tak uważa — powiedziała Jaine i skrzywiła się lekko. — Ale jeśli już o tym mowa, to wczoraj zrealizowałam receptę.

— Widać nie on jeden jest tego zdania — zaśmiała się T.J. — Hej, mamy co oblewać!

— Zachowujecie się tak, jakbyście już dawno postawiły na mnie kre-skę.

— Powiedzmy po prostu, że nie byłaś specjalnie towarzyska.

— Nieprawda.

— Kiedy umówiłaś się ostatnio na randkę?

Trafiła w czuły punkt. Było to bowiem tak dawno, że Jaine nawet nie pamiętała.

— No więc dobrze. Nie umawiam się zbyt często na randki. Ale to wybór, nie konieczność. O ile pamiętacie, nie znam się na mężczyznach.

— Więc co takiego zobaczyłaś w tym gliniarzu?

— Całkiem sporo — odparła, przypominając go sobie bez spodni. — Przez połowę czasu, jaki z nim spędzam, mam ochotę go udusić.

— A przez drugą połowę?

— Zedrzyć z niego ubranie — odrzekła z uśmiechem.

— To chyba niezła podstawa udanego związku — powiedziała Marci. — W każdym razie więcej, niż mnie łączyło z Brickiem. A przecież byliśmy razem ponad rok.

Przestały mówić o Samie, co przyjęła z ulgą. Doprowadzał ją do szału, kłócili się zażarcie, a poprzedniego wieczoru w ogóle nie przyszedł do domu. Jaine powinna właściwie uciekać od niego jak najdalej, a nie zastanawiać się, jak go zdobyć dla siebie.

— A co on mówił?

— Niewiele, co zresztą bardzo mnie zdziwiło. Kiedy Brick jest wściekły, ma tyle rozumu co rozzłoszczony dwulatek. — Marci oparła podbródek na złożonych dłoniach. — Przyznaję, że mnie zaskoczył. Byłam przygotowana na wrzaski i przekleństwa, a nie na zranione uczucia.

— Może zależy mu na tobie bardziej, niż sądziłaś — powiedziała Luna, ale nawet w jej głosie pobrzmiwało powątpiewanie.

— Łączył nas wygodny układ, a nie romans stulecia — prychnęła Marci. — A co u ciebie? Miałaś jakieś wieści od Shamala? — Ten nagły zwrot świadczył wyraźnie o tym, że Marci nie chce rozmawiać o Bricku, podobnie jak Jaine wolała mówić o wszystkich, byle nie o Samie.

— Owszem. — Luna przybrała zamyślony wyraz twarzy. — Był... jakby to ująć... pod wrażeniem tego nagłego rozgłosu. Zupełnie jakbym stała się nagle inną osobą. Zaprosił mnie na kolację, choć zwykle mówi tylko, że wpadnie, jak

będzie przejeżdżał.

Przy stoliku zapadła nagle cisza. Popatrzyły po sobie pytająco, zdumione tą nagłą zmianę zachowania.

Luna wciąż miała zamyśloną minę.

— Odmówiłam. Jeśli przedtem nie wydawałam mu się interesującą to teraz też nie jestem.

— I tak trzymać — powiedziała Janie z ulgą. Przybiły piątki. — No i co teraz? Shamal należy do przeszłości czy czekasz?

— Czekam. Ale na pewno do niego nie zadzwonię. Jeżeli chce się ze mną spotkać, niech sam się ze mną skontaktuje.

— Przecież mu odmówiłaś — przypomniała Marci.

— Ale nie kazałam mu się wypchać. Nie przyjąłam tylko zaproszenia na kolację. Miałam inne plany. — Wzruszyła ramionami. — Jeżeli ma nas łączyć jakiś związek, to zasady muszą się zmienić. Konkretnie to ja muszę je ustalić, a nie postępować według jego reguł.

— Jesteśmy stuknięte — westchnęła Jaine i poszukała ucieczki w filiżance kawy.

— Raczej normalne — sprostowała T.J.

— Tak właśnie powiedziałam.

Śmiały się do rozpuku, kiedy kelnerka przyniosła im śniadanie. Wszystkie miały nieudane życie osobiste, ale cóż z tego? Mogły przynajmniej się pocieszyć jajecznicą i bułeczkami.

Był piątek, więc zgodnie z tradycją poszły na kolację do Erniego. Jaine nie mogła uwierzyć, że zaledwie tydzień minął od chwili, kiedy tak lekkomyślnie ułożyły Listę. Przez ten tydzień wiele się zmieniło. Przede wszystkim atmosfera u Erniego była zupełnie inna: gdy weszły, powitały je zarówno okrzyki aprobaty, jak i gwizdy. Kilka kobiet, zapewne urażonych feministek, gwizdało najgłośniejsze.

— Czy to możliwe? — mruknęła T.J., kiedy usiadły. — Gdybym była prorokiem, przewidywałabym raczej, że zostaniemy ukamienowane.

— Kamienowano tylko upadłe kobiety — zauważyła Luna.

— Czyli takie jak my. — Marci się roześmiała. — Dobrze. Ludzie nie pomijają milczeniem naszej obecności. Ale co z tego wynika? Jeśli powiedzą nam

coś prosto w twarz, na pewno ją zachowamy.

Kelner przyniósł im drinki.

— Jesteście teraz sławne — powiedział pogodnie. Nawet jeśli zdenerwowały go jakieś punkty Listy, to niczego po sobie nie pokazał. Oczywiście, mógł równie dobrze nie wiedzieć, jakie to punkty.

— Proszę tylko pomyśleć. Cały ten pomysł przyszedł nam do głowy przy tamtym stoliku zaledwie przed tygodniem — powiedziała Jaine.

— Naprawdę? Coś podobnego! Zaraz powiem szefowi.

— Właśnie, może go każe inkrustować.

Kelner pokręcił z powątpiewaniem głową.

— Chyba nie. Zresztą to się chyba robi z końmi.

Pobudka o drugiej nad ranem zrobiła swoje i Jaine skojarzyła, o co chodzi, dopiero po dłuższej chwili.

— Konie się kastruje, nie inkrustuje.

— No tak. — Na twarzy kelnera pojawił się wyraz ulgi. — To dobrze. Bo zupełnie nie mogłem zrozumieć, jak można zrobić coś takiego ze stolikiem.

— W cztery osoby można. Każda trzyma jedną nogę.

Próbując zdusić chichot, T.J. schowała głowę pod blat Marcia miała załzawione oczy, ale zdołała złożyć zamówienie. Luna — najbardziej opanowana z całej czwórki — zaczekała, aż kelner zniknął w kuchni. Dopiero wówczas przyłożyła rękę do ust i wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem.

— Jedna za każdą nogę — powtórzyła, podskakując na krześle. Kolacja nie upłynęła im jednak w spokojnej atmosferze, gdyż co chwila ktoś podchodził do ich stolika i albo prawił im komplementy, albo też czynił zjadliwe uwagi. Kiedy wreszcie kelner przyniósł zamówione dania, okazało się, że jedzenie jest przypalone. Kucharz okazał się najwyraźniej przeciwnikiem Listy.

— Wynośmy się stąd — powiedziała w końcu z obrzydzeniem Marci. — Nawet gdybyśmy były w stanie przełknąć to świństwo, to i tak przez te wszystkie przerywniki nie mogłybyśmy spokojnie zjeść kolacji.

— Mamy zapłacić? — spytała Luna, patrząc na hamburgera przypominającego do złudzenia krążek hokejowy.

— Normalnie powiedziałabym, że nie. Jeżeli jednak zrobimy awanturę

akurat dziś, to jutro opiszą nas w gazetach.

Chcąc nie chcąc, musiały się z nią zgodzić. Zostawiły prawie pełne talerze, położyły pieniądze na stoliku i wyszły. Zwykle przedłużały kolację, ale w ten piątek opuściły restaurację zaraz po szóstej. Letnie słońce jeszcze nie zaszło, wciąż panował ogromny upał.

Wróciły do swoich aut. Jaine usiadła za kierownicą vipera i słuchała przez chwilę warkotu potężnej, dobrze nastrojonej maszyny. Włączyła klimatyzację i ustawiła wentylatory tak, żeby chłodne powietrze wiało jej na twarz.

Nie miała ochoty wracać do domu i oglądać wiadomości w obawie że znowu usłyszy coś o Liście. W tej sytuacji zdecydowała się przelożyć zakupy z sobotniego poranka na piątkowy wieczór i skierowała się na północ. Po lewej zostawiła fabrykę General Motors i powstrzymała gwałtowną chęć skręcenia w prawo, w ulicę, która doprowadziłaby ją niechybnie do Komendy Policji w Warren. Nie chciała wiedzieć, czy na parkingu stoi czerwony trak albo pocięty brązowy pontiac. Chciała tylko kupić jedzenie i wrócić do BooBoo. Nie było jej w domu tak długo, że kot dobrał się z pewnością do innej poduszki.

Jaine nigdy nie poświęcała zbyt dużo czasu na zakupy. Nie znosiła tego zajęcia, więc atakowała supermarkety z taką energią, jakby brała udział w wyścigu. Pchając szybko wózek, przebiegła przez dział warzywny i wrzuciła do koszyka kapustę, sałatę i trochę owoców. Nie gotowała zbyt często, bo nie chciała robić sobie kłopotu, ale od czasu do czasu przygotowywała pieczeń, a później przez tydzień robiła z niej kanapki. Musiała jednak kupić coś dla BooBoo.

Ktoś objął ją nagle ramieniem w talii.

— Tęskniłaś? — spytał męski, głęboki głos.

Cudem zdołała powstrzymać wrzask, toteż z jej gardła wydobył się tylko cichy pisk, ale podskoczyła ze strachu przynajmniej trzydzieści centymetrów i omal nie wywróciła stosu puszek Sheba z jedzeniem dla kotów.

Odwróciła się na pięcie, odgrodziła wózkiem od Sama i popatrzyła na niego z przerażeniem.

— Bardzo mi przykro — powiedziała. — Nie znam pana. Musiał mnie pan pomylić z kimś innym.

Sam zmarszczył brwi. Inni klienci patrzyli na nich z rosnącym zainteresowaniem. Jedna z pań mówiła Samowi wzrokiem, że jeśli zrobi jeden fałszywy ruch, to ona natychmiast wezwie policję.

— Bardzo śmieszne — warknął i rozmyślnie zdjął marynarkę, odsłaniając kaburę, w której tkwił czarny pistolet. Do pasa miał przypiętą odznakę, więc pełne przerażenia napięcie opadło w chwili, gdy dotarł do nich szept: „On jest glina”.

— Idź sobie — powiedziała Jaine. — Jestem zajęta.

— Widzę. Co to jest? Kiczowaty film? Uganiem się za tobą już od pięciu minut.

— Nieprawda — odpowiedziała, zerkając na zegarek. — Jestem tu krócej niż pięć minut.

— Dobrze, od trzech minut. Zobaczyłem tę czerwoną strzałę sunącą w górę ulicy Van Dyke i zawróciłem, sądząc, że to ty.

— Masz radar?

— W traku. W aucie nie.

— Więc nie możesz udowodnić, jak szybko jechałam.

— Cholera. Nie zamierzałem wlepić ci mandatu — odparł z irytacją w głosie. — Ale jeżeli nie zwolnisz, wezwę patrol.

— Więc przyszedłeś tutaj, żeby mnie prześladować?

— Nie — rzekł z przesadną cierpliwością. — Przyszedłem, bo zniknąłem i chciałem się zameldować.

— Zniknąłeś? — powtórzyła, otwierając szeroko oczy. — Nie miałam pojęcia...

Zacisnął zęby.

— Dobra, powinienem był zadzwonić. — Słowa te brzmiały tak, jakby wyrwały się głęboko z jego wnętrza.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Bo jesteśmy...

— Sąsiadami? — podpowiedziała, ponieważ wyraźnie nie potrafił znaleźć słowa. Zaczęła się już nawet dobrze bawić, w każdym razie na tyle, na ile to było możliwe po nieprzespanej nocy.

— Z powodu tej sytuacji między nami. — Popatrzył na nią. Nie wydawał się wcale zadowolony z tego stanu.

— Sytuacji? Nie interesują mnie żadne sytuacje.

— Chyba że ja w nich uczestniczę — mruknął pod nosem. Jaine usłyszała jednak dokładnie jego słowa i już otwierała usta, żeby go zmiażdżyć, gdy podbiegł do nich mniej więcej ośmioletni chłopczyk, wbił jej pod żebra plastikowy pistolet laserowy i kilkakrotnie pociągnął za spust.

— Nie żyjesz — powiedział tonem zwycięzcy.

Matka chłopca — najwyraźniej zastraszona i bezradna — podeszła do nich pospiesznie.

— Przestań, Damianie. — Próbowwała się uśmiechnąć, ale zdobyła się tylko na grymas. — Nie zaczepiaj tych miłych państwa.

— Nie widzisz, że to Terronowie z planety Vaniot?

— Przepraszam — wyjąkała matka, próbując odciągnąć swoją pociechę. — Chodź, Damianie, bo kiedy wrócimy, nie dostaniesz ciasteczka.

Jaine omal nie zaklęła. Dzieciak znów wbił jej lufę pod żebra. Auuu...

Ponownie nacisnął spust plastikowego pistoletu, który wydawał przy tym hałaśliwe dźwięki.

Z przylepionym uśmiechem nachyliła się nad Damianem.

— A któż to? Mały Ziemianin? — spytała najbardziej kosmicznym głosem, na jaki potrafiła się zdobyć. — Zabij go! — rozkazała Samowi prostując plecy.

Damian otworzył szeroko usta. Na widok ogromnego pistoletu Sama wybałuszył oczy i wydał przeraźliwy dźwięk przypominający do złudzenia wycie karetki straży pożarnej.

Sam zaklął pod nosem, chwycił Jaine pod ramię i zaczął ją ciągnąć do wyjścia. W ostatniej chwili zdążyła jeszcze zabrać torebkę z wózka.

— Moje zakupy! — zaprotestowała.

— Jutro wpadniesz tu znowu na trzy minuty i kupisz, co trzeba — powiedział, z trudem hamując wściekłość. — Teraz próbuję cię ocalić, przed aresztowaniem.

— Za co? — spytała z oburzeniem, kiedy wyciągnął ją na dwór przez

automatyczne drzwi.

Niektórzy odwracali głowy, ale większość interesowała się raczej wrzaskami Damiana dochodzącymi z przejścia do kasy.

— Groziłaś temu bachorowi, że go zabijesz, i wszczęłaś awanturę. Na przykład za to.

— Wcale mu nie groziłam. To tobie kazałam go zabić. — Nie mogła za nim nadażyć. Długa spódnica nie była stworzona do biegów.

Pociągnął ja za róg budynku, tak by zniknęli z pola widzenia, i przyparł do muru.

— Aż trudno mi uwierzyć, że za tym tęskniłem — powiedział ostrym tonem.

Podniosła na niego wzrok i nic nie odpowiedziała.

— Byłem w Lansing — mruknął, pochylając głowę tak nisko, że ich nosy niemal się zetknęły. — Na rozmowie w sprawie pracy.

— Nie musisz się tłumaczyć.

Wyprostował plecy i spojrzał w niebo, jakby szukał tam pomocy Wszechmocnego.

— Rzeczywiście, jeden telefon trudno by było uznać za natręctwo — przyznała.

Mruknął coś pod nosem. Wiedziała doskonale, co to było, ale niestety, Sam nie musiał płacić za przekleństwa. Gdyby musiał, rozbiłaby teraz bank.

Chwyciła Sama za uszy, opuściła mu głowę i pocałowała.

Przycisnięta do muru oddychała z wyraźną trudnością, ale w tym momencie oddychanie nie zajmowało pierwszego miejsca na jej liście priorytetów. Chciała tylko czuć jego ciało tuż przy swoim, czuć jego smak. Coś wbijało się jej w brzuch, a nie był to na pewno pistolet Sama, gdyż ten tkwił w kaburze, z boku. Wolała się jednak upewnić... To niewątpliwie nie był pistolet.

Kiedy podniósł głowę, oddychał ciężko, z trudnością.

— Wybierasz najbardziej idiotyczne miejsca — powiedział, rozglądając się wokół.

— Wybieram? Byłam w sklepie i robiłam zakupy, kiedy nagle zaatakował mnie nawet niejeden, ale dwóch maniaków...

— Nie lubisz dzieci?

Zamrugła oczyma.

— Co?

— Nie lubisz dzieci? Tego małego chciałaś zabić.

— Większość dzieci lubię — odparła zniecierpliwionym tonem. — Ten chłopczyk jednak nie wzbudził mojej szczególnej sympatii. Ukłuł mnie w żebra.

— A ja ukłułem cię w brzuch.

Uśmiechnęła się do niego tak słodko, że zadrżał na całym ciele.

— Tak, ale ty nie używasz do tego celu plastikowej broni laserowej.

— Chodźmy stąd — powiedział z rozpaczą w głosie i popchnął ją w stronę auta.

Rozdział 15

— Chcesz kawy? — spytała, gdy otworzyła już kuchenne drzwi i wprowadziła Sama do środka. — A może wolisz mrożoną herbatę? — Pomyślała, że tylko wysoka, zimna szklanka pełna herbaty nadaje się w sam raz na taki upał.

— Proszę o herbatę — powiedział, rujnując jej obraz policjanta opijającego się kawą i objadającego paczkami. Sam rozglądał się po kuchni. — Jak to jest, że mieszkasz tu dopiero od dwóch tygodni, a zadomowiłaś się bardziej niż ja u siebie?

Przez chwilę udawała, że myśli.

— Ludzie nazywają to zwykle rozpakowywaniem rzeczy.

Popatrzył w sufit.

— I ja za tym tęskniłem? — mruknął do białej cementowej powierzchni, jakby szukając w niej oświecenia.

Wyjmując z kredensu szklanki, Jaine rzuciła mu parę ukradkowych spojrzeń. Krew buzowała jej w żyłach, jak zawsze, gdy Sam był w pobliżu. Przyczyną mógł być gniew, radość czy pożądanie... Może wszystko naraz. Uwięziony w małej przestrzeni kuchni zajmował całe wejście, przez co wydawał się jeszcze większy. Przy Samie ceramiczny stolik do kawy na cztery osoby przy-

pominał mebelek dla krasnoludków.

— Jakiej posady szukasz?

— W policji stanowej. Na etacie detektywa.

Wyjęła dzbanek z lodówki i napełniła dwie szklanki.

— Cytryny?

— Nie, bez niczego. — Wyjął jej z ręki szklankę, przy okazji muskając palce. Poczowała, że znów ma twarde sutki.

— Gratuluje— powiedział. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z jej ust. Zamrugła powiekami.

— Co ja zrobiłam? — Łudziła się, że Samowi nie chodzi o rozgłos związany z Listą. Kompletnie o tym zapomniała. Czytał całość? Oczywiście, że czytał.

— Ani razu nie zakłęśaś, a jesteśmy razem od pół godziny. Nie kłęśaś nawet wtedy, kiedy wyciągałem cię z supermarketu.

— Naprawdę? — Uśmiechnęła się, bardzo zadowolona z siebie. Może płacenie tych wszystkich grzywien działało na jej podświadomość. W myślach używała nadal wielu brzydkich słów, ale nie musiała wypowiadać ich na głos. Robiła wyraźne postępy.

Przechylił szklankę i wypił wszystko do dna. Patrzyła zafascynowana na mięśnie jego szyi i walczyła z pokusą, by zedrzeć z siebie ubranie. Co się z nią działo? Przecież nie po raz pierwszy w życiu widziała pijącego mężczyznę, a nigdy przedtem nie zrobiło to na niej takiego wrażenia.

— Jeszcze? — spytała, gdy osuszył szklankę i odstawił ją na stół.

— Nie, dzięki. — Gorące spojrzenie utkwilo w jej piersiach. — Wyglądasz dziś wyjątkowo rewelacyjnie. Coś się wydarzyło?

Nie zamierzała unikać tematu, mimo że był drażliwy.

— Rano udzielaliśmy wywiadu do „Good Morning America”. O czwartej rano! Uwierzyłbyś w coś takiego? Musiałam wstać o drugiej — poskarżyła się. — Przez cały dzień chodzę śpiąca.

— Lista nabiera takiego rozgłosu? — spytał zdziwionym tonem.

— Niestety tak — odparła smętnie, siadając przy stoliku. Nie usiadł naprzeciwko, ale ustawił sobie krzesło obok.

Wytropiłem ją w Internecie. Była całkiem zabawna, pani C. Wybałuszyła oczy.

— Skąd wiesz? — spytała.

— Myślisz, że nie potrafię rozpoznać twojego ciętego jęczyczka także i w druku? „Wszystko ponad dwadzieścia to tylko zbędny zbytek” — zacytował.

— Powinnam się była domyślić, że zapamiętasz tylko to, co dotyczy seksu.

— Ostatnio sporo myślę o seksie. A tak dla porządku. Nie mam niczego tylko dla ozdoby.

Ale niewiele ci brakuje — pomyślała z czułością, przypominając sobie jego profil.

— Cieszę się przynajmniej z tego, że nikt mnie nie będzie wytykał palcami.

Jaine wybuchnęła śmiechem i opadła na krzesło tak ciężko, że mebel runął na podłogę, a ona wraz z nim. Trzymała się za brzuch, nie mogąc pohamować śmiechu. BooBoo podszedł do niej ostrożnie, ale po chwili doszedł do wniosku, że lepiej się jednak nie zbliżać, i czmychnął pod krzesło Sama.

Sam podniósł kota, posadził sobie na kolanach i pogładził go po grzbiecie. BooBoo przymknął oczy i zaczął mruczeć. Kot mruczał, a Sam patrzył na Jaine, czekając, aż rechot przejdzie w chichot

Siedziała na podłodze, a jej oczy były pełne łez. Jeśli na rzęsach zostało choć trochę tuszu — myślała — to spływał jej teraz z pewnością po policzkach.

— Pomóc ci wstać? — spytał uprzejmie. — Muszę cię jednak uprzedzić, że jeśli raz położę na tobie łapy, to mogę ich już nie cofnąć.

— Dam sobie radę sama. Dzięki. — Wstała ostrożnie i otarła oczy serwetką.

To dobrze. Nie chciałbym przeszkadzać BooBoo. Co to w ogóle za imię dla kota?

— Mama go tak nazwała. Ją zapytaj.

— Kot powinien mieć imię zgodne ze swoim charakterem. A BooBoo pasuje do niego tak jak do chłopca Alice. Trzeba go było nazwać Tygrys albo

Romeo.

Jaine pokręciła głową.

— Romeo nie wchodzi w grę.

— To znaczy, że on...

Skinęła głową.

— W takim razie BooBoo pasuje, chociaż BooBez byłoby lepsze.

Naprawdę musiała mocno ścisnąć zębra, żeby znów nie wybuchnąć śmiechem.

— Ale z ciebie facet.

— A ty co chciałaś? Żebym był dziewczynką?

Chciała tylko, żeby był sobą. Dzięki Samowi podniecenie buzowało w jej żyłach niczym szampan i było to osiągnięcie nie lada, zważywszy, że jeszcze przed tygodniem wymieniali wyłącznie obelgi. Od ich pierwszego pocałunku minęły zaledwie dwa dni, które wydawały się wiecznością, gdyż do czasu, kiedy chwyciła Sama za uszy pod supermarketem, już się więcej nie całowali.

— Jak tam twoje jajeczko? — spytał, przymykając powieki. Myśleli na pewno o tym samym.

— Przeszło do historii — odparła.

— W takim razie chodźmy do łóżka.

— Myślisz, że wystarczy powiedzieć: „Chodźmy do łóżka”, a od razu położę się na plecach?

— Nie, sądziłem, że zanim się położysz, będę miał okazję zrobić coś jeszcze.

— Ale ja się nie położę.

— Dlaczego?

— Bo mam okres. — Nigdy dotąd nie powiedziała tego mężczyźnie, a już na pewno nie tak zwyczajnie, bez cienia zażenowania.

Zmarszczył brwi.

— Co takiego? — spytał z rosnącą wściekłością.

— Okres. Menstruacja. Może o tym słyszałeś. To polega na tym, że...

— Mam dwie siostry. Chyba wiem coś niecoś o okresie. Na przykład to, że jajeczko jest płodne mniej więcej w środku cyklu, a nie przy końcu.

Jaine zacięła usta.

— Dobrze, w takim razie kłamałam. Zawsze jednak istnieje prawdopodobieństwo, że coś się przesunęło, więc nie chciałam ryzykować. W porządku?

Nie, to na pewno nie było w porządku.

— Powstrzymałaś mnie — jęknął, przymykając oczy, jakby przeszył go nagle jakiś ostry ból. — Omal nie umarłem, a ty mnie powstrzymałaś.

— Mówisz do mnie tak, jakbym dopuściła się zdrady stanu.

Wbił w nią wzrok.

— A teraz?

Sam był mniej więcej tak romantyczny jak skała, co ją więc tak podniecało?

— Twoja gra miłosna polega pewnie na pytaniu: „Śpisz?”

Zrobił niecierpliwy ruch ręką.

— Co teraz?

— Nic.

— Jezu! — Rozparł się na krześle i przymknął oczy. — Dlaczego?

— Już ci mówiłam. Mam okres.

— Więc?

— Więc nie.

— Dlaczego?

— Bo nie chcę! — wrzasnęła. — Daj mi spokój.

Westchnął.

— Rozumiem. Napięcie przedmiesiączkowe.

— Tak jakby faceci byli ekspertami w takich sprawach.

— Faceci to jedyni eksperci. Dlatego tak dobrze toczą wojny. Dzięki wam nauczyli się sztuki uniku i ucieczki.

Chciała rzucić w niego patelnię, ale na linii ognia był BooBoo. Poza tym musiałaby najpierw znaleźć patelnię. Na widok jej miny uśmiechnął się szeroko.

— Wiesz, dlaczego napięcie przedmiesiączkowe tak się właśnie nazywa?

— Nawet się nie waz żartować — ostrzegła. — Tylko kobietom wolno opowiadać dowcipy na ten temat.

— Bo „choroba wściekłych krów” została już zarezerwowana dla gąbczastego zwyrodnienia mózgu.

Patelnia nie wchodziła w grę. Rozejrzała się w poszukiwaniu noża.

— Wynoś się z mojego domu.

Postawił BooBoo na podłodze, najwyraźniej gotów do ucieczki.

— Uspokój się — powiedział, odgradzając się od niej krzesłem.

— Uspokój się, cholera! Gdzie jest, do diabła, mój nóż?

Rozejrzała się bezradnie. Gdyby mieszkała tu dłużej, wiedziałaby na pewno, gdzie co leży.

Wyszedł zza krzesła i chwycił ją mocno za przeguby, zanim sobie przypomniała, w której szufladzie leżą noże.

— Jesteś mi winna pięćdziesiąt centów — rzekł z uśmiechem, przyciągając ją do siebie.

— Nie licz na to. Powiedziałam ci już raz, że nie zapłacę, jeżeli to ty mnie do tego doprowadzisz.

Schylił głowę i pocałował ją w usta.

Czas stanął w miejscu. Sam puścił chyba jej rękę, bo objęła go za szyję. Miał gorące, wygłodniałe usta. To niemożliwe, żeby facet potrafił tak całować i być wciąż do wzięcia — przeniknęło jej przez myśl. Pachniał ciepłem i piżmem, jak seks. Ten zapach wypełniał jej płuca, przenikał skórę. Położył jej rękę na pupie i podniósł lekko do góry, tak by ich ciała złączyły się lędźwiami.

Długa spódnica krępowała jej ruchy, uniemożliwiała objęcie Sama nogami.

— Nie możemy — szepnęła, wyginając plecy w łuk.

— Możemy zrobić co innego — szepnął w odpowiedzi. Podtrzymując Jaine ramieniem, usiadł z nią na kanapie i wsunął rękę za dekolt.

Czując dotyk szorstkiej dłoni Sama na sutce, przymknęła oczy. Sam wypuścił powietrze, z jego gardła wydobyło się długie westchnienie. Gdy ujął pierś Jaine w dłoń, ucząc się jej wielkości i miękkości, razem wstrzymali oddech.

W ciszy cofnął rękę, ściągnął jej sweter przez głowę, śmiało odpiął biustonosz i zsunął ramiączka. Biustonosz spadł na podłogę.

Leżała półnago na jego kolanach, oddychając szybko i płytko. Znała swoje piersi, ale jakie one były z męskiego punktu widzenia? Niezbyt duże, ale jędrne i

sterczące. Sutki miała małe, różowo—brązowe, miękkie — szczególnie w porównaniu z szorstkimi palcami Sama, którymi wodził teraz niezwykle delikatnie po jednej z nich.

Zalała ją tak potężna fala rozkoszy, że zacisnęła nogi, by zatrzymać to niezwykle doznanie.

Sam przycisnął głowę do jej piersi.

Był bardzo delikatny, nie spieszył się. Jaine pamiętała jeszcze bardzo dobrze jego gwałtowne pocałunki i ta nagła czułość naprawdę ją zdumiała. Wtulił twarz w jej piersi i zaczął pieścić językiem sutki, które stwardniały do tego stopnia, że już nie mogły stać się twardsze. Straciła kontrolę nad ciałem, wyginała się dziko w jego ramionach, jej serce waliło jak młotem, puls bił tak szybko, że dostała zawrotu głowy.

W takiej chwili mogła zrobić wszystko, czego by zażądał. Sam przerwał pieścić siłą woli, nie z powodu protestów Jaine. Czula drżenie Sama. Jego mocne ciało dygotało jak w gorączce, miał rozpaloną skórę. Przycisnął czoło do jej czoła, przymknął powieki i zaczął pieścić jej biodra i nagie plecy.

— Jeśli kiedykolwiek w ciebie wejść — powiedział — wytrwam ze dwie sekundy. Najwyżej.

Oszalał. Z pewnością oszalał, gdyż perspektywa dwóch sekund z Samem wydawała się jej lepsza niż cokolwiek, o czym mogłaby pomyśleć. Popatrzyła na niego szklistymi oczyma, usta miała spuchnięte od pocałunków. Pragnęła tych dwóch sekund. Tak bardzo ich pragnęła...

Popatrzył na jej piersi i wydał dziwny dźwięk — coś pomiędzy skowytami i jękiem. Tłumiąc przekleństwo, chwycił sweter z podłogi i przycisnął go do piersi.

— Może jednak to włożysz...

— Może tak — powiedziała nieswoim głosem. Jej ręce przestały funkcjonować — były wciąż zaciśnięte na szyi Sama.

— Albo włożysz sweter, albo pójdziemy do sypialni.

Pomyślała, że to wcale nie brzmi tak groźnie, szczególnie że wszystkie komórki w jej ciele krzyczały: Tak! Tak! Tak! Wiedziała, że dopóki nie powie tego głośno, nic jej nie grozi. Poważnie jednak wątpiła, czy utrzyma go na dystans

jeszcze przez dwa dni czy tygodnie, tak jak planowała. Torturowanie Sama nie wydawało się jej już bowiem szczególnie zabawne — znęcając się nad nim, zameczyłaby przy okazji i siebie.

Pomógł się jej ubrać. Sweter był wprawdzie odwrócony na lewą stronę, ale nie miało to znaczenia. Na pewno nie dla Jaine.

— Próbujesz mnie zabić — powiedział oskarżycielsko tonem. — I na pewno mi za to zapłacisz.

— W jaki sposób? — spytała z zainteresowaniem. Nie mogła wyprostować pleców.

— Zamiast pieprzyć się z tobą przez pół godziny, tak jak sobie tego życzysz, przerwę w dwudziestej dziewiątej minucie.

— Mówiłeś, że nie wytrzymasz dłużej jak dwie sekundy.

— Za pierwszym razem. Za drugim zapali się łóżko. Pomyślała, że musi zejść z kolan Sama. Jego erekcja wbijała się jej w biodro niczym metalowy drąg, a rozmowa o seksie mogła tylko pogorszyć sytuację. Ale ona naprawdę chciała iść z Samem do łóżka i tylko jakaś niewielka część jej mózgu zachowywała rozważę.

Ta mała część dawała jednak uparcie o sobie znać. Jaine już dawno rozumiała, że nie grozi jej puenta „żyli długo i szczęśliwie”. Ona i Sam mieli po prostu na siebie ochotę, co nie znaczyło wcale, że łączy ich coś oprócz seksu.

Odchrząknęła.

— Chyba powinnam wstać, prawda?

— Jeżeli w ogóle musisz wykonywać jakieś ruchy, rób to wolno.

— Tak blisko, co?

— Jestem jak wulkan Etna.

— Kto to jest Edna?

Zaśmiał się dokładnie tak jak sobie tego życzyła, ale śmiech był dziwnie zduszony. Ostrożnie zeszła mu z kolan. Skrzywił się lekko i wstał niezgrabnie z kanapy. Jaine próbowała nie patrzeć na wybrzuszenie w jego spodniach.

— Opowiedz mi o rodzinie — wypaliła.

— Co? — Popatrzył na nią tak, jakby nie rozumiał tej nagłej zmiany tematu.

— Twoja rodzina. Opowiedz mi o nich.

— Dlaczego?

— Żebyś przestał myśleć o... no sam wiesz. Mówiłeś, że masz dwie siostry.

— I czterech braci.

Zamrugła oczyma.

— Siódemka. Nieźle.

— Tak. Niestety moja najstarsza siostra Dorothy była trzecia z kolei. Rodzice starali się potem bez przerwy o kolejną dziewczynkę, żeby Dora nie była jedyna. Urodziło się jednak trzech chłopców.

— A ty który jesteś z kolei?

— Drugi.

— Utrzymujecie ze sobą bliskie kontakty?

— Owszem. Wszyscy mieszkamy w tym stanie, z wyjątkiem Angie, najmłodszej, która chodzi do college'u w Chicago.

Odwrócenie uwagi podziałało. Sam wydawał się nieco bardziej odprężony niż przed chwilą, choć wciąż nie mógł oderwać wzroku od jej piersi. Aby go czymś zająć, podała mrożoną herbatę.

— Byłeś kiedyś żonaty?

— Raz. Dziesięć lat temu.

— Co się stało?

— Wścibska jesteś, prawda? Ona nie chciała być żoną policjanta, a ja mężem dziwki. Koniec historii. Wyjechała na Zachodnie Wybrzeże zaraz po rozwodzie. A ty?

— Wścibski jesteś, prawda? — odcięła się i zawahała. — Uważasz mnie za jędzę? — Sam pan Bóg wiedział, że nie była dla niego najmilsza. Prawdę mówiąc, nigdy nie była dla niego miła.

— Nie. Przerażasz mnie, lecz nie jesteś jędzą.

— Jezu, dzięki — wymamrotała. — Nie, nigdy nie wyszłam za mąż ale byłam trzykrotnie zaręczona.

Popatrzył na nią z przerażeniem.

— Trzy razy?

Skinęła głową.

— Chyba nie mogę się uważać za specjalistkę od związków męsko—damskich.

Znów popatrzył na jej piersi.

— No nie wiem. Całkiem nieźle podtrzymujesz moją uwagę.

— Może w takim razie jesteś mutantem. — Wzruszyła bezradnie ramionami. — Mój drugi narzeczony uznał, że wciąż kocha swoją byłą dziewczynę, ale zupełnie nie wiem, co się stało z pozostałymi dwoma.

— Pewnie się wystraszyli — prychnął.

— Przestraszyli? — Z jakiejś niewiadomej przyczyny zrobiło się jej przykro. Dolna warga zadrżała niebezpiecznie. — Nie jestem chyba taka okropna...

— Gorsza — rzekł pogodnie. — Jesteś piekłem na kółkach. Tyle że ja lubię czarownice. Teraz, jeżeli włożysz ubranie na odpowiednią stronę, zabiorę cię na kolację. Co powiesz na hamburgera?

— Wolę chińszczyznę — odparła, zmierzając w stronę sypialni.

— Tak myślałem — mruknął pod nosem, ale i tak go usłyszała. Zamykając drzwi sypialni i wciągając czerwony sweter, uśmiechała się do siebie. Skoro lubił czarownice, postanowiła mu pokazać, na co ją stać. Problem polegał na tym, że musiał ją złapać.

Rozdział 16

Corin nie mógł spać. Wstał, zapalił światło w łazience i przejrzał się w lustrze, żeby sprawdzić, czy nie zniknął. Z lustra spoglądała na niego twarz obcego człowieka, choć oczy wydawały się znajome. Te oczy patrzyły na niego przez całe życie czasem jednak bywał nieobecny i wtedy nie mogły go dostrzec.

Na półeczce pod lustrem stał rząd buteleczek uszeregowanych według wielkości, tak by Corin zobaczył je natychmiast po wstaniu z łóżka i nie zapomniał wziąć lekarstw. Już od kilkunastu dni — nie pamiętał, jak długo — nie brał pigułek. Teraz widział dokładnie swoje odbicie w lustrze, ale kiedy zażywał leki, myśli miał mętne i odpływał we mgłę.

Mówili, że będzie lepiej, jeśli zostanie ukryty we mgle. Pigułki działały tak dobrze, że nawet on sam zapominał o swoim istnieniu. Ale zawsze miał poczucie, że coś jest nie tak, że wszechświat się przekrzywił, a teraz Corin już rozumiał, na

czym to polega. Pigułki mogły go ukryć, ale nie mogły go zmusić do odejścia.

Odkąd przestał brać tabletki, nie mógł spać. Drzemał, lecz prawdziwy sen go omijał. Czasem odnosił wrażenie, że rozpada się na pół, choć — kiedy wyciągał przed siebie ręce — były spokojne. Czy te leki uzależniały? Kłamały? Nie chciał zostać narkomanem. Wszelkie uzależnienia były oznakami słabości — tak twierdziła matka. Nie mógł się uzależnić, gdyż nie wolno mu było pozwolić sobie na słabość. Musiał być silny, musiał być idealny.

W głowie pobrzmiwało mu jeszcze echo jej słów.

— Mój idealny mały mężczyzna — mówiła, głaszcząc go po policzku.

Ilekcio ją zawodził, ilekroć nie był idealny, gniew matki był tak wielki, że jego świat trząsał się w posadach. Corin czynił wszystko, byle tylko nie rozczarować matki, choć trzymał przed nią w tajemnicy pewien sekret. Czasem broił wyłącznie po to, by go ukarała. Zawsze wiedział, że pewnych niedoskonałości nie będzie w stanie skorygować. Czuł, że i tak rozczaruje matkę na pewnym podstawowym poziomie — po prostu będąc.

Myślały, że są takie mądre — te cztery dziwki. Rozkoszował się brzmieniem tej nazwy: Cztery Dziwki — jak jakieś perwersyjne rzymskie bóstwa. Furie, Gracje, Dziwki. Chciały to rezolutnie rozegrać, ukryły nazwiska pod literami A, B, C, D. Corin najbardziej nie znosił tej, która powiedziała, że jeśli mężczyzna nie jest doskonały, powinien się tylko bardziej starać”. Co one tam wiedziały! Czy próbowały kiedykolwiek osiągnąć poziom naprawdę bliski perfekcji i codziennie ponosiły klęskę? Próbowały?

Czy rozumiały, jak on się czuł, tak bardzo się starając i jednocześnie będąc pewnym, że poniesie klęskę? Jak on się czuł, gdy w końcu odkrył, że nauczył się kochać karę, gdyż dzięki niej mógł to wszystko znieść? Czy one to rozumiały?

Takie dziwki jak one nie zasługiwały na to, żeby żyć.

Znów poczuł wewnętrzne drżenie i otulił się ramionami. To z ich winy nie mógł spać. Nie potrafił przestać o nich myśleć, o tym, co mówiły. Która to z nich powiedziała? Ta farbowana blondyna, Marci Dean, która kręciła tyłkiem przed facetami, jakby była jakąś boginką, a oni zwykłymi psami leczącymi na nią, ilekroć tylko sobie tego życzyła? Słyszał, że Marci sypia z kim

popadnie i że lubi pracować facetów po pyskach. Matka byłaby przerażona takim prostackim zachowaniem. Niektórzy ludzie nie zasługują na to, żeby żyć. Słyszał, jak matka szepce mu w głowie — robiła tak dosyć często, kiedy nie brał pigułek. Nie tylko Corin zniknął podczas leczenia. Matka też zniknęła. Może odeszli razem. Nie był tego pewien, ale miał taką nadzieję. Może matka ukarała go za to, że brał pigułki i zmusił ją, by zniknęła? Może właśnie dlatego zażywał lekarstwa, by on i matka mogli zniknąć i... Nie, to nie w porządku. Kiedy brał lekarstwa, było tak, jakby nie istniał.

Czuł, że myśli zaczynają się od niego oddalać. Wiedział tylko tyle, że nie chce zażywać pigułek. Musiał się dowiedzieć, która z tych dziwek jest którą. Brzmiało to śmiesznie, więc powtórzył te słowa kilkakrotnie i roześmiał się cicho. Która z dziwek jest którą? Świetne.

Wiedział, gdzie one wszystkie mieszkają. Zdobył ich adresy z akt, w pracy. Udałoby się to zresztą każdemu, kto potrafiłby się do tego zabrać. Na szczęście nikt o nic Corina nie pytał.

Zamierzał pójść do niej do domu i dowiedzieć się, czy to ona naplotła te bzdury. Mógł się założyć, że to Marci. Chciał dać tej głupiej, złośliwej dziwce nauczkę. Sprawiłby w ten sposób przyjemność mamie.

Marci była sową, nawet w ciągu tygodnia. Nie potrzebowała wiele snu, i choć nie uczestniczyła w imprezach tak często jak wówczas, gdy miała, powiedzmy, trzydzieści lat, rzadko kładła się później niż o pierwszej w nocy. Oglądała stare filmy w telewizji, czytała trzy, cztery książki tygodniowo, nawet polubiła haftowanie. Biorąc do ręki tamburynek, zawsze uśmiechała się kpiąco pod własnym adresem, gdyż był to niezbity dowód, że dyskotekowa panienska zaczyna się starzeć. Podczas haftowania zyskiwała spokój. Kto by się tam silił na medytacje, mogąc osiągnąć to samo za pomocą igły z nitką i kolorowego wzoru iksów. Ponadto, ilekroć ukończyła robótkę, mogła się nią pochwalić.

Próbowała wielu rzeczy, jakich nikt by się po niej nie spodziewał. Medytacji, jogi. Autohipnozy. A czasem równie skutecznie działało piwo. Była taka, jaka była, a jak to się komuś nie podobało, mógł się wypchać.

W piątek wieczorem chodziła zwykle z Brickiem do barów, tańczyli, wypię-

jali parę piw. Brick całkiem nieźle tańczył, choć wyglądał jak ktoś, kto prędzej by umarł, niż wyszedł na parkiet. Stanowił zabawne skrzyżowanie kierowcy traka z kolarzem. Nie mówił zbyt wiele, ale lubił się bawić.

Przez chwilę zastanawiała się nawet nad tym, czy nie pójść bez niego, lecz pomysł nie wydał się jej szczególnie atrakcyjny. Zmęczyło ją to całe zamieszanie związane z Listą. Chciała położyć się na kanapie z książką i odpocząć. Wyjść mogła jutro.

Tak czy owak, Brick był żywym dowodem na to, że Marci nie potrafi wybierać mężczyzn. Na szczęście nie wychodziła już pochopnie za męż. Trzy razy starczy, dziękuję. Jaine narzekała, bo trzykrotnie zrywała zaręczyny, ale nie wychodziła trzykrotnie za męż. Poza tym Jaine nie spotkała po prostu nikogo, kto mógłby z nią wytrzymać. Może ten glina...

Cholera, ten też pewnie nie. Życie nauczyło już Marci, że rzadko wszystko idzie dobrze. Na jezdni jest zawsze garb, a w komputerze wirus.

Minęła właśnie północ, kiedy zadzwonił dzwonek. Włożyła zakładkę między strony książki, żeby nie zgubić miejsca, w którym czytała, i wstała z kanapy. Kto to, u diabła, mógł być? Przecież nie Brick, bo on miał klucz.

Właśnie: musiała zmienić zamki. Wrodzona ostrożność nie pozwalała jej po prostu prosić o zwrot klucza i założyć, że Brick nie dorobił duplikatu. Do tej pory nie wykazywał wprawdzie żadnych skłonności do złodziejstwa, ale mężczyzna wściekły na kobietę jest zdolny do wszystkiego.

Wyjrzała przez judasza, zmarszczyła brwi i cofnęła się o krok, by odsunąć łańcuch i przekręcić klucz w zamku.

— Cześć — powiedziała, otwierając drzwi. — Czy coś się stało?

— Nie — odparł Corin i uderzył ją w głowę młotkiem, który dotąd przyciskał do uda.

Rozdział 17

W poniedziałek przy windzie wisiał napis: XEROX I WURLITZER OGŁOSILI, ŻE ZAMIERZAJĄ SIĘ POŁĄCZYĆ I SPRZEDAWAĆ ORGANY REPRODUKCYJNE.

Kiedy drzwi od windy otworzyły się, Jaine wciąż chichotała. Doznawała

wrażenia, że od środka rozpiera ją radość — efekt weekendu wypełnionego Samem. Jak dotąd wprawdzie Sam jej nie wypełnił, ale tak czy inaczej zaczęła tego ranka zażywać tabletki. Oczywiście nawet mu o tym nie wspomniała. Frustracja doprowadzała ją do szaleństwa, lecz radosne oczekiwanie rozświetlało świat. Nigdy dotąd nie czuła tylu sił witalnych — odnosiła wrażenie, że wszystkie komórki w jej ciele obudziły się do życia i śpiewają.

Derek Kellman zrobił krok naprzód, aby wyjść z windy.

— Cześć, Kellman — powiedziała pogodnie. — Co słychać?

Poczerwieniał jak burak i przełknął ślinę, ruszając grdyką.

— Wszystko dobrze — wymamrotał, schylił głowę i uciekł z windy. Jaine pokręciła głową z uśmiechem i wcisnęła guzik na trzecie piętro. Nie mogła uwierzyć, że Kellman chwycił Marci za tyłek — Jaine i wszyscy inni pracownicy firmy zapłaciliby nieźle pieniądze, byle tylko to zobaczyć.

Jak zwykle była pierwsza w biurze. W poniedziałek rano zawsze lubiła się rzucać w wir pracy. Gdyby tylko udało się jej myśleć o wypłatach, tydzień rozpoczęłaby niewątpliwie od udanego startu.

Rozgłos wokół Listy cichł. Udzieliły wywiadu wszystkim, którzy o to prosili, pominawszy wyłącznie „People”. Tego ranka nie oglądała telewizji, więc nie wiedziała, które fragmenty piątkowej rozmowy w studiu znalazły się na ekranie. Wiedziała jednak, że ktoś ją na pewno o tym poinformuje, a program nagrała niewątpliwie któraś z jej przyjaciółek.

Śmieszne, że zupełnie o to wszystko nie dbała. Jak mogła się zresztą martwić o Listę, skoro Sam zajmował jej tyle czasu i myśli. Doprowadzał ją do szaleństwa, ale był zabawny i seksowny, i bardzo go pragnęła.

Po wspólnie zjedzonej kolacji obudził ją w sobotę rano o szóstej trzydzieści, pryskając wężem ogrodowym w okno jej sypialni i zapraszając do pomocy przy myciu traka. Będąc jego dłużniczką — w końcu umył vipera — szybko włożyła ubranie, wypila łyk kawy i wyszła na zewnątrz. Sam nie ograniczył się jednak do mycia traka — chciał go nawoskować i wypolerować, wyczyścić chromowane powierzchnie, odkurzyć wnętrze i umyć okna. Po dwóch godzinach intensywnej pracy trak lśnił czystością. Wówczas Sam wstawił go do garażu i spytał Jaine, co zamierza mu podać na śniadanie.

Spędzili razem dzień — kłócąc się i śmiejąc. Potem oglądali mecz w telewizji — właśnie zaczęli przygotowywać się do wyjścia, gdy zadzwonił pager Sama. Sam skorzystał z jej telefonu, oddzwonił i zanim zdążyła się zorientować w sytuacji, cmoknął ją w policzek ze słowami: — Nie wiem, kiedy wrócę.

Przypomniała sobie, że Sam jest przecież gliną. I dopóki pozostawał gliną — a biorąc pod uwagę rozmowę kwalifikującą go do pracy w policji stanowej, traktował swój zawód poważnie — jego życie musiało się składać z ciągłych wezwań i zakłóceń prywatności. Przerwane spotkania stanowiły część ryzyka. Jaine już o tym myślała i doszła do wniosku, że jest kobietą twardą, więc na pewno to wytrzyma. Gdyby jednak Sam znalazł się w niebezpieczeństwie? Z tym nie poradziłaby sobie chyba równie łatwo. Czy wciąż wykonywał zadania specjalne? Czy zawsze powierzano mu właśnie takie sprawy, czy też było to przejściowe? Jaine wiedziała bardzo mało na temat pracy w policji, ale zamierzała tę wiedzę poszerzyć.

Wrócił w niedzielę po południu, zmęczony, gderliwy, nieszczęśliwie skłonny do rozmowy o tym, czym się zajmował. Nie zdręczała go więc pytaniami. A kiedy zdrzemnął się na kanapie, Jaine przysiadła obok i zaczęła czytać.

Dobrze jej było z Samem. Właśnie tak, nie na randce. Patrzyła, jak śpi, słuchała z przyjemnością jego oddechu. Jednak bała się jeszcze określić swe uczucia słowem na „m”. Było stanowczo za wcześnie, a miała za sobą zbyt wiele złych doświadczeń, by wierzyć, że to radosne podniecenie, jakie towarzyszyło jej zawsze w obecności Sama, może trwać wiecznie. Lubiła mu dokuczać, uwielbiała jego gorące spojrzenie, ale gdzieś głęboko w sercu bała się pozwolić mu zbliżyć do siebie.

Może w następnym tygodniu.

— Hej, Jaine! — Do pokoju zajrzała Dominica Flores. — Widziałam rano kawałek tego programu. Musiałam wyjść, zanim się skończył, ale wszystko nagrałam. Świetne! Wypadłaś fantastycznie! Naprawdę fantastycznie! Wszystkie wyglądałyście świetnie, ale rany... ty szczególnie!

— Nie oglądałam — odparła Jaine.

— Naprawdę? Gdyby to mnie mieli pokazać w telewizji, nie poszłabym

do pracy, byle tylko to obejrzyć.

Chyba żebyś miała tak dosyć całej afery, jak ja — pomyślała Jaine, ale i tak zdobyła się na uśmiech.

O wpół do dziewiątej zadzwoniła Luna.

— Miałaś jakieś wiadomości od Marci? — spytała. — Nie przyszła jeszcze do biura, ale kiedy zadzwoniłam do niej do domu, nikt nie odpowiadał.

— Nie, nie rozmawiałam z nią od piątku.

— Takie opuszczanie pracy jest do niej zupełnie niepodobne. — Luna wyraźnie się martwiła. Ona i Marci były ze sobą bardzo blisko związane, co mogło wydawać się dziwne, zważywszy różnicę wieku. — I nie dzwoniła, że się spóźni albo że jest chora...

To rzeczywiście nie pasowało do Marci. Osoba, na której nie można polegać, nie zostałaby na pewno główną księgową. Jaine zmarszczyła brwi.

— Dzwoniłaś na komórkę?

— Wyłączona.

Pewnie był wypadek — przemknęło Jaine przez myśl. W godzinie szczytu Detroit to naprawdę niebezpieczne miasto.

— Podzwonię w różne miejsca, może ją znajdę — powiedziała najspokojniej, jak umiała, by jeszcze bardziej nie denerwować Luny.

— Dobrze. Daj mi znać.

— Kiedy odłożyła słuchawkę, zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób może sprawdzić, czy na autostradzie między Sterling Heights i Hammerstead miał miejsce wypadek. A może Marci zjechała z Van Dyke w 696 lub też w ogóle ominęła Van Dyke, pojechała szosą do Troy i skręciła w 75?

Sam na pewno by wiedział, do kogo zadzwonić.

Szybko znalazła numer Komendy Policji w Warren, sięgnęła po słuchawkę i spytała o detektywa Donovan. Kazano jej czekać. Czekala niecierpliwie kilkanaście minut, stukając ołówkiem o blat. W końcu głos oznajmił, że detektywa Donovan nie ma, ale można zostawić dla niego wiadomość.

Jaine zawahała się. Nie chciała zawracać Samowi głowy z powodu czegoś, co mogło okazać się głupstwem, lecz nie sądziła, by ktokolwiek inny z Komendy potraktował jej niepokój poważnie. Przyjaciółka spóźniła się pół

godziny do pracy — z tego powodu nie wzywano zwykle oddziałów specjalnych. Sam mógł również nie potraktować jej poważnie, ale przynajmniej starałby się czegoś dowiedzieć.

— Macie może numer jego pagera? — spytała. — To ważne.

Sprawa była jednak ważna dla niej, nie dla nich.

— Czego to dotyczy?

Zirytowana, zaczęła się zastanawiać, czy kobiety regularnie dzwonią do Sama do pracy.

— Jestem jedną z jego informaterek — powiedziała, krzyżując palce przy tak ewidentnym kłamstwie.

— W takim razie powinna pani mieć numer jego telefonu.

— O Boże! Przecież ktoś może być ranny albo nie żyć... — Ugryzła się w język. — No dobrze, jestem w ciąży i chciałabym, żeby on o tym wiedział.

— To Jaine? — zaśmiał się głoś.

Boże! Więc Sam opowiadał o niej w pracy. Czuła, że palą ją policzki.

— Mhm — wymamrotała. — Przepraszam.

— Nie ma problemu. Sam prosił, żebym panią koniecznie z nim skontaktowała, jeśli pani kiedykolwiek zadzwoni.

Ale jak ją opisał? Nie zadała jednak tego pytania i zapisała numer pagera.

— Dzięki — powiedziała.

— Nie ma za co. Natomiast jeśli chodzi o tę ciążę...

— Skłamałam — przyznała z udawanym zawstydzeniem. Chyba nie wypadło to zresztą zbyt przekonująco, gdyż jej rozmówczyni roześmiała się tylko.

— Dalej, dziewczyno — powiedziała i odwiesiła słuchawkę, nie wyjaśniając, co dokładnie ma na myśli.

Jaine połączyła się natychmiast z pagerem Sama i zostawiła mu swój numer telefonu. Nie był to jednak numer znany Samowi, toteż nie wiedziała, jak długo będzie musiała czekać na wiadomość. Tymczasem zadzwoniła do działu księgowości.

— Marci przyjechała?

— Nie — odparł zmartwiony głos. — Nie miałyśmy od niej żadnej wiadomości.

— Tu Jaine, wewnętrzny trzy sześć dwa jeden. Jeśli się pojawi, każcie się jej natychmiast odezwać.

— Jasne.

Telefon zadzwonił ponownie dopiero o wpół do dziesiątej. Chwyciła słuchawkę w nadziei, że Marci przyszła do pracy.

— Jaine Bright.

— Słyszałem, że zostaniemy rodzicami. — Po drugiej stronie linii rozległ się głęboki głos Sama.

Przekłęta papla — pomyślała.

— Musiałam coś wymyślić. Nie uwierzyła, że jestem informatorką.

— Na szczęście wszystkich przed tobą ostrzegłem — powiedział. — Co się stało?

— Mam nadzieję, że nic. Moja przyjaciółka Marci...

— Marci Dean? Jedna z niesławnych Dam od Listy?

Mogła się domyślić, że Sam zna wszystkie szczegóły na ich temat.

— Nie przyszła do pracy, nie zadzwoniła, nie odbiera telefonu. Boję się, że uległa wypadkowi, ale nie wiem, jak to ustalić. Możesz mi podpowiedzieć?

— Nic prostszego. Skontaktuję się z Wydziałem Ruchu Drogowego i poproszę o sprawdzenie raportów. Zaraz... ona chyba mieszka w Sterling, prawda?

— Owszem. — Jaine szybko podała mu adres i na chwilę wstrzymała oddech. Przyszła jej bowiem do głowy okropna myśl. — Jej chłopak strasznie się tą Listą zdenerwował. W czwartek wieczorem zabrał rzeczy i wyprowadził się z mieszkania, ale mógł wrócić...

Sam milczał chwilę, a potem odezwał się znowu energicznym profesjonalnym tonem.

— Zadzwonię do szeryfa i na komisariat w Sterling Heights. Każę im do niej pojechać. Pewnie nic się nie stało, jednak nie zaszkodzi sprawdzić.

— Dziękuję — szepnęła.

Sam nie był wcale zadowolony z własnych myśli, ale pracował w policji zbyt długo, żeby uznać niepokój Jaine za histerię. Rozgniewany narzeczony ze zranionym ego, ta przeklęta Lista i zaginiona kobieta... To wystarczyło, żeby podejrzewać najgorsze. Może samochód pani Dean po prostu się zepsuł, ale może nie. Jaine nie należała do kobiet, które łatwo wpadają w panikę, a przecież wyraźnie się bała.

Może kierowała nią wyłącznie kobieca intuicja, której Sam nie miał zwyczaju lekceważyć. Jego matka miała oczy z tyłu głowy i zawsze wiedziała, że Sam i jego bracia planują jakiś wyskok. Skąd? Aż do dziś nie miał pojęcia, po prostu pogodził się z faktem.

Przeprowadził dwie rozmowy telefoniczne — pierwszą z Komisariatem Policji w Sterling Heights, drugą z facetem z Wydziału Ruchu Drogowego, który miał sprawdzić listę ofiar porannych wypadków. Sierżant ze Sterling Heights, z którym rozmawiał, obiecał, że natychmiast wyśle wóz patrolowy do domu Marci, toteż Sam wstrzymał się na chwilę z telefonem do szeryfa. Obu rozmówcom zostawił numer telefonu komórkowego.

Pierwszy odezwał się facet z drogówki.

— Dziś rano nie wydarzyły się żadne poważne wypadki — powiedział. — Parę stłuczek, na Gratiot Avenue jakiś facet spadł z motocykla. Wszystko.

— Dzięki — rzekł Sam.

— Zawsze chętnie pomogę,

O dziesiątej piętnaście zadzwonił sierżant ze Sterling Heights.

— Wywołał pan wilka z lasu — powiedział zmartwionym głosem.

— Nie żyje?

— Tak. Ktoś był wyjątkowo brutalny. Ma pan nazwisko tego chłopaka? Żadnego z sąsiadów nie zastałem w domu, a sądzę, że powinniśmy z nim zamienić parę słów.

— Mogę się tym zająć. Moja przyjaciółka jest, była najlepszą przyjaciółką pani Marci.

— Dzięki za pomoc.

Sam wiedział, że wkracza na cudze terytorium, ale w końcu doprowadził ich na miejsce zbrodni i liczył na przecieki.

— Może mi pan zdradzić jakieś szczegóły?

— Jakiego telefonu komórkowego pan używa?

— Cyfrowego.

— Jest bezpieczny?

— Chyba że namierzą go hakerzy.

— No dobra. Zabił ją młotkiem. Zostawił go zresztą na miejscu zbrodni. Może znajdziemy jakieś odciski.

Sam zmarszczył brwi. Młotek musiał ją okropnie poranić.

— Z twarzy zostało naprawdę niewiele, poza tym zamordowana odniosła wiele ran klutych. Padła również ofiarą przemocy seksualnej.

Jeśli chłopak zostawił nasienie, było po nim.

— Nasienie?

— Nie wiemy. Będą musieli zrobić testy. On... zrobił to młotkiem.

Jezu! Sam wciągnął głęboko powietrze.

— Dzięki, sierżancie.

— Będę wdzięczny za pomoc. Pańska przyjaciółka... bo to ją chciał pan wypytać o tego chłopaka?

— Tak, zadzwoniła do mnie rano, bardzo zmartwiona, kiedy pani Dean nie pojawiła się w pracy.

— Może ją pan po prostu zapytać o tego chłopaka, a resztę zatrzymać w tajemnicy?

— Prędzej by mi się udało zatrzymać zachód słońca — prychnął Sam.

— To jedna z tych? Może jednak potrafi zachować te informacje dla siebie? Jesteśmy prawie pewni, że zamordowaną jest pani Dean, ale nie przeprowadziliśmy identyfikacji i nie poinformowaliśmy rodziny.

— Poproszę znajomą, żeby wyszła z pracy. Na pewno bardzo się znerwuje.

Chciał jej to zresztą powiedzieć osobiście.

— Dobrze. A jeśli się nam nie uda znaleźć rodziny pani Dean pańska znajoma będzie musiała zidentyfikować zwłoki.

— Macie mój numer — powiedział cicho.

Odwiesił słuchawkę i przez chwilę siedział w milczeniu przy biurku.

Nie musiał sobie wyobrażać koszmarnych szczegółów widział już zbyt wiele prawdziwych miejsc zbrodni. Pamiętał doskonale co młotek lub kij baseballowy może zrobić z ludzką czaszką. Wiedział również, jak wyglądają liczne rany klute. I, podobnie jak sierżant wiedział, że morderstwa dokonał ktoś, kto znał ofiarę, gdyż atak miał charakter osobisty; zmasakrowano twarz. Liczne rany klute świadczyły o wściekłości mordercy. A ponieważ kobiety padały zwykle ofiarą swych znajomych — najczęściej mężów, narzeczonych, byłych partnerów — istniało poważne prawdopodobieństwo, że mordercą jest chłopak pani Dean.

Odetchnął głęboko i wybrał numer Jaine.

— Wiesz, jak się nazywa chłopak Marci? — spytał.

Wciągnęła spazmatycznie powietrze.

— Nic się jej nie stało?

— Jeszcze nie wiem — skłamał. — Co z tym chłopakiem?

— Ach, prawda... Nazywa się Brick Geurin. — Przeliterował nazwisko.

— Brick to imię czy ksywka?

— Nie wiem, Marci zawsze mówiła o nim Brick.

— Dobra. Wystarczy. Zadzwoń jeszcze raz, kiedy się czegoś dowiem.

A może zjesz ze mną lunch?

— Jasne. Kiedy?

W jej głosie wciąż pobrzmiwał strach, ale usiłowała nad sobą panować, tak jak się tego po niej spodziewał.

— Przyjadę po ciebie Jeżeli załatwisz mi przepustkę.

— Nie ma problemu. O dwunastej?

Zerknął na zegarek. Była dziesiąta trzydzieści pięć.

— Można wcześniej, powiedzmy piętnaście po jedenastej? — zyskałby czas na dojazd do Hammerstead.

Może wiedziała już wcześniej, może zaczęła się czegoś domyślać.

— Spotkamy się na dole.

Czekała na niego przed wejściem do budynku, ubrana w jedną z tych długich, wąskich spódnic, która na niej wyglądała jak ciuch za milion dolarów. W takim stroju nie miała jednak szans, by wdrapać się do kabiny traka. Wy-

siadł i otworzył przed nią drzwi. Patrzyła na niego niespokojnie. Wiedział, że jego twarz nie wyraża absolutnie żadnych uczuć, a mimo to Jaine zbladła jak płótno.

Chwycił ją w tali, wsadził do kabiny i sam usiadł za kierownicą.

Po policzku Jaine stoczyła się łza.

— Powiedz — poprosiła zduszonym głosem.

Westchnął i wziął ją w ramiona.

— Tak mi przykro — szepnął.

Chwyciła go za koszulę. Wyczuł, że drży, i przytulił ją jeszcze mocniej.

— Ona nie żyje, prawda? — szepnęła i było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

Wiedziała.

Rozdział 18

Jaine płakała tak bardzo, że nie mogła otworzyć spuchniętych powiek. Na początku wybuchu Sam tulił ją po prostu w ramionach, nie odjeżdżając spod Hammerstead.

— Zjesz coś? — spytał, kiedy w końcu trochę się uspokoiła.

— Nie — odparła przez łzy. — Muszę powiedzieć Lunie i T.J.

— Jeszcze nie, kochanie. Jeżeli one się dowiedzą, sprawa nabierze rozgłosu, ktoś zadzwoni do gazety albo stacji telewizyjnej i podadzą to w wiadomościach. Nie zawiadomiliśmy jeszcze jej rodziny, a bliscy pani Dean nie powinni dowiadywać się o jej śmierci w ten sposób.

— Ona nie ma rodziny. — Jaine wyjęła chusteczkę z torebki, po czym wytarła oczy i nos. — Tylko siostrę w Saginaw i wujostwo na Florydzie. O nikim innym nigdy nie wspominała.

— Wiesz, jak ma na imię jej siostra?

— Cheryl. Nazwiska nie znam.

— Pewnie jest w książce adresowej. Każę im poszukać Cheryl z Saginaw. — Wyjął komórkę i wybrał numer. Przez chwilę rozmawiał z kimś po drugiej stronie linii, przekazując mu informacje na temat siostry Marci.

— Muszę iść do domu — powiedziała Jaine, wbijając wzrok w szybę.

Chwyciła za klamkę, ale Sam zatrzymał ją, kładąc mocno rękę na ramieniu.

— Nie wolno ci prowadzić — rzekł.— Jeśli chcesz jechać do domu, to ze mną.

— Ale mój samochód...

— Jest w bezpiecznym miejscu. Jeśli będziesz chciała gdzieś jechać, sam cię zawiozę.

— Ale może będziesz musiał wyjść.

— Poradzę sobie. Do auta nie wsiądziesz.

Gdyby nie była tak roztrzęsiona, na pewno zaczęłaby się z nim spierać, ale łzy znów napłynęły jej do oczu i zrozumiała, że nawet nie widzi wystarczająco dobrze, żeby prowadzić. Nie mogła również wrócić do pracy. Nie czuła się na siłach, by z kimkolwiek rozmawiać a w razie jakichkolwiek pytań ze strony koleżanek na pewno by się załamała.

— Muszę zawiadomić firmę, że idę do domu.

— Powiesz im sama czy ja mam to zrobić?

— Dam sobie radę. Tyle że nie teraz.

— Dobrze, zapnij pas.

Posłusznie zapięła klamrę pasa i zamarła w bezruchu. Sam wrzucił bieg i wyprowadził traka na autostradę. Prowadził w milczeniu. Jaine musiała się pogodzić ze stratą Marci, a on nie chciał jej w tym przeszkadzać.

— Myślisz, że to Brick, prawda?

— Zostanie przesłuchany — odparł wymijająco Sam. Na takim etapie śledztwa Geurin był podejrzanym numer jeden, ale jego winę musiały potwierdzić dowody. Prawda bywa nieprawdopodobna. Kto wie? Może pani Dean spotykała się też z kimś innym?

Jaine zaczęła płakać. Zakryła dłońmi twarz i przygarbiła plecy.

— Nie wierzę — wyjąkała, po czym zaczęła się zastanawiać, iluż to ludzi przed nią wypowiadało podobne słowa w takiej sytuacji.

— Rozumiem, kochanie.

On ją naprawdę rozumiał. W swojej karierze oglądał zapewne często takie obrazki, słyszał identyczne słowa...

— W jaki sposób... Co się stało?

Sam zawahał się. Nie chciał mówić Jaine, że Marci została jednocześnie zatłuczona na śmierć i zasztyletowana. Nie znał zresztą bezpośredniej przyczyny śmierci, więc nie wiedział, czy zmarła na skutek uderzeń młotkiem, czy ran od noża.

— Nie znam szczegółów — powiedział w końcu. — Wiem, że została zasztyletowana. Nie wiem jednak, kiedy dokładnie zginęła.

Wszystko, co powiedział, było prawdą, choć nie całą.

— Zasztyletowana — powtórzyła Jaine i przymknęła oczy, jakby chciała to sobie uzmysłowić.

— Nie rób tego — poprosił.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego pytająco,

— Usiłowałaś sobie wyobrazić, co się stało i jak ona wyglądała, czy ją bolało... — powiedział znacznie ostrzej, niż zamierzał. — Nie rób tego.

Zaczerpnęła głęboko powietrza. Sam przez chwilę sądził, że Jaine wybuchnie, wylewając na niego cały swój gniew i żal, ale ona tylko skinęła głową, jakby przyznawała mu rację.

— Spróbuję, ale jak to zrobić?

— Myśl o niej — powiedział, gdyż wiedział, że Jaine i tak będzie myślała o Marci. Stanowiło to naturalną część żałoby.

Chciała się odezwać, ale łzy tamowały jej głos, więc znów tylko przytaknęła. W drodze do Warren nie odezwała się ani słowem.

Gdy szła przez podjazd w stronę domu, poczuła się stara. Sam obejmował ją ramieniem. Wchodząc mozolnie na schodki prowadzące do kuchni, była mu wdzięczna za wsparcie. BooBoo zamiauczał radośnie i poruszył ogonem, jakby pytał, dlaczego wróciła do domu tak wcześnie. Pochyliła się, by podrapać go za uszami, szukając pociechy w ciepłe giętkiego ciała i miękkości futra.

Położyła torebkę na stole i opadła na jedno z krzeseł z BooBoo na kolanach. Sam zatelefonował tymczasem do sierżanta i cicho z nim rozmawiał. Próbowwała nie myśleć o Marci, jeszcze nie. Nie myślała również o Lunie i T.J., niepokoju, który musiały czuć z powodu braku wiadomości od Marci. Miała nadzieję, że policja skontaktuje się szybko z siostrą Marci, gdyż przyjaciółki musiały się domyślać, że nagłe wyjście Jaine musi oznaczać coś bardzo złego. Gdyby teraz do niej za-

dzwoniły, nie wiedziałyby nawet, co powiedzieć, gdyby w ogóle była w stanie mówić. Sam postawił przed nią filiżankę herbaty.

— Wypij. Wypłakałaś tyle łez, że musisz być odwodniona.

Zdobyła się na drżący uśmiech, co zdziwiło ją samą. Pocałował ją w czubek głowy, po czym usiadł obok z własną herbata.

Postawiła BooBoo na podłodze, pociągnęła nosem i otarła oczy.

— Co właściwie opowiedziałeś o mnie kolegom z Wydziału? — spytała, głównie po to, żeby coś powiedzieć.

Próbował przybrać niewinną minkę. Taki wyraz nie pasował jednak zupełnie do jego grubych rysów.

— Właściwie nic. Prosiłem tylko, żeby cię ze mną skontaktowali, jeśli zadzwonisz. Powininiem był zresztą podać ci numer pagera.

— Niezły pomysł — powiedziała.

— Uwierzyłaś?

— Nie.

— Dobra, powiedziałem, że klniesz jak szewc...

— Przecież nie klnę!

— ...i masz najśłodszy tyłek po tej stronie Gór Skalistych, więc muszą cię ze mną skontaktować, bo próbuję już od dawna zaciągnąć cię do łóżka i może dzwoniisz, żeby się zgodzić.

Pomyślała, że Sam próbuje ją pocieszyć. Czowała, że drży jej podbródek.

— To bardzo miłe — zdołała tylko wykrztusić i wybuchnęła płaczem. Objęła się ramionami i zaczęła kołysać tam i z powrotem. Ten wybuch był gwałtowny, ale krótki, tak jakby psychicznie nie mogła wytrzymać takiej udręki przez dłuższy czas.

Posadził ją na kolanach i położył jej głowę na ramieniu.

— Mówiłem, że jesteś wyjątkowa — mruknął. — I że jeśli zadzwonisz, na pewno zechcę z tobą porozmawiać niezależnie od tego, gdzie będę przebywał i co robił.

Teraz też kłamie — pomyślała — ale równie słodko jak przedtem. Przełknęła ślinę.

— Nawet jeśli będziesz wykonywał zadania specjalne?

Milczał chwilę.

— W takiej sytuacji nie.

Od płaczu rozboleła ją głowa, twarz paliła. Chciała go poprosić, żeby się z nią kochał, ale ugryzła się w język. I choć potrzebowała bliskości, pociechy i afirmacji życia, czuła, że to nie byłoby w porządku. Ten pierwszy raz nie powinien się odbywać w takich okolicznościach. W końcu oparła mu tylko twarz na szyi i zaczęła wdychać męski zapach Sama, czerpiąc siły z jego bliskości.

— Czym zajmują się oddziały specjalne?

— To zależy. Powstają z różnych powodów.

— A twój? Co robi?

— To międzywydziałowa grupa przydzielona do szczególnie brutalnych przestępstw.

Zupełnie się jej to nie podobało. Wolała sobie wyobrazić, że Sam prowadzi przesłuchania i zapisuje uwagi w notesie. Innymi słowy pracuje jako detektyw. Aresztowanie niebezpiecznych przestępców mogło polegać na wyważaniu drzwi i stawianiu twarzą twarz ze złymi ludźmi którzy chcieli do niego strzelać.

— Chciałabym dowiedzieć się od ciebie czegoś więcej – powiedziała, unosząc głowę i marszcząc brwi. — Ale nie teraz. Później.

Odetchnęła z ulgą.

Długo trzymał ją na kolanach. Tulił, gdy dzwoniła do biura i zwalniała się na resztę dnia. Próbowwała zdobyć się na spokój, ale pana de Wyntera nie było w gabinecie i musiała rozmawiać z Giną, która zadała jej całą masę pytań i dodała, że Luna i TJ. usiłują się z nią skontaktować.

— Zatelefonuję do nich później — powiedziała, odłożyła słuchawkę i smętnie wtuliła twarz w ramię Sama. — Jak długo jeszcze będę musiała je zwodzić?

— Niech przynajmniej wyjdą z pracy. Zadzwoń do Sterling Heights i sprawdź, czy powiadomili jej siostrę. I nie odbieraj telefonu. Każdy, kto będzie się chciał ze mną skontaktować, zadzwoni na pager albo na komórkę.

Zeszła mu z kolan i poszła do łazienki umyć twarz. Popatrzyła na swoje lustrzane odbicie. Miała czerwone oczy i twarz spuchniętą od płaczu, wyglądała koszmarnie i zupełnie się tym nie przejmowała. Niespiesznie włożyła dżinsy,

podkoszulek i połknęła dwie aspiryny, aby ukoić ból głowy.

Siedziała na brzegu łóżka, kiedy Sam zaczął jej szukać. Stał w drzwiach: wielki, męski i zupełnie swobodny — nieskrępowany nawet otoczeniem damskiej sypialni. Przysiadł obok Jaine.

— Wyglądasz na zmęczoną. Może się zdrzemniesz?

Była zmęczona, strasznie zmęczona, ale wiedziała, że nie zaśnie.

— Przynajmniej się połóż — poprosił, widząc jej powątpiewającą minę. — I nie martw się. Jeżeli zaśniesz, a ja się czegoś dowiem, natychmiast cię obudzę.

— Słowo harcerza?

— Słowo harcerza.

— Czy kiedykolwiek byłeś harcerzem?

— Nie, no skąd. Byłem za bardzo zajęty rozrabianiem.

Zachowywał się tak cudownie, że miała ochotę zgnieść go w uścisku. Ograniczyła się jednak do pocałunku.

— Dzięki, Sam. Nie wiem, co bym dziś bez ciebie zrobiła.

— Jakoś dałabyś sobie radę — odparł i odwzajemnił pocałunek. Wycofał się jednak natychmiast, zanim mogłoby dojść do czegoś poważniejszego. — Zaśnij, jeśli potrafisz — powiedział i szybko wyszedł z pokoju zamykając za sobą drzwi.

Przymknęła palące powieki. Aspiryna zaczęła działać i ból głowy powoli ustępował. Kiedy Jaine otworzyła w końcu oczy, zrozumiała że zrobiło się późno. Popatrzyła ze zdumieniem na zegarek: minęły trzy godziny. W końcu jednak udało się jej zdrzemnąć.

Znalazła okłady łagodzące opuchliznę oczu i położyła je sobie na powiekach. Przez chwilę leżała nieruchomo, zbierając siły na kolejne dni. Kiedy usiadła na łóżku i zdjęła okłady, opuchlizna wydawała się mniejsza. Wyszczotkowała włosy, umyła zęby, po czym wyszła z sypialni i ujrzała, że Sam ogląda telewizję, a BooBoo drzemie słodko na jego kolanach.

— Są jakieś wiadomości?

Samowi udało się zyskać sporo nowych informacji, lecz z żadną z nich nie chciał się dzielić z Jaine.

— Odnaleziono siostrę Marci, a prasa zdążyła już ustalić jej tożsamość. Pewnie podadzą to wieczorem w wiadomościach.

Posmutniała.

— T.J.? Luna?

— Wyłączyłem telefony, kiedy spałaś. Masz jednak kilka wiadomości na sekretarce.

Znów zerknęła na zegarek.

— Jada właśnie z pracy do domu. Nie chcę, by się dowiedziały z telewizji. Zaraz do nich zadzwonię.

Ledwo zdążyła to powiedzieć, na podjeździe zatrzymały się camaro Luny i buick T.J. Próbując zebrać siły, przymknęła oczy i wyszła bosą na ganek, by się z nimi przywitać. Sam ruszył za nią.

— Co się dzieje? — prawie krzyknęła T.J. Grymas niepokoju szpecił teraz jej śliczną twarz. — Nie możemy znaleźć Marci, ty wyszłaś z pracy i nie odbierasz telefonu... Jaine, do jasnej cholery, co...

Jaine poczuła, że jej twarz zaczyna się kurczyć. Zakryła dłonią usta, próbując powstrzymać łkanie.

Luna zatrzymała się w pół kroku, a do oczu napłynęły jej łzy.

— Co się stało? — spytała drżącym głosem.

Próbując zachować resztki spokoju, Jaine zaczerpnęła parę głębokich oddechów.

— Chodzi o Marci... — wyjąkała.

T.J. przystanęła na pierwszym stopniu. Zaciśnęła dłonie.

— Co się stało? Czy jest ranna? — spytała, płacząc. Jaine pokręciła głową.

— Nie... ona nie żyje. Ktoś ją zabił.

Luna i T. J. podbiegły do niej pospiesznie i wszystkie trzy przywarły do siebie, płacząc nad ukochaną przyjaciółką, którą straciły na zawsze.

Rozdział 19

Corin siedział przed ekranem telewizora, kołysząc się na fotelu tam i z powrotem. Od trzech dni oglądał wiadomości, ale jak dotąd nikt nie wspomniał

ani słowem o jego wyczynie. Pękał więc ze złości, gdyż chciał, by cały świat się dowiedział, że pierwsza z tych czterech dziwek nie żyje.

Corin nie był jednak pewien, czy zabił właściwą. Nie był pewien, czy upolował panią A, B, C, czy D. Miał nadzieję, że C. Właśnie C mówiła te okropne rzeczy o tym, że trzeba się starać być idealnym. Właśnie C musiała umrzeć.

W jaki sposób miał się jednak o tym przekonać? Dzwonił do nich, ale jedna nigdy nie odbierała telefonu, a trzy pozostałe nie chciały z nim rozmawiać.

O jedną na szczęście nie potrzebował się już martwić. Jedna z głowy, zostały trzy.

Jest! Spiker z bardzo poważną miną powiedział:

— Szokujące morderstwo w Sterling Heights. Ofiara to osoba, która zyskała ostatnio w Detroit ogromną popularność. Szczegóły za chwilę.

Wreszcie. Poczul ulgę. Teraz już wszyscy rozumieją, że nie należy mówić takich rzeczy o małym Mr Perfect mamusi.

Kołysał się na krześle, podśpiewując: „Jedna z głowy, zostały trzy”.

Odnalezienie Meldona Geurina zwanego Brickiem nie zajęło zbyt wiele czasu. Szybko ustalono nazwę ulubionego baru Bricka i niemal automatycznie nazwiska jego przyjaciół, którzy zeznali:

— No tak, Brick i ta jego stara... chyba się ostatnio pokłócili. A on się pewnie szlaja z Victorem.

— Jak ten Victor ma na nazwisko? — spytał bardzo uprzejmie detektyw Roger Bernsen. Choć pytał naprawdę bardzo grzecznie, jego słowa brzmiały jak groźba, gdyż detektyw Bernsen ważył ponad sto kilo, mierzył dwa metry, miał byczy kark, skrzekliwy głos i wyglądał tak, jakby zachodziła obawa, że za chwilę wpadnie w szal. Głosu nie potrafił zmienić, o wagę nie dbał, a wyraz twarzy specjalnie trenował. Całość robiła przerażające wrażenie.

— Mhm... Ables, Victor Ables.

— Gdzie ten Victor może mieszkać?

— W Detroit, człowieku. W śródmieściu.

Sterling Heights powiadomiło Komendę Policji w Detroit i Meldon

„Brick” Geurin trafił na przesłuchanie.

Kiedy detektyw Bernsen zaczął z nim rozmawiać, Brick Geurin był w ponurym nastroju. Miał przekrwione oczy, cuchnął stęchłym alkoholem, a jego ponury nastrój wynikał zapewne ze złego samopoczucia spowodowanego katem.

— Panie Geurin, kiedy widział się pan ostatnio z panią Marci Dean?

— zaczął uprzejmie detektyw.

Pan Geurin podniósł głowę, czego natychmiast pożałował.

— W czwartek wieczorem — powiedział, gdy odzyskał mowę.

— Jest pan tego pewien? Tak. Dlaczego? Może ona twierdzi, że coś zwinąłem? Była w mieszkaniu, jak zabierałem rzeczy, więc jeżeli wam nagadała, że jej coś podprowadziłem, to kłamie.

Detektyw Bernsen nie zareagował.

— Gdzie pan przebywał od czwartku? — spytał.

— W areszcie — odparł Geurin jeszcze bardziej ponurym tonem. Detektyw Bernsen rozparł się na krześle, co stanowiło jedyną wi doczną oznakę zdziwienia.

— W którym?

— W Detroit.

— Kiedy pana aresztowano?

— W czwartek wieczorem.

— Zatem przez trzy dni był pan gościem miasta Detroit?

— Na to wychodzi — prychnął Geurin.

— O co pana oskarżono?

— O jazdę po pijaku. Poza tym podobno stawiałem opór.

To wszystko można sprawdzić. Detektyw Bernsen zaproponował panu Geurinowi filiżankę kawy, ale nie był zdziwiony odmową. Zostawił go więc w gabinecie i wyszedł, żeby zadzwonić do Komendy Policji w Detroit.

Fakty wyglądały dokładnie tak, jak pan Geurin je przedstawił. Od dwudziestej trzeciej trzydzieści cztery w czwartek do trzeciej czterdzieści jeden w niedzielę pan Geurin przebywał w areszcie. Alibi trudne do podważenia.

Panią Dean widziano po raz ostatni żywą, kiedy wychodziła wraz z trze-

ma przyjaciółkami od Erniego. Biorąc pod uwagę stan zwłok i stężenie pośmiertne, przy uwzględnieniu temperatury w klimatyzowanym domu, pani Dean zginęła w piątek wieczorem lub w sobotę rano.

Zabójcą nie był jednak pan Geurin.

Ten prosty fakt oznaczał jednak problemy znacznie większe niż te, których detektyw się spodziewał. Skoro nie zabił Geurin, to kto? Jak do tej pory nie doszukali się innych miłosnych związków w życiu pani Dean, zatem żaden kochanek rozwścieczony jej odmową zerwania z panem Geurinem nie wchodził w grę. Poza tym Marci i pan Geurin zerwali ze sobą w czwartek wieczorem.

Atak miał jednak charakter osobisty — zbrodniarz zabił w napadzie szału, po czym próbował uniemożliwić ustalenie tożsamości swej ofiary, masakrując jej twarz. Rany nożem zadał jej już po śmierci. Pani Dean zginęła od ciosów młotkiem, lecz to zabójcy nie wystarczyło i użył noża. Rany prawie nie krwawiły, co świadczyło o tym, że serce Marci Dean już nie biło, kiedy je zadano. Aktu przemocy seksualnej zabójca dopuścił się wobec swej ofiary również po jej śmierci.

Marci Dean znała swego zabójcę i zapewne sama otworzyła mu drzwi, jako że nie znaleziono śladów włamania. Wykluczwszy Geurina, detektyw Bernsen musiał zaczynać wszystko od początku.

Należało odtworzyć każdy krok Marci, począwszy od piątku wieczorem. Zaczął od Erniego. Dokąd poszła po wyjściu z restauracji? Może wstąpiła jeszcze do jakiegoś baru albo dwóch, może poderwała faceta i zaprosiła go do domu?

Zmarszczył brwi i wrócił do Geurina, który siedział na krześle z przymkniętymi oczyma. Na widok detektywa podniósł się z miejsca.

— Dziękuję za współpracę — powiedział grzecznie detektyw Bernsen. — Poproszę chłopców, żeby odwieźli pana do domu, jeśli pan sobie tego życzy.

— Tylko tyle? Tylko o to chciał mnie pan prosić? O co tu chodzi?

Detektyw Bernsen zawahał się. Najbardziej na świecie nienawidził informować ludzi o śmierci najbliższych. Pamiętał, jak w 1968 roku przyszedł do nich kapelan wojskowy, by donieść matce, że ojciec nie powróci z Wietnamu. Wspomnienie tej smutnej chwili wciąż było żywe w jego pamięci.

W związku z tą sprawą pana Geurina narażono jednak na kłopoty i de-

tektyw uznał, że jest mu winien wyjaśnienie.

— Pani Dean została napadnięta we własnym domu i...

— Marci? — Geurin wyprostował się na krześle. W przeciągu sekundy jego zachowanie uległo całkowitej zmianie. — Jest ranna? Nic się jej nie stało?

Detektyw Bernsen znów się zawahał.

— Bardzo mi przykro — powiedział najłagodniej, jak umiał, czując, że wiadomość o śmierci Marci Dean przygnębi Geurina bardziej, niż wcześniej sądził.

— Pani Dean nie przeżyła napadu.

— Nie przeżyła napadu? To znaczy, że nie żyje?

— Bardzo mi przykro — powtórzył detektyw.

Brick Geurin na chwilę zamarł w bezruchu, po czym wolno osunął się na biurko. — Ukrył głowę w ramionach i zaszlochał.

Shelley stanęła w progu Jaine już przed siódmą następnego ranka.

— Chciałam cię zastać, zanim wyjdiesz do pracy — powiedziała, gdy Jaine otworzyła drzwi.

— Nie idę dziś do pracy. — Jaine wyjęła machinalnie filiżankę z kredensu, nalała do niej kawy i podała Shelley. I co teraz? Nie czuła się na siłach, by walczyć z siostrzanym gniewem.

Shelley postawiła filiżankę na stole i objęła Jaine ramieniem.

— Dowiedziałam się o Marci dopiero dziś rano. Jak się czujesz?

W oczach Jaine znów stanęły łzy, choć myślała, że nie można już więcej płakać. Powinna była wypłakać je wszystkie.

— Wszystko w porządku — powiedziała. Nie spała dobrze, nie jadła wiele i czuła się tak, jakby jej silnik pracował tylko na połowie obrotów, ale jakoś dawała sobie radę. I choć tak ciężko przeżyła śmierć Marci, wiedziała, że przez to przejdzie. Czas leczy rany, a stare powiedzenia nie tracą na aktualności.

Shelley wyciągnęła rękę, popatrzyła na bladą twarz siostry i jej czerwone podpuchnięte oczy.

— Przyniosłam ogórek — powiedziała. — Siadaj.

— Ogórek? Po co? — spytała niespokojnie Jaine. — Co zamierzasz z

nim zrobić?

— Położyć ci plasterki na powieki, wariatko — odparła Shelley z irytacją. Jaine często doprowadzała ją właśnie do takiego stanu. — Ogórek zlikwiduje opuchliznę.

— Mam okłady.

— Ogórki są lepsze. Siadaj.

Jaine była bardzo zmęczona, więc posłusznie usiadła. Shelley wyjęła ogromny ogórek z torby na ramię, umyła go i rozejrzała się.

— Gdzie są noże?

— Nie wiem. W jednej z szuflad.

— Nie wiesz, gdzie są noże?

— Błagam, mieszkam tu dopiero od miesiąca. Ile czasu tobie zajęło rozpakowywanie?

— My wprowadziliśmy się do naszego domu osiem lat temu, więc... chyba osiem lat. — Najwyraźniej rozbawiona tym wyznaniem Shelley metodycznie przeszukiwała szuflady.

Ktoś zapukał do drzwi, ale nim Jaine zdążyła wstać, by je otworzyć, Sam wszedł do środka.

— Zobaczyłem obcy samochód i wpadłem sprawdzić, czy nie nachodzą cię dziennikarze — powiedział do Jaine.

Poprzedniego wieczoru bez przerwy dzwonili do niej dziennikarze, nawet ci z głównych stacji telewizyjnych.

Shelley odwróciła się z ogórkiem w ręku.

— Kim pan jest? — spytała wprost.

— Sąsiadem Jaine, glina — odparł Sam i przyjrzał się ogórkowi. — Chyba wam w czymś przeszkodziłem...

Jaine chciała go palnąć, ale nie miała siły. Obecność Sama dodała jej jednak trochę energii.

— Shelley zamierza mi zrobić kompres z ogórka.

Popatrzył na nią z ukosa.

— Przecież spadnie.

Postanowiła, że jednak mu przyłoży. Ale później.

— Z plasterków ogórka.

Zrobił sceptyczną minę. Podszedł do kredensu, wyjął filiżankę i nalał sobie kawy.

Shelley popatrzyła pytająco na Jaine.

— Kto to jest? — spytała.

— Mój sąsiad — wyjaśniła Jaine. — Shelley, to Sam Donovan. Sam — moja siostra Shelley.

Wyciągnął rękę.

— Bardzo mi miło panią poznać.

Shelley wyciągnęła rękę z taką miną, jakby zupełnie nie miała na to ochoty. Znów zaczęła szukać noża.

— Mieszkasz tu dopiero od trzech tygodni i już masz sąsiada, który wie, gdzie trzymasz filiżanki?

— Jestem detektywem — odparł Sam z uśmiechem. — Muszę wiedzieć, gdzie co jest. Na tym polega moja praca.

Shelley popatrzyła na niego wzrokiem królowej Wiktorii, który mówił wyraźnie: „Nie jesteśmy rozbawieni”.

Jaine natomiast miała ochotę uściskać Sama, gdyż dzięki niemu poczuła się lepiej. Nie wiedziała, co by bez niego zrobiła. Sam — niczym skała — odgradzał ją wczoraj od telefonów, a gdy nakazywał natrętom, żeby już nie dzwonili, w jego głosie było coś, co nakazywało posłuch.

Zrozumiała jednak, że tego dnia nie może liczyć na jego towarzystwo. Sam był ubrany do pracy, w jasne spodnie i przewiewną białą koszulę. Pager miał przypięty do paska, rewolwer tkwił z tyłu, w okolicach prawej nerki. Shelley patrzyła na niego zdumionym wzrokiem, jak na reprezentanta jakiegoś egzotycznego gatunku, jedynie częściowo skupiona na szukaniu noża.

W końcu otworzyła właściwą szufladę i wyciągnęła nóż.

— Aha — mruknęła Jaine z umiarkowanym zainteresowaniem. — Tutaj były.

Shelley odwróciła się do Sama z ogórkiem w jednej ręce i z nożem w drugim.

— Sypiacie ze sobą? — spytała wrogo.

— Jeszcze nie — odparł Sam z przekonaniem.

W kuchni zapadła cisza. Shelley zaczęła obierać ogórek krótkimi, neliściowymi pociągnięciami noża.

— Nie jesteście do siebie podobne — zauważył swobodnie Sam, jakby nie uciał przed chwilą rozmowy.

Z takimi lub podobnie wyrażanymi opiniami spotykały się przez całe życie.

— Shelley wygląda jak tata, ale ma włosy mamy, a ja jestem podobna do mamy i mam włosy jak tata — powiedziała automatycznie Jaine.

Shelley była wysoka, smukłą blondynką, dziesięć centymetrów wyższą od Jaine. Jej włosy uzyskały złocisty odcień dzięki farbie, ale pasowały do orzechowych oczu.

— Zostaniesz z nią dzisiaj? — spytał Sam.

— Nikogo mi nie trzeba — odparła Jaine,

— Tak — odrzekła Shelley, patrząc na Sama.

— Pilnuj, żeby miała spokój, i trzymaj ją z dala od dziennikarzy.

— Nikogo nie potrzebuję — powtórzyła Jaine.

— Dobrze — powiedziała Shelley do Sama.

— Świetnie — mruknęła Jaine. — To jest mój dom, a nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Shelley odkroiła dwa kawałki ogórka.

— Przechyl głowę i przymknij oczy.

Jaine wykonała polecenie.

— Sądziłam, że powinnam się położyć.

— Za późno — powiedziała Shelley, kładąc zielone piastek spuchniętych powiekach Jaine.

Były wspaniałe — zimne, wilgotne i niewiarygodnie kojące.

Pomyślała, że do pogrzebu Marci zużyje całą torbę ogórków, i smutek wrócił. Sam i Shelley skierowali jej myśli na inny tor i była im wdzięczna za tę chwilę wytchnienia.

— Dzwonił do mnie detektyw prowadzący śledztwo — rzekł Sam — Chłopak Marci, Brick, od czwartku wieczorem do niedzieli po południu sie-

dział w areszcie. To wyklucza go całkowicie z kręgu podejrzanych.

— Więc zabił ją jakiś włamywacz? — spytała Jaine, zdejmując z powiek plasterki ogórka i unosząc głowę, by na niego popatrzeć.

— Nie znaleźliśmy śladów włamania.

Tyle wyczytała w gazecie.

— Wiesz więcej, niż mówisz, prawda?

Wzruszył ramionami.

— Gliny zawsze wiedzą więcej, niż mówią.

Nie zamierzał zagłębiać się w szczegóły. Poznała to po wyrazie jego twarzy: Sam znów włożył maskę gliniarza. Woląa sobie nie wyobrażać tych szczegółów.

Dopił kawę, wymył filiżankę i postawił ją do góry dnem na suszarce. Potem schylił głowę i pocałował ją szybko w usta.

— Masz mój numer pagera i komórki. W razie czego, dzwoń.

— Nic mi nie jest — powiedziała. — Aha. Wiesz może, czy przyjechała siostra Marci?

Pokręcił głową.

— Wróciła do Saginaw. Nic już tu nie może pomóc. Dom jest wciąż otoczony kordonem policji, a w przypadku morderstwa trzeba zrobić sekcję. Nie wiem, jak długo to potrwa. Patolog jest zawalony robotą. Pogrzeb odbędzie się chyba nie wcześniej niż w weekend.

I to był kolejny szczegół, o którym nie chciała myśleć. Ciało Marci leżące w chłodni przez tyle dni.

— W takim razie jutro pójdę do pracy. Chciałabym pomóc jej siostrze w przygotowaniach, ale chyba na razie nie ma nic do roboty.

— Na razie nie. — Znowu pocałował Jaine, a potem uniósł jej ręce w których nadal trzymała plasterki ogórka, i położył je na wciąż spuchniętych powiekach. — Nie zdejmuj ich na razie. Wygląda strasznie.

— Dzięki — odparła sucho. Chichotał, wychodząc. Znowu zapadła cisza.

— On jest inny — powiedziała Shelley.

Miała zapewne na myśli to, że Sam różni się znacznie od trzech po-

przednich narzeczonych Jaine.

— Owszem — zgodziła się Jaine.

— Sprawa wygląda poważnie. Chyba nie znacie się zbyt długo.

Gdyby tylko Shelley знаła prawdę! W swoich rachubach brała zapewne pod uwagę całe trzy tygodnie, jakie Jaine spędziła w nowym domu. Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby wiedziała, że przez pierwsze dwa z tych trzech tygodni Jaine uważała Sama za pijaka albo handlarza narkotyków.

— Nie wiem jeszcze, czy to poważne — skłamała. — Nie chcę niczego przyspieszać.

Z jej strony nic nie mogło być bardziej poważne. Zakochała się w tym wielkim gburze. Co czuł, pozostawało na razie tajemnicą.

— To dobrze — powiedziała Shelley. — Ostatnią rzeczą, jakiej ci trzeba, to kolejne zerwane zaręczyny.

Mogłaby choć raz nie wypominać Jaine tej fatalnej statystyki, ale Shelley nigdy nie słyszała z taktu. Z drugiej strony Jaine nie wątpiła, że siostra ją kocha, co w znacznym stopniu rekompensowało niefortunne uwagi.

Zadzwonił telefon. Jaine zdjęła plasterki z oczu i sięgnęła po telefon w tym samym czasie co Shelley.

— To ja miałam odbierać telefony — syknęła Shelley, zupełnie jakby dzwoniący mógł ją usłyszeć.

Dzwonek.

— Odkąd wykonujesz polecenia człowieka, przed którym mnie ostrzegasz? — spytała sucho Jaine.

Dzwonek.

— Nie chodziło mi o to, że...

Dzwonek.

Wiedząc, że ta minisprzeczka może trwać nawet pół godziny, Jaine wcisnęła guzik, zanim rozmowę przejęła automatyczna sekretarka.

— Halo?

— Którą z nich jesteś?

— Co? — spytała ze zdziwieniem.

— Którą z nich jesteś?

Rozłączyła się i marszcząc brwi, odstawiła telefon.

— Kto to był? — spytała Shelley.

— Głuchy telefon. Odkąd opublikowano Listę, Marci. T.J. i Luna odebrały sporo takich telefonów. — Zająknęła się lekko, wspominając o Marci. — To ten sam facet, zawsze powtarza to samo.

— Zgłosiłaś w centrali, że masz obsceniczne telefony?

— Nie są obsceniczne. On tylko pyta: „Która to”. Pyta takim dziwnym szeptem. Myślę, że to facet, bo trudno rozróżnić głos.

Shelley przewróciła oczyma.

— Głuche telefony w sprawie Listy? To na pewno facet. Al mówi, że niektóre punkty wkurzyły większość jego kumpli. Domyśl się zresztą sama, które części mogły im się nie podobać.

— Części o częściach? — Tak jakby musiała zgadywać.

— Mężczyźni są przewidywalni, prawda? — Shelley biegała po kuchni, otwierając kolejne drzwiczki i szuflady.

— Co robisz?

— Chcę wiedzieć, co gdzie jest, tak żebym nie musiała niczego szukać, kiedy zacznę gotować.

— Chcesz gotować? Co? — Przez chwilę myślała, że Shelley przywiozła składniki na kolację, którą zamierzała przygotować na wieczór dla swojej rodziny. W końcu wyjęła z torby ogromnego ogórka. Sam Pan Bóg wiedział, co tam jeszcze mogło być. Może pieczeń?

— Śniadanie — powiedziała Shelley. — Dla nas obu. I ty będziesz musiała je zjeść.

Jaine była naprawdę głodna — poprzedniego wieczoru nie jadła kolacji. Czyżby Shelley uważała ją za wariatkę? Nie zamierzała się sprzeczać o jedzenie.

— Spróbuję — powiedziała pokornie i położyła na oczach plasterki ogórka, gdy tymczasem siostra zaczęła przygotowywać naleśniki.

Corin siedział przy telefonie. Z minuty na minutę ogarniało go coraz większe poczucie zawodu. Ta też nie odpowiedziała. Ale przynajmniej nie

warknęła na niego jak tamte. A tego się właśnie spodziewał i nawet przygotował odpowiedź. Była wyszczekana, jakby to określiła jego matka. Często słyszał, co wygaduje w pracy, i w dodatku to całe przeklinanie... Mamie na pewno by się to nie podobało.

Nie wiedział, co teraz robić. Uczucie, jakiego doświadczył po zabiciu tej pierwszej dziwki, przeniknęło go na wskroś. Nie spodziewał się takiego przyływu radości, niemal ekstazy. Najpierw się w niej pławił, potem zaczął się bać. Co by zrobiła mama, gdyby wiedziała, że sprawiło mu to przyjemność? Zawsze się bał, że zauważy, jak bardzo Corin lubił jej kary.

Ale zabijanie! Ach, zabijanie! Przymknął oczy i zaczął kołysać się na krześle, wspominając każdą sekundę tego wydarzenia. Przerazenie w oczach tej dziwki na chwilę przedtem, zanim młotek trafił ją między oczy, ten stłumiony stukot, radość wlewająca się w jego żyły i uczucie wszechmocy, świadomość, że ona nie może go powstrzymać, bo jest zbyt silny... W oczach stanęły mu łzy, bo ta wielka przyjemność już minęła.

Nic nie sprawiło mu takiej radości od czasu, gdy zabił matkę. Nie, lepiej o tym nie myśl. Powiedzieli, że nie powinien o tym myśleć. Ale kazali mu też zażywać pigułki, a przecież się mylili. Przez te pigułki znikał. Więc może jednak powinien myśleć o matce? Poszedł do łazienki i przejrzał się w lustrze. Tak, wciąż istniał. Z domu tej dziwki zabrał szminkę. Sam nie rozumiał, dlaczego. Kiedy umarła, chodził po całym mieszkaniu, oglądał jej rzeczy, a w łazience odkrył nieprawdopodobną ilość przyborów do makijażu rozłożonych na każdej możliwej półce. Ta dziwka naprawdę wierzyła, że może się upiększyć. No cóż, to się już jej nie przyda — pomyślał i wetknął szminkę do kieszeni. Od tamtej pory szminka leżała na półce pod lustrem w łazience Corina. Zdjął nasadkę i wykręcił szminkę. Przed oczyma pojawił mu się i dziwny, szkarłatny kształt, podobny do psiego penisa. Corin wiedział, jak wyglądają psie penisy, bo... Nie, nie wolno mu o tym myśleć. Wymalował usta jaskrawoczerwoną szminką i przejrzał się w lustrze, po czym uśmiechnął szeroko, odsłaniając zęby. — Witaj, mamó — powiedział.

Rozdział 20

Kiedy Jaine wchodziła do windy następnego ranka, zastanawiała się, jak to możliwe, że śmierć Marci w zasadzie nie zrobiła na nikim wrażenia, choć w jej świecie nastąpiły tak nieodwracalne zmiany. Luna i T.J. rozpaczały tak samo jak Jaine, a koledzy z działu Marci byli kompletnie zszokowani, lecz większość napotkanych osób albo w ogóle nie wspominała ani słowem na ten temat, albo mówiła coś w rodzaju:

— Tak, rzeczywiście. Słyszałem coś na ten temat. Straszne, prawda?

Maniaków komputerów nie wzruszało nic, co nie dotyczyło w żaden sposób gigabajtów. Tablica nad windą głosiła: JAK DONOSI PRASA, CZERWONE MIĘSO WCALE NIE JEST SZKODLIWE DLA ZDROWIA, ZIELONE JEST ZNACZNIE GORSZE.

Jaine pomyślała, że hasło ma osobiste znaczenie, gdyż lodówki maniaków pełne były zzieleniałych wędlin. Kiedy indziej na pewno by się roześmiała. Tego dnia nie mogła się nawet zdobyć na uśmiech.

Poprzedniego dnia T.J. i Luna również nie pojawiły się w pracy. Tuż po ósmej rano stanęły pod drzwiami Jaine. Oczy miały dokładnie w tym samym stanie co ona. Shelley ukroiła jeszcze kilka kawałków ogórka i usmażyła jeszcze parę naleśników, które podziały równie pocieszająco na T.J. i Lunę, jak przedtem na Jaine.

Shelley nie miała okazji poznać Marci, ale przez cały dzień słuchała chętnie opowieści na jej temat. Jaine, T.J. i Luna dużo płakały, trochę się śmiały i straciły masę czasu, próbując dociec, co się właściwie stało, skoro Brick miał alibi. Wiedziały, że i tak nie odkryją prawdy ale rozmowy pomagały. Śmierć Marci wydawała się im tak niewiarygodna, że jedynie dzięki ustawicznemu drażeniu tematu mogły się stopniowo pogodzić ze stratą przyjaciółki.

Po raz pierwszy nie przyszła za wcześnie do pracy. Pan de Wynter już na nią czekał i poprosił od razu, by wstąpiła do jego gabinetu.

Jaine westchnęła. Była szefową działu płac, ale jej stanowisko nie wiązało się z władzą, tylko wyłącznie z odpowiedzialnością. Wychodząc z pracy wcześniej w poniedziałek i nie pracując we wtorek, Jaine musiała spowodować zaległości. De Wynter obawiał się z pewnością, czy zdążą na czas. W przypadku opóźnień wypłaty pracownicy zachowywali się czasem bardzo nierozsądnie.

Była całkowicie przygotowana na nagane, toteż szef mile ją zaskoczył.

— Chcę pani powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu pani przyjaciółki. To naprawdę straszna historia...

Poprzysięgła sobie, że nie będzie płakać, ale nieoczekiwane współczucie de Wyntera zachwiało tym mocnym postanowieniem. Zamrugła powiekami, by rozpędzić łzy.

— Dziękuję — odparła. — Rzeczywiście straszna. Przy okazji chciałabym przeprosić za to, że wyszłam z pracy w takim pośpiechu.

Pokiwał głową,

— Rozumiem. Koleżanki pracowały po godzinach, ale nikt nie narzekał. Na kiedy zaplanowano pogrzeb?

— Jeszcze nic nie wiadomo. Sekcja...

— Oczywiście, tak, tak. Proszę dać mi znać, kiedy coś będzie wiadomo. Wielu pracowników chciałoby w nim uczestniczyć.

Jaine skinęła głową i uciekła do gabinetu, gdzie czekał na nią pokaźny stos papierów.

Wiedziała, że dzień będzie ciężki, lecz nie sądziła, że aż tak. Gina i inne koleżanki z działu składały jej kondolencje, co niemal doprowadziło ją do łez. A że nie miała ogórka, znowu musiała z nimi walczyć.

T.J. i Luna przyszły do niej w porze lunchu.

— Railroad Pizza? — zaproponowała T.J. i wszystkie wsiadły zgodnie do jej auta.

Właśnie podano im pizze wegetariańskie, kiedy Jaine przypomniała sobie, że nie mówiła koleżankom o porannym głuchym telefonie. I

— Do mnie też dzwonił ten świr. Pytał „Która to?”

— Bardzo niemiłe, prawda? — Luna niechętnie wzięła do ust kawałek pizzy. Wyglądała tak, jakby w ciągu tych dwóch dni postarzała się co najmniej o dziesięć lat. — Do nas dzwonił już co najmniej ze dwa razy, więc i tak długo się uchowałam.

— Ktoś parę razy odłożył słuchawkę, kiedy odzywała się sekretarka. Myślałam, że to dziennikarze.

— Pewnie tak. Oni też nie dawali nam żyć. — T.J. potarła czoło. — Głowa mi pęka. Wszystko to dotarło do mnie dopiero wieczorem, kiedy wróciłam do domu. Pła-

kałam, aż w końcu zrobiło mi się słabo. Galan...

Jaine podniosła na nią wzrok.

— Właśnie, jak tam Galan? Wciąż nocuje w motelu?

— Nie. W poniedziałek, kiedy już sprawa wyszła na jaw, był w pracy, dzwonił do mnie parę razy, zostawiał wiadomości i wieczorem wrócił do domu. Myślę, że na razie sprawa jest jeszcze w zawieszeniu. Ale nie chcę rozmawiać z nim o Marci. Zresztą on prawie cały czas milczy, chociaż próbuje być troskliwy. Może ma nadzieję, że zapomnę. — Wbiła ze złością widelec w pizzę.

— Zapewne nie powinien się łudzić — powiedziała sucho Jaine, a Luna uśmiechnęła się.

— W żadnym razie — odparła T.J. — Porozmawiajmy jednak o czymś bardziej interesującym. Na przykład o Samie. — Popatrzyła na Jaine ze złośliwym błyskiem w oku. — Ty naprawdę myślałaś, że ten seksowny facet jest handlarzem narkotyków? Nie wierzę.

Teraz Jaine też się z tego śmiała.

— Co mogę powiedzieć? Powinnyście go zobaczyć, kiedy ma na sobie stare zniszczone ubranie, a w dodatku jest wściekły i nieogolony.

— Te ciemne oczy... Ekstra... — Luna powachlowała się dłonią, — A jeżeli nie zauważyłaś, to ma jeszcze fantastyczne, szerokie bary...

Jaine chciała powiedzieć, że dostrzegła nawet więcej szczegółów, ale ugryzła się w język. Nie musiały wiedzieć o epizodzie w kuchni. Zabawne — pomyślała. Codziennie raczyła koleżanki anegdotkami o Samie do czasu, gdy uważała go za pijaka i gbura. Kiedy jednak zaczęło ich coś łączyć, przestała o nim opowiadać.

— On jest stanowczo za ostry. Już on się do ciebie dobierze, zobaczysz.

— Może — odparła cicho Jaine. Nie miała ochoty mówić, jak bardzo na to czeka i jak mało brakowało, by wylądowali w łóżku.

— Nie trzeba być jasnowidzem, żeby to wiedzieć — powiedziała gorzko Luna do T.J. — Przecież on wcale tego nie ukrywa.

— Właśnie — potwierdziła ze śmiechem T.J. — Nie jest specjalnie nieśmiały, prawda?

Nie, Sam Donovan nie był z pewnością nieśmiały. Arogancki, zarozumiały, bystry, złośliwy, seksowny, uroczy — tak, te wszystkie określenia doskonale do

niego pasowały. Próżno by jednak szukać w jego ciele bodaj jednego genu nieśmiałości. Na szczęście — pomyślała.

Zadzwonił telefon komórkowy T.J.

— To pewnie Galan — powiedziała z westchnieniem, wyjmując aparat z torebki.

— Halo — rzuciła. Jej twarz przybrała nagle krwistoczerwony kolor. — Skąd masz ten numer? — warknęła i wyłączyła telefon. — Bydlaki — mruzczała, chowając telefon do torebki.

— To chyba nie był Galan — skonstatowała Jaine.

— Znowu dzwonił ten świr — głos T.J. drżał z wściekłości. — Nie wiem, skąd wziął numer mojej komórki, bo wcale go na lewo i prawo nie rozdaje.

— Może jest coś takiego jak biuro numerów komórkowych — podsunęła Luna.

— Telefon jest na nazwisko Galana, nie moje, więc skąd ten drań miałby wiedzieć, że to ja odbiorę?

— Co powiedział?

— Jak zwykle. To swoje kretyńskie „Która to?”. A potem jeszcze „Marcy”. Po prostu jej imię. Niech go cholera! Przecież to jest chore!

Jaine odłożyła widelec. Nagle zrobiło się jej zimno, dostała gęsiej skórki. Boże, a jeżeli te telefony miały coś wspólnego z zamordowaniem Marcy? Może istniał związek, może nie. Może zabił ją jakiś dziwak, który je naprawdę nienawidził z powodu Listy, a teraz zamierzał po kolei wykończyć jej autorki?

Zaczęła szybko oddychać. T.J. i Luna przyglądały się jej z przerażeniem.

— Coś nie tak? — spytała Luna.

— Przyszła mi do głowy straszna myśl — szepnęła Jaine. — A jeśli to on zabił Marcy? Może teraz poluje na nas?

Na ich twarzach pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia.

— Wykluczone — powiedziała kategorycznie Luna.

— Dlaczego?

— Dlatego! Bo to czyste szaleństwo. Takie rzeczy się po prostu nie zdarzają. No... może jakimś wybitnym osobistościom. Ale nie normalnym ludziom.

— Marcy została zamordowana — powiedziała cicho Jaine. — To normalne?

— Zadygotała. — Tymi telefonami do domu starałam się specjalnie nie przejmować, ale masz rację, T.J. Skąd on wziął numer twojej komórki? Chyba jest jakiś sposób, ale większość ludzi pewnie by nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Może ktoś nas śledzi?

Obie znów popatrzyły na nią z przerażeniem.

— Teraz to ja się boję — odezwała się po chwili Luna. — Wszystkie jesteśmy wieczorami same w domu. Tak jak Marci.

— Skąd on jednak mógłby o tym wiedzieć? Przecież aż do poprzedniego dnia Marci mieszkała z Brickiem... — zaprotestowała T.J.

Nowy podszept intuicji przyprawił Jaine o kolejny skurcz żołądka. Zrobiło się jej niedobrze.

— Przecież pisali o w tym gazetach. „Żadnych śladów włamania”. Słyszałam, jak Sam rozmawiał o tym przez telefon. Posadzali Bricka, bo on miał klucz, ale to nie był Brick, tylko ktoś inny, ktoś, kogo ona знаła. Znała go, wpuściła i on ją zabił. — Przełknęła ślinę. — To ktoś, kogo my też znamy.

— Boże... — Luna zakryła dłonią usta. Oczy miała okrągłe z przerażenia.

T.J. upuściła widelec. Zbladła i była najwyraźniej przerażona. Zdobyła się jednak na sztuczny uśmiech.

— Zachowujemy się jak dzieci, które opowiadają sobie przy ognisku historie o duchach, żeby się nastraszyć.

— To dobrze. Jeżeli będziemy się bać, będziemy też bardziej uważać. Natychmiast po powrocie do biura zadzwonię do Sama.

T.J. wyjęła komórkę z torebki, włączyła ją i podała Jaine.

— Proszę — powiedziała. — Zadzwoń do niego teraz.

Jaine wygrzebała w końcu z torby świstek, na którym Sam zapisał jej oba numery telefonu. Gdy wybierała numer komórki, drżały jej ręce. Odebrał po trzecim dzwonku.

— Donovan.

Ścisnęła maleńki telefon obiema rękami.

— Tu Jaine. Sam, boimy się. Od czasu gdy wydrukowano Listę, wszystkie odbieramy głuche telefony, ale nic ci o tym nie wspominałam, bo to nie były groźby ani nic takiego. On pytał tylko „która to?” Wiesz, A, B, C czy D, ale przed

chwilą zadzwonił do T.J. na komórkę i powiedział jeszcze „Marci”. Skąd miał numer T.J.? Telefon jest na męża, więc nie mógł wiedzieć, że to ona odbierze. Słyszałam, jak mówiłeś, że Marci znała pewnie zabójcę i wpuściła go do mieszkania a ten, kto dzwonił do T.J., też na pewno ją zna, bo skąd by wziął jej numer telefonu? I wiem, że gadam jak histeryczka, ale się boję i... proszę, powiedz, że ponosi mnie fantazja.

— Gdzie jesteście? — spytał.

— W Railroad Pizza. Powiedz, że mam zbyt bujną wyobraźnię.

— Chyba musisz zainstalować identyfikator dzwoniącego — powiedział aż nazbyt spokojnie. — Jeśli T.J. i Luna też go nie mają, każ im założyć. Dzisiaj. Zadzwon do biura obsługi klienta jeszcze z pracy, zamów usługę i kup po drodze urządzenie.

Wciągnęła głęboko powietrze.

— Dobrze. Identyfikator dzwoniącego.

— Masz komórkę? Może Luna ma?

— Nie, tylko T.J.

— Musicie w takim razie je kupić i nosić przy sobie tak, by w razie czego wezwać pomoc, jeśli nie będzie w pobliżu telefonu stacjonarnego. I mówiąc „przy sobie”, mam na myśli kieszeń, a nie torebkę czy samochód.

— Komórki. — W drodze do domu czekało je kilka przystanków.

— Odkryłyście może w jego głosie jakąś znajomą cechę?

— Nie, on szepce, ale to taki głośny szept. Brzmi zabawnie.

— Jakies dźwięki w tle?

Przekazała pytanie T.J. i Lunie. Pokręciły głowami.

— Nie, nic.

— Gdzie mieszkają T.J. i Luna?

Podala mu adresy przyjaciółek. T.J. mieszkała w Mount Clemens, Luna w Royal Oak — miasteczkach na północy od Detroit. Sam zaklął cicho.

— Royal Oak to rewir Oakland. Sprawą będą musiały się zająć cztery różne wydziały dwóch okręgów.

— Miałaś mi powiedzieć, że zwariowałam — szepnęła drżącym głosem, choć ani przez chwilę na to nie liczyła.

— Marci nie żyje — odparł sucho. — Wszystkie cztery odbierałyście głuche telefony. Chcesz, żebym powierzył twoje życie przypadkowi?

Z tego punktu widzenia może wcale nie oszalała. Wciągnęła głęboko powietrze.

— Co mamy zrobić?

— Powiedz T.J. i Lunie, żeby nie wpuszczaly do domu nikogo z wyjątkiem rodziny. Musimy najpierw ustalić, kto dzwoni. Samochodem też mogą jeździć wyłącznie z rodziną, nawet jeśli zepsuje im się auto i ktoś zaproponuje podwiezienie. Niech zamykają okna i drzwi a jeśli mają garaż na pilota, niech pilnują, żeby nikt nie dostał się do środka, kiedy drzwi będą w górze.

— Jak długo będziecie szukać tego drania?

— To zależy. Jeżeli to tylko jakiś cholerny pojeb, namierzy go identyfikator. Jeżeli nie, założymy wam wszystkim podsłuch.

— Ale jeżeli to tylko cholerny po... — Ugryzła się w język. — No więc, jeżeli to tylko cholerny wiesz co, skąd wziął numer komórkowy T.J.?

— Sama się domyśliłaś. On ją zna.

T.J. zaparkowała przed Hammerstead i wszystkie popatrzyły na duży budynek z cegły.

— To pewnie ktoś, kto tu pracuje — powiedziała Jaine.

— Nie ma innego wytłumaczenia — dodała Luna. — Jakiś kretyń chce nas przestraszyć i świetnie się przy tym bawi.

— Sam twierdzi, że nie powinniśmy się zdawać na los. Dopóki nie ustalimy, kto dzwoni, musimy założyć, że to ten sam facet, który zabił Marci,

— Pracujemy z mordercą? Nie wierzę... — powiedziała słabo T.J. — Po prostu nie mogę w to uwierzyć. To niewiarygodne. Z wariatami: owszem. Na przykład taki Bennett Trotter. Marci szczerze go nie znosiła.

Wszystkie go nie znosimy. — Bennett Trotter był obiektem ogólnej niechęci. Jakieś ulotne wspomnienie nie dawało Jaine spokoju. Zmarszczyła brwi. — Tego wieczoru, kiedy zrobiliśmy listę, pamiętacie? Marci mówiła, że Kellman złapał ją za tyłek. Prawda? Czy to czasem nie Bennett się w to wtrącił?

— Chyba tak — powiedziała T.J. z powątpiewaniem. — Ale nie bardzo pamiętam.

— Ja pamiętam — wtrąciła Luna. — Bennett mówił, że jeżeli Marci jest taka napalona, to on może zastąpić Kellmana.

— To erotoman—gawędziarz, ale nie zabójca — powiedziała T.J. kręcąc głową.

— Problem polega na tym, że nie wiemy, więc musimy założyć, że wszyscy są winni. Odetchniemy dopiero wówczas, gdy Sam ustali kto dzwonił i ten ktoś będzie miał alibi. Do tego czasu musimy na wszystkich patrzeć podejrzliwie. — Jaine miała ochotę potrząsnąć T.J.— która najwyraźniej nie rozumiała, że im też może grozić niebezpieczeństwo. Pewnie zresztą nie było aż tak źle. Jaine miała przynajmniej taką nadzieję. Ale ten dzisiejszy telefon sprowadził całą sprawę na inny poziom i wprawił Jaine w niepokój. Jakaś jej część zgadzała się z T.J. Pozwoliła się ponieść fantazji. Inna, pierwotna część umysłu przypominała, że Marci nie żyje, została zamordowana, a jej zabójca jest wciąż na wolności. To wydawało się zresztą jeszcze bardziej niewiarygodne, a jednak było prawdą.

Zastosowała inną metodę.

— Jeśli Sam uważa, że powinniśmy zachować szczególną ostrożność, to widocznie ma ku temu powody. Zna się na takich sprawach znacznie lepiej niż my.

— To prawda — powiedziała T.J. — Skoro nawet on się niepokoi, to trzeba go posłuchać.

Jaine omal nie wzniosła oczu do nieba. Wystarczyło jedno spotkanie z Samem, by T.J., Luna i Shelley zaczęły go traktować niczym jakieś bóstwo. Każdy powód był jednak równie dobry — chodziło wyłącznie o to, by zachowały ostrożność.

Weszły razem do budynku, po czym każda udała się w swoją stronę. Jaine zadzwoniła natychmiast do biura obsługi klienta firmy telefonicznej, zamówiła identyfikację rozmówcy, a także wszystkie inne bajery, łącznie z przenoszeniem połączeń. Pomyślała bowiem, że przeniesienie połączenia na numer domowy Sama może się kiedyś okazać przydatne.

Sam zadzwonił do detektywa Bernsena.

— Nos mi mówi, że mamy większy problem, niż się nam wydawało.

— Jak to?

— Wiesz, że pani Dean była jedną z Dam od Listy?

— No, ale co z tego? Gratka dla pismaków i tyle.

— Okazuje się, że wszystkie cztery panie odbierały telefony od tego samego faceta. Pyta je: „Która to?”.

— „Która to”?

— Tak. Czytałeś Listę?

— Nie miałem przyjemności. Niestety, żona cytowała mi obszerne fragmenty tego dzieła.

— Autorki Listy nie są znane z imienia i nazwiska. Występują jako A, B, C i D. Dlatego ten facet usiłuje ustalić, z którą konkretnie rozmawia, bo to widocznie dla niego ważne. Dzisiaj, kiedy jadły lunch, zadzwonił do T.J., spytał jak zwykle o to samo, a potem wypowiedział imię pani Dean. Bez pogroźek, nic tych rzeczy. Po prostu jej imię.

— Hm — mruknął Roger, co znaczyło, że myśli.

— Telefon T.J. jest zarejestrowany na jej męża, więc większość ludzi spodziewałaby się zapewne, że to on podniesie słuchawkę. A ten facet znał numer i wiedział, że właśnie T.J. odbierze telefon.

— Więc albo zna te panie, albo męża T.J.

— Ale z jakiego powodu mąż miałby podawać numer komórkowy żony innemu mężczyźnie?

— Fakt. Dobra. Dzwoniący zna te babki.

— I wszystko wskazuje na to, że Marci znała zabójcę. Otworzyła drzwi i wpuściła go do mieszkania. Tak?

— Właśnie. W drzwiach miała judasza. Widziała, kto puka.

— Dzwoniący kamufluje głos. Mówi wyłącznie szeptem.

— Bo inaczej mogłyby go rozpoznać? O to ci chodzi? Myślisz, że zabójca to ten facet od głuchych telefonów?

— Albo tak, albo to tylko zbieg okoliczności.

— Cholera. — Roger, podobnie jak większość glin, nie wierzył w zbiegi okoliczności. — Skąd ten facet je wszystkie zna? Te babki pracują w tej samej

firmie?

— Owszem, w Hammerstead Technology, niedaleko autostrady 696 w Southfield. On też pewnie tam pracuje.

— Ma dostęp do danych personalnych. To zawęży krąg podejrzanych.

— Hammerstead opracowuje technologie komputerowe. Wielu ludzi stamtąd wie, jak się dostać do danych osobowych.

— Czyli zadanie mamy niełatwe, co? — westchnął Roger.

— Czuję, że nie podobała mu się Lista albo jakiś konkretny punkt z tej Listy i teraz będzie polował na pozostałe trzy autorki.

— Jezu. Może masz rację. Znasz ich nazwiska i adresy?

— T.J. Yother, Mount Clemens, imię męża: Galan. Luna Scissum Royal Oak, niezamężna, mieszka sama. — Podał Rogerowi dokładne adresy. — Jaine Bright, trzecia z kolei, to moja sąsiadka. Również niezamężna.

— Czy to właśnie ona jest twoją przyjaciółką?

— Owszem.

— Więc spotykasz się z jedną z Dam od Listy? Chłopie, ty musisz mieć jaja! — Roger zrozumiał dwuznaczność swego żartu i zaśmiał się głośno.

— Nawet sobie nie wyobrażasz...

Sam pomyślał o Jaine, jej wysuniętym podbródku ze słodkim zagłębieniem w środku, jej dołeczkach i błyszczących niebieskich oczach. Jaine atakowała życie, nie zostawiała go własnemu biegowi. Nie znał dotąd równie irytującej i zabawnej kobiety. Wiązał z nią zresztą wielkie plany. W pierwszej kolejności chciał ją wziąć do łóżka. Nie mógł dopuścić do tego, by cokolwiek się jej stało, nawet gdyby musiał rzucić pracę i zostać jej osobistym, całodobowym ochroniarzem.

— Dobra. Jeżeli się nie mylisz, przynajmniej mamy od czego zacząć — powiedział Robert, szybko wracając do tematu. — Hammerstead Technology. Zacznę od dostępu do danych personalnych, zobaczę, co się urodzi, ale jeśli masz rację co do tych komputerowców, to może mi to zająć sporo czasu. Oficjalnie nie mogę zapewnić tym damom bezpieczeństwa. Mówimy o czterech różnych miasteczkach,

— I dwóch okręgach. Wiem. — Na samą myśl o tym zamieszaniu do-

stawał bólu głowy.

— Nieoficjalnie coś wymyślimy. Poprosimy znajomych o przysługę, może ktoś się zgłosi na ochotnika. One wiedzą, że mają zachować ostrożność, tak?

— Kazałem im kupić komórki i zainstalować identyfikatory rozmów. Jeżeli on znowu zadzwoni, to może się nam uda. Zabroniłem im wpuszczać do domu kogokolwiek poza rodziną. Wiedzą też, że nie powinny korzystać z obcych aut. Nie chcę, żeby ten sukinsyn się do nich zbliżył choćby na krok.

Rozdział 21

Tego dnia Jaine przyglądała się badawczo wszystkim kolegom z pracy, zastanawiając się, czy to może ten. Sam fakt, że któryś z nich może być mordercą, wydawał się jej wręcz nieprawdopodobny. Wszyscy byli przecież na pozór normalni, lub przynajmniej na tyle normalni, na ile normalni mogą być mężczyźni pracujący w przemyśle komputerowym. Niektórych znała i lubiła, niektórych nie, ale żadnego z nich nie uważała przecież za zbrodniarza. Wielu, szczególnie tych z pierwszych dwóch pięter, znała jednak tylko z widzenia, a nie z imienia i nazwiska. Czyżby Marci utrzymywała z którymś z nich stosunki na tyle bliskie, by wpuścić go do domu?

Jaine próbowała sobie wyobrazić, co by zrobiła, gdyby ktoś zapukał wieczorem do jej drzwi, twierdząc, że popsuł mu się samochód. Aż do dziś otworzyłaby po prostu drzwi i próbowała pomóc. Zabójca, nawet gdyby okazał się kimś zupełnie obcym, odarł ją całkowicie z zaufania i poczucia bezpieczeństwa. Uważała się za osobę bystrą i przytomną, nie lubiła ryzyka, ale ileż to razy otwierała drzwi, nie pytając nawet, kto tam. Samo to wspomnienie przyprawiało ją teraz o dreszcze.

Nie miała judasza. Mogłaby zobaczyć, kto stoi za drzwiami, gdyby stanęła na kanapie, odsunęła frankę i wychyliła się w prawo. A górna połowa kuchennych drzwi składała się niemal wyłącznie ze szklanych szybek, które bardzo łatwo było potłuc i sięgnąć do klamki. Nie miała systemu alarmowego, broni, nic. Mogła się tylko pocieszać, że w razie czego ucieknie przez okno, oczywiście, jeśli zdąży je otworzyć.

Pomyślała, że musi bardzo wiele zrobić, zanim znów poczuje się bezpieczna we własnym domu.

Pracowała pół godziny dłużej niż zwykle, nadrabiając zaległości. Gdy szła przez parking, zauważyła, że stoi na nim zaledwie parę aut.

Po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, że wychodząc z biura o tak późnej porze, naraża się na niebezpieczeństwo. Wszystkie trzy powinny teraz przychodzić i wychodzić z pracy razem z innymi, aby korzystać z bezpieczeństwa, jakie zapewnia tłum. A Jaine nawet nie wspomniała koleżankom, że zamierza zostać dłużej.

Musiała przemyśleć tyle spraw, dostrzec niebezpieczeństwo w sytuacjach, których nie kojarzyła nigdy z żadnym zagrożeniem.

— Jaine!

Uprzytomniła sobie nagle, że ktoś woła ją już powtórnie, może nawet trzeci raz. Odwróciła głowę i spostrzegła ze zdziwieniem, że biegnie za nią Leah Street.

— Przepraszam — powiedziała, nie mając pojęcia, czego właściwie Leah może od niej chcieć. — Zamyśliłam się i po prostu cię nie słyszałam. Coś się stało?

Leah przystanęła, wyłamując pięknie wymanikiurowane palce. Na jej twarzy malował się wyraz zakłopotania.

— Ja tylko... chciałam ci po prostu powiedzieć, że jest mi bardzo przykro z powodu Marci. Kiedy pogrzeb?

— Jeszcze nie wiem. — Nie chciała wspominać o sekcji. — Zajmuje się tym siostra Marci.

Leah skinęła szybko głową.

— Daj mi znać, kiedy się dowiesz. Chciałabym pójść.

— Oczywiście.

Leah chciała powiedzieć coś jeszcze, może nie wiedziała co. Tak czy inaczej Jaine poczuła się trochę niezręcznie. W końcu Leah skinęła tylko głową na pożegnanie i pobiegła do samochodu. Rozkloszowana spódnica fruwała wokół jej nóg. Najnowsza kreacja Leah była wyjątkowo beznadziejna — lawendowy wzór nie podkreślał zupełnie koloru jej oczu i włosów, a fal-

banka przy dekolcie nadawała całości wyjątkowo tandetny charakter. Sukienka wyglądała tak, jakby została kupiona na wyprzedaży, a Leah zarabiała przecież bardzo dobrze i ubierała się z pewnością w drogich butikach. Nie znała się po prostu na modzie.

— Z drugiej strony — mruknęła do siebie Jaine, otwierając vipera — ja nie znam się na ludziach. — Współczucie i wrażliwość okazały jej przecież dwie osoby, których nigdy by o to nie posądziła: pan de Wynter i Leah. Tylko oni złożyli jej kondolencje po śmierci Marci.

Zgodnie z instrukcją Sama pojechała do sklepu z artykułami elektronicznymi, gdzie nabyła identyfikator rozmówcy, wypełniła dokumenty niezbędne przy zakupie telefonu komórkowego i przystąpiła do wyboru aparatu. Bogactwo oferty całkowicie ją przerosło. Model z klapką czy bez? W końcu wybrała taki bez klapki, gdyż wyobraziła sobie, że podczas ucieczki przed psychopatycznym mordercą nie będzie miała czasu na zabawę z klapką.

Potem musiała się jeszcze zdecydować na kolor. Z góry wykluczyła czarny jako zbyt pospolity. Neonowy żółty? Byłby zawsze doskonale widoczny. Niebieski? Słodki, poza tym nie widywała zbyt wielu niebieskich. Z drugiej strony czerwony nie miał sobie równych.

Wybrała czerwony telefon i musiała zaczekać na aktywację. Kiedy wychodziła ze sklepu, słońce już zachodziło, z południowego zachodu nadciągały chmury, a ona umierała z głodu.

Chłodny wiatr zapowiadał deszcz, a w drodze do domu Jaine miała w planie jeszcze dwa przystanki. Kupiła sobie zatem szybko hamburgera oraz zimny napój i zjadła kolacją podczas jazdy. Hamburger nie bardzo jej smakował, ale był dość sycący. Pustemu żołądkowi to wystarczyło.

Musiała jeszcze odwiedzić firmę instalującą systemy alarmowe. Odpowiedziała na wiele pytań, wybrała alarm i wypisała czek na bardzo dużą sumę. System miał zostać zainstalowany od nadchodzącej soboty za tydzień.

— To przecież dziesięć dni. — Jaine zmarszczyła brwi.

Zwalisty mężczyzna zerknął do książki zleceń.

— Bardzo mi przykro, ale wcześniej nie damy rady.

Śmiało podeszła do biurka i zabrała mu sprzed nosa czek.

— Podzwonię do konkurencji. Może ktoś inny zainstaluje mi alarm wcześniej niż wy. Przepraszam, że zajęłam panu czas.

— Chwileczkę, niech pani zaczeka — powiedział pospiesznie. — Czy to jakiś nagły przypadek? Jeżeli ktoś ma kłopoty, przesuwamy go na pierwszą pozycję. Powinna mi była pani powiedzieć od razu...

— To pilne — rzekła stanowczo.

— Dobrze, w takim razie zobaczę, co się da zrobić. — Znow prze-
studiował uważnie książkę zleceń, podrapał się w głowę i postukał ołówkiem
w kartkę.

— Skoro to takie pilne, wpiszę panią na tę sobotę. Starając się nie
okazać radości, oddała mu czek.

— Dziękuję — powiedziała szczerze.

Następnie pojechała do sklepu z materiałami budowlanymi. Na bar-
dzo dużej przestrzeni chętni mogli się zaopatrzyć we wszystko, co niezbędne
do budowy domu. Wszystko, z wyjątkiem pieniędzy. Jaine nabyła judasza do
drzwi wejściowych — instrukcja informowała: „Prosty w instalacji” — i nowe
drzwi do kuchni, tym razem nie w połowie szklane — oraz dwa nowe zamki.
Umówiła się na dostawę drzwi na sobotę, zapłaciła za transport, westchnęła
z ulgą i ruszyła w stronę domu.

Gdy skręciła w swoją uliczkę, krople deszczu zaczęły właśnie uderzać
o przednią szybę. Zapadł mrok. Na zachodzie od czasu do czasu pojawiały się
błyskawice rozświetlające samo centrum burzy, z dala dochodził odgłos
grzmotów.

Dom nie był oświetlony. Jaine wracała zwykle przed zmierzchem, więc
nie zostawiała światel. Normalnie nie bałaby się wejść do ciemnego korytarza,
ale tego wieczoru czuła dreszcze. Nerwy miała napięte jak postronki, świa-
domość własnej bezbronności odbierała jej spokój.

Przez chwilę siedziała w samochodzie, nie spieszyła się wcale z wyłą-
czeniem silnika. Na podjeździe Sama nie stało żadne auto, ale w jego kuchni
paliło się światło. Może Sam przyjechał jednak do domu? Jaine wołałaby, że-
by Sam zostawiał traka na podjeździe, a nie parkował go w garażu. Wtedy
zawsze by wiedziała, kiedy jest w domu.

Natychmiast po tym, jak wyłączyła reflektory i silnik, po lewej stronie auta dostrzegła jakiś ruch. Serce podskoczyło jej do gardła, ale po chwili zobaczyła, że to Sam schodzi ze schodów.

Ogarnęło ją przemożne uczucie ulgi. Wzięła torebkę, torby z zakupami i wysiadła z samochodu.

— Gdzie byłaś, do cholery? — wrzasnął, gdy zaczęła zamykać auto. Nie sądziła, że zacznie krzyżeć. Ze zdumienia upuściła jedną z toreb.

— Cholera jasna! — zaklęła, pochylając się, aby ją podnieść. — Musisz mnie tak straszyć?

— Ktoś cię wreszcie musi postraszyć. — Chwycił ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. Był bez koszuli i nos Jaine znalazł się akurat na wysokości jego umięśnionych piersi.

— Dochodzi ósma, niewykluczone, że śledzi cię morderca, a ty nawet nie raczysz do nikogo zadzwonić i zawiadomić, gdzie jesteś? Zaslugujesz na coś znacznie gorszego niż strach!

Padał coraz większy deszcz, a Jaine była zmęczona, zdenerwowana i zupełnie nie miała ochoty, żeby ktoś na nią krzychał. Uniosła głowę, z twarzy ściekała jej woda.

— Przecież to ty kazałeś mi kupić identyfikator rozmówcy i telefon komórkowy! Dlatego przyjechałam tak późno!

— Poświęciłaś trzy godziny na coś, co normalnemu człowiekowi nie zajęłoby więcej niż pół?

Czyżby sugerował, że jest nienormalna? Oburzona, oparła dłonie o nagi tors Sama i pchnęła go na tyle mocno, na ile starczyło jej sił.

— Od kiedy muszę się przed tobą tłumaczyć?

— Od tygodnia — odparł z wściekłością i zaczął ją całować.

Miał gniewne, twarde usta, a serce biło mu jak młot. Tak jak zawsze wtedy, gdy Sam ją całował, czas zatrzymał się w miejscu, liczyło się tylko tu i teraz. Mimo deszczu skóra Sama była tak gorąca, że parzyła ją w palce, w ustach czuła jego smak. Przytulił ją mocno, tak że nie mogła oddychać, jego erekcja wbijała się jej w brzuch.

Drżał. Nagle zrozumiała, jak bardzo się o nią bał. Był taki ogromny,

pozornie szorstki i na tyle silny, by dać radę wołu, na co dzień oglądał zapewne bez zmużenia oka rzeczy, na których widok inni krzyczeliby z przerażenia. A dziś bał się — bał się o nią.

Przeszył ją dziwny ból, nieznany skurcz serca. Zadrżały jej kolana. Oparła się o niego, znajdując jeszcze tyle sił, by stanąć na palcach i oddać mu namiętnie pocałunek. Sam wydał głuchy, gardłowy jęk. Całował ją teraz inaczej, mniej gniewnie, a za to bardziej pożądliwie. Poddała się całkowicie, ale jemu to nie wystarczyło — włożył dłoń w jej włosy i odgiął głowę do tyłu, tak by jego usta miały dostęp do szyi. Deszcz uderzał ją w twarz, przymknęła oczy, całkowicie bezbronna w jego żelaznym uścisku. Nie chciałyby być nigdzie indziej.

Po przeżyciach ostatnich trzech dni Jaine chciała się zatracić w doznaniach czysto fizycznych, tak by odepchnąć od siebie cały smutek i żal, czuć wyłącznie Sama, tylko o nim myśleć. Zaczął ją nieść. Protestowała jedynie wówczas, gdy przerywał na chwilę pocałunek, walczyła tylko o to, by przytulić się jak najmocniej.

— Przestań się wiercić, do cholery! — ryknął, gdy stanęli na górnym stopniu.

— Dlaczego? — spytała gardłowym, seksownym głosem. Nie sądziła, że potrafi wydać z siebie taki dźwięk.

— Bo skończę w spodnie! — krzyknął z rozpaczą.

Jaine rozważyła ten problem nie dłużej niż pół sekundy. Aby zbytnio nie podniecać Sama, mogła zrobić tylko jedno: wyzwolić się z jego uścisku, a to z kolei zagrażało jej interesom.

— Cierp — odparła.

— Cierp? — powtórzył z oburzeniem. Otworzył wejściowe drzwi i wniósł ją do środka. W salonie było ciemno, jedynie z kuchni sączył się do pokoju strumyk skąpego światła. Czuł zapach rozpalonego ciała i mokrych włosów. Jaine chciała pogładzić jego szerokie ramiona, lecz przeszkodziła jej w tym torebka i torby na zakupy. Szybko rzuciła je więc na ziemię i przywarła do niego jak pijawka.

Zaklął, zrobił jeszcze parę kroków i przycisnął ją do ściany. Szarpnął

jej spodnie i zaatakował guzik oraz suwak. Guzik odleciał, a suwak poddał się naciskowi. Spodnie ześliznęły się jej na kostki. Zrzuciła buty, a Sam podniósł ją na tyle, by mogła wyzwolić się i z pęt, jakie teraz tworzyły nogawki. Natychmiast owinęła mu nogi wokół bioder, próbując gorączkowo złączyć się z nim w jedną całość i ugasić pożądanie, które trawiło ją od wewnątrz.

— Jeszcze nie. — Dysząc, przygwoździł ją do ściany i oderwał jej nogi od swoich bioder. Przytłoczona ciężarem jego ciała, na znak protestu wydobyła z siebie tylko słaby jęk, a potem poczuła, jak Sam szarpie gumkę jej majtek i ściąga je w dół.

— Och...

Próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego chciała kazać mu czekać jeszcze dwa tygodnie... kto wie, może nawet cały cykl? Żadna rozsądna odpowiedź nie przychodziła jej jednak do głowy. Przecież gdyby on musiał czekać, to ona też! I to w dodatku w sytuacji, gdy tak bardzo się bała, że ten sam szaleniec, który zabił Marci, może polować na pozostałą trójkę. Nigdy by sobie tego nie wybaczyła, gdyby umarła, nie wiedząc, jak to jest kochać się z Samem! Teraz, dokładnie w tej chwili, nie istniało dla niej nic ważniejszego.

Kopnęła majtki, uniosła biodra i jeszcze raz objęła go nogami — Odpinając dzinsy, musnął palcami jej uda. Gdy opadła ta ostatnia bariera i Jaine poczuła penis Sama przy swoim ciele, przestała na chwilę oddychać. Ogarnęła ją rozkosz, zakończenia nerwów wrzały. Wygięła plecy w łuk, szukając czegoś więcej, pragnąc pełnej bliskości.

Zaklął cicho i podniósł ją odrobinę wyżej. Poczuła, że w nią wchodzi... wolno, delikatnie, skurczone początkowo mięśnie rozciągnęły się, by go przyjąć. Był taki gładki, gorący i twardy. Wszystko w niej zamarło, ścisnęło się i...

Przerwał.

— Bierzesz pigułki? — spytał, oddychając ciężko.

Jaine wbiła mu paznokcie w ramiona, niemal szlochając z pożądania. Jak on mógł przestać w takim momencie? Wszedł w nią tylko częściowo, nie do końca, a to było stanowczo za mało. Zacisnęła wokół niego mięśnie, próbując wciągnąć go głębiej, a z jej gardła wyrwało się przekleństwo,

— Jaine, cholera, bierzesz pigułki?

— Tak — wykrztusiła w końcu równie ochryplym głosem. Przygwoździł ją do ściany i jednym szybkim pchnięciem zagłębił się w niej do końca.

Słyszała swój własny krzyk, ale ten odgłos pochodził z oddali. Jej biodra wysunęły się gwałtownie do przodu, ciało zadygotało i cały świat zawirował.

Sam przeżył orgazm w sekundę później, wbijając się w nią z niemal brutalną siłą, tak głęboko, że szczytowała po raz drugi.

Potem oparł się o nią ciężko. Skórę miał wilgotną od potu i deszczu. Dyszał, łapczywie chwytając powietrze. W domu było ciemno i cicho. Tylko deszcz uderzał o dach, a ich przeciążone płuca dyszały z wysiłku. Ściana za plecami Jaine była chłodna, ale bardzo twarda.

Chciała powiedzieć coś mądrego, lecz umysł odmówił współpracy. Sprawa wydawała się zbyt poważna, zbyt istotna, by silić się teraz na kalambury. Przymknęła więc tylko oczy i oparła mu policzek na ramieniu, próbując uspokoić oszalałe bicie serca.

Wymamrotał coś niezrozumiałego i przycisnął ją mocniej — jedną ręką podtrzymując plecy, drugą pośladki. Oswobodził się z dzinsów i zaniósł ją chwiejnym krokiem do sypialni. Kiedy kładł ją na łóżko, wciąż tkwił w niej głęboko.

Pokój był ciemny i chłodny, łóżko szerokie. Zdjął jedwabną bluzkę Jaine, rozpiął jej stanik i rzucił obie rzeczy na podłogę. Teraz oboje byli zupełnie nadszy, a kiedy Sam znów się w niej poruszył, włosy na jego torsie zaczęły drażnić jej sutki. Tym razem wchodził w nią wolniej, ale równie mocno, za każdym razem dochodząc do końca.

Sądziła, że jest zbyt wyczerpana, by znów się podniecić, a mimo to ogarnęła ją żądza. Owinęła nogi wokół Sama i wysunęła miednicę, wychodząc naprzeciw każdemu pchnięciu, przywierając do niego, wciągając go głębiej do środka, a gdy zaczęła szczytować, rozkosz była jeszcze silniejsza niż poprzednio. Sam wydał gardłowy dźwięk i doszedł, zanim jeszcze ciało Jaine przestało dygotać.

Dużo później, kiedy unormowało się tętno, gdy wysechł pot, a mięśnie zaczęły przynajmniej częściowo funkcjonować, Sam przetoczył się na plecy,

zasłaniając częściowo ręką oczy.

— Cholera — mruknął.

W pokoju panowała cisza, więc nie mogła go nie usłyszeć. Poczula słaby przyływ gniewu i przymrużyła powieki. Czuła się wciąż jak rozgotowany klusek, toteż stać ją było zaledwie na słaby przyływ.

— Jezu, ale z ciebie romantyk — powiedziała sarkastycznie. Już od tygodnia Sam nie potrafił utrzymać rąk z dala od niej, a teraz, kiedy wreszcie poszli do łóżka, jedynym komentarzem, na jaki potrafił się zdobyć, było: „cholera”. Zupełnie jakby doszedł do wniosku, że cała ta przygoda to wielki błąd.

Uniósł rękę, którą zasłaniał oczy, i odwrócił głowę, by na nią popatrzeć.

— Już od pierwszej chwili wiedziałem, że będę miał przez ciebie kłopoty.

— Co to ma znaczyć? Ja nie sprawiam nikomu kłopotów — powiedziała, patrząc na niego spod przymrużonych powiek. — Jestem nawet bardzo miła, oczywiście, o ile nie muszę się zadawać z gburami.

— Sprawiasz kłopoty — warknął, — I to w dodatku najgorsze, bo matrymonialne.

Zważywszy, że trzech mężczyzn znalazło sobie już lepsze rzeczy do roboty niż ślub z nią, nie był to najbardziej taktowny komentarz, na jaki Sam mógłby się zdobyć. Uwaga ta sprawiła Jaine podwójną przykrość, gdyż uczynił ją mężczyzną, który dał jej tuż przedtem trzy wspaniałe orgazmy. Chwyciła poduszkę, palnęła nią Sama po głowie i wyskoczyła z łóżka.

— Mogę sama rozwiązać ten kłopot — powiedziała ze złością, szukając po omacku biustonosza i bluzki. — Cholera jasna, gdzie jest ten włącznik? Skoro sprawiam takie kłopoty, to będę się trzymała swojej części podjazdu, a ty trzymaj się swojej! — krzyknęła. O tam, ta biała plama to właśnie mógł być biustonosz. Kiedy jednak wzięła znalezione do ręki, okazało się, że to skarpetka. Śmierząca skarpetka. Rzuciła ją w Sama. Odłożył skarpetkę na bok i wyskoczył z łóżka, wyciągając rękę.

— Co zrobiłeś z moim ubraniem? — ryknęła, biegnąc po pokoju. — I

gdzie jest ten cholery włącznik?

— Może byś tak usiadła? — powiedział. Jego głos brzmiał jednak dziwnie, tak jakby Sam usiłował stłumić śmiech.

A więc on się z niej śmiał. Poczowała piekące łyzy.

— Nie, nie zamierzam siadać — wrzasnęła, ruszając w stronę drzwi. — Możesz sobie zatrzymać to cholerne ubranie. Wolę iść do domu nago, niż zostać tu choćby minutę, ty niewrażliwy gburze!

Mocno umięśnione ramię chwyciło ją w talii i rzuciło na łóżko. Krzyknęła i zdążyła jeszcze chwycić powietrze, zanim Sam przygniótł ją do materaca. W ciągu pięciu sekund unieruchomił ją całkowicie, co najwyraźniej wprawiło go w rozbawienie.

W dodatku, ku ogromnemu zdziwieniu i wściekłości Jaine, Sam miał kolejną erekcję, która wbijała się jej w uda. Jeśli on naprawdę sądził, że rozłoży przed nim nogi po tym, jak...

Poruszył się tak sprytnie, że rozsunął jej uda i wszedł w nią głęboko, do końca. Miała ochotę krzyknąć, bo tak cudownie się czuła, tak bardzo go kochała i jeszcze dlatego, że był takim gburem. Pech do mężczyzn nie przestawał jej prześladować.

Wybuchnęła płaczem.

— Nie płacz, kochanie — powiedział uspokajająco, poruszając się delikatnie.

— Jak zechcę, to będę — załkała, przywierając do niego mocniej.

— Kocham cię, Jaine Bright. Wyjdiesz za mnie?

— W żadnym wypadku!

— Musisz! Za te wszystkie dzisiejsze przekleństwa jesteś mi winna całą wypłatę. A jak za mnie wyjdiesz, umorzę ci dług.

— Nie ma takiej zasady.

— Właśnie ją ustaliłem. — Ujął jej głowę w dłonie i starł kciukiem łyzy z policzka.

— Ty powiedziałaś: „cholera”.

— A co innego ma powiedzieć mężczyzna, kiedy widzi, że nadszedł szybki i niechlubny koniec jego kawalerskich czasów?

— Przecież już byłeś żonaty.

— Tak, ale to się nie liczy. Byłem za młody, żeby wiedzieć, co robię. Pomyliłem pieprzenie z miłością.

Wolałaby, żeby przestał się ruszać. Jak mógł rozmawiać podczas tego, co z nią wyprawiał? Nie... chciała, żeby się zamknął i robił dokładnie to, co robi, może trochę szybciej... I mocniej.

Pocałował ją w skroń, szczękę i dołeczek w podbródku.

— Zawsze słyszałem, że seks z kobietą, którą się kocha, jest zupełnie inny, ale nie wierzyłem. Seks to seks. A potem wszedłem w ciebie i wydawało mi się, że wkładam ptaka w gniazdko elektryczne.

— Aha. Dlatego tak się trząsałeś i krzyczałeś? — warknęła, ale słuchała go coraz uważniej.

— Mądrała. Tak, dlatego, ale chciałbym zauważyć, że nie ja jeden się trząsałem i wrzeszczałem. Było inaczej. Goręcej. Mocniej. A jak się skończyło, chciałem jeszcze.

— Zrobiłeś, co chciałeś.

— No właśnie. Rany boskie, miałem dwa orgazmy i znowu jestem gotów. To albo jakiś pieprzony cud, albo miłość. — Pocałował ją głęboko i wolno. — Twoje napady złości zawsze mnie podniecają.

— Nie mam żadnych napadów. Dlaczego jeżeli mężczyzna jest wściekły, to jest wściekły i tyle, a kobieta ma zaraz napad? — Urwała, gdyż dopiero teraz zrozumiała w pełni sens jego słów.

— Zawsze?

— Zawsze. Tak jak wtedy, kiedy rozwaliłaś mój pojemnik na śmieci, a potem zaczęłaś się na mnie wydzierać i wbiłaś mi palec w tors.

— Miałaś wzwód?

— I to jaki!

— No cóż. Cho... Trudno.

— Odpowiedz mi więc na pytanie.

— Już otwierała usta, żeby powiedzieć „tak”, ale ostrożność nakazywała zastrzec:

— Nie przepadam za narzeczeństwem. Facet ma za dużo czasu do na-

mysłu.

— Darujemy sobie narzeczeństwo. Nie będziemy się zaręczać weźmiemy od razu ślub.

— W takim razie zgoda. Wyjdą za ciebie. — Wtuliła mu twarz w szyję, wdychając ciepło i woń jego ciała. Gdyby jakiemuś producentowi perfum udało się ten zapach zamknąć w butelce, wszystkie kobiety na świecie byłyby nieustannie pobudzone.

Jęknął z żalem.

— Bo mnie kochasz? — podpowiedział.

Uśmiechnęła się i powiodła ustami po jego skórze.

— Do szaleństwa, do obłędu, po wariacku — zapewniła.

— Pobierzemy się w przyszłym tygodniu.

— Nie mogę! — powiedziała z przerażeniem i odwróciła głowę, żeby na niego popatrzeć. Sam wciąż poruszał się w niej do przodu i do tyłu, tam i z powrotem, niczym glon na fali.

— Dlaczego nie, do diabła?

— Bo moi rodzice nie wrócą do tego czasu z wakacji. Spodziewam się ich dopiero za... straciłam rachubę czasu... trzy tygodnie.

— Nie mogą skrócić urlopu? A gdzie oni w ogóle są?

— Zwiedzają Europę. To wymarzone wakacje mamy. Tata choruje na parkinsona i chociaż leki bardzo pomagają, ostatnio czuje się znacznie gorzej i mama się bała, że to ostatnia okazja. Zanim tata przeszedł na emeryturę, był zawsze zbyt zajęty, by wyjechać na tak długo, więc to dla nich obojga wyjątkowe wakacje.

— Dobrze już, dobrze. Weźmiemy ślub pierwszego dnia po ich powrocie.

— Mama nie zdąży się nawet rozpakować.

— Trudno. Ale skoro omijamy narzeczeństwo, nie weźmiemy kościelnego ślubu.

— Dzięki Bogu — powiedziała z zadowoleniem. Przeżyła już ten koszmar z narzeczonym numer dwa, draniem — wydatki, plany, kłopoty, i wszystko tylko po to, żeby facet wycofał się dosłownie w ostatniej chwili.

Wydał westchnienie ulgi, tak jakby się bał, że Jaine może zapragnąć hucznej uroczystości.

— Do tego czasu zdążymy wszystko przygotować. Twój rodzice będą musieli tylko przyjść.

Jaine z trudem koncentrowała się na rozmowie, ponieważ Sam robił to, co robił i Jaine zupełnie nie mogła zrozumieć, że jemu udaje się tak swobodnie rozmawiać. W pewnym momencie jej ciało osiągnęło jednak punkt, z którego nie było odwrotu. Westchnąwszy, wysunęła konwulsyjnie biodra.

— Porozmawiamy później — powiedziała ochryłym głosem, chwyciła Sama za pośladki i przyciągnęła.

Przez dłuższy czas nie zamienili ze sobą ani słowa.

Jaine poruszyła się lekko i ziewnęła. Najchętniej leżałaby w jego ramionach przez całą noc, ale pewna straszna myśl przywróciła ją do rzeczywistości.

— BooBoo! — wykrzyknęła, siadając na łóżku.

Sam wydał z siebie dźwięk stanowiący połączenie pomruku i jęku.

— Co?

— BooBoo! Przecież on na pewno umiera z głodu. Nie mogę uwierzyć, że o nim zapomniałam. — Wygramoliła się z łóżka. — Gdzie włącznik? I dlaczego nie masz lampki nocnej?

— Przy drzwiach, po prawej stronie. Po co mi nocna lampka?

— Do czytania. — Przesunęła ręką po ścianie i znalazła włącznik. Jasne światło zalało pokój.

Sam zmrużył oczy, zamrugał i przewrócił się na brzuch.

— Czytam w salonie.

Przez chwilę przyzwyczajała oczy do ciemności. W końcu źrenice jej rozszerzyły się na widok stanu, do jakiego doprowadzili łóżko. Pomięta kapa zwiisała na podłogę, poduszki — właśnie, co się stało z poduszkami? — i prześcieradło zaczepione za jeden róg do materaca, reszta zwinięta na środku łóżka. Jaine przyklękła, aby poszukać biustonosza, a Sam przesunął się na skraj łóżka, żeby obejrzyć z bliska jej wypięte pośladki.

— Jakim cudem on tu się znalazł? — mruknęła, wyciągając stanik spod łóżka.

— Może się wczoiłgał? — zasugerował Sam. Uśmiechnęła się do niego i rozejrzała.

— A majtki są...

— W salonie.

Weszła do salonu, włączyła lampkę i właśnie rozplątywała majtki, gdy w pokoju zjawił się Sam — całkiem nagi — z parą butów w dłoni.

Jaine nie zawracała sobie głowy biustonoszem, wciągnęła tylko majtki, a następnie włożyła bluzkę oraz spodnie. Sam ubrał się w dzinsy i wsunął buty.

— Dokąd się wybierasz? — spytała.

— Odprowadzę cię do domu.

Już zamierzała zaprotestować, ale zaraz sobie przypomniała, że dla własnego dobra musi się zgodzić. Włożyła buty, wcisnęła biustonosz do torebki i pozbiierała zakupy. Sam wyjął rewolwer z kabury

— Daj mi klucz i idź za mną — powiedział.

Wyjęła breloczek z torebki i wskazała Samowi właściwy klucz.

Deszcz ustał. Noc była parna i ciepła. Cykały świerszcze, a wokół latarni stojącej przy końcu ulicy utworzyła się aureola z mgły. Przeszli przez oba podjazdy i stanęli na schodkach prowadzących do kuchennych drzwi. Sam wsunął rewolwer za pasek, otworzył i znów wyjął broń. Pchnął drzwi, sięgnął za framugę, zapalił światło i zaklął soczyście.

Gdy jej oczom ukazał się ogrom zniszczeń oświetlonych teraz przez górne światło, Jaine zamrugała bezradnie powiekami. Natychmiast jednak przysła jej do głowy straszna myśl.

— BooBoo! — krzyknęła, próbując wyminąć Sama. On jednak zagroził jej wejście wyciągniętym ramieniem.

— Idź do mnie do domu i zadzwoń pod dziewięćset jedenaście — warknął.
— Już!

— Ale BooBoo...

— Idź! — wrzasnął, popychając ją tak, że o mało nie spadła ze schodków. A potem odwrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do domu.

Był glina. W tego rodzaju sprawach musiała obdarzyć go zaufaniem.

Szczękając zębami, pobiegła do domu Sama i wpadła do kuchni, gdyż tam widziała ostatnio aparat bezprzewodowy. Chwyciła słuchawkę, wcisnęła guzik i wybrała numer.

— Skąd pani dzwoni? — Głos pracownicy centrali wydawał się bezosobowy i obojętny.

— Mhm... z domu obok. To znaczy od sąsiada. Ktoś się do mnie włamał. — Podała własny adres. — Mój sąsiad jest policjantem i przeszukuje właśnie dom. — Z aparatem w ręku wyszła na ganek i popatrzyła na dwa oświetlone teraz okna. W tej samej chwili zapaliło się jeszcze światło w sypialni. — On ma broń i...

— Kto? — spytała nagle policjantka, wyraźnie zaalarmowana.

— Mój sąsiad. Proszę powiedzieć policjantom, żeby nie strzelali, jeżeli zobaczą do połowy rozebranego mężczyznę z bronią w ręku. — Zaczerpnęła powietrza. Serce biło jej bardzo mocno, bała się, że zemdleje. — Idę tam.

— Nie, proszę pani, proszę tego nie robić. Jeśli pani sąsiad jest policjantem, proszę mu nie wchodzić w drogę. Proszę pani, czy pani mnie słucha?

— Jestem. — Nie powiedziała, że słucha. Ręka drżała jej tak mocno, że słuchawka uderzała o zęby.

— Proszę zostać przy telefonie, tak żebym mogła na bieżąco informować załogę, co się dzieje. Pod pani adres wysłano już samochód, będą tam za parę minut. Proszę o chwilę cierpliwości.

Jaine nie potrafiła się zdobyć na cierpliwość, ale stać ją było na odrobinę rozsądku. Czekala na ganku, patrzyła na swój dom, a z jej oczu ściekały łzy. Tymczasem Sam przeczesał metodycznie każde pomieszczenie z osobna i narażał się na niebezpieczeństwo, ilekroć wchodził do pokoju. Bała się myśleć o BooBoo. Policjantka mówiła coś jeszcze, ale Jaine już nie słuchała, choć od czasu do czasu wydawała jakiś dźwięk, by dać znać o swoim istnieniu. Z oddali dobiegło ją wycie syren.

Sam stanął na schodkach z BooBoo na rękach.

— BooBooi — Jaine rzuciła słuchawkę i szybko do nich podbiegła. Sam oddał jej kota i zatknął pistolet za pasek.

— Ten, kto to zrobił, już uciekł — powiedział, obejmując ją ramieniem i prowadząc w stronę swego domu.

Zawróciła na pięcie.

— Chcę zobaczyć...

Na razie nie. Niech technicy wykonają najpierw swoją robotę, może coś znajdą, a wtedy się dowiemy, co to za drań.

— Ty wszedłeś.

Ale bardzo uważałem, żeby nie zatrzeć śladów — odparł z irytacją w głosie. — Chodź, usiądźmy. Za minutę będą tu chłopcy. Przypomniała sobie, że rzucała telefon. Teraz go podniosła i podała Samowi.

— Dziewięćset jedenaście jest wciąż na linii.

Przyłożył słuchawkę do ucha, nie wypuszczając Jaine.

Szybko zreferował sytuację, dodał, że w domu nikogo już nie ma, i przerwał połączenie, tuląc Jaine i BooBoo.

— Gdzie go znalazłeś?

— Chował się pod półką w holu.

Pogłaskała kota po głowie. BooBoo na szczęście był cały. Znowu zachciało się jej płakać. Tym razem ze szczęścia. Mama nigdy by jej tego nie wybaczyła, gdyby BooBoo coś się stało.

— Sądysz, że to on? — spytała cicho Sama.

Milczał chwilę. Syreny wyły coraz donośniej.

— Nie wolno wykluczyć takiej możliwości — odparł, gdy zza rogu wyjechały dwa policyjne auta.

Rozdział 22

Gdy Sam i Jaine szli na spotkanie z patrolem, w kolejnych oknach błyskały światła, a ludzie wychylali głowy zza drzwi.

— Detektyw Donovan — powiedział jeden z policjantów z uśmiechem. — A więc to pan jest tym do połowy rozebrany mężczyzną, do którego mieliśmy nie strzelać.

Sam łypnął na Jaine, która przytuliła mocniej BooBoo.

— Masz broń — wyjaśniła. — Nie chciałam, żeby przez pomyłkę cię zabili.

Sadie i George Kulavich wyszli na chodnik i patrzyli na migające

światła. Oboje byli ubrani w szlafroki zarzucone na nocne stroje. Pan Kulavich miał na nogach kapcie, a pani Kulavich kalosze. Pani Kulavich wyciągnęła szyję i zrobiła parę kroków w stronę Jaine. Przed dom wyrzała również pani Holland, sąsiadka z przeciwka. Sam westchnął ciężko.

— Przeczesałem dom — powiedział do policjantów. — Aż przykro patrzeć... Jakby przeszedł huragan, ale w środku nikogo już nie ma. Teraz wy tam idźcie, a ja tymczasem włożę koszulę.

Pani Kulavich podeszła na tyle blisko, by usłyszeć słowa Sama, i uśmiechnęła się promiennie.

— Jeśli chodzi o mnie, to możesz się nie kłopotać... — powiedziała.

— Sadie! — wykrzyknął karcąco pan Kulavich.

— Cicho bądź, jestem stara, ale jeszcze żyję.

— Przypomnę ci o tym następnym razem, kiedy będę chciał sobie pooglądać „Playboya” — warknął.

Sam kaszlnął i poszedł do domu, trzymając pistolet nisko przy nodze, aby nie zauważyli go wścibscy sąsiedzi.

Jaine pochwyciła domyślne spojrzenia państwa Kulavich. Przypomniała sobie od razu, że nie włożyła biustonosza, czego nie kryła zupełnie jedwabna bluzka. Nie pofatygowała się nawet, żeby to sprawdzić. Tuliła tylko BooBoo do piersi. Nie poprawiła też włosów, gdyż i tak wiedziała, że są w strasznym stanie. Najpierw zmokła, a potem przez parę godzin tarzała się po łóżku z Samem, więc włosy sterczały jej pewnie jak kolce. A w dodatku ten nagi tors Sama... wnioski, do jakich mogli dojść sąsiedzi, były bliskie prawdy.

Wolała jednak myśleć o nich niż o domu.

Zajrzawszy do kuchni, nie była pewna, czy chce oglądać pozostałe pomieszczenia. Po szoku, jaki przeżyła po śmierci Marci, było to znacznie więcej, niż potrafiła znieść. Wolała więc patrzeć na panią Kulavich, która mrugnęła do niej znacząco, gdy Sam wyszedł z domu ubrany w porządną koszulę z kołnierzykiem i z odznaką przypiętą do paska. Była bardzo ciekawa, czy włożył bieliznę.

— Jesteś tu oficjalnie? — spytała, patrząc na odznakę.

— W pewnym sensie. Byłem na miejscu zbrodni, a wszyscy i tak od je-

denastej mamy dyżur.

Wytrzeszczyła oczy.

— Po jedenastej? Która godzina?

— Prawie północ.

— Biedny BooBoo — powiedziała z przerażeniem. — Może mógłbyś znaleźć jego jedzenie? Muszę go nakarmić.

Sam popatrzył na nią wzrokiem, który mówił wyraźnie, że Jaine nie przyjmuje do wiadomości faktów. Spojrzenie to świadczyło też o tym, że doskonale ją rozumie.

— Dobrze, postaram się coś znaleźć — powiedział w końcu. Popatrzył na panią Kulavich. — Sadie, może ty i Eleonor zabierzecie Jaine do mnie do domu i nastawicie kawę.

— Oczywiście, kochanie.

Jaine weszła z powrotem do domu Sama, tym razem w towarzystwie pani Kulavich i pani Holland. Postawiła BooBoo na podłodze i rozejrzała się ciekawie, ponieważ po raz pierwszy miała okazję obejrzeć dokładnie całe wnętrze. Przedtem, dopóki nie zaczęła się ubierać, nie włączyli nawet światła, więc widziała sypialnię i salon, w których znajdowały się jedynie niezbędne sprzęty. W kuchni, podobnie jak w jej własnej, przy jednym końcu stał tylko mały stolik i cztery krzesła, a kuchenka miała co najmniej dwadzieścia lat. Lodówka wyglądała na nową, ekspres do kawy również. Sam miał swoje priorytety.

Pani Kulavich sprawnie zmieliła kawę i włączyła ekspres. Jaine poczuła nagle palącą potrzebę.

— Przepraszam, wiedzą może panie, gdzie jest łazienka?

— Oczywiście, kochanie — powiedziała pani Holland. — Duża łazienka to drugie pomieszczenie po lewej stronie korytarza, mała przylega do sypialni Sama.

Rozśmieszył ją fakt, że one to wiedzą, a ona nie. Z drugiej strony trudno jednak oglądać mieszkanie, kiedy leży na tobie stukilowy facet.

Wybrała większą łazienkę, bo była bliżej, i zabrała ze sobą torebkę. Szybko zdjęła ubranie, skorzystała z toalety, znalazła myjkę i usunęła wszystkie ślady czterogodzinnej seksu. Użyła dezodorantu Sama i uczesała włosy, któ-

re naprawdę sterczały na wszystkie strony. Tym razem włożyła również biustonosz.

Odzyskawszy kontrolę nad sytuacją, wróciła do kuchni, żeby wypić upragnioną filiżankę kawy.

— To straszne, co się stało z twoim domem — powiedziała pani Holland. — Bardzo się jednak cieszymy z powodu Sama. Czy można pogratulować?

— Eleonor — zgromiła ją pani Kulavich. — Mamy teraz inne czasy. Młodzi ludzie nie biorą ślubu tylko dlatego, że idą ze sobą do łóżka,

— Co nie znaczy, że nie powinni tego robić — powiedziała surowo pani Holland.

Jaine odchrząknęła. Tyle ostatnio się działo, że coraz mniej do niej docierało. Pamiętała jednak wyraźnie godziny spędzone w łóżku z Samem.

— Rzeczywiście poprosił, żebym za niego wyszła — wyznała. — A ja się zgodziłam.

Nie użyła przeklętego słowa „zaręczyny”.

— Ojej! — Pani Kulavich promieniała z radości.

— Wspaniale! Kiedy ślub?

— Za jakieś trzy tygodnie, kiedy moi rodzice wrócą z wakacji. — Podjęła nagłą decyzję. — Zapraszam wszystkich sąsiadów.

Ich małe wesele urosło do nieco większych rozmiarów, ale komu to przeszkadzało?

— Musisz mieć wieczór panieński — zdecydowała pani Holland. — Gdzie pióro i notatnik? Powinnyśmy zrobić plan.

— Ale ja nie muszę.. — zaczęła Jaine, ale na widok min sąsiadek urwała w pół zdania. Uświadomiła sobie poniewczasie, że wieczór panieński pomógłby jej odzyskać choć część straconych rzeczy.

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy. W tej samej chwili do kuchni wszedł jednak policjant z dwoma puszkami kociego jedzenia.

— Od detektywa Donovana — powiedział.

Wdzięczna za ten przerywnik Jaine rozejrzała się w poszukiwaniu Bo-oBoo. Nigdzie go jednak w pobliżu nie było. Zdenerwowany nowym otoczeniem

na pewno gdzieś się schował. W swoim własnym domu wiedziałyby, gdzie go szukać, ale nie miała pojęcia, gdzie mógł się skryć u Sama.

Na przynętę otworzyła jedną z puszek z jedzeniem, a potem zaczęła się czołgać po podłodze i wołać kota. W końcu znalazła go za kanapą, ale — choć kusila go, jak umiała — musiała czekać kwadrans, by obrażone zwierzątko wyszło z kryjówki. W końcu BooBoo wyłonił się jednak zza kanapy i zaczął jeść, gdy tymczasem Jaine głaskała z przyjemnością jego ciepłe, giętkie ciało.

Pomyślała, że BooBoo będzie musiał teraz powędrować do domu Shelley. Nie mogła narażać kota na niebezpieczeństwo.

W oczach stanęły jej łzy i pochyliła głowę, aby je ukryć, koncentrując się na kocie. Jakiś maniak wyładował wściekłość na jej rzeczach. Wdzięczna losowi za to, że była w tym czasie w łóżku Sama, nie chciała ponownie ryzykować. Przyjęła pod opiekę BooBoo i auto taty, więc...

Auto. Boże, samochód taty!

Zerwała się na równe nogi tak gwałtownie, że wystraszony BooBoo znów czmychnął za kanapę.

— Zaraz wracam — krzyknęła do pani Kulavich i pani Holland, po czym wybiegła na zewnątrz.

— Sam! — wrzasnęła. — Sam! Samochód! Sprawdziłeś samochód?

Przed domem było wciąż pełno ludzi, a ponieważ viper stał spokojnie na podjeździe, popatrzyło na nią kilkanaście zdumionych twarzy Jaine nie zamierzała sprawdzać vipera, gdyż — choć bardzo go lubiła — samochód taty przedstawiał pięciokrotnie większą wartość i nie dałoby się go zastąpić żadnym innym.

Sam stanął na kuchennych schodkach, zerknął na garaż i zeskoczył na podjazd. Razem pobiegli do garażu. Na drzwiach wciąż wisiała kłódka.

— Nie mógł przecież wejść do środka, prawda? — spytała Jaine udrezczonym szeptem.

— Może nawet nie próbował, bo twój samochód stoi przecież na podjeździe. Sądził, że garaż jest pusty. Mógł się dostać do środka jakimś innym wejściem?

— Nie, chyba żeby wybił dziurę w ścianie.

— W takim razie samochód jest w porządku. — Objął ją ramieniem i odprowadził do domu. — Myślę, że nie chcesz zaglądać do garażu przy tych wszystkich ludziach?

Pokręciła energicznie głową.

— Będę musiała oddać samochód Davidowi — mruknęła. — A Shelley niech weźmie BooBoo. W tych okolicznościach mama i tata na pewno zrozumieją.

— Możemy go wstawić do mojego garażu.

Już o tym pomyślała. Przynajmniej byłby blisko, a ten, kto zniszczył jej rzeczy, w ogóle nie wiedział o istnieniu auta. — Dobrze. Jak już wszyscy sobie pójdą, przestawimy samochód.

Przechodząc obok vipera, nie obrzuciła go nawet przelotnym spojrzeniem, ale zwolniła kroku.

— W porządku? — spytała, wpatrzona w migające światła na dachach samochodów patrolowych. — Boję się spojrzeć.

— Wygląda nieźle. Nie widzę żadnych zadrapań ani niczego takiego. Nic nie jest rozbite.

Wydała westchnienie ulgi i oparła się na jego ramieniu. Przytulił ją, po czym wysłał z powrotem do kuchni, pod opiekę Sadie i Eleonor. Gdy wreszcie pozwolono jej wejść do domu, świtało. Dziwiło ją to ogromne zainteresowanie policji aktem wandalizmu, ale wiedziała, że zawdzięcza to Samowi. On zresztą nie traktował tego jako zwykły wandalizm. Jaine również.

Miała ku temu powody. Patrząc na ogromniszyszczeń, nie mogła nie zauważyć, że atak miał charakter osobisty. Telewizor pozostał nietknięty — dziwne, był drogi — ale z sukienek i bielizny zostały strzępy. Dżinsy i spodnie wisały natomiast spokojnie na swoich miejscach.

Włamywacz pociął na kawałki poduszki i materac, rozbił butelkę z perfumami. W kuchni potłukł całe szkło — wszystkie talerze i salaterki, szklanki, filiżanki, nawet ciężką kryształową tacę, której Jaine nigdy nie używała. W łazience zniszczył wszystkie przybory do makijażu. Porozgniatał tubki, powysypywał puder, a pudemniczki i cienie do powiek wyglądały tak, jakby przydeptał je butem, a potem rozgniół na miazgę.

— Zniszczył wszystko, co kobiece — szeptęła. Łóżko miało wprawdzie neutralny charakter, ale pościel była kobieca, utrzymana w pastelowej tonacji, z haftowanymi brzegami.

— Nienawidzi kobiet — zgodził się Sam z ponurą miną. — Psychiatra na pewno by się przy nim nie nudził.

Westchnęła, wyczerpana z powodu braku snu i przerażona rozmiarem czekających ją zadań. Zerknęła na Sama — nie spał więcej niż ona, co równało się po prostu dwóm krótkim drzemkom.

— Będiesz dzisiaj pracował?

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

— Jasne. Muszę porozmawiać z detektywem prowadzącym sprawę Marci i poprosić, żeby tutaj przyjechał.

— Nawet nie będę usiłowała nic robić. Posprzątanie tego bałaganu zajmie co najmniej tydzień.

— Nie. Wezwiesz ekipę. — Uniósł kciukiem jej podbródek i popatrzył na sińce pod oczami. — Idź spać do mojego łóżka i poproś panią Kulavich, żeby dopilnowała sprzątania. Bardzo się ucieszy.

— Naprawdę? W takim razie potrzebuje pomocy specjalisty — powiedziała Jaine, odtwarzając w pamięci ogrom zniszczeń. Ziewnęła. — Muszę pojechać po zakupy, kupić sobie ubranie i kosmetyki.

— Kuchnia może poczekać — odpowiedział z uśmiechem.

— Wiem, co jest najważniejsze. — Objęła go w talii, a on natychmiast odwzajemnił uścisk. Naturalność obu tych gestów sprawiła jej ogromną przyjemność

Nagle zeszytniała. Nie mogła uwierzyć, że tej nocy nie pomyślała ani razu o Lunie i T.J. Widać zawiódł ją umysł.

— Zapomniałam o Lunie i T.J.! Boże, przecież powinnam była od razu do nich zadzwonić. Ostrzec.

— Ja dzwoniłem — powiedział Sam, przytulając ją mocniej. — Dzwoniłem wczoraj, z komórki. Nic im nie jest, bardzo się tylko o ciebie martwią.

Ziewnęła i znów oparła głowę na piersi Sama. Słyszała wciąż ciche uderzenia swego serca. Była wyczerpana, lecz jej myśli wirowały wciąż jak sępy nad

padliną. Czują, że jeśli się nie uspokoi, już nigdy spokojnie nie zaśnie.

— Co sądzisz na temat leczniczego seksu? — spytała.

W ciemnych oczach Sama rozbłysło zainteresowanie.

— Myślisz o połykaniu czegoś?

Stłumiła śmiech.

— Na razie nie. Może wieczorem. Chcę się tylko zrelaksować na tyle, żeby zasnąć. Jesteś zainteresowany?

Zamiast odpowiedzieć, ujął jej dłoń i położył na rozporku. Pod suwakiem wy czuła twarde wybrzuszenie i pieszczotliwie przesunęła po nim ręką.

— Łatwy jesteś — mruknęła.

— Podniecam się na samą myśl o połykaniu.

Trzymając się za rękę, weszli do domu, gdzie Sam zrelaksował Jaine.

— Tak przy okazji: patolog wydał ciało pani Dean. Skontaktowałem się już z jej siostrą.

— Dzięki. Musimy prosić kogoś o sfilmowanie pogrzebu.

— Myślisz, że on tam będzie?

— Jestem tego pewien — odparł Sam.

— Technicy nie znaleźli żadnych interesujących odcisków palców — relacjo nował Sam dwie godziny później Bernsenowi. — Znaleźli natomiast fragment odcisku buta. Wygląda na but sportowy. Na podstawie wzoru podeszwy spróbuję określić producenta.

Detektyw Bernsen potwierdził jedynie to, co Sam wiedział już dawno:

— Włamał się, żeby zabić Jaine, a ponieważ jej nie zastał, przestał na zniszczeniu rzeczy. Ustaliłeś dokładnie godzinę?

— Miedzy ósmą i północą.

Pani Holland bardzo dokładnie obserwowała ulicę i mogła przysiąc, że przed powrotem Sama do domu nie zauważyła nigdzie w pobliżu żadnego obcego samochodu. Po zmroku wszyscy sąsiedzi byli już w domach.

— Wszyscy oprócz Jaine. Na szczęście.

— No. — Sam wolał nie myśleć, co mogłoby się stać, gdyby...

— Musimy się zająć tymi aktami personalnymi z Hammerstead.

— Zaraz zadzwonię do dyrektora naczelnego. Nie chcę, żeby ktoś poza nim wiedział, że sprawdzamy akta. A on ma prawo je wyciągnąć, nie wzbudzając specjalnego zainteresowania. Może w ogóle udałoby się je przekopiować na nasz komputer, żebyśmy nie musieli tam chodzić.

Rozdział 23

Corin nie mógł spać, ale nie był zmęczony. Zzerało go uczucie zawodu. Gdzie ona polazła?

Pomyślał, że gdyby spytał, pewnie by mu powiedziała. Czasem absolutnie jej nie lubił, ale czasem potrafiła być miła. A gdyby była w dobrym nastroju, na pewno by mu powiedziała.

Nie wiedział, co o niej myśleć. Nie ubierała się jak dziwka, jak ta cała Marci, a mężczyźni i tak się za nią oglądali. Nawet wtedy, kiedy miała na sobie spodnie. Kiedy zachowywała się normalnie, bardzo ją lubił. Kiedy jednak rozrywała ludzi na strzępy tym swoim ostrym jęczyzkiem, miał ochotę ją bić i bić, i bić, aż do czasu, gdy jej głowa stałaby się miękka, do czasu, gdy już nie mogłaby robić mu tych wszystkich rzeczy... Ale zaraz... głowa Jaine czy głowa matki? Zmarszczył brwi i próbował sobie przypomnieć. Wszystko mu się pomyliło. Wiodocznie jednak wciąż działały na niego te proszki.

Za Luną też się oglądali. Luna była zawsze dla niego miła, ale według mamy za bardzo się malowała i nosiła za krótkie spódniczki. A przez takie krótkie spódniczki mężczyźni mają brzydkie myśli. Tak mówiła mama. Żadna szanująca się kobieta nie nosi krótkich spodniczek.

Może Luna miała tylko taki miły sposób bycia, a może naprawdę była zła? Może to ona mówiła te wszystkie okropne rzeczy, kpiła z niego i przez nią matka musiała go karać?

Przymknął oczy. Przypomniwał sobie wszystkie kary matki i ogarnęło go podniecenie. Przejechał sobie ręką po brzuchu, chociaż wiedział, że nie wolno mu tak robić. Sprawiało mu to jednak taką przyjemność, że czasem nie mógł się powstrzymać.

Nie, tak nie wolno. A matka karała go właśnie po to, by mu pokazać, jakie to wstrętne. Nie powinien tego lubić.

Mimo wszystko tej nocy nie stracił całkowicie czasu. Zdobył nową szminkę. Zdjął nasadkę i wykręcił podstawkę, by uwidocznic tę wulgarną rzecz, która tkwiła w środku. Szminka nie była jaskrawoczerwona tak jak szminka Marci. Miała zdecydowanie bardziej różowy odcień, zupełnie nie w jego guście. Umalował usta, lypnął na swoje odbicie i starł z obrzydzeniem pomadkę.

Może którejs z pozostałych zabierze szminkę w bardziej odpowiednim kolorze?

Laurence Strawn, dyrektor naczelny Hammerstead Technology, miał rubaszny śmiech i zdolność dostrzegania całości problemu. Ze szczegółami nie radził sobie równie łatwo, ale w końcu nikt od niego tej zdolności nie wymagał. Tamtego ranka pan dyrektor odebrał telefon od detektywa z Warren, Sama Donovana. Detektyw Donovan potrafił być przekonujący. Nie, nie zdobyli nakazu, by przeszukać kartoteki Hammerstead, i woleli całą sprawę zachować w tajemnicy. Mieli jednak podstawy sądzić, że morderca pracuje w Hammerstead, i prosili o pomoc w jego schwyтaniu, zanim znów zaczną zabijać.

Pan Strawn zapytał, dlaczego sądzą, że morderca pracuje w Hammerstead. Detektyw Donovan opowiedział mu o telefonie na komórkę T.J. Yother, której numeru dzwoniący nie mógłby poznać, nie uzyskawszy dostępu do pewnych szczegółowych informacji na jej temat. Ponadto policja doszła do wniosku, że Marci Dean знаła mordercę i że był to ten sam mężczyzna, który telefonował do T.J. Yother. Z tego wynikało jasno, że obie go znały, co więcej: że znały go wszystkie cztery przyjaciółki. Dlatego najprawdopodobniej morderca pracował z nimi w Hammerstead.

Pierwszą reakcją pana Strawna był lęk, że cała ta sprawa przecieknie do prasy. Musiał troszczyć się o firmę, w końcu zajmował stanowisko naczelnego. Po chwili zastanowienia doszedł jednak do wniosku, że musi uczynić wszystko, żeby ten maniak przestał zabijać jego pracowników.

— Czego ode mnie oczekujecie? — spytał.

— Jeśli będziemy do tego zmuszeni, przyjedziemy do Hammerstead obejrzeć akta, ale wolelibyśmy nie zwracać niczyjej uwagi i zachować te poszukiwania w tajemnicy. Czy może pan zdobyć dostęp do akt i wysłać mi je e—mailem?

— Akta znajdują się w osobnym systemie, niedostępnym w trybie on—line. Każę je skopiować na CD—ROM, a potem prześlę panu. Jaki jest pana adres e—mailowy? — W przeciwieństwie do wielu innych dyrektorów i prezesów korporacji pan Laurence Strawn znał się na komputerach. Musiał się dobrze zaznajomić z tą dziedziną choćby po to, żeby zobaczyć, co robią ci wariaci na pierwszych dwóch piętrach.

— T.J. Yother pracuje w kadrach — dodał, zapisując adres detektywa Donovana. Posiadł bowiem jeszcze jedną umiejętność: umiał robić dwie rzeczy naraz. — Poproszę ją, żeby się tym zajęła. W ten sposób nie będzie przecieku.

— Dobry pomysł — powiedział Sam. Wydawało mu się, że polubi Laurence'a Strawna. Załatwiwszy z zadziwiającą łatwością tę sprawę, zajął się częściowym odciskiem buta znalezionym na podłodze w łazience Jaine, gdzie ten drań nastąpił na resztki kosmetyków i pozostawił po sobie całkiem niezły ślad. Miał nadzieję, że to wystarczy, by zidentyfikować markę. Po schwytaniu tego faceta na pewno byłoby dobrze udowodnić, że on ma takie buty, a w dodatku w tym samym rozmiarze. A gdyby tak jeszcze na podezwach zostały drobiny pudru... Cały ranek spędził przy telefonie. Kto twierdził, że praca detektywa nie jest niebezpieczna i podniecająca?

Zeszły wieczór okazał się jednak ponad miarę niebezpieczny i podniecający — pomyślał ponuro. Nie lubił się bawić w gdybania, ale w tym przypadku nie mógł nic na to poradzić. Co by się stało, gdyby dostał wezwanie? Albo gdyby Jaine się nie spóźniła, a on nie martwił? Gdyby nie doszło do kłótni? Mogliby się rozstać z buziakiem na dobranoc, a Jaine poszłaby do domu sama. Zważywszy stan domu, wolał nawet nie myśleć, co by się stało, gdyby morderca zastał Jaine na miejscu. Marci Dean była wyższa i cięższa od niej, a jednak nie poradziła sobie z napastnikiem. A to redukowało szanse Jaine praktycznie do zera.

Splótł palce za głową, wbijając wzrok w sufit. Jakiś szczegół umykał jego uwadze, ale nie potrafił dokładnie sprecyzować, co to takiego. W każdym razie jeszcze nie teraz. Wiedział, że wcześniej czy później na pewno znajdzie rozwiązanie zagadki. Wiedział również, że do tego czasu nie przestanie się

martwić. Jego siostra, Doro, twierdziła, że Sam przypomina teriera: kiedy już raz wbije w coś zęby, nie puszcza. Oczywiście Doro nie uważała tego wcale za komplement.

Myśl o Doro przypomniła mu o reszcie rodziny i nowinie, jaką miał jej przekazać. Nagryzmolił więc w notesie: „Powiedzieć mamie o Jaine”. Czuł, że ta nagła decyzja o ślubie bardzo wszystkim zaskoczy, bo ostatnio nie spotykał się z nikim regularnie. Uśmiechnął się do siebie. Nie tylko ostatnio. Nawet teraz nie widywał się regularnie z żadną kobietą. Tę fazę pomiął, podobnie jak etap narzeczeństwa. Zmierzał prostą drogą do ślubu, co zapewne okazało się jedyną skuteczną metodą, by zdobyć Jaine.

Rodzina musiała poczekać. Sam miał teraz podwójny priorytet: schwytać zabójcę i czuwać nad bezpieczeństwem Jaine. A te dwa zadania nie pozostawiały mu zbyt wiele czasu na inne zajęcia.

Jaine obudziła się w łóżku Sama trochę po pierwszej — wprawdzie nie całkowicie wypoczęta, ale zregenerowana na tyle, by przetrwać kolejny kryzys. Włożyła dżinsy, podkoszulek i poszła do siebie sprawdzić, jak przebiega sprzątanie. Pani Kulavich wywiązywała się znakomicie ze swego zadania. Chodziła od pokoju do pokoju i pilnowała, żeby wszystko zostało zrobione bardzo dokładnie. Dwie sprzątające kobiety dzielnie znosiły jej nadzór.

Z pewnością pracowały bardzo wydajnie — pomyślała Jaine. Sympialnia i łazienka wyglądały już normalnie. Z pokoju zniknął stelaż i materac, a kawałki materiału wylądowały w plastikowych workach na śmieci. Przed pójściem spać Jaine zadzwoniła do agenta ubezpieczeniowego i ustaliła, że polisa pokryje częściowo koszt nowych sprzętów domowych. Ubezpieczenie nie obejmowało jednak ubrań.

— Godzinę temu był tu twój agent ubezpieczeniowy — powiedziała pani Kulavich. — Obejrzał dom, zrobił zdjęcia i wybierał się właśnie do komisariatu po kopię protokołu. Nie przewidywał żadnych problemów z załatwieniem sprawy.

Dzięki Bogu choć za to. Jaine wydała ostatnio masę pieniędzy i jej konto pokaźnie się skurczyło.

Zadzwonił telefon — jeden z tych niekobiecych przedmiotów, które nie zostały zniszczone. Jaine podniosła słuchawkę i w tej samej chwili przypomniała sobie, że nie podłączyła identyfikatora rozmówcy. To mógł być jednak Sam, więc wcisnęła tylko guzik i przyłożyła słuchawkę do ucha.

— Halo!

— Czy to Jaine? Jaine Bright? Kobięcy głos, trochę jakby znajomy.

— Tak — odparła z ulgą.

Tu Cheryl... Cheryl Lobelio. Siostra Marci.

Poczuła nagle ukłucie bólu. To dlatego ten głos wydał jej się znajomy. Przypominał po prostu głos Marci. Mimo braku charakterystycznej chrypki głos Cheryl miał bardzo podobne brzmienie. Jaine ścisnęła mocniej słuchawkę.

— Marci dużo o tobie mówiła — powiedziała, z trudem powstrzymując łzy, które wciąż napływały jej do oczu od chwili, gdy dowiedziała się od Sama o śmierci przyjaciółki.

— Miałam ci dokładnie to samo powiedzieć. — Cheryl roześmiała się cicho. — Marci często do mnie dzwoniła i cytowała różne twoje powiedzonka. Śmiałyśmy się do rozpuku. O Lunie też dużo opowiadała. Boże... jeszcze nie wierzę...

— Ja też nie — szepnęła Jaine.

Po chwili ciszy Cheryl odzyskała spokój.

— Patolog podpisał zgodę na wydanie jej ciała i zaczynam organizować pogrzeb. Nasi rodzice są pochowani w Taylor. Myślę, że ona chciałaby leżeć nie daleko. Jak sądzisz?

— Na pewno. — Jaine pomyślała, że głos Cheryl przestał już przypominać głos Marci. Był zanadto nabrzmiały od łez.

— Mszę zamówiłam na sobotę na jedenastą. — Cheryl podała nazwę domu pogrzebowego i wytłumaczyła Jaine, jak dojechać na cmentarz.

Taylor leżało na południe od Detroit, dokładnie na wschód od lotniska. Jaine nie знаła tych okolic, ale zawsze z łatwością dawała sobie radę z topografią.

Chciała powiedzieć coś, co mogłoby ulżyć Cheryl w cierpieniu, ale nie

przychodziło jej to łatwo, tym bardziej że nie dawała sobie rady nawet ze swoim własnym żalem.

A potem nagle wymyśliła, co Luna, T.J. i ona powinny zrobić. Marci na pewno by się to spodobało.

— Urządzimy dla niej czuwanie — wypaliła. — Chcesz przyjść?

— Czuwanie? — Cheryl była wyraźnie zdziwiona. — Takie irlandzkie czuwanie?

— Coś w tym rodzaju, chociaż nie jesteśmy Irlandkami. Usiądziemy przy trumnie, wypijemy ze dwa piwa na jej cześć i będziemy o niej rozmawiać.

Cheryl wybuchnęła serdecznym śmiechem, tym razem szczerym.

— Marci byłaby zachwycona. Oczywiście, że przyjdę. Kiedy?

Jaine nie rozmawiała jeszcze na ten temat z Luną i T.J., więc nie wiedziała, kiedy i o której rozpoczną czuwanie, ale szybko doszła do wniosku, że będzie to musiał być piątek wieczór.

— Jutro wieczorem — powiedziała. — Później jeszcze do ciebie zadzwonię i powiem dokładnie, o której. Chyba że właściciel domu pogrzebowego zgodzi się na urządzenie czuwania na miejscu.

— Coś mi się nie wydaje — odparła Cheryl głosem tak podobnym do głosu Marci, że Jaine znów poczuła nagły ucisk w gardle.

Zapisała numer telefonu Cheryl i poszła do Sama po torbę z identyfikatorem rozmówcy, którego do tej pory nie miała czasu podłączyć.

Usiadła przy stoliku, uważnie przeczytała instrukcję, zwinęła ją w kulkę i wrzuciła do kosza.

— To nie może być takie skomplikowane — mruknęła. — Wystarczy chyba umieścić urządzenie pomiędzy gniazdkiem i aparatem telefonicznym. Jak mogłoby działać w inny sposób?

Z logicznego punktu widzenia sprawa wydawała się prosta. Jaine zdjęła telefon ze ściany, wzięła kabel telefoniczny umieszczony w pudełku obok identyfikatora, a następnie podłączyła urządzenie do aparatu. Bingo. Potem zaraz poszła pod dom Sama i wybrała swój numer, żeby sprawdzić, czy wszystko działa jak należy.

Działało. Kiedy wcisnęła guzik odtwarzania, w małym okienku pojawił się

numer telefonu Sama. Rany, technika naprawę skoczyła do przodu.

Miała całą listę rozmów telefonicznych do przeprowadzenia. Pierwsza była Shelley.

— Muszę cię prosić, żebyś zabrała do siebie BooBoo na resztę wakacji mamy i taty — powiedziała.

— Dlaczego? — spytała wojowniczo Shelley, nawet nie kryjąc urazy w głosie.

— Bo zeszłej nocy ktoś zniszczył mi dom i boję się, że może chcieć skrzywdzić BooBoo.

— Co? — pisnęła Shelley. — Ktoś się do ciebie włamał? Gdzie się podziwiałaś? Co się stało?

— Byłam z Samem — powiedziała Jaine, niczego już nie dodając. — A dom jest naprawę w strasznym stanie.

— Dzięki Bogu, że cię nie zastał... — Shelley zamilkła na chwilę i Jaine słyszała tylko jej przyspieszony oddech. Shelley zawsze szybko kojarzyła. — Zaraz — powiedziała. — Zaczekaj chwilę. Ktoś się już włamał do domu i BooBoo nic się nie stało. Prawda?

— Ale coś może się stać.

— Sądysz, że wrócą i jeszcze raz splądrują ci dom? — Shelley znowu zaczęła piszczeć. — To ma coś wspólnego z tą Listą, prawda? Poluje na ciebie jakaś banda wariatów?

— Myślę, że tylko jeden wariat — odparła Jaine i jej głos załamał się nagle.

— O Boże! Myślisz, że włamał się do ciebie ten sam mężczyzna, który zabił Marci? Tak sądzisz, prawda? Jaine, na miłość boską, co my zrobimy? Przecież musisz stamtąd uciekać! Zamieszkaj ze mną. Albo przeprowadź się do hotelu. Wymyśl coś!

— Dzięki za propozycję, ale Sam cię już przelicytował. A ja przy nim czuję się bezpieczna. Ma broń. Duży rewolwer.

— Wiem, widziałam. — Shelley milczała chwilę. — Boję się.

— Ja też — przyznała Jaine. — Jednak Sam cały czas pracuje nad tą sprawą i ma już kilka tropów. A tak przy okazji... wychodzę za niego za mąż.

Shelley zaczęła pisać i Jaine musiała odsunąć słuchawkę od ucha.

— Ślub weźmiemy najprawdopodobniej następnego dnia po powrocie rodziców — dodała, kiedy po drugiej stronie linii wreszcie zapadła cisza.

— Ale to przecież tylko trzy tygodnie! Nie zdążymy! A co z kościołem? Z przyjęciem? Z twoją suknią?!

— Nie będzie żadnego kościoła, żadnych przyjęć — powiedziała stanowczo Jaine. — Sukienkę jakoś wykombinuję. Nie muszę mieć kreacji szytej na miarę. Wystarczy gotowa. Tak czy owak muszę iść po zakupy. Ten drań zniszczył większość moich ubrań. — Kolejny pisk. Jaine czekała, by Shelley odzyskała wreszcie spokój. — Właśnie, dam ci numer mojej komórki — powiedziała. — Będiesz go znała jako pierwsza.

— Pierwsza? — spytała Shelley, najwyraźniej zmęczona piskami.

— A Sam?

— Nawet on go jeszcze nie ma.

— W takim razie czuję się zaszczyczona. Po prostu zapomniałaś mu go podać, prawda?

— Tak.

— Zaczekaj. Poszukam długopisu. — Po drugiej stronie słuchawki rozległ się szelest. — Nie mogę znaleźć. — Znów szelest. — Dobra, wal!

— Znalazłaś długopis?

— Nie, ale mam keczup. Napiszę numer na blacie, potem znajdę długopis i zanotuję go w kalendarzu.

Jaine wyrecytowała numer, wsłuchując się w dziwne odgłosy dobiegające z drugiej strony linii. Shelley zapisywała keczupem numer na blacie.

— Jesteś w domu czy w pracy?

— W domu.

— Przyjadę po BooBoo.

— Dzięki — odparła Jaine, szczęśliwa, że już nie musi się martwić.

Zaraz potem zadzwoniła do Luny i TJ. Dzięki numerom wewnętrznym mogły rozmawiać jednocześnie. Obie bardzo martwiły się o Jaine, ale w ich głosie kryła się również obawa o własny los. Tak jak Jaine się spodziewała,

przyjęły bardzo chętnie pomysł czuwania nad Marci. Luna natychmiast zaproponowała swoje mieszkanie i ustaliły godzinę. Podała im również numer telefonu komórkowego.

— Muszę wam coś powiedzieć — odezwała się cicho T.J. — Ale nie teraz.

— Wpadnij, jak będziesz wracała do domu — zaproponowała Jaine. — Dasz radę?

— Jasne. Shamal znowu dzwonił, ale nie mam ochoty się z nim spotykać. W każdym razie nie teraz, kiedy Marci... — Luna przełknęła ślinę.

— I tak nie powinnaś się z nim spotykać. Pamiętasz, co mówił Sam: Tylko rodzina. Czyli żadnych randek.

— Przecież Shamal nie jest... — Luna znowu nie dokończyła myśli. — To straszne. Nie mogę być niczego pewna. Nie wolno mi ryzykować.

— Nie — powiedziała T.J. — Żadnej z nas nie wolno.

Ledwo Jaine skończyła rozmowę z przyjaciółkami, zadzwonił telefon. W okienku pojawiło się nazwisko Ala i jego numer. Podniosła słuchawkę. Cześć, Shelley.

— Wreszcie kupiłaś identyfikator rozmówcy — powiedziała Shelley. — Słuchaj, chyba powinniśmy zadzwonić do rodziców.

— Jeżeli chcesz im powiedzieć o ślubie, proszę bardzo, choć wolałabym to zrobić sama. Ale nawet się nie waży ich tu ściągać tylko z powodu tego wariata.

— Ten wariat to morderca, który na ciebie poluje. Nie sądzisz, że rodzice woleliby być na miejscu?

— I co by zrobili? Zresztą nie zamierzam dać się zabić. Zamówiłam alarm, dużo czasu spędzam z Samem. Rodzice bardzo by się zmartwili, a wiesz, jak mama czekała na te wakacje.

— Powinni być tutaj — upierała się Shelley.

— Nie. Niech się bawią. Nie dopuszczę do tego, żeby jakiś maniak uniemożliwił mi ślub. Odbędzie się, nawet gdybym miała związać Sama i zaprowadzić go siłą do ołtarza, czy też jak to się tam nazywa — dodała, przypominając sobie, że nie planuje przecież ślubu kościelnego.

— Próbujesz mnie zagadać, ale zupełnie ci to nie wychodzi. Chcę zadzwonić do mamy i taty.

— Ja nie, a cała ta sprawa dotyczy mnie, więc mam tu głos decydujący.

— Powiem Davidowi.

— Zgoda, ale żadne z was nie wspomni o tym ani słowem mamie i ojcu. Obiecay! Nikomu z naszej rodziny, nikomu z rodziny Davida, czy to wrogowi, czy przyjacielowi, nie wolno się wygadać przed rodzicami! Nie wysyłajcie im też żadnych listów, telegramów, e—maili ani innych komunikatów. Nie zapomniałam o niczym?

— Obawiam się, że nie — odparła smutno Shelley.

— Dobrze. W takim razie niech się rodzice bawią na wakacjach. Obiecuję, że będę uważać.

Tego samego popołudnia Sam odebrał telefon od Laurence'a Strawn.

— Zapewne zostaną pozwany do sądu o naruszenie prywatności — powiedział Strawn. — Ale jeśli to panu pomoże, to trudno. Zniosę sto takich pozwów.

Sam zdecydowanie lubił tego faceta.

— Niech pan sprawdzi pocztę — ciągnął Strawn. — Załącznik jest strasznie długi. Ściągnięcie tego wszystkiego zajmie panu sporo czasu.

— Szybko się z tym uporaliście.

— Pani Yother ma motywację — powiedział Strawn i odwiesił słuchawkę.

Sam włączył komputer i zaczął ściągać pocztę. Skrzywił się, kiedy zobaczył, ile megabajtów zajął załącznik.

— Mam nadzieję, że starczy mi miejsca na dysku — mruknął, kliknął w załącznik i otworzył plik.

Trzydzieści minut później wciąż ściągał pocztę. Wypił kawę, przejrzał papiery, zadzwonił do Bernsena, powiedział mu o aktach i wypił jeszcze trochę kawy. Bernsen wyruszył już w drogę po kopię, a Sam miał nadzieję, że uda mu się odczytać e—maila przed jego przyjazdem.

W końcu ekran rozjaśnił się. Sam załadował podajnik papierem i zaczął drukować. Kiedy podajnik opustoszał, załadował go ponownie. Cholera, przejrzenie tych wszystkich plików mogło zająć wieki, nawet gdyby Bernsen nie miał już nic innego do roboty i mógł się skupić wyłącznie na tym zajęciu. Czekало go długie, nocne czytanie.

W drukarce skończył się toner. Klnąc na czym świat stoi. Sam przerwał pracę, znalazł następny pojemnik. Drukarka znowu zaczęła wypluwać kartki.

Przyjechał Bernsen i obaj wpatrzyli się tępo w drukarkę.

— Jestem zmęczony od samego patrzenia — jęknął Bernsen, widząc ogromny stos papieru.

— To weź pół i ja wezmę pół. Wprowadzimy nazwiska do komputera i zobaczymy, co wypluje.

— Dzięki Bogu, że w grę wchodzi wyłącznie mężczyźni.

— Tak, ale przemysł komputerowy jest zdominowany przez mężczyzn.

Bernsen westchnął ciężko.

— A chciałem dziś obejrzeć mecz... — Zrobił krótką pauzę. — Dostałem wyniki sekcji pani Dean. Nie znaleźli spermy.

Sam nie był specjalnie zdziwiony. W wielu przypadkach molestowania seksualnego nie mogli zbadać spermy, gdyż albo napastnik używał prezerwatywy — co zdarzało się rzeczywiście dość często — albo też nie miał wytrysku. Do identyfikacji przydałoby im się jednak DNA.

— Znaleźli jednak włos nienależący do pani Dean. Niesamowicie spostrzegawczy faceci. Pani Dean była przecież blondynką, tak jak ten drań.

Twarz Sama rozjaśnił wilczy uśmiech. Włos. Tylko jeden włos, a jednak gwarantował im niezbędne DNA. Sprawa powoli posuwała się naprzód. Częściowy odcisk buta, włos — niby niewiele, ale powoli robili postępy.

Rozdział 24

Kiedy Sam po południu przyjechał do domu, zobaczył, że T.J. i Luna wchodzi właśnie do środka. A to znaczyło, że Jaine była u niego, a nie w swoim domu. I to mu się bardzo podobało. Sam miał nadzieję, że Jaine poczuje się u niego jak u siebie, bo nie zamierzał pozwolić jej nocować we wła-

snym łóżku aż do czasu schwytania mordercy. Potem też zresztą już nie. Towarzystwo Jaine sprawiało mu zbyt dużą przyjemność, żeby miał z niego rezygnować, choćby czasowo.

Dzień był niesamowicie gorący. Gdy wchodził na schodki, pot ściekał mu ciurkiem po kręgosłupie. Położył ciężką paczkę z papierem (połowę akt personalnych z Hammerstead) na stoliku do kawy, a potem stał przez chwilę w bezruchu, wdychając cudowne, chłodne powietrze. Ocaliwszy płuca przed uszkodzeniem termicznym, zrzucił marynarkę i poszedł do kuchni, skąd dobiegały głosy.

Jaine nalewała właśnie cztery szklanki mrożonej herbaty, co znaczyło, że widziała przez okno, jak podjeżdżał.

— W samą porę — powiedziała.

Wyjął z kabury pistolet, odpiął odznakę od pasa i położył na blacie obok maszyny do kawy.

— Na co? — spytał, wziął jedną ze szklanek i wypił chciwie herbatę.

— Planujemy czuwanie nad Marci. Jej siostra, Cheryl, też zamierza w tym uczestniczyć.

— Kiedy i gdzie?

— Jutro wieczorem, u mnie w domu — powiedziała Luna.

— Dobrze, przyjdę.

— Przecież we cztery będziemy chyba bezpieczni... — powiedziała ze zdziwieniem Jaine.

— Niekoniecznie. Możecie wręcz stworzyć mu idealną okazję, by mógł was dopaść jednocześnie. Postaram się nie przeszkadzać, ale przyjdę.

Jaine parsknęła pogardliwie. Obecność Sama nie mogła nie przeszkadzać. Należał do ludzi, których trudno ignorować. T.J. popatrzyła na niego znacząco.

— Zanim zaczniemy, chcę coś powiedzieć — oznajmiła.

— Ja też — wtrąciła Jaine.

— I ja — rzekł Sam.

Mimo tych deklaracji nikt się nie odezwał. W końcu przemówiła Luna.

— Skoro ja jedna nie przynoszę żadnych nowin, pokieruję rozmową.

— Wskazała T.J. — Ty pierwsza. Pobudziłaś moją ciekawość jeszcze w trakcie rozmowy telefonicznej.

T.J. popatrzyła wymownie na Sama. Wiedział, że pyta go w ten sposób, czy może zdradzić, czym się ostatnio zajmowała. Skoro i tak by im doniosła, gdyby się nie zjawił, rzekł tylko:

— Nie krępuj się.

— Pan Strawn poprosił mnie o skopiowanie wszystkich akt personalnych — powiedziała. — Wyjaśnił, że robi to na polecenie pewnego detektywa, który uzyskał stosowne zezwolenie.

Wszystkie oczy skierowały się na Sama. Skrzywił się w odpowiedzi.

— Przyniosłem do domu strasznie dużo roboty papierkowej. Sprawdzamy wszystkich pracowników Hammerstead pod kątem ewentualnych wyroków lub nakazów aresztowania.

— Ile czasu to zajmie?

— Jeżeli komputer niczego nie wyłowi, będziemy musieli przejrzeć wszystkie akta i zobaczyć, czy coś się rzuca w oczy, i ewentualnie pogrzebać głębiej.

— Dzień? Dwa? — podsuwała.

— Optymistka z ciebie, co? — spytał, sięgając po szklankę z herbatą. Luna pokazała T.J., że jej czas się skończył, i oddała głos Samowi.

— Twoja kolej.

— Patolog znalazł na ciele Marci jasny włos. Nie jej własny. Trzy kobiety zamarły. Wiedział, że usiłują odnaleźć w myślach jakiegoś blondyna pracującego w Hammerstead.

— Ktoś wam przychodzi do głowy? — spytał.

— Chyba nie — odparła Jaine. — Ale to, co ty nazywasz jasnym, dla nas może być ciemnoblon. — Popatrzyła na koleżanki, które też wzruszyły ramionami. — Pracuje u nas wielu blondynów.

— Bądźcie jednak czujne — ostrzegł. — Ten włos mógł się do niej przyczepić w innych okolicznościach. To na pewno ślad i jeśli schwytamy zabójcę, a DNA będzie pasowało, to go przyszpilimy. Bądźcie szczególnie ostrożne w towarzystwie blondynów, ale to wszystko.

— Co za pocieszająca myśl — powiedziała ponuro Luna. — Jestem chyba jedyną brunetką w dziale sprzedaży.

— Zamierzam sprawdzać akta działami. Zacznę od księgowości, jako że Marci, która tam pracowała, była pierwszą ofiarą zabójcy. Przy okazji — zwrócił się do T.J. — dziękuję, że podzieliłaś akta na działły.

Popatrzyła na niego ze smutkiem.

— Zawsze do usług.

Luna znów wzięta sprawy w swoje ręce.

— Twoja kolej — powiedziała, wskazując Jaine.

Jaine odetchnęła głęboko. Po trzech zerwanych zaręczynach musiała zebrać całą odwagę, by ogłosić chęć zamążpójścia. Popatrzyła na Sama, który mrugnął zachęcająco.

— Biorę ślub z Samem — powiedziała szybko, nie oddzielając słów, tak jakby sądziła, że razem nie wzbudzą takiego zainteresowania.

Sam zasłonił uszy, by nie słyszeć wrzawy, jaka zapanowała natychmiast po tym wyznaniu. T.J. tuliła Jaine, Luna Sama, a potem wszyscy zaczęli się do siebie tulić. Ten przyjacielski krąg bez Marci wydawał się jednak zdecydowanie zbyt mały. Jaine nie dopuściła jednak do tego, by lży zakłóciły radosny nastrój. Życie posuwało się naprzód. Bez Marci było smutne i puste, ale trwało.

— Jak? To znaczy: kiedy? I gdzie? — spytała T.J.

— Za trzy tygodnie, gdy jej rodzice wrócą do domu — odparł Sam. — Myślałem o urzędzie, ale moja rodzina się tam nie zmieści, a wszyscy chcą przyjść.

— Może w parku — zaproponowała Jaine.

— Dlaczego w parku? Czyjś dom powinien wystarczyć. Moi rodzice mają ogromny dom. Musieli taki mieć. Siedmioro dzieci...

Chrząknęła.

— Więc tak: twoja rodzina, moja rodzina, T.J., Luna, twoi przyjaciele z pracy no i... zaprosiłam całą ulicę.

— Jasne — powiedział. — Do tego George i Sadie, Eleanor i... i cholera, na ten skromny ślub przyjdzie chyba ze sto osób, prawda? — spytał z

żalem w głosie.

— Niestety tak.

— A to oznacza jedzenie i tego typu historie.

— Masz to jak w banku.

— I kto się niby tym wszystkim zajmie? — Mina Sama mówiła wyraźnie, że on nie ma takiego zamiaru.

— Shelley. Ona uwielbia takie gów... duże przyjęcia. Zresztą nie będzie to na pewno nic wymyślnego. Muszę odczekać. Spłacam dom, do tego ten alarm, komórka... I jeszcze nowe ubranie, materac, stelaż...

— Nie musisz kupować materaca i stelaża — przypomniał, a T.J. i Luna zaczęły ryczeć ze śmiechu. T.J. wyjęła z torebki pięć dolarów i wręczyła je Lunie.

— A nie mówiłam? — zakrakała Luna. Oczy Jaine się zwięziły.

— Zakładałyście się o moje życie osobiste — powiedziała oskarżycielskim tonem.

— Tak, i muszę przyznać, że bardzo się na tobie zawiodłam — powiedziała T.J., siląc się na surowy ton. Ponieważ jednak wciąż się śmiała, nie wypadła zbyt przekonująco. — Myślałam, że potrzy masz go na dystans jeszcze przynajmniej dwa tygodnie.

— Nie mogła mi się oprzeć — powiedział gładko Sam, nalewając sobie kolejną szklanekę herbaty.

— Było mi go żal — sprostowała Jaine. — Te jęki, błagania... Żalodne, po prostu żalodne.

Uśmiech Sama wróżył zemstę. Poczula dreszcz oczekiwania. Niewykluczone, że będzie musiała się z nim kochać przynajmniej ze trzy czy cztery razy, żeby ugłaskać jego urażone ego. Co za poświęcenie!

Cieszyła się bardzo z tego, że Sam czuje się dobrze w towarzystwie jej przyjaciółek. Przysiadłszy na stole, pomógł im zaplanować czuwanie.

— Piwo i popcorn. Czego jeszcze więcej wam trzeba? — spytał, co dowodziło wyłącznie tego, że nie zna się na kobietach i jedzeniu.

Po wyjściu T.J. i Luny postanowili przestawić samochód ojca Jaine do garażu Sama.

— Masz kluczyki? — spytał, kiedy zdjął już plandekę i odsłonił srebrną kulę auta.

Wyjęła kluczyki z kieszeni dżinsów i pomachała mu nimi przed nosem.

— Chcesz poprowadzić?

— Podlizujesz mi się teraz, żebyś ci darował te błagania i jęki?

— Nie, zamierzam ci wynagrodzić to później.

Uśmiechnął się i wyjął jej kluczyki z ręki.

— O rany! — westchnął, zdjął buty i wsunął do środka jedną nogę, potem drugą, by w końcu usiąść za kierownicą. Małe autko pasowało do niego jak ulał. Przesunął dłońmi po kierownicy. — Mówiłaś, że w jaki sposób go kupił?

— W 1964 roku. Miał dojścia. Rozumiesz, karoseria Shelby'ego, silnik Forda. Tata pracował w zespole opracowującym silnik. Zakochał się w tym aucie. Mama była wściekła, że wydał tyle pieniędzy na samochód. Mieli przecież małe dziecko, Shelley, i musieli kupić większy dom. Wyprodukowano wtedy tylko tysiąc takich aut. Dokładnie tysiąc jedenaście. Tak więc teraz tata ma oryginalną cобрę, wartą więcej, niż zapłacili za dom.

Zerknął przez ramię na vipera stojącego na podjeździe.

— Nie tylko twój ojciec wydaje majątek na samochody.

— Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Poza tym viper nie był nowy, kiedy go kupiłam, więc nie kosztował sześćdziesięciu dziewięciu tysięcy. Żeby go spłacić, przez trzy lata żywiłam się wyłącznie hamburgerami i potrawką z tuńczyka.

Sam aż się wzdrygnął.

— Ale kredyt spłaciłaś.

— Całkowicie. Nie mogłabym pozwolić sobie na dom, gdybym wciąż musiała go spłacać. To zresztą wszystko wina taty...

— Jak to?

Wskazała głową cобрę.

— A jak sądzisz: na czym uczyłam się jeździć?

Sam był po prostu przerażony.

— Pozwolił początkującemu kierowcy prowadzić to чудо?

— Nauczył w ten sposób jeździć wszystkie swoje dzieci. Shelley i David jednak nie mieli do tego drygu. Czuli się lepiej w lincolnie mamy. Niektórzy wolą wygodę od szybkości. — Jej spojrzenie mówiło wyraźnie, że zupełnie tego nie rozumie, choć akceptuje.

— Chryste! — Zbladł na samą myśl o trzech niedoświadczonych nastolatkach za kierownicą tego auta.

— Tata nienawidzi mojego vipera — wyznała. — Częściowo dlatego, że nie jest to ford, ale tak naprawdę przyczyna leży gdzie indziej. Viper pobił go w próbie szybkości. Cobra ma lepsze przyspieszenie, ale na większych odległościach mogę ją z łatwością prześcignąć.

— Urządzaliście wyścigi? — zagrzmiął z taką miną, jakby zamierzał zaraz wyskoczyć z auta.

— Tylko po to, żeby porównać nasze konie mechaniczne — zapewniła. — Poza tym to nie były przecież wyścigi uliczne. Pojechaliśmy na tor.

Przymknął oczy.

— Ty i twój tata jesteście bardzo do siebie podobni, prawda? — spytał z takim przerażeniem, jakby doszedł nagle do wniosku, że ma do czynienia z nosicielami tyfusu.

— Tak, na pewno bardzo polubisz mojego ojca.

— Już się nie mogę doczekać, żeby go poznać.

Kiedy Luna wróciła do domu, pod drzwiami zobaczyła Shamala. Shamal, który siedział na podłodze, na jej widok zerwał się natychmiast na równe nogi. Luna — ogarnięta nagle zupełnie irracjonalnym strachem — stanęła jak wryta. Shamal był wielki i dobrze zbudowany. Przez chwilę, przez jedną straszną chwilę myślała, że to on... — ale nie, to przecież niemożliwe. Zabójca miał jasne włosy, musiał być biały... Przyplływ strachu, a zaraz potem ulgi, pozbawił ją sił. Przełknęła głośno ślinę.

— Co ty tu robisz? — spytała obcesowo.

Shamal popatrzył na nią ze zdziwieniem. Najwyraźniej oczekiwał bardziej radosnego powitania.

— Ostatnio jakoś się nie widzimy — mruknął aksamitnym głosem, tak uwielbianym przez kobiety. Oczywiście miliony, jakie zarabiał na boisku, bynajmniej nie odbierały mu wielbicielek. Zwykle otaczał go wianuszek rozkochanych kobiet. Shamal kochał sławę, światła reflektorów i wszystko, co się z tym łączyło.

— Ostatnie dwa tygodnie były po prostu szalone — powiedziała Luna. — Najpierw ta Lista, potem Marci... — Urwała. Gardło odmówiło jej posłuszeństwa. Wciąż nie mogła uwierzyć w śmierć Marci, choć tak naprawdę już uwierzyła, ale nie potrafiła się z tym pogodzić.

— Tak bardzo mi z tego powodu przykro. Byłyście ze sobą blisko, prawda?

Pomyślała, że Shamal niewiele o niej wie. Dotychczas to on grał w ich związku główną rolę.

— Marci była moją najlepszą przyjaciółką — powiedziała, a w jej oczach błysnęły łzy. — Posłuchaj, nie jestem w nastroju do...

— Hej, przecież ja wcale nie po to przyszedłem — powiedział, marszcząc brwi i wkładając ręce do kieszeni jedwabnych spodni szytych na miarę. — Gdyby chodziło mi tylko o seks, mógłbym go dostać od... — Nie dokończył zdania — zrozumiał, że nie jest to najmądrzejsza rzecz, jaką może w tej sytuacji powiedzieć. — Tęskniłem za tobą — wyznał z trudem. Shamal King rzadko mówił kobietom tego rodzaju rzeczy.

Luna wyminęła Shamala i otworzyła drzwi.

— Coś takiego — odrzekła sucho. Zabawne, od ponad roku, czyli od chwili, gdy poznała Shamala, marzyła, żeby coś takiego usłyszeć. Coś, co wskazywałoby na to, że jest dla niego osobą wyjątkową. A teraz, kiedy jej marzenia wreszcie się spełniły, nie zamierzała mu się rewanżować niczym podobnym. Może dała już z siebie wszystko, co mogła, posunęła się na tyle daleko, na ile to było możliwe.

Milczał, przestępując z nogi na nogę. Zrozumiała, że nie wie po prostu, co powiedzieć. Zawsze zbyt przystojny, zbyt utalentowany, zbyt bogaty, stanowił przedmiot uwielbienia wielu kobiet. Już od szkoły średniej, gdzie ujawnił swe talenty sprinterskie, cieszył się niesłychaną popularnością wśród koleżanek

— był ich idolem i obiektem pożądania. Teraz natomiast wkroczył na zupełnie nieznanie terytorium.

— Chcesz wejść? — spytała w końcu.

— Tak, oczywiście.

Rozejrzał się po jej maleńkim mieszkaniu, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. Podeszedł do półki i popatrzył na książki oraz stojące tam rodzinne fotografie.

— Twój tata? — spytał, wskazując zdjęcie postawnego przystojnego majora marines.

— Tak, tuż przed przejściem na emeryturę.

— Więc jesteś dzieckiem armii?

— Dzieckiem marines — poprawiła, z trudem kryjąc irytację. Shamal nie potrafił dostrzec różnicy między armią i marines.

Znów zrobił niepewną minę.

— Nie wiem nic o wojsku. Zawsze grałem tylko w piłkę. A ty chyba sporo podróżowałaś po świecie, prawda?

— Po jego określonych częściach.

— Wiedziałem, że jesteś inteligentna. — Odstawił fotografię na miejsce. — Znasz się na winach i takich innych rzeczach.

Luna zdziwiła się lekko. Shamal najwyraźniej czuł się niepewnie, nigdy by nie sądziła, że jest do tego zdolny. Wydawał się zawsze taki zarozumiały, arogancki, jakby sądził, że należy mu się dokładnie tyle zainteresowania i uwagi, ile poświęca mu otoczenie. Sam mieszkał w rezydencji, a onieśmiał go fakt, że Luna widziała trochę świata i uczestniczyła w oficjalnych przyjęciach.

— Może się czegoś napijesz? — zaproponowała. — Nie mam jednak nic mocniejszego od piwa. Jest też sok i mleko.

— Poproszę o piwo — odparł z ulgą, jakby się obawiał, że będzie musiał wybierać gatunek białego wina.

Wyjęła z lodówki dwa piwa, zdjęła kapsle, wręczyła Shamalowi jedną z butelek i sama upiła saźnisty łyk z drugiej. Patrzył na nią jak zafascynowany.

— Nigdy przedtem nie widziałem, żebyś piła piwo.

Wzruszyła ramionami.

— W bazach wojskowych to prawdziwa epidemia. Lubię piwo.

Usiadł i zaczął obracać pustą butelkę. Po chwili zebrał się na odwagę.

— Przyszedłem tutaj, bo... — Nie dokończył zdania i wrócił do zabawy butelką.

Zajęła miejsce naprzeciwko Shamala i skrzyżowała nogi, kierując z premedytacją uwagę Shamala na ich długość.

— Tak?

Chrząknął.

— Kiedy przestałaś przychodzić... trochę się zdziwiłem. Myślałem, że...

— Uprawialiśmy seks — odpowiedziała łagodnie. W takim tempie Shamal nie zakończyłby swojego monologu do północy. — Sądziłam, że tobie o nic innego nie chodzi, że niczego więcej nie chcesz. Ja pragnęłam czegoś jeszcze, ale dostajesz to pewnie od innych dziewczyn.

Poruszył się niespokojnie.

— Nie chodziło tylko o seks.

— Mhm. Dlatego na każdy dzień masz co najmniej trzy dziewczyny i towarzystwo w każdym mieście, do którego jeździsz na mecze. Nie jestem idiotką. Wreszcie się ocknęłam i zrozumiałam, o co chodzi. Chciałam być dla ciebie wyjątkowa, ale nie jestem.

— Właśnie że jesteś. — Obejrzał znów butelkę po piwie i oblał się rumieńcem. — Bardziej, niż sądzisz — wymamrotał. — Nie chcę cię stracić. Co mam robić?

— Zrezygnować ze wszystkich innych dziewczyn — odparła natychmiast. — Jeśli nie potrafisz być wierny, nie jestem tobą zainteresowana.

— Tak, wiem. — Zdobył się na słaby uśmiech. — Czytałem Listę. Z częścią warunków dałbym sobie radę.

— Inne części to żart. Pierwsze pięć to sprawa zupełnie poważna.

— Więc wrócisz, jeśli nie będę się spotykał z innymi?

Zacząła myśleć. Trwało to jednak tak długo, że zaczął się pocić, nawet w klimatyzowanym pomieszczeniu. Podświadomie już spisała Shamala na

straty, choć jej serce nie całkiem się jeszcze z tym pogodziło. Odwrócenie sytuacji wymagało wysiłku.

— Spróbuję — powiedziała w końcu, a Shamal usiadł na kanapie z westchnieniem ulgi. Wyciągnęła rękę. — Jeśli jednak będziesz niewierny, przez co rozumiem nawet obejmowanie dziewczyn na przyjęciach, to koniec. Nie będzie kolejnych szans, bo już wszystkie wykorzystałeś.

— Przysięgam — powiedział, wyciągając prawą rękę. — Żadnego pieprzenia na boku.

— Żadnych skoków w bok — poprawiła.

— Co?

— Żadnych skoków w bok.

— Tak właśnie powiedziałem.

— Nie, musisz się trochę ogłędniej wyrażać.

— Dziecino, jestem piłkarzem. My wszyscy klniemy.

— Możesz sobie kłać na boisku, ale nie tu.

— Rany — jęknął dobrotliwie. — Już mnie usiłujesz zmieniać.

Wzruszyła ramionami, co miało znaczyć: jak ci się nie podobato nie.

— Tata potrafi kłać jak szewc, ale nigdy nie robi tego w domu ze względu na mamę. Moja koleżanka Jaine próbuje się od tego odzwyczaić i nawet odnosi sukcesy. Jeżeli ona potrafi, to każdy potrafi.

— Dobra, dobra, spróbuję. — Uśmiechnął się. — Prawdziwy dom co? Ty ciosasz mi kołki na głowie, a ja obiecuję, że się poprawię. Jak w małżeństwie.

Luna zaśmiała się głośno i przytuliła do Shamala.

— Tak jak w małżeństwie.

Rozdział 25

W sobotę rano Sam usiadł na łóżku Luny z podkrążonymi oczyma. Około północy panie doszły do wniosku, że równie dobrze może pilnować mieszkania od wewnątrz jak od zewnątrz i zaczęły nalegać, żeby wszedł do środka. Był zmęczony, więc usłuchał. Przez dwa dni i dwie noce nie spał wiele — a spałby znacznie więcej, gdyby nie pewna mądrała leżąca obok — i czuł narastającą irytację. W jednej ze spraw, które prowadził, całodzienny wysiłek nie przyniósł

żadnych efektów, a akta z Hammerstead też go nie naprowadziły na żaden nowy trop. Komputery nie podały żadnych ciekawych informacji na temat żadnego z nazwisk. Ktoś tam nie zapłacił mandatu, inny wdał się w awantura domową.

O północy — zasilane piwem i czekoladą — przyjaciółki chodziły jeszcze na wysokich obrotach. Cheryl, stonowana wersja Marci, podobna z wyglądu i głosu, miała identyczne poczucie humoru jak jej nieżyjąca siostra. Gadały, dopóki nie ochrypiły, śmiały się i płakały, piły piwo i jadły wszystko, co im wpadło w ręce. Widok był naprawdę zadziwiający.

Przeniosły czuwanie do kuchni, a on wyciągnął się na kanapie. Spał, słuchając jednym uchem dźwięków dochodzących zza drzwi. Nie zdarzyło się nic niepokojącego. Sam zauważył tylko, że Jaine lubi śpiewać, gdy jest wstawiona.

Kiedy się ocknął, w domu panowała kompletna cisza. Szybko otworzył drzwi od kuchni i zajrzał do środka. Wszystkie spały, oddychając ciężko ze zmęczenia i przepicia. T.J. chrapała cicho. Nie było to jednak prawdziwe chrapanie. Sam wychowywał się z czterema braćmi i tatą, więc wiedział, jak można chrapać.

Jaine leżała pod stołem. Dosłownie. Zwinięta w kłębek ułożyła głowę na złożonych rękach i wyglądała jak anioł. Sam prychnął ironicznie. Ale kontrast! Pewnie ćwiczyła taki wygląd we śnie od dzieciństwa.

Luna oparła głowę na łokciu, niczym licealistka. Sam uznał ją za słodkie dziecko. Musiała być jednak odważną kobietą, skoro zdecydowała się na przyjaźń z pozostałą trójką. Cheryl ułożyła głowę na stole — za poduszkę służyła jej podstawka od dzbanka. Z taką ilością piwa w brzuchu ludzie robią rzeczy, jakich nie robiliby w żadnych innych sytuacjach.

Znalazł kawę i włączył ekspres, nie próbując nawet nie hałasować. Panie spały dalej. Kiedy kawa była gotowa. Sam znalazł w kredensie filiżanki. Swoją napełnił po brzegi, a pozostałe cztery tylko do połowy — niebezpiecznie jest trzymać naczynie z gorącym płynem drżącymi rękami.

— Dobra, moje panie. Czas wstawać — powiedział. Równie dobrze mógłby mówić do ściany.

— Dziewczyny! — powtórzył znacznie głośniej. Nic.

— Jaine! Luna! T.J.! Cheryl!

Luna uniosła głowę, popatrzyła na niego zamglonym wzrokiem i znowu zasnęła. Pozostałe trzy nawet się nie poruszyły.

Na wargi Sama wypłynął uśmiech. Mógłby wprowadzić nimi potrząsnąć, ale nie sprawiłoby mu to żadnej przyjemności. Znalazł jednak garnek i zaczął w niego walić metalową łyżką, co przyniosło natychmiastowy efekt. Wszystkie cztery podskoczyły i popatrzyły na niego przerażonym wzrokiem. Jaine uderzyła głową o stół.

— Niech to szlag!

Misja powiodła się całkowicie. Sam rozdzielił filiżanki. By podać kawę Jaine, musiał zajrzeć pod blat. Siedziała na podłodze, rozcierała obolałą głowę i łypała na niego wściekle. Boże, jak on ją kocha!

— Pospieszcie się — powiedział. — Za pięć godzin pogrzeb.

— Za pięć godzin? — jęknęła Luna. — Jesteś pewien?

— Całkowicie. A to znaczy, że w domu pogrzebowym musicie się znaleźć za cztery godziny.

— Mowy nie ma — powiedziała T.J. i upiła łyk kawy.

— Musicie wytrzeźwieć...

— Nie jesteśmy pijane — dobiegło go warknięcie spod stołu.

— ...zjeść coś, jeśli możecie, wziąć prysznic, umyć włosy... co tam trzeba. A nie siedzieć pod stołem i warczeć.

— Nie warczę.

Nie, to było raczej burknięcie. Może jakiś leczniczy seks poprawiłby jej humor — jeśliby Sam przeżył ten eksperyment. Teraz już rozumiał, jak się czuje samiec modliszki podchodzący do samicy. Wie, że przeżyje cudowne chwile, ale zaraz potem straci głowę.

Trudno. Są rzeczy warte utraty głowy.

Cheryl wstała chwiejnie z krzesła. Na policzku miała ślad po podstawce do dzbanka. Wypiła łyk kawy, chrząknęła i powiedziała:

— On ma rację. Musimy się ruszyć, bo nie zdążymy.

Spod stołu wysunęła się szczupła kobieca ręka, ściskająca filiżankę, którą Sam od razu uzupełnił kawą. Ręka natychmiast się cofnęła.

Jak pan Bóg da, miał przed sobą czterdzieści, może pięćdziesiąt lat życia z tą kobietą. A już najgorsze było to, że taka perspektywa przepelniała go radością.

T.J. dokończyła kawę i wstała, by napełnić filiżankę, co znaczyło, że jest zdolna do życia.

— Dobrze, dam radę. Wysiugam się tylko, umyję twarz i będę mogła pojechać do domu. — Powlokła się do łazienki, ale po chwili dotarł do nich jęk. — Powiedziałam przy Samie, że muszę się wysiugać! Co za wstyd!

W piętnaście minut później ustawił je wszystkie w szeregu.

— Ty naprawdę każesz nam to robić? — warknęła Jaine, ale dmuchnęła posłusznie w alkomat.

— Jestem gliną. Nie mogę pozwolić wam prowadzić, dopóki nie sprawdzę, że nic wam nie dolega. — Zerknął na odczyt i uśmiechnął się, kręcąc głową. — Dobrze się stało, że tu jestem, kochanie, bo nigdzie nie jedziesz. Odczyt przekracza normę.

— Wcale nie.

— Owszem, przeholowałaś. Teraz wypij jeszcze trochę kawy i siedź cicho, a ja tymczasem sprawdzę stan pozostałych pań.

Cheryl i T.J. były trzeźwe, Luna zbliżała się do granicy, ale mogła prowadzić.

— Oszukujesz! — powiedziała Jaine oskarżycielskim tonem.

— Jak, u diabła, mogę oszukiwać? Przecież to ty dmuchałaś w alkomat!

— W takim razie jest uszkodzony. Wszystkie wypiliśmy tyle samo więc jak to możliwe, że tylko ja jestem pijana?

— One więcej ważą— odparł cierpliwie. — Luna jest na granicy, ale w normie. Ty nie. Sam cię odwiozę.

Zrobiła minę obrażonego dziecka.

— Którym autem pojedziemy: twoim czy moim?

— Twoim. Jeżeli ktoś zacznie się kręcić po parkingu, pomyśli, że Luna ma towarzystwo.

Ten argument trafił Jaine do przekonania. Wciąż nadaśana, po chwili

skinęła głową.

— Dobrze.

Samowi pozostało już tylko wpakować ją do traka, gdzie natychmiast zasnęła.

Gdy dojechali na miejsce, obudziła się na tyle, by dojść do domu Sama o własnych siłach, a potem patrzyła, jak odkręca prysznic i zaczyna zdejmować ubranie. Najpierw swoje, później jej.

— Zamierzałaś umyć włosy? — spytał.

— Tak.

— To dobrze. W takim razie wszystko jedno, kto się tym zajmie. — Uniósł ją i wsadził pod prysznic, prosto pod strumień wody. Zaczęła płuć i kąsać, ale nie podjęła walki. Zamiast tego westchnęła głęboko, tak jakby woda sprawiła jej przyjemność.

Kiedy Sam umył i wytarł jej włosy, łypnęła na niego ponuro.

— Nie jestem w najlepszym nastroju.

— Zauważyłem.

— Zawsze marudzę, kiedy się nie wyśpię.

— Ach, więc to dlatego — mruknął ironicznie.

— Głównie. Po kilku piwach zawsze wpadam w świetny humor.

— Wczoraj wieczorem czułaś się znakomicie. Dziś to inna sprawa.

— Myślisz, że mam kaca. Wcale nie. Trochę mnie boli głowa, ale wcale nie aż tak bardzo. Niech to będzie dla ciebie ostrzeżenie, na wypadek, gdybyś znowu nie pozwolił mi zasnąć.

— To ja nie pozwoliłem ci zasnąć? Ja? — pytał z niedowierzaniem. — Czy aby na pewno rozmawiam z tą samą kobietą, która zaczęła mną potrząsać o drugiej nad ranem?

— Wcale nie zaczęłam tobą potrząsać. Ja tylko na ciebie skoczyłam.

— Skoczyłaś — powtórzył.

— Miałaś erekcję. Nie mogłam pozwolić, żeby się zmarnowała.

— Mogłaś mnie obudzić, zanim zdecydowałaś się zrobić z niej użytek.

— Słuchaj — powiedziała z irytacją. — Jeżeli nie chcesz wykorzystywać erekcji, to nie leż na plecach ze sterczącym interesem. Bo jeżeli to nie jest zapro-

szenie, to już nie wiem, co może nim być.

— Spałem. To się samo zrobiło. — Teraz też to zrobiło się samo i ukłuło ją w brzuch.

Popatrzyła w dół i uśmiechnęła się. Ten uśmiech naprawdę go przstraszył.

Prychnawszy pogardliwie, Jaine odwróciła się do niego plecami i spluła z nich resztki mydła.

— Hej! — zawołał, żeby zwrócić jej uwagę. — Też chyba też nie zmarnujesz? — spytał z niepokojem.

Zdążyli na pogrzeb, choć mało brakowało, żeby się spóźnili. Sam pojechał z powrotem do Luny po auto Jaine. Zabójca mógł zjawić się na pogrzebie, zobaczyć, że Jaine wysiada z traka, i odkryć w ten sposób miejsce jej pobytu. W garażu Sama stała cobra, więc dla traka pozostawał tylko podjazd albo garaż Jaine. To drugie wyjście wydawało mu się jednak zbyt kłopotliwe, ponieważ Jaine nie miała zdalnie sterowanej bramy.

Sam czuł się jednak zdecydowanie lepiej, a i Jaine znacznie złagodniała. Lecznicy seks czynił cuda. Przez pięć minut Jaine dzielnie stawiała mu opór, lecz kiedy Sam naprawdę zaczął się pocić, przytuliła się do niego z błyskiem w niebieskich oczach.

— Jestem spięta. Chyba potrzebny mi relaks.

Teraz patrzył na nią z drugiego końca pokoju. Wyglądała wspaniale. Miała na sobie obcisły granatowy kostium ze spódnicą do kolan i seksowne buty. Pozwolila mu patrzeć, jak robi pogrzebowy makijaż. Kobiety miały najwyraźniej strategię na każdą okazję. Kredka i tusz były wodoodporne, nie rozmazywały się i nie zostawiały smug. Nie użyła różu ani podkładu, tylko pudru, gdyż wiedziała, że będzie ścisnąć różnych ludzi i nie chciała im pobrudzić ubrań. Supertrwała szminka miała dyskretny amarantowy odcień. Sam nie miał pojęcia, co to znaczy amarantowy. Pomadka wyglądała na różową, ale kobiety nie mogły powiedzieć po prostu „różowa”.

Kobiety reprezentowały po prostu inny gatunek. Obcy. Nie znajdował innego wytłumaczenia.

Cheryl w czerni wyglądała niezwykle dystyngowanie. Na pogrzebie po-

jawiała się z mężem, który ani na chwilę nie puszczał jej ręki. T.J. miała na sobie ciemnozieloną suknię. Jej również towarzyszył mąż. Pan Yother był eleganckim mężczyzną, w bardzo amerykańskim stylu. Miał porządnie przystrzyżone blond włosy i regularne rysy twarzy. Nie trzymał jednak T.J. za rękę, a ona nie zerknęła na niego zbyt często. Sam pomyślał, że w tym małżeństwie nie dzieje się najlepiej.

Luna włożyła dopasowaną czerwoną tunikę do pół łydki. Wyglądała po prostu pięknie. Gdy podeszła do Jaine, Sam przysunął się bliżej, żeby słyszeć, co mówią.

— Marci kochała czerwony — powiedziała Jaine, uśmiechając się do Luny i wyciągając do niej rękę. — Żałuję, że sama o tym nie pomyślałam.

Usta Luny zadrżały.

— Chciałam ją pożegnać w wielkim stylu. Mam nadzieję, że nie przekroczyłam granic dobrego smaku.

— Żartujesz? Przecież wyglądasz wspaniale. Wszyscy, którzy znali Marci, rozumieją, dlaczego się tak ubrałaś, a tymi, którzy jej nie znali, możesz się nie przejmować.

Roger Bernsen próbował wtopić się w tłum. Nie wyszło mu to zbyt dobrze, chociaż bardzo się starał. Nie zamienił z Samem ani słowa, ale w końcu ich obecność na pogrzebie miała wyłącznie służbowy charakter. Kręcili się wśród ludzi, mieszały z tłumem, podsłuchiwali rozmowy.

Wśród żałobników znalazło się również paru blondynów, ale Sam nie zaobserwował, żeby któryś z nich zwracał szczególną uwagę na Jaine lub pozostałe panie. Większości z nich towarzyszyły żony. Sam wiedział, że zabójca może mieć rodzinę i wieść całkiem normalne życie, ale — o ile nie był zimnym jak lód seryjnym mordercą — okazałby na pewno jakieś uczucia, widząc trumnę ze zwłokami kobiety, którą zamordował. Trumnę, przy której stały w dodatku jego przysze ofiary.

Sam jednak wątpił, by w grę wchodził tym razem tego typu zabójca. Ataki miały zbyt osobisty charakter. Ponadto dokonał ich ktoś, kto zupełnie nie potrafił się kontrolować.

Zachował czujność podczas całej ceremonii pogrzebowej, która na

szczęście okazała się krótka. I choć Cheryl ustaliła rozpoczęcie uroczystości na wyjątkowo wczesną godzinę, upał już dawał o sobie znać.

Pochwycił spojrzenie Bernsena i popatrzył na niego pytająco. Roger pokręcił tylko głową. On też niczego nie zauważył. Pogrzeb filmowano. Zamierzali później obejrzeć kasetę, w razie gdyby czegoś nie zauważyli, ale Sam nie brał pod uwagę takiej możliwości. Cholera! Mógł się założyć, że zabójca przyjdzie na pogrzeb.

Cheryl trochę popłakiwała, ale udało się jej nad sobą panować. Sam widział, jak Jaine ociera oczy brzegiem złożonej chusteczki. Kolejny kobiecy trik służący ocaleniu makijażu. Jego siostry chyba nie znały takich sztuczek.

Do Cheryl podeszła nagle ładna, szczupła kobieta w czarnej sukni i zaczęła jej składać kondolencje. Nagle straciła jednak panowanie nad sobą i rzuciła się Cheryl na szyję, łkając donośnie.

— Nie wierzę — zaszlochała. — Biuro jest bez niej zupełnie inne. T.J. i Luna podeszły do Jaine, patrząc na kobietę z minami, które mówiły wyraźnie: „Co się tu dzieje?”. Sam również się zbliżył. Wszyscy ludzie zbijali się zresztą w małe grupki, udając, że nie zwracają uwagi na ten wybuch, tak więc niczego nie ryzykował.

— Mogłam była się domyślić, że Leah urządzi przedstawienie — mruknęła T.J. z obrzydzeniem. — To królowa teatru — dodała na użytek Sama. — Pracuje w moim dziale i zawsze zachowuje się w taki sposób. Potrafi zrobić tragedię z największego głupstwa.

Jaine patrzyła z niedowierzaniem na rozgrywającą się przed nią scenę.

W końcu pokręciła głową.

— Kółko jeszcze się kręci, ale chomik zdechł — powiedziała żalobnym tonem.

T.J. zdusiła śmiech i zaczęła udawać, że kaszle. Szybko odwróciła się plecami do Cheryl i Leah, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Luna przygryzła wargę, ale nie udało się jej powstrzymać prychnięcia i też musiała się odwrócić. Sam zakrył usta ręką. Ramiona dziwnie mu dygotały. Może ludzie myśleli, że płacze?

Czerwona suknia! Ta suka włożyła czerwoną suknię! Corin nie wierzył własnym oczom. To było takie prymitywne, takie tanie.

Zupełnie się tego po niej nie spodziewał i zapanował nad sobą tylko na tyle, żeby się od razu na nią nie rzucić. Mama byłaby przerażona.

Takie kobiety nie zasłużyły sobie na to, żeby żyć. Żadna z nich na to nie zasłużyła. Wszystkie okazały się brudnymi, ohydnyimi kurwami i robiąc z nimi porządek, Corin wyświadczał tylko światu przysługę.

Luna odetchnęła z ulgą, kiedy wreszcie weszła do mieszkania i zrzuciła buty. Piekielnie bolały ją stopy, ale chciała wyglądać pięknie dla Marci i mogła dla niej pocierpieć. Gdyby miała to powtórzyć, ubrałaby się identycznie, ale w duchu bardzo się cieszyła, że nie musi tego robić.

Teraz, po pogrzebie, czuła się odrętwiała i wyczerpana. Czuwanie bardzo jej pomogło — rozmowy o Marci, śmiech, płacz stanowiły swoiste katharsis, dzięki któremu jakoś przeżyła ten dzień. Pogrzeb też niósł ze sobą pociechę. Tata mówił jej wielokrotnie, że pogrzeby wojskowe, bardzo uroczyste, celebrowane z wielką pompą i zachowaniem protokołu, pomagały rodzinom zmarłych w trudnych chwilach żałoby. Rytuał mówił wyraźnie: „Ta osoba pełniła ważną funkcję. Darzono ją szacunkiem”. Poza tym ceremonie pogrzebowe pozwalały rozładować emocje. W tym konkretnym momencie żałobnicy mogli oddać ostatni hołd zmarłemu, a mimo to zacząć nowe życie bez jego udziału.

Zabawne, że one wszystkie tak mocno przyłgnęły do Cheryl. Cheryl była bardzo podobna do Marci, choć miała własną, odrębną osobowość. Byłoby miło utrzymać z nią kontakt.

Luna sięgnęła za plecy i zaczęła rozpinać sukienkę, ale zdążyła odsunąć suwak dopiero do połowy, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Zamarła. Z przerażenia krew zastygła jej w żyłach. Boże. To był on. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Poszedł za nią do domu. Wiedział, że jest sama.

Przesunęła się chyłkiem w stronę telefonu, tak jakby morderca posiadał umiejętność przenikania wzrokiem przez drzwi i widział, co ona robi. Zamierzał

się włamać? Do Jaine zdołał się włamać, bo wybił szybę w drzwiach. Czy byłby jednak na tyle silny, by wyważyć drzwi? Luna nigdy nie sprawdziła, czy jej drzwi są wzmocnione, czy po prostu zwyczajne, drewniane.

— Luna? — Głos był wyraźnie zdziwiony, cichy. — Tu Leah. Leah Street. Dobrze się czujesz?

— Leah — powtórzyła słabo. Nagła ulga przyprawiła ją o zawrót głowy. Zgięła się szybko w talii i zaczęła głęboko oddychać.

— Chciałam cię dogonić, ale szłaś tak szybko... — zawołała Leah. Tak, Luna naprawdę bardzo się spieszyła. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu i zdjąć te upiorne buty.

— Chwileczkę, właśnie zamierzałam się przebrać. — Co tu, u diabła, robi Leah? — myślała, idąc do drzwi i zdejmując łańcuch. Zanim je jednak otworzyła, wyjrzała przez wizjer, aby się upewnić, czy to na pewno ona.

Tak, to była Leah — smutna i zmęczona. Lunie zrobiło się nagle wstyd, że tak z niej kpiły na pogrzebie. Nie wiedziała, dlaczego Leah chce z nią rozmawiać, nigdy nie zamieniły więcej niż parę słów, ale mimo to otworzyła.

— Wejdz — powiedziała. — Straszny upał, prawda? Może napijesz się czegoś zimnego?

— Poproszę — odparła Leah. Zdjęła z ramienia dużą torbę i wzięła ją w ramiona, jakby to było niemowlę.

Zanim Luna ruszyła w stronę kuchni, dostrzegła, jak pięknie lśnią w słońcu jasne włosy Leah. Przystanęła, zmarszczywszy lekko czoło, i zaczęła się odwracać.

Za późno.

Rozdział 26

W niedzielę Jaine obudziła się o wpół do jedenastej. I to tylko dlatego, że zadzwonił telefon. Po omacku sięgnęła po słuchawkę, po czym przypomniała sobie, że to dom Sama, i wtuliła głowę w poduszkę. I co z tego, że słuchawka leżała po jej stronie łóżka. On odpowiada za swój telefon.

Poruszył się niespokojnie — emanowało z niego ciepło, siła i męski zapach piżma.

— Odbierz telefon, dobrze? — powiedział rozespany.

— To do ciebie — wymamrotała.

— Skąd wiesz?

— Bo to twój telefon. — Nie zносиła nikomu tłumaczyć rzeczy oczywistych.

Mrucząc coś pod nosem, uniósł się na łokciu i sięgnął po słuchawkę, przyniatając ją do materaca.

— Tak — mruknął. — Donovan. — Tak — dodał po chwili milczenia. — Jest tutaj. — Rzucił telefon na poduszkę i uśmiechnął się głupio. — Shelley.

Przez głowę przemknęło jej natychmiast kilka siarczystych przekleństw, ale nie wypowiedziała ich na głos. Sam w dalszym ciągu nie wydobył od niej pieniędzy za „niech to szlag”, kiedy uderzyła głową o stół, a ona nie chciała mu tego przypominać.

— Halo — powiedziała, przyciskając słuchawkę do ucha.

— Długa noc? — spytała sarkastycznie Shelley.

— Dwanaście, może trzynaście godzin. Normalna jak na tę porę roku.

Ciężka ciepła dłoń przesunęła się po jej brzuchu i sięgnęła piersi. Coś równie ciepłego i twardego zarazem dźgnęło ją w pośladek.

— Cha, cha, cha — powiedziała Shelley. — Musisz przyjechać po tego kota. — Nie sprawiała wrażenia osoby skłonnej do negocjacji.

— Po BooBoo? Dlaczego? — Tak jakby nie wiedziała. Sam głaskał jej sutki. Położyła mu rękę na dłoni, żeby przerwać pieszczotę. Musiała się skoncentrować, gdyż w przeciwnym wypadku groził jej powrót BooBoo.

— Rujnuje mi meble. Wydawał się zawsze takim słodkim stworzonkiem, a tu się okazuje, że to demon o niszczycielskich skłonnościach.

— Denerwuje się po prostu, bo przebywa w nieznanym miejscu. — Pozbawiony jej sutek, Sam przesunął dłoń w inne, interesujące miejsce. Jaine zaciśnęła nogi, by powstrzymać wędrówkę jego palców.

— Nie jest nawet w połowie tak zdenerwowany jak ja. — Shelley nie była zdenerwowana, była wręcz oburzona. — Słuchaj, nie mogę jednocześnie planować twojego ślubu i pilnować tego diabelskiego kota.

— Chcesz go narazić na niebezpieczeństwo? Chcesz powiedzieć mamie,

że przez ciebie jakiś maniak zadreczył jej pupila na śmierć? I to tylko dlatego, że bardziej dbasz o poduszki niż o jej uczucia?

I kto to mówi? — pomyślała. Shelley oddychała ciężko.

— Walczysz nieuczciwie — powiedziała.

Sam wyzwolił rękę spomiędzy zaciśniętych ud Jaine i zaatakował ją od tyłu. Tym razem przegrała walkę. Shelley również zmieniła taktykę.

— Przecież nawet nie mieszkasz u siebie, tylko z Samem. Tam BooBoo będzie bezpieczny.

Nie, nie mogła się skupić. Sam doprowadzał ją do szaleństwa. Mścił się w ten sposób za to, że musiał odebrać telefon, nie zdawał sobie sprawy że jeśli nie przestanie, będzie miał pod dachem rozwścieżonego kota, niszczącego wszystko dookoła.

— Pieść go często — wyjąkała. — Na pewno się uspokoi. Szczególnie lubi drapanie za uchem.

— Przyjedź po niego.

— Shelley, nie mogę zabrać kota do cudzego domu.

— Oczywiście, że możesz. Sam wytrzymałby na pewno z całą czeredą demonicznych kotów, byle tylko dostać się jakoś do twoich majątek. Wykorzystaj swoje wpływy, póki je masz. Za kilka miesięcy ten facet nawet nie raczy się ogolić przed pójściem z tobą do łóżka.

Wspaniale. Shelley próbowała wywołać wojnę płci. Tymczasem palce Sama musnęły jej lechtaczkę i Jaine o mało nie jęknęła.

— Nie mogę — wyjąkała, choć sama nie była pewna, do kogo kieruje te słowa: do Sama czy do Shelley.

— Ależ możesz — odpowiedział Sam niskim, zmysłowym głosem.

— Boże, ty to właśnie robisz — pisnęła Shelley. — Przecież go słyszałam. Rozmawiasz ze mną przez telefon i jednocześnie bzykasz się z Samem.

— Ależ skąd — wymamrotała Jaine, a Sam natychmiast zadał kłam jej słowom, zastępując pieszczotę palców poranną erekcją. Przygryzła wargę, ale i tak nie zdołała stłumić jęku.

— Zdaje się, że tracę tylko czas — powiedziała Shelley. — Zadzwoń,

kiedy będziesz mniej zajęta. Ile czasu mu to zwykle zajmuje? Pięć minut? Dziesięć?

Siostra chciała się z nią umówić w takiej chwili! Przygryzanie warg nie pomogło, więc Jaine zaczęła gryźć poduszkę.

— Dwie godziny — wykrztusiła w końcu z trudem.

— Dwie godziny? — Shelley znowu zaczęła pisać. — On ma braci?

— Czterech.

— Rany! — Shelley znów zamilkła na chwilę, rozważając najwyraźniej dobre i złe strony wystawienia Ala do wiatru na korzyść jednego z Donovanów.

— Muszę przemyśleć strategię. Prędzej pozwoliłabyś BooBoo rozerwać mój dom na strzępy niż przerwać to, co robisz, prawda?

— Owszem — przyznała Jaine, przymykając oczy. Sam zmienił pozycję, klękając tak, by odsunąć prawą nogę Jaine. Musiała znów przygryźć poduszkę.

— Dobrze. Dam ci spokój — powiedziała Shelley zrezygnowanym tonem. — Próbowałam.

— Cześć. — Jaine chciała odłożyć słuchawkę, ale nie mogła dosięgnąć telefonu. Chcąc pomóc. Sam przesunął się do przodu, wchodząc w nią tak głęboko, że zaczęła szczytować.

Kiedy wreszcie odzyskała mowę, odgarnęła włosy z twarzy.

— Jesteś okropny — powiedziała. Osłabiona, dyszała ciężko, niezdolna, żeby wstać.

— Nie, świetny — zaprzeczył i dowiódł jej natychmiast, że ma rację.

Potem, kiedy leżał już przy niej, spocony i bezwładny, otworzył na chwilę jedno oko.

— Rozumiem, że prawie odzyskaliśmy BooBoo.

— Tak, a ty nie okazałeś się specjalnie pomocny. Poza tym Shelley domyśliła się od razu, co robimy. Nigdy mi tego nie zapomni.

Znowu zadzwonił telefon.

— Jeżeli to Shelley, powiedz, że mnie nie ma — nakazała Jaine.

— A ona na pewno uwierzy — mruknął, sięgając po słuchawkę.

— Wszystko mi jedno, w co uwierzy, a w co nie, bylebym tylko nie musiała z nią rozmawiać.

— Halo? — odezwał się Sam. — Tak, już proszę — dodał. Wyciągnął do niej telefon i ignorując jej wściekle spojrzenie, wyszeptał bezgłośnie „Cheryl”. Jaine odetchnęła z ulgą.

— Cześć, Cheryl.

— Cześć. Słuchaj, próbowałam dodzwonić się do Luny. Mam kilka zdjęć Marci, które Luna pragnęła sobie skopiować. Chciałam ją prosić o adres. Choć byłam tam wczoraj, nie zwróciłam uwagi na numer domu i nazwę ulicy. Ale Luna nie odbiera telefonu, więc może ty znasz ten adres?

Jaine usiadła na łóżku. Poczuła, że przechodzą ją dreszcze.

— Nie odpowiada? Od której próbujesz dzwonić?

— Chyba od ósmej. Jakies trzy godziny. — Cheryl zrozumiała nagle, co Jaine ma na myśli. — Boże! — szepnęła.

Sam wyskoczył z łóżka i szybko wciągnął spodnie.

— Która? — spytał ostro i włączył telefon komórkowy.

— Luna — odparła Jaine ze ściśniętym gardłem. — Posłuchaj, Cheryl, może to nic nie znaczy. Może poszła do kościoła albo je śniadanie z Shamalem. Może jest z nim. Sprawdzę i poproszę, żeby się do ciebie odezwała. Dobrze?

Wkładając czystą koszulę. Sam wybierał jednocześnie numer na klawiaturze komórki. Z butami i skarpetkami w ręku. wyszedł z sypialni. Mówił tak cicho, że Jaine nie słyszała ani słowa.

— Sam dzwoni do kolegów. Na pewno ją znajdzie — powiedziała Jaine do słuchawki.

Przerwała rozmowę, nie mówiąc nawet do widzenia, a potem wyskoczyła z łóżka i zaczęła się ubierać, dygocąc coraz silniej na całym ciele. Jeszcze przed paroma minutami była taka spokojna, a teraz te straszliwe dreszcze doprowadzały ją do szaleństwa. Kontrast wręcz paraliżujący.

Weszła do salonu i omal nie zderzyła się z Samem, który właśnie wychodził. Miał pistolet i odznakę.

— Zaczekaj! — krzyknęła w panice.

— Nie! — Przystanął z ręką na klamce. — Nie możesz iść.

— Owszem, mogę. — Rozglądała się rozpaczliwie, szukając wzrokiem butów. Cholera, były w sypialni! — Zaczekaj!

— Jaine. — Tym razem przemówił do niej tonem policjanta. — Nie. Jeżeli naprawdę coś się stało, będziesz tylko przeszkadzać. Nie pozwolą ci wejść do środka, a na siedzenie w samochodzie jest naprawdę za gorąco. Pojedź do T.J. i zaczekaj tam na mnie. Zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiem.

Wciąż drżała i teraz jeszcze na dodatek zaczęła płakać. Nic dziwnego, że Sam nie chciał jej zabrać. Przesunęła ręką po twarzy.

— Obiecujesz?

— Obiecuję. — Wyraźnie złagodniał. — Uważaj w drodze do T.J. I nie otwieraj nikomu drzwi.

Skinęła głową. Zrozumiała, że na nic mu się nie przyda. Było nawet gorzej. Przeszkadzała.

— Dobrze.

— Zadzwoń — powtórzył i już go nie było.

Jaine osunęła się na sofę i zaczęła szlochać. Nie, nie czuła się na siłach, żeby jeszcze raz przez to przejść. Nie Luna. Była taka młoda, piękna... ten drań nie mógł jej skrzywdzić. Luna na pewno umówiła się z Shamalem. Tak bardzo się cieszyła z tego nagłego zwrotu, jaki nastąpił w ich stosunkach, że spędzała z nim teraz każdą wolną chwilę. Sam na pewno znajdzie Lunę. Shamal zastrzegł wprowadzić numer, ale policjanci mieli swoje sposoby... Luna znajdzie się na pewno u Shamala, a Jaine będzie głupio, że zrobiła z siebie idiotkę.

W końcu przestała płakać i wytarła twarz. Musiała jak najszybciej pojechać do T.J. i poczekać u niej na telefon od Sama. Ruszyła w stronę łazienki, ale nagle zawróciła i zamknęła dokładnie na zasuwę frontowe drzwi.

Umyła tylko zęby, przyczesła włosy i w dwie godziny później była już u T.J. Uwiesiła się na dzwonku.

— T.J.! Tu Jaine! Pospiesz się!

Usłyszała tupot kroków i szczekanie psa. Drzwi stanęły nagle otworem, a przed oczyma Jaine zamajaczyła zmartwiona twarz TJ.

— Co się stało? — spytała T.J., wciągając Jaine za drzwi. Jaine nie mogła jednak odpowiedzieć. Słowa nie przechodziły jej przez gardło. Cocker—spanielka

Trilby wskoczyła im na nogi, szczekając histerycznie.

— Cicho, Trilby — powiedziała T.J. Podbródek zadrżał jej niebezpiecznie, przełknęła ślinę. — Luna?

Jaine skinęła głową, wciąż niezdolna, by wypowiedzieć choć słowo. T.J. zasłoniła twarz rękami i oparła się o ścianę, a z jej gardła wydobył się straszny jęk.

— Nie, nie — wyjąkała Jaine, obejmując T.J. — Przepraszam, przepraszam, nie to chciałam powiedzieć. — Wciągnęła głęboko powietrze. — Jeszcze nie wiemy. Sam już tam jedzie i zadzwoni, kiedy coś ustali.

— Co się dzieje? — spytał z przerażeniem Galan, wchodząc do korytarza. W rękę trzymał część niedzielnej gazety. Trilby natychmiast do niego podbiegła, machając radośnie ogonem.

Znów wstrząsnęły nią dreszcze.

— Luna zginęła. Cheryl nie może się do niej dodzwonić.

— Pewnie poszła po zakupy — powiedział Galan, wzruszając ramionami. T.J. omal nie zabiła go wzrokiem.

— Galan uważa, że histeryzujemy, a Marci zabił jakiś narkoman.

— To o wiele sensowniejsze wyjaśnienie niż ten pomysł z maniakiem — wypalił. — Przestań dramatyzować.

— Jeżeli my dramatyzujemy — odcięła się Jaine — to robi to również policja. — Zagryzła wargi. Nie chciała się wtrącać do kłótni małżeńskiej. T.J. i Galan mieli wystarczająco dużo problemów bez niej.

Galan znowu wzruszył ramionami.

— T.J. mówiła, że wychodzisz za glinę, więc on cię pewnie nabiera. Chodź, piesku. — Odwrócił się i zniknął w pokoju w towarzystwie Trilby.

— Nie myśl o nim — powiedziała T.J. — Mów lepiej, co się stało. Jaine zrelacjonowała T.J. rozmowę z Cheryl. T.J. zerknęła na zegarek, minęło właśnie południe.

— Co najmniej cztery godziny. Ona nie robi zakupów. Czy ktoś dzwonił do Shamala?

— Ma zastrzeżony numer, ale Sam na pewno sobie z tym poradzi.

Weszły do kuchni. Na stole wciąż jeszcze leżała otwarta książka. T.J. nastą-

wiła kawę. Gdy zadzwonił telefon, obie dopijały już drugą filiżankę. T.J. szybko przyłożyła słuchawkę do ucha.

Słuchała chwilę. Patrząc na jej gwałtownie zmieniającą się twarz. Jaine straciła wszelką nadzieję. T.J. była wyraźnie zszokowana, jej policzki całkowicie straciły kolor. Poruszyła ustami, ale nie wydała żadnego dźwięku.

Jaine chwyciła słuchawkę.

— Sam? Mów!

— Przykro mi, kochanie, to się stało wczoraj wieczorem, chyba zaraz potem, jak wróciła do domu po pogrzebie.

T.J. położyła głowę na stole i zaczęła płakać. Jaine dotknęła delikatnie jej ramion, ale — sama przepelniona rozpaczą — nie bardzo potrafiła odgrywać rolę pocieszycielki.

— Zostań u T.J. Nigdzie nie wychodź. Przyjadę zaraz, jak tylko będę mógł. To nie mój rejon, ale nad tą sprawą wszyscy pracujemy wspólnie. Nigdzie nie wychodź, chociaż pojawię się być może dopiero za parę godzin.

— Dobrze — szepnęła Jaine i odwiesiła słuchawkę.

Galan stanął w drzwiach. Patrzył na T.J. takim wzrokiem, jakby miał nadzieję, że ona przesadza. Coś w jego twarzy mówiło jednak wyraźnie, że domyśla się prawdy.

— Co? — spytał, blady jak ściana.

— Dzwonił Sam — wyjaśniła Jaine. — Luna nie żyje. — Z trudem utrzymywany spokój prysł i dużo czasu minęło, zanim Jaine przestała płakać i tulić się do T.J.

Sam wrócił dopiero o zmierzchu. Był zmęczony i zły. Musiał się osobiście przedstawić Galanowi, gdyż ani T.J., ani Jaine nie przyszło to do głowy.

— Pan był na pogrzebie— powiedział nagle Galan, patrząc na niego ostro.

Sam skinął głową.

— Detektyw ze Sterling Heights również. Mieliśmy nadzieję, że go wytropimy, ale jest zbyt sprytny albo po prostu się nie pojawił.

Galan zerknął na żonę. T.J. siedziała w milczeniu, głaszcząc bezmyślnie cocker—spanielkę. Poprzedniego dnia Galan wydawał się jej obcy, ale

teraz w sposobie, w jaki na nią patrzył, nie było nic obcego.

— Ktoś naprawdę na nie poluje.

— Jednak proszę uwierzyć – powiedział krótko Sam. Na myśl o tym co ten drań zrobił z Luną, z wściekłości kurczył mu się żołądek. Luna, tak samo jak Marci, padła ofiarą wyjątkowo okrutnego ataku, który miał zdecydowanie osobisty charakter. Morcerca zmasakrował jej twarz, zadał wiele ran nożem, dopuścił się również wyjątkowo brutalnego aktu przemocy seksualnej. W przeciwieństwie do Marci, Luna jednak żyła jeszcze, gdy zadawano jej ciosy nożem. Zabójca porwał też na strzępy jej ubranie. Ilekroć Sam uświadamiał sobie, co mogła wycierpieć Jaine, gdyby w tamtą środę wieczorem była w domu, ogarniała go furia.

— Skontaktowałeś się z jej rodzicami? – spytała Jaine ochryplym głosem. Rodzice Luny mieszkali w Toledo, zatem niedaleko Detroit.

— Tak, są już na miejscu – powiedział Sam. Objął Jaine i pogłaskał ją po głowie. Zadzwoił pager. Sięgnął do paska, wyciszył dzwonek, po czym zerknął na numer i zaklął.

— Muszę iść – powiedział, przesuwając dłonią po twarzy.

— Jaine może tu zostać – powiedziała T.J., uprzedzając wypadki.

— Nie mam ze sobą żadnych rzeczy – zauważyła Jaine.

— Pojadę z tobą do domu – zaofiarował się Galan. — Zabierzemy też T.J. Będziesz mogła się pakować tak długo, jak zechcesz.

Sam skinął głową z aprobatą.

— Zadzwonię – powiedział, wychodząc.

Corin kołysał się tam i z powrotem. Nie mógł spać, nie mógł spać. Nie mógł spać. Nucił pod nosem tak, jak wówczas, gdy był jeszcze bardzo mały, ale tym razem magiczna melodia nie podziałała. Nie pamiętał, kiedy przestała działać.

Ta suka w czerwonym umarła. Po raz pierwszy w życiu zadowolili mamę. Przedtem nic jej się nigdy nie podobało, bo Corin popełniał błędy i miał wady, choć chciała, by był doskonały. To jednak robił dobrze – mama na pewno bardzo by się cieszyła. Uwalniał świat od tych wstrętnych dziwek, usuwał je jak chwasty, wszystkie po kolei. Nie, nie wszystkie. Nie udało mu się załatwić

nawet trzech. Próbował, ale jednej z nich nie zastał w domu.

Widział ją jednak na pogrzebie. Śmiała się. A może to ta druga się śmiała? Corin już sam nie wiedział, co o tym myśleć, bo ich twarze majaczyły mu kolejno przed oczami.

Nikt nie powinien się śmiać na pogrzebach. Rodzina zmarłego bardzo z tego powodu cierpi.

Która się śmiała? Nie pamiętał.

To nieważne — pomyślał i od razu poczuł się lepiej. Obie musiały umrzeć i zupełnie nie miał znaczenia fakt, która się śmiała i która wystąpiła w artykule jako pani C. Wiedział, że tak czy owak, mama wreszcie będzie zadowolona i już nigdy nie zrobi mu krzywdy.

Rozdział 27

W poniedziałek rano Sam siedział w komendzie w Warren i z głową opartą na dłoniach po raz kolejny przeglądał akta personalne z Hammerstead. Komputery nie pomogły, toteż on i Bernsen czytali po prostu akta, szukając czegoś, co naprowadziłoby ich wreszcie na odpowiedni trop.

Klucz do sprawy tkwił w aktach. Sam nie miał co do tego wątpliwości. Po prostu nie udało im się go jeszcze znaleźć. Może już nawet odkrył, co to takiego, tylko nie zdawał sobie z tego sprawy. Odnosił wrażenie, że coś mu umknęło. Nie potrafił na razie tego uchwycić, ale czuł, że prędzej czy później dozna olśnienia. Miał tylko nadzieję, że ów wspaniały moment nastąpi raczej prędzej niż później — na przykład za minutę.

Ten facet nienawidził kobiet. Nie znosił ich towarzystwa, nie chciał z nimi pracować. Niewykluczone, że w jego aktach znajdowały się nawet skargi na jego zachowanie. Coś równie oczywistego nie uszłoby ich uwadze już przy pierwszym czytaniu, ale może skargę sformułowano w taki sposób, że w końcu nie wniesiono oskarżenia.

Jaine i T.J. nie poszły do pracy. Wciąż były razem, chociaż od T.J. przeniosły się do Shelley. Zabrały nawet ze sobą hałaśliwą spanielkę, która reagowała jazgotem na wszystkich obcych — od ptaka na patio począwszy, na człowieku idącym chodnikiem skończywszy. Sam bał się, że Jaine zechce spędzić dzień w domu, gdyż w so-

botę, w czasie pogrzebu Marci — pod czujnym okiem pani Kulavich, która traktowała swą misję niezwykle poważnie — zainstalowano jej już system alarmowy. System działał prawidłowo, ale na pewno nie powstrzymałby zdeterminowanego zabójcy.

Jaine wolała jednak nie być sama. Ona i T.J. trzymały się razem przerażone tym, co się stało. Teraz już nikt nie wątpił, że to właśnie Lista tak rozwścieczyła mordercę, i policja próbowała skoordynować działania tych okręgów, w których mieszkały zabite kobiety.

Wszystkie agencje prasowe poświęcały tej sprawie wiele uwagi. „Kto zabija Damy od Listy?” — zapytywała jedna z nich. „Mieszkańcy okręgu Detroit wciąż nie mogą przyjść do siebie po morderstwach popełnionych na autorkach kontrowersyjnej i zabawnej Listy cech idealnego mężczyzny, która dwa tygodnie temu wzbudziła zainteresowanie całej Ameryki”.

Wokół Hammerstead znów koczowali dziennikarze polujący na wywiad z każdym, kto choć przelotnie znał ofiary. Grupa operacyjna zamówiła już u nich taśmy z ewentualnymi wywiadami, na wypadek gdyby facet nie wytrzymał i zapragnął wystąpić w telewizji w charakterze żalobnika oplakującego przyjaciółki.

Pod dom Jaine też przyszedli reporterzy, ale zrezygnowali natychmiast, kiedy przekonali się, że nikogo nie ma w domu. Sam doszedł do wniosku, że zjawili się także u T.J., dlatego zadzwonił do Shelley i poprosił ją, żeby zaprosiła Jaine i T.J. na cały dzień. Shelley przyjęła prośbę z ogromnym zadowoleniem. Sam wiedział wprawdzie, że dziennikarze i tak w końcu wytropią miejsce pobytu Jaine i T.J., ale dzięki przenosinom do Shelley przynajmniej przez jeden dzień mogły liczyć na spokój.

Przetarł oczy. Spał najwyżej dwie godziny. Wczoraj w nocy wezwano go na miejsce jeszcze innej zbrodni. Zabito kilkunastoletniego chłopca. Wkrótce potem aresztowali byłego chłopaka dziewczyny zamordowanego. Znadto przejął się tym, że nastolatek kazał mu się odpieprzyć. Robota papierkowa zajęła jednak jak zawsze sporo czasu.

Gdzie się podział raport dotyczący odcisku buta z domu Jaine? Zwykle odpowiedź nie zabierała technikom tyle czasu. Przeszukał biurko, ale niczego tam nie znalazł. Może raport trafił do Bemsena gdyż to właśnie z nim Sam wymieniał dokumenty. Przed śmiercią Luny nie wszyscy byli przekonani, że włamanie do domu

Jaine wiąże się w jakikolwiek sposób z zabójstwem Marci. Ani Sam, ani Bernsen nie mieli jednak żadnych wątpliwości. Teraz oczywiście koledzy przyznawali im rację. Zadzwoił do Rogera.

— Dostałeś raport w sprawie tego buta?

— Jeszcze nie. Pewnie utknał gdzieś w laboratorium. Wyślę do nich monit.

— Cholera — pomyślał. Opóźnienia nie wchodziły w grę. Może odcisk był ważny, może nie, ale but mógł się okazać tak nietypowy, że ktoś z Hammerstead powiedziałby na przykład: „Tak? Przecież takie nosi XY. Zapłacił za nie majątek”.

Wrócił do akt, zirytowany do tego stopnia, że miał ochotę coś rozbić. Klucz do rozwiązania sprawy leżał mu przed nosem. Czuł to. Musiał się tylko domyślić, co przeoczył.

Galan wyjechał z pracy wcześniej. Wydarzenia poprzedniego dnia wstrząsnęły nim do tego stopnia, że nie mógł się skupić. Chciał zabrać T.J. od siostry Jaine i zawieźć ją do domu, gdzie mógłby jej bez przerwy pilnować.

Nie wiedział, dlaczego się tak od siebie oddalili. A właściwie wie dział. Niewinny flirt z Xandrea Conaway, znajomą z pracy, wydał mu się ważny... A może nie był to zresztą wcale niewinny flirt? Kiedy właściwie zaczął porównywać T.J. z zawsze wystrojoną, zadbaną Xandrea, która w dodatku nigdy się go nie czeptała?

Zdał sobie nagle sprawę, że z T.J. widywał się w domu, gdzie on sam też się przecież na ogół nie stroił. Po to są domy — żeby niczym się nie krępować i czuć swobodnie. No i co z tego, że T.J. narzekała kiedy zapomniał wynieść śmieci? Jemu z kolei przeszkadzały szminki rozmazane na lusterku. Ludzie, którzy razem mieszkają, działają sobie na nerwy. To część małżeństwa.

Kochał T.J. od czternastego roku życia. Jak mógł tego nie dostrzegać, nie widzieć tego wszystkiego, co ich łączyło? Dlaczego trzeba było aż zabójcy polującego na T.J. i jej przyjaciółki, by śmiertelnie się przeraził i zdał sobie sprawę, że nie potrafiłby bez niej żyć?

Teraz nie wiedział, jak jej to zrekompensować. Nie wiedział, czy ona mu na to pozwoli. Od tygodnia, czyli od czasu, kiedy się domyśliła, że coś go łączy z Xandrea, prawie w ogóle z nim nie rozmawiała. Może naprawdę wierzyła, że ja

zdradził, chociaż Galan tak dalece nie stracił panowania nad sytuacją. Całowali się, owszem, ale nic ponadto.

Próbował sobie przez chwilę wyobrazić, co by czuł, gdyby jakiś inny mężczyzna pocałował T.J., i zrobiło mu się niedobrze. Może nawet pocałunki trudno wybaczyć.

Przyczołgałby się do niej na brzuchu, gdyby tylko się do niego uśmiechnęła.

Siostra Jaine mieszkała w dużym, dwupiętrowym domu w St. Clair Shores. Na podjeździe, przed potrójnym garażem, stał czerwony trak Sama. Galan zaparkował obok, podszedł pod podwójne drzwi wejściowe i zadzwonił.

Drzwi otworzył mu Donovan. Galan zauważył natychmiast pistolet Sama i pomyślał, że gdyby miał broń, też by się z nią nie rozstawał, niezależnie od tego, czy byłoby to zgodne z prawem, czy nie.

— Jak one się czują? — spytał cicho, wchodząc do środka.

— Są zmęczone. Nadal w szoku. Shelley mówi, że to zasypiały, to się budziły, więc pewnie wczoraj nie spały zbyt długo.

Galan pokręcił głową.

— Przegadały całą noc. Co zabawne, nie mówiły wcale o tym draniu, który to zrobił, ani o tym, że Jaine też mogła zginać tej nocy, kiedy się do niej włamał. Mówiły wyłącznie o Lunie i Marci.

— Czują się tak, jakby straciły dwóch członków rodziny naraz. Będzie im trzeba dużo czasu, żeby się z tego otrząsnąć. — Sam siłą rzeczy stykał się często z ludźmi w żałobie. Wiedział, że Jaine w końcu dojdzie do siebie, bo temperament nie pozwoli jej zwolnić tempa. Wiedział jednocześnie, że ból ustąpi z jej oczu nie wcześniej niż za parę tygodni, może miesięcy.

W jednej części domu wszystko wyglądało normalnie. Al, mąż Shelley, oglądał telewizję. Ich czternastoletnia córka, Stephanie, siedziała na górze przy telefonie, a jedenastoletni Nicholas grał w gry komputerowe. Kobiety zebrały się kuchni — dlaczego zawsze w kuchni? — żeby porozmawiać, wypić napój dietetyczny i zjeść jakieś pocieszające danie, jakim akurat dysponowała Shelley.

Zarówno Jaine, jak i T.J. wyglądały blado i mizernie, ale nie płakały. Na widok męża T.J. zrobiła przestraszoną minę.

— Co tu robisz? — spytała, najwyraźniej nieszczęśliwie ucieszona jego widokiem.

— Chciałem być z tobą— odparł. — Wiem, że jesteś zmęczona, więc uznałem, że nie powinnaś czekać aż do północy na powrót do domu. Nie mówiąc już o tym, że Shelley i jej rodzina na pewno chodzą spać o wiele wcześniej.

Shelley machnęła ręką.

— O to się nie martw. Zwykle w czasie wakacji kładziemy się późno.

— A co z dziennikarzami? — spytała T.J. — Nie będziemy miały ani chwili spokoju, jeżeli nie przestaną się tu kłębić.

— Pewnie w końcu zrezygnują — powiedział Sam. — Chcieliby zrobić z wami wywiad, ale mogą zasięgnąć informacji od innych ludzi. Skoro nie było cię w domu, raczej zadzwonią, a nie będą wystawać na podwórku.

— W takim razie wolę iść do domu — powiedziała T.J., wstając. Uścisnęła Shelley. — Serdeczne dzięki. Uratowałaś mi dziś życie.

Shelley odwzajemniła uścisk.

— W każdej chwili chętnie służę. Jeśli nie pójdziesz do pracy, przyjdź jutro. Nie siedź sama w domu.

— Dobrze, trzymam cię za słowo, ale do pracy chyba pójde. Jak wrócę do kieratu, to może choć na chwilę przestanę o tym myśleć.

— My też się ruszymy — powiedziała Jaine. — Sam jest równie wyczerpany jak ja.

— Zjawisz się jutro w firmie? — spytała T.J.

— Nie wiem. Może. Zadzwonię i dam ci znać.

— Trilby! — zawołała T.J., a ucieszona spanielka natychmiast zerwała się z miejsca, machając ogonem. — Chodź, stara, idziemy.

Trilby szczerknęła i zaczęła się pętać wokół nóg T.J. Kiedy Galan pogłaskał ją po głowie, polizała go po rękę.

— Gdzie twoja smycz? — spytał i Trilby szybko pobiegła szukać smyczy. Zwykle sztuczki psa bawiły T.J., ale tym razem nie potrafiła zdobyć się na uśmiech.

W drodze powrotnej T.J. wyglądała przez okno auta.

— Nie musisz wcześniej wychodzić z pracy — powiedziała. — Nic mi nie dolega.

— Chciałem być z tobą — powtórzył i zaczerpnął głęboko powietrza. Tyśiąć razy bardziej wolałby rozmawiać o tym w domu, gdzie mógłby wziąć ją w ramiona, ale może teraz nadszedł jednak najlepszy moment? Przynajmniej nie mogła nigdzie uciec. — Bardzo cię przepraszam.

Nawet na niego nie spojrzała.

— Za co?

— Byłem dupkiem, głupim dupkiem. Kocham cię bardziej niż cokolwiek na świecie i nie mogę znieść myśli o rozstaniu z tobą.

— A co z twoją dziewczyną? — Nadała ostatniemu słowu taki charakter, jakby Galan był po prostu napalonym nastolatkiem niezdolnym do przewidywania konsekwencji swoich czynów.

Skrzywił się.

— Wiem, że mi nie wierzysz, ale przysięgam, że nie byłem do tego stopnia głupi.

— A do jakiego byłeś?

Jak zwykle nie pozwoliła mu się wykpić byle czym. Nawet jeszcze w szkole średniej T.J. przypierała go do muru, ilekroć nie chciał jej czegoś powiedzieć.

— Głupie flirty. Pocałunki. Ale nic więcej. Nigdy nic więcej. Nie odrywał wzroku od szosy, bo bał się spojrzeć jej w oczy.

— A obmacywania? — Jej ton świadczył wyraźnie o tym, że mu nie wierzy.

— Nigdy — powiedział stanowczo. — Ja... Cholera, T.J., czułem się z tym fatalnie i nie chodzi mi o nic natury fizycznej. Ona nie była tobą. Nie wiem, może zwiodło mnie moje ego, bo bardzo mnie ta cała sytuacja podniecała, ale nie czułem się w porządku.

— Kto to właściwie jest? — spytała T.J.

By odpowiedzieć na to pytanie, musiał zebrać całą swoją odwagę, ponieważ nazwanie tej kobiety nadawało jej bardziej rzeczywisty wymiar.

— Xandrea Conaway.

— Ja ją znam?

Galan pokręcił głową i doszedł do wniosku, że T.J. wciąż na niego nie pa-

trzy.

— Nie, chyba nie.

— Xandrea — powtórzyła. — To brzmi jak nazwa koktajlu.

Miał na tyle dobrze w głowie, żeby nie mówić o Xandrei nic miłego. Głos załamał mu się nagle. Przełknął ślinę.

— Kiedy zrozumiałem, że jesteś w niebezpieczeństwie, poczułem się tak, jakby mnie ktoś spoliczkował.

— Osoba, na którą poluje psychopatyczny morderca, w jakimś sensie wzbudza uwagę, fakt — zauważyła cierpko T.J.

— Tak. — Postanowił postawić wszystko na jedną kartę. — Dasz mi szansę?

— Nie wiem — powiedziała i poczuła, że ściska się jej serce. — Już ci mówiłam, że nie chcę podejmować żadnych pochopnych decyzji i nie zrobię tego. A teraz nie mogę się całkowicie skupić, więc chyba powinniśmy odłożyć tę dyskusję.

Dobrze — pomyślał. Próbował, nie trafił, ale nie przypuścił jeszcze przecież frontalnego ataku.

— Mogę z tobą spać?

— To znaczy kochać się?

— Nie, spać. W naszym łóżku. Chciałbym się z tobą kochać, ale jeżeli ty nie masz ochoty, to trudno. Pozwolisz mi przynajmniej ze sobą spać?

Myślała bardzo długo, zbyt długo, i Galan pomyślał, że znowu przegrał.

— Dobrze — odparła końcu.

Odetchnął z ulgą. Nie pałała wprawdzie entuzjazmem, ale przynajmniej go nie odtrąciła. Dostał swoją szansę. Spędzili ze sobą wiele lat i to trzymało ich razem. Inne pary, bez takiego stażu, pewnie by się w takiej sytuacji rozstały. Nie mógł jednak oczekiwać, że w ciągu jednej nocy odwróci całe zło, jakie jej wyrządził w ciągu ostatnich dwóch lat.

T.J. została jednak przy nim, więc nie zamierzał zaniechać prób, niezależnie od tego, jak byłaby niemila i jak długo by mu przyszło zapewniać o swojej miłości. Teraz musiał przede wszystkim chronić jej życie, nawet gdyby potem postanowiła od niego odejść. Nie wiedział, czy zniósłby rozwód z T.J., ale na pewno nie

przeżyłby jej pogrzebu.

— Skoro ja jestem taka zmęczona, to ty chyba się ledwo trzymasz na nogach — powiedziała Jaine.

— Cały dzień jadę na kawie — odparł Sam, — Zapasy energii zaczynają mi się jednak powoli wyczerpywać. Chcesz iść wcześniej spać?

Ziewnęła.

— Chyba nie mam wyboru. Wątpię, czy zdołałabym nie zasnąć, nawet gdybym próbowała. — Rozmasowała czoło. — Przez cały dzień potwornie boli mnie głowa i nic mi nie pomaga.

— Cholera — mruknął. — Jeszcze nie wzięliśmy ślubu, a ty już cierpisz na migreny.

Zasłużył na słaby uśmiech.

— Shelley wyjęła dziś ogórek?

Uśmiech stał się nieco szerszy, choć wciąż był podszyty smutkiem.

— Tak. Za każdym razem, kiedy zamykałyśmy oczy, Shelley kładła nam ogórek na powiekach. Nie wiem, czy to działa, ale na pewno jest miłe. — Zrobiła krótką pauzę. — Zrobiłeś dzisiaj jakieś postępy?

Mruknął coś z obrzydzeniem.

— Błądzą po omacku. Komputer niczego nie zaproponował, więc Bernsen i ja czytaliśmy w kółko akta, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyliśmy. Nie przypominasz sobie żadnych skarg na napastowanie seksualne... Albo kłótni pomiędzy pracownikami?

— Pamiętam, jak Sada Whited przyłapała męża z Emily Hearst i zrobiła mu potem awanturę na parkingu. Chyba jednak nie o to ci chodzi? — Ziewnęła. — Skargi na napastowanie? Niczego takiego nie pamiętam. Taką skargę należałoby pewnie składać codziennie przeciwko Bennettowi Trotterowi, ale chyba nikt tego nie robi. Poza tym Trotter ma ciemne włosy.

— Nie wykluczyliśmy brunetów. Nie wykluczyliśmy nikogo. Ten blond włos mógł się przyczepić do Marci na przykład w sklepie spożywczym. Opowiedz mi o Trotterze.

— To idiota, zawsze robi jakieś głupie uwagi, jemu się wydaje, że to

jest seksowne, ale tylko on tak sądzi. Znasz ten typ.

Znał. Był bardzo ciekaw, czy Bennett Trotter może przedstawić sensowne alibi na te dwa dni.

— Jest jeszcze parę osób, których nikt nie lubi — ciągnęła Jaine. — Na przykład mój szef, Ashford de Wynter. Wściekł się o tę Listę, a potem, kiedy firma postanowiła ją wykorzystać do celów reklamowych, trochę złagodniał.

Sam zapisał w pamięci Ashforda de Wyntera.

— Ktoś jeszcze?

— Nie znam wszystkich. Ale zaraz... Nikt nie lubi Leah Street, chociaż jej chyba nie bierzemy pod uwagę.

Nazwisko brzmiało znajomo. Sam skojarzył je z osobą w dosłownie parę sekund.

— Królowa tragedii.

— I wrzód na tyłku. Cieszę się, że pracuje w innym dziale. T.J. musiała ją znosić na co dzień.

— Ktoś poza Trotterem i deWynterem?

— Nikt nie zwraca na siebie szczególnej uwagi. Pamiętam takiego fece-ta, nazywa się Cary czy jakoś podobnie... Ten naprawdę był nie w sosie, kiedy ukazała się Lista. Babki strasznie z niego wtedy kpiły, ale on się nie wściekał. Miał tylko okropnie ponurą minę.

— Możesz sprawdzić to nazwisko?

— Jasne. Dominica Flores wbijała mu wtedy bez przerwy szpile. Zadzwoń do niej rano.

Wchodząc następnego ranka do Hammerstead, T.J. pomyślała, że wszystko tak strasznie się zmieniło. Marci i Luny nie było. I już ich nigdy nie będzie. Z trudnością przyjęła do wiadomości śmierć Marci ale Luna... To wydawało się wręcz niemożliwe. Któż mógłby zamordować tę uroczą, inteligentną dziewczynę z powodu jakiejś kretyńskiej Listy?

T.J. pomyślała, że zabójca jest w tym budynku. Może minąć się z nim w holu. Przyjście do pracy nie wydawało się w tej sytuacji najlepszym pomysłem, ale chciała być na miejscu, bo on tu był. I mógł się zdradzić, choć w to

nie bardzo wierzyła. Istniała też szansa, że wyczyta z jego twarzy coś, co go zdemaskuje. Nie uważała się wprawdzie za Sherlocka Holmesa, ale wierzyła w swoją inteligencję.

Z całej czwórki to Jaine zawsze uchodziła za tę nieustraszoną. i T.J, pragnęła jej dorównać, a przyście tego dnia do pracy naprawdę wymagało odwagi. Jaine nie zamierzała się pojawić. W dalszym ciągu cierpiała na migrenę i postanowiła spędzić kolejny dzień pod opieką Shelley.

Fakt, że Galan się o nią martwi, sprawiał T.J. radość. Może nie powinna zjawiać się w firmie, wiedząc, jak bardzo go to zdenerwuje ale Galan zbyt długo traktował ją jak coś oczywistego i teraz jego troska działała jak balsam na zranione uczucia T.J. Zeszłego wieczoru mąż naprawdę ją zadziwił. Może jednak mieli szansę wyjść z tej próby zwycięsko? Nie zamierzała zbyt szybko przyjmować przeprosin, podobnie jak przedtem nie zamierzała się pochopnie rozwodzić, gdy ich małżeństwo zaczęło się walić. Naprawdę go kochała – po raz pierwszy od długiego czasu pomyślała, że on też ją kocha. Luna pogodziła się z Shamalem dopiero przed śmiercią i spędziła z nim dwa szczęśliwe dni. Dwa dni, a miała szansę na całe życie.

T.J. poczuła, że przechodzi ją dreszcz. Czyżby jej też pozostały tylko dwa dni z Galanem na wypracowanie kruchego pokoju?

Nie, morderca jej nie dopadnie — postanowiła. Nie rozumiała, jak Luna mogła wpuścić go do mieszkania. Chyba jednak policja się myli i wszystko odbyło się inaczej. Na przykład morderca czekał na Lunę w mieszkaniu. Sam twierdził, że nie znaleziono śladów włamania ale niewykluczone, że morderca otworzył zamek wytrychem. Może zdobył klucze? T.J. nie bardzo potrafiła sobie wprawdzie wyobrazić, jak by to było możliwe, ale przecież musiał się jakoś dostać do środka.

Postanowiła, że nie wejdzie sama do domu po powrocie z pracy. Poprosi sąsiadkę, żeby razem z nią obeszła dom. Miała poza tym Trilby — nikomu nie udałoby się przemknąć cichaczem obok tego psa. Cockery opiekowały się zawsze bardzo troskliwie swoimi domostwami. Szczekanie Trilby doprowadzało czasem T.J. do szału, ale z drugiej strony cieszyła się bardzo z takiego czujnego stróża.

Kiedy T.J. weszła do biura, Leah Street popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

— Nie spodziewałam się ciebie — powiedziała.

T.J. ukryła zdziwienie. Leah nigdy się specjalnie ładnie nie ubierała, ale wyglądała przynajmniej schludnie. Tego dnia sprawiała wrażenie osoby, która przed wyjściem do pracy chwyciła byle co z podłogi. Miała na sobie spódnicę i bluzkę, ale spódnica była krzywo zapięta i z jednej strony zwisała, a z drugiej odsłaniała halkę. T.J. nie sądziła, że ktoś jeszcze nosi halki, jeśli nie jest to niezbędne, a już szczególnie w taki upał. Bluzka Leah była wymięta i poplamiona z przodu. Nawet jej włosy, zwykle tak pięknie ułożone, prezentowały się tego dnia wyjątkowo żałośnie — jakby nie zdążyła się uczesać przed przyjściem do pracy.

Widząc, że Leah patrzy na nią wyczekująco, T.J. znów skupiła się na rozmowie.

— Myślałam, że praca mi pomoże. Wiesz, takie zwyczajne rutynowe zajęcia.

— Rutynowe zajęcia — powtórzyła za nią Leah, jakby to miało jakiś głębszy sens.

Dziwne. Ale w końcu Leah zawsze zachowywała się tak, jakby brakowało jej piątej klepki. Nic szczególnego, jednak...

Z tego co widziała T.J., tego dnia Leah była całkiem nieobecna, pozostawała całkowicie w swoim świecie. Nuciała, pilowała paznokcie, odebrała parę telefonów. Swym rozmówcom odpowiadała w miarę sensownie, choć niezbyt wyczerpująco.

— Nie wiem. Odezwę się później. – Tak brzmiało jej hasło dnia. Po dziewiątej zniknęła, a w dziesięć minut później zjawiała się z powrotem z plamami na bluzce. — Mam problem z wydostaniem pewnych akt. Pomożesz mi przesunąć parę pudeł? – szepnęła.

Jakie akta? Jakie pudła? Wszystkie akta wprowadzano przecież do komputera. T.J. już otwierała usta, żeby spytać, o co jej właściwie chodzi, ale Leah rozejrzała się tylko z zażenowaniem po pokoju, jakby dawała jej w ten sposób do zrozumienia, że problem nie ma nic wspólnego z aktami, a ona po

prostu nie chce, by ktokolwiek poza T.J. wiedział, o co chodzi.

Dlaczego ja? — pomyślała T.J.

— Jasne — odparła z westchnieniem. Poszła za Leah do windy.

— Gdzie są akta? — spytała.

— Na dole. W magazynie.

— Nie wiedziałam, że w magazynie naprawdę coś się przechowuje.—
zażartowała T.J., ale Leah chyba nie zrozumiała dowcipu.

— Oczywiście, że tak — odparła ze zdziwieniem. Winda była pusta, na pierwszym piętrze nie spotkały nikogo — co nie wydawało im się zresztą dziwne, zważywszy porę. Wszyscy siedzieli w swoich pokojach, maniacy grali pewnie w gry komputerowe a na poranną kawę nie nadszedł jeszcze czas.

Poszły w dół wąskim, rzygozielonym holem. Leah otworzyła drzwi z napisem „Magazyn” i puściła T.J. przodem. T.J. zmarszczyła nos., pomieszczenie cuchnęło stęchlizną i kwasem, tak jakby nikt w nim od dawna nie przebywał. W środku panowały ciemności.

— Gdzie włącznik? — spytała, nie wchodząc do środka.

Coś twardego uderzyło ją w tył głowy i wepchnęło do ciemnego, śmierdzącego pomieszczenia. T.J. upadła na szorstką betonową podłogę, zdzierając sobie skórę z dłoni i kolan. W głowie błysnęła nagła, przerażająca myśl. Przetoczyła się na bok i próbowała wstać kiedy długa metalowa rura ponownie spadła na nią ze świstem. Wrzasnęła, albo tak jej się tylko wydawało. Nie mogła być pewna, gdyż w uszach słyszała wyłącznie bicie własnego serca, nic poza tym. Spróbowała chwycić rurę i przez chwilę nawet walczyła o jej zdobycie. Ale Leah była silna, bardzo silna i jednym ciosem ponownie zwała T.J. z nóg.

T.J. znów usłyszała świst. Zobaczyła gwiazdy w oczach, a potem zapadła cisza.

Rozdział 28

W korytarzu szczęknęły drzwi. Corin usłyszał odgłos ciężkich kroków i zmarł z przerażenia. To musiał być któryś z konserwatorów. Gdyby spojrział w jego kierunku i zobaczył otwarty magazyn, na pewno zechciałby sprawdzić, co się dzieje.

Corin przeżywał chwile prawdziwej udręki. Dlaczego nie przyszło mu do głowy, że w pobliżu może się znajdować ktoś z pracowników? Należało to przewidzieć. Niestety, nie zachował wystarczających środków ostrożności i mama byłaby wściekła.

Popatrzył na kobietę leżącą na brudnej betonowej podłodze — ledwo widoczną w świetle wpadającym do magazynu przez szparę w drzwiach. Oddychała? Nie wiedział, a bał się ruszyć, żeby nie narobić hałasu.

Nie zabrał się do tego naleźycie. Działał bez planu, a to go przerażało, gdyż ilekroć nie zrobił czegoś idealnie, mama zawsze go karała. A musiał ją zadowolić, musiał pomyśleć o czymś, co potrafi zrobić, żeby się jakoś zrehabilitować za swoje niedociągnięcia.

Ta druga... Ta druga, wyszczekana. Wtedy też popełnił błąd, ale skąd mógł wiedzieć, że nie będzie jej w domu? Czy mama by to zrozumiała? Nie, mama nie przyjmowała do wiadomości wykrętów. Będzie musiał wrócić i wszystko naprawić.

Ale co ma właściwie zrobić, jeśli znów nie zastanie jej w domu? Do pracy nie przyszła. To już zdążył sprawdzić. Gdzie jeszcze mogła być? Znajdzie ją. Wiedział, kim są jej rodzice, gdzie mieszkają, znał nazwiska jej siostry i brata oraz ich adresy. Wiedział o niej całkiem sporo. Wiedział sporo o wszystkich, którzy tu pracowali, bo uwielbiał czytać ich akta. Mógł bez trudności spisać numery ich ubezpieczeń, daty urodzenia i znaleźć inne dane.

Tylko ona mu jeszcze została. Nie mógł się już tego doczekać. Musiał ją znaleźć od razu, musiał dokończyć zadanie, jakie powierzyła mu mama.

Położył bardzo cicho rurę obok nieruchomej kobiety i wyśliznął się z magazynu. Zamknął bezszelestnie drzwi i odszedł na palcach.

Detektyw Wayne Satran przystanął obok biurka Sama z faksem w ręku.

— Oto raport na temat odcisku buta, na który czekałeś — powiedział, kładąc faks na stosie innych papierów.

Sam wziął raport i przeczytał pierwszą linijkę.

— Ślad nie odpowiada żadnemu... Co, u diabła? Laboratoria policyjne dysponowały aktualizowaną regularnie bazą danych na temat wszystkich

odcisków butów. Czasem producenci nie przysyłali im w porę zmienionych wzorów lub z sobie tylko znanych przyczyn odmawiali współpracy. W takich razach laboratorium kupowało po prostu takie buty, by uzyskać odcisk podeszwy. Może buty nabyto za granicą? Może to był jakiś nietypowy gatunek, albo facet okazał się na tyle sprytny, żeby ponacinać nożem podeszwy? Sam jednak nie bardzo w to wierzył. Ten zabójca działał pod wpływem emocji, korzystając z nadarzającej się okazji. Chciał zwinąć raport w kulkę i odrzucić go na bok, ale uświadomił sobie, że jak na zwykle „nie pasuje” dokument jest stanowczo zbyt długi. A nie mógł pozwolić sobie na to, żeby przeoczyć choćby najdrobniejszy szczegół. Zaczął czytać od nowa.

Ślad nie odpowiada żadnemu ze sportowych męskich wzorów obuwia. Pasuje jednak idealnie do pewnego ekskluzywnego typu butów produkowanych wyłącznie dla kobiet. Prezentowany fragment nie wystarczy, by ustalić dokładnie rozmiar, ale jest to zapewne numer ósmy, dziewiąty lub dziesiąty.

But dla kobiet? Ten facet nosił damskie buty? Albo... był kobietą.

— Rany boskie — syknął przez zęby, chwycił słuchawką i szybko wybrał numer Bernsena.

— Mam raport na temat buta — powiedział, kiedy Roger podniósł słuchawkę. — But należy do kobiety.

Na chwilę zapadła cisza.

— Kpisz sobie ze mnie — mruknął Roger, równie zaskoczony jak Sam.

— Wyłączyliśmy kobiety z poszukiwań. Wpędziliśmy się sami w ślepy zaułek. Musimy jeszcze raz przeszukać akta.

— Twierdzisz, że kobieta... — Roger zaniemówił. Sam jednak wiedział, że myśli o tym, jak wyglądały ciała zabitych. — Chryste!

— Teraz już wiemy, dlaczego Luna otworzyła drzwi. Zachowała się bez sensu, ale obawiała się mężczyzny, a nie kobiety. — Wrażenie, że coś przeoczył, stało się jeszcze silniejsze.

Kobieta. Pomyśl o kobiecie. Blondynce. Natychmiast wrócił myślami do pogrzebu Marci i wysokiej blondynki, która straciła nagle panowanie nad sobą i padła w ramiona Cheryl. „Królowa tragedii” — powiedziała T.J., ale Jane miała na ten temat inne zdanie: „Kółko wciąż się kręci, ale chomik

zdechł”. Uważała, że tej kobiecie odkręciła się jakaś śrubka, że coś było z nią nie w porządku. Cholera! Jaine nawet wspomniała o Leah, kiedy ją pytał o pracowników, którzy mieli problemy w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi.

T.J. powiedziała wtedy coś jeszcze, coś, co wówczas nie utkwilo mu jakoś w pamięci: ta kobieta pracowała w jej dziale, w dziale kadr. Miała dostęp do wszystkiego, do wszystkich informacji w aktach, łącznie z prywatnymi numerami telefonów i adresami krewnych, do których należało dzwonić w nagłych wypadkach.

Otóż to właśnie nie dawało mu spokoju. Laurence Strawn powiedział jasno, że dane dotyczące pracowników są niedostępne w trybie on—line, nikt nie mógł się do nich włamać. Ten, kto dzwonił do T.J., znał jej numer telefonu komórkowego z akt dostępnych tylko pracownikom działu kadr.

Jak ona się nazywa? Jak ona się nazywa, do cholery?

Sięgnął po słuchawkę, żeby zadzwonić do Jaine, ale nazwisko samo przyszło mu do głowy. Street. Leah Street

Zadzwonił do Bernsena.

— Leah Street — zgrzytnął w słuchawkę. — To ta, co płakała w ramionach siostry Marci na pogrzebie.

— Ta blondynka — dodał Roger. — Cholera! Pasuje też do portretu psychologicznego!

— Dokładnie — pomyślał Sam. Nerwowość, wybujała emocjonalność, potrzeba pozostawania w centrum uwagi.

— Mam tu jej akta — powiedział Roger — Widzę nawet parę skarg na temat jej zachowania. Nie potrafiła współżyć z ludźmi. Boże! Klasyczna historia! Ściągniemy ją tutaj na przesłuchanie, zobaczymy, co uda się z niej wyciągnąć.

— Będzie w pracy — powiedział Sam i strach ścisnął mu nagle żołądek. — T.J. wybierała się dzisiaj do firmy. Pracują w tym samym dziale. W dziale kadr.

— Dzwon natychmiast do T. J. — nakazał Roger. — Ja już jadę.

Sam sprawdził szybko numer do Hammerstead. Po pierwszym dzwonku odezwała się automatyczna sekretarka. Zaklął pod nosem i zgrzyt-

nał zębami. Czekał całe wieki, aż głos z taśmy poda mu wreszcie właściwy numer do działu kadr, i tracił w ten sposób cenny czas. Cholera! Dlaczego firmy nie zatrudniały w centralach żywych ludzi? Automaty były zapewne tańsze, ale w sytuacjach krytycznych takie opóźnienie mogło spowodować nieobliczalne kłopoty.

Wreszcie taśma podała mu numer, który natychmiast wybrał. Po czwartym dzwonku w słuchawce zabrzmiał czyjś zdyszany głos.

— Kadry. Fallon.

— Chciałbym rozmawiać z T.J. Yother.

— Przykro mi, ale pani Yother wyszła.

— Jak długo jej nie ma? — spytał ostro.

Fallon nie pozostała mu dłużna.

— Kto mówi? — spytała zaczepnie.

— Detektyw Donovan. To bardzo ważne. Proszę posłuchać: Czy Leah jest z panią w pokoju?

— No nie — odparła kobieta nieco innym tonem. Stała się o wiele bardziej chętna do współpracy. — Leah wyszła z T.J. jakieś pół godziny temu. Telefon dzwoni jak wściekły, ich nie ma i nie dajemy sobie rady. One...

— Jeśli T.J. wróci — przerwał Sam — proszę jej przekazać, żeby natychmiast do mnie zadzwoniła. Nazywam się Donovan, Sam Donovan. — Podał jej numer. Nie wyjaśnił Fallon, o co chodzi, żeby nie spłoszyć Leah. O ile już nic uciekła...

— Może mnie pani połączyć z biurem pana Strawna? — Tylko Laurence Strawn mógł mu pomóc.

— Tak, oczywiście... Mam to zrobić?

Przymknął oczy i zmełł w ustach przekleństwo.

— Bardzo panią proszę.

— Dobrze. Proszę zaczekać.

Usłyszał kilka elektronicznych dźwięków, a następnie słodki głos sekretarki pana Strawna. Sam przerwał jej wyćwiczony, powitalny świergot.

— Tu detektyw Donovan. Czy mogę mówić z panem Strawnem? To pilne.

Słowa „detektyw” oraz „pilne” zrobiły swoje i Sam natychmiast uzyskał

połączenie z panem Strawnem. Szybko wyłuszczył problem.

— Proszę zawiadomić strażników przy bramie, nie pozwolić nikomu opuścić biura i zacząć szukać T.J. Proszę kazać sprawdzić każdą szafkę na szczołki i każdą łazienkę. Niech pan unika rozmowy z panią Street, ale niech jej pan nie wypuszcza. Detektyw Bernsen już jedzie.

— Proszę chwilę poczekać — powiedział Strawn. — Już dzwonię do strażnika.

Po trzydziestu sekundach wrócił na linię.

— Pani Street wyszła jakieś dwadzieścia minut temu.

— Była z nią T.J.?

— Nie, strażnik twierdzi, że szła sama.

— W takim razie proszę szukać T.J. — przynaglił Sam. Jednocześnie zapisał coś w notesie i dał znak Wayneowi Satranowi. Wayne wziął notatkę, przeczytał ją i wkroczył do akcji. — Jest gdzieś w budynku i może wciąż żyje. — Może. Marci zabił już pierwszy cios. Luna nie umarła od razu, ale doznała ciężkiego urazu głowy, więc skonała, zanim zdążyła się wykrwawić na śmierć. Patolog wykonujący sekcję obliczył, że przeżyła może jakieś dwie minuty od pierwszego uderzenia. Ciosy były bardzo silne.

— Powinienem zachować dyskrecję? — spytał Strawn.

— Leah Street i tak już uciekła. Ważniejszą sprawą jest znalezienie T.J. Proszę postawić na nogi cały budynek. A jeśli znajdziecie ją żywą, zróbcie wszystko, żeby ją ratować. Jeżeli zginęła, zabezpieczcie miejsce zbrodni. Ekipa już jedzie. — Wayne poruszał właśnie niebo i ziemię, żeby ściągnąć na miejsce policjantów z kilku różnych okręgów, karetkę i techników.

— Znajdziemy ją — powiedział cicho Laurence Strawn.

Sam jako policjant czuł instynktowną potrzebę, by pojechać do Hammerstead. Został jednak na miejscu, wiedząc, że tam właśnie może zrobić o wiele więcej.

Akta Leah leżały na biurku Rogera. Sam zadzwonił na posterunek w Sterling Heights i kazał detektywowi, który odebrał telefon, zajrzeć natychmiast do papierów i podać sobie adres Leah, jej numer telefonu oraz numer ubezpieczenia.

Po chwili detektyw podniósł słuchawkę.

— Nie mogę znaleźć żadnej Leah Street. Jest jakaś Corin Lee Street, ale

Leah nie widzę.

Corin Lee? Sam potarł czoło, próbując na razie się nie domyślać, co to może oznaczać. Leah była mężczyzną czy kobietą? Imiona wydawały się zbyt podobne, by uznać to za zwykły zbieg okoliczności.

— Czy Corin Street to kobieta, czy mężczyzna? — spytał.

— Zaraz sprawdzę. — Pauza. — Kobieta.

Może i tak — pomyślał Sam.

— Dziękuję, o to mi właśnie chodzi — powiedział.

Spisał wszystkie niezbędne informacje i połączył się od razu z wydziałem komunikacji, gdzie otrzymał numer rejestracyjny auta Leah oraz opis wozu.

Potem uzyskał nakaz obserwacji auta. Nie wiedział, czy Leah jest uzbrojona. Do tej pory nie posługiwała się wprawdzie bronią palną, ale to nie znaczyło wcale, że nie ma rewolweru. Albo noża. Leah przypominała nitroglicerynę. Należało się z nią obchodzić bardzo ostrożnie. Dokąd poszła? Do domu? W ten sposób zachowałby się tylko prawdziwy wariat, ale przecież ona była wariatką. Dlatego natychmiast wysłał do niej policjanta.

Podejmując te wszystkie działania, próbował nie myśleć o T.J. Czy ją znaleźli? Czy też było za późno?

Ile czasu minęło? Zerknął na zegarek. Dziesięć minut temu rozmawiał ze Strawnem, a zatem Leah musiała uciec z Hammerstead przed półgodziną. Przez ten czas mogła wyjechać już dawno na autostradę albo nawet przekroczyć granicę kanadyjską. Wspaniale. W sprawę i tak już musiało się zaangażować pięć jurysdykcji, dlaczego nie włączyć w to jeszcze obcego państwa?

Chciał zadzwonić do Jaine, ale zdecydował się poczekać. Nie wiedział jeszcze nic pewnego na temat T.J. i nie mógł narażać jej na taką niepewność. Nie tak zaraz po śmierci Luny.

Chyba że Jaine wpisała Shelley na listę osób, które należy zawiadomić w razie nagłego wypadku.

Aktami podzielił się z Rogerem według alfabetu. Jemu przypadła górna część stosu, Rogerowi dolna. Dlatego teraz Roger miał akta Leah, a Sam akta Jaine. Akurat na literę B było więcej nazwisk niż na wszystkie inne litery alfabetu, więc Sam zaczął błyskawicznie przerzucać dokumenty. Kiedy wreszcie znaleźli

akta, szybko przebiegł wzrokiem ich treść.

Jaine umieściła Shelley na liście.

Żołądek podjechał mu do gardła. Nawet nie podniósł słuchawki aparatu stojącego na biurku. Szybko wybrał numer Shelley na telefonie komórkowym i wybiegł z gabinetu.

Dziennikarze trochę powęszyli i szukając Jaine, wytropili Shelley. Uporczywie dzwoniący telefon działał siostrom na nerwy do tego stopnia, że Shelley w końcu wyłączyła aparat i obie wyszły na patio posiedzieć przy basenie. Sam tak bardzo nalegał, by Jaine zawsze nosiła przy sobie telefon komórkowy, że zabrała go na dwór i położyła przy sobie na poduszce plecionego krzesła.

Wielki parasol skutecznie chronił od słońca i Jaine zdrzemnęła się chwilę, podczas gdy Shelley czytała książkę. W domu panował błogi spokój — znając stan nerwów Jaine, Shelley wysłała Nicholasa do kolegi, a Stephanie poszła z koleżankami do centrum handlowego. W tle grał kompakt z muzyką klasyczną i Jaine poczuła, że po raz pierwszy od dawna mija jej ból głowy. Cofał się jak fala odpływająca od brzegu.

Nie mogła myśleć o Marci i Lunie, przynajmniej nie teraz. Wyczerpała całkowicie zdolność myślenia i czucia. W swym lekko śpiącym stanie myślała o Samie, o tym, jaką był dla niej opoka. Czy naprawdę jeszcze trzy tygodnie temu uważała go za czarną owcę w porządnym sąsiedztwie? Tyle rzeczy się zdarzyło, że Jaine straciła poczucie czasu. Wydawało jej się, że zna go od miesięcy.

Zakochali się w sobie przed tygodniem i za kilka tygodni zamierzali się pobrać. Sama nie wierzyła, że na ten ważny krok zdecydowała się w zasadzie bez namysłu, ale decyzja wydawała się właściwa. Pasowali do siebie jak kawałki układanki. W przypadku poprzednich narzeczonych niczego nie starała się przyspieszyć i prosić, jak na tym wyszła. Tym razem chciała doprowadzić sprawę do końca. Do diabła z ostrożnością: zamierzała poślubić Donovana.

Miała tyle do zrobienia... Dobrze, że Shelley zajęła się wszystkimi najważniejszymi sprawami, takimi jak miejsce, jedzenie, muzyka kwiaty, zaproszenia, markizy zapewniające cień i schronienie. Jak zawsze pewna siebie, Shelley rozmawiała już z matką Samą i jego najstarszą siostrą Doro, zyskując ich pomoc przy

przygotowaniach. Jaine martwiła się trochę, że nie poznała żadnego z członków rodziny Sama, ale nie miała ku temu okazji. Najpierw pogrzeb Marci, potem Luny... Cieszyła się tylko, że Sam powiadomił rodzinę o ślubie przed telefonem Shelley, gdyż w przeciwnym wypadku jego bliscy przeżyliby szok.

Nagły dźwięk dzwonka wyrwał Jaine z zamyślenia. Zerknęła na nieruchomą postać Shelley.

— Nie zobaczysz, kto stoi przy bramie?

— Mowy nie ma. To pewnie dziennikarz.

— Może Sam.

— Sam przecież by zadzwonił. O, wyłączyłam telefony. Cholera! — Shelley położyła książkę na stoliku. — Doszłam do takiego ciekawego momentu! Choć raz chciałabym poczytać bez przeszkód. A tu jak nie dzieci, to telefon. Poczekaj, a sama się przekonasz... — mruknęła ostrzegawczo, otworzyła drzwi prowadzące na patio i weszła do środka.

Sam kluczył między autami z migającą syreną na dachu, na przemian modląc się i klnąc. Telefon Shelley nie odpowiadał. Zostawił wprawdzie wiadomość na automatycznej sekretarce, ale gdzie one, u diabła, mogły być? Przecież w takiej sytuacji Jaine nigdzie by nie wyszła. A nawet gdyby, dałaby mu znać. Sam jeszcze nigdy w życiu tak bardzo się nie bał. Posłał oczywiście do Shelley auta patrolowe, ale jeżeli już było za późno?

Przypomniawszy sobie o telefonie komórkowym Jaine. Z jedną ręką na kierownicy wcisnął szybkie wybieranie numeru. Potem czekał na połączenie i modlił się o to, by usłyszeć jej głos.

Brzęknęła brama. Dwumetrowy płot okalający basen wykonano z drewna, ale brama była naprawdę solidna, z kutego żelaza. Jaine rozejrzała się ze zdziwieniem dookoła.

— Jaine!

Przy bramie stała Leah Street. Właśnie ona. Wyglądała niczym osoba niespełna rozumu i dobijała się do bramy, jakby chciała ją wyważyć.

— Co się stało? Coś z T.J.? — Jaine zerwała się z leżanki i podbiegła do

Leah. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi ze strachu.

Leah zamruwała oczami, tak jakby pytanie Jaine mocno ją zdziwiło.

— Tak, chodzi o T.J. — odparła, nie spuszczać oczu z Jaine, i ponownie zatrzęsała bramą. — Otwórz!

— Co się stało? Nic jej nie jest? — Jaine biegła już do bramy, kiedy zorientowała się nagle, że nie ma klucza.

— Otwórz! — powtórzyła Leah.

— Nie mogę, nie mam klucza, zawołam Shelley. — Niemal płacząc z przerażenia, Jaine odwróciła się do odejścia, ale Leah wyciągnęła rękę przez pręty i chwyciła ją za ramię.

— Hej! — Przestraszona Jaine wyrwała rękę i popatrzyła ze zdziwieniem na Leah. — O co ci cho...

Słowa utknęły jej w krtani. Na wyciągniętej ręce Leah widniała krew, dwa paznokcie były złamane. Kiedy Leah przycisnęła się mocniej do bramy, Jaine dostrzegła na jej spódnicy kolejne ślady krwi.

Instynkt kazał jej zrobić krok w tył.

— Otwórz tę cholerną bramę! — wrzasnęła Leah, potrząsając bramą jak wściekły szympanś zamknięty w klatce. Jasnoblond włosy zasłoniły jej twarz.

Jaine popatrzyła na krew i na jasne włosy. Dostrzegła wykrzywioną twarz Leah, dziwny błysk w jej oczach i poczuła, że przechodzi ją dreszcz.

— Ty mordercza suko! — szepnęła.

Leah była szybka jak atakujący wąż. Wolną rękę przepchnęła przez pręty i trzymany w niej przedmiot chciała uderzyć Jaine w głowę. Jaine cofnęła się jednak szybko i potknęła, ale nim upadła, zrobiła jeszcze kilka kroków. Padając, przekręciła się na bok i wylądowała na biodrze.

Leah znowu się zamierzyła. W dłoni ścisnęła klucz do kół. Jaine odskoczyła od bramy.

— Shelley! Dzwon na policję, szybko!

Zadzwonił telefon komórkowy leżący na stoliku. Jaine zerknęła na aparat akurat w chwili, gdy Leah zaczęła walić w bramę kluczem do kół. Pod wpływem siły uderzenia zamek ustąpił.

Leah pchnęła bramę.

— Jesteś kurwą — szepnęła, wchodząc. — Jesteś lubieżna, wulgarną kurwą i nie zasługujesz na to, żeby żyć.

Nie odrywając ani na chwilę wzroku od Leah, Jaine uskoczyła w bok, by odgradzić się od niej chociaż krzesłem. Wiedziała, co znaczy krew na rękach Leah i jej ubraniu. Wiedziała, że T. J. też nie żyje. Straciła je wszystkie. Wszystkie przyjaciółki. Zabiła je ta szalona dziwka.

Cofnęła się za daleko. Była o krok od basenu. Szybko zmieniła kierunek i znalazła się w bezpiecznej odległości od krawędzi.

Shelley wyszła z domu. Była bardzo blada, oczy miała rozszerzone z przerażenia. W ręku trzymała jeden z kijów hokejowych Nicka.

— Dzwoniłam na policję — powiedziała drżącym głosem, patrząc na Leah jak mangusta na kobrę. A Leah, jak kobra, skierowała całą swoją uwagę na Shelley.

Nie — pomyślała Jaine, a w jej myślach to „nie” zabrzmiało jak szept. Nie Shelley.

— Nie! — ryknęła i odniosła wrażenie, że jej ciało zaczyna się rozciągać, tak jakby nie mogło pomieścić tego wybuchu wściekłości. Czerwona mgła zamajaczyła jej przed oczyma, pole widzenia zwęziło się. — W końcu widziała tylko Leah. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że naciera na Leah, ale ta zaczęła się cofać, z kluczem do kół w dłoni.

Shelley zamachnęła się kijem, ciężkie drewno uderzyło Leah w bark. Wrzasnęła z wściekłości, ale nie upuściła klucza. Przeciwnie, zamachnęła się nim szerokim łukiem, trafiając Shelley w żebro. Shelley krzyknęła z bólu i zgięła się wpół. Leah uniosła ciężkie narzędzie, by uderzyć Shelley w tył głowy, ale w tej samej chwili Jaine ruszyła na nią jak taran. Furia dodawała jej sił.

Leah była wyższa i cięższa. Pod naporem Jaine cofnęła się i uderzyła ją kluczem w plecy, ale Jaine była zbyt blisko, by cios mógł być mocny. Leah zeszywniała, odzyskała równowagę i odepchnęła od siebie Jaine, znowu uniosła klucz i zrobiła dwa kroki w jej stronę. Shelley wyprostowała plecy, trzymając się za żebra. Twarz miała wykrzywioną nienawiścią. Zrobiła jednak krok w przód i siłą rozpędu wszystkie trzy kobiety wpadły do basenu.

Splecione razem, walczące, poszły na dno. Leah wciąż trzymała w dłoni

klucz do kół, lecz woda hamowała ciosy i blokowała siłę uderzeń. Kręcąc się wściekle, usiłowała wyplątać się z uścisku.

Zanim Jaine poszła pod wodę, nie zdążyła zaczerpnąć powietrza. Płuca ją paliły, wstrząsały nią konwulsje, ale walczyła dzielnie, by do płuc nie dostała się woda. Wyzwoliwszy się z płataniny ciał, wypłynęła, zaczerpnęła głęboko powietrza, wypłuła wodę i rozejrzała się dookoła oszalałym wzrokiem.

Ani Shelley, ani Leah nie wyłoniła się na powierzchnię. Walcząc, dotarli na głęboki kraniec basenu. Jaine znów odetchnęła głęboko. Dostrzegła pianę z baniek, powykęcane sylwetki i unoszące się na wodzie włosy, a także bufiastą spódnice Leah falującą niczym meduza. Popłynęła szybko w ich kierunku.

Leah obejmowała ramieniem szyję Shelley. Jaine zanurzyła dłoń we włosach Leah i pociągnęła ją na tyle mocno, na ile starczyło jej sił. Shelley wystrzeliła do góry jak balon.

Leah przekręciła się w wodzie i zagłębiła palce w gardle Jaine, która zaczęła się krztusić. Do jej ust wlała się woda.

W sukurs siostrze przyszła Shelley. Zepchnęła Leah na dno basenu. Jaine zanurkowała, by wesprzeć Shelley. Walczyła wściekle, bojąc się wypuścić Leah z uścisku. Jednocześnie coraz bardziej potrzebowała powietrza. Tymczasem szpony Leah wbiły się w jej bluzkę i zacisnęły.

Leah walczyła coraz słabiej. Jej wybałuszone oczy rzuciły im w końcu ostatnie spojrzenie i zmętniały.

Tuż obok wystrzeliła nagle fontanna wody. Jaine z trudem odwróciła głowę i zobaczyła jakieś dwa ciemne kształty otoczone bańkami powietrza. Ktoś płynął na ratunek. Czyjeś silne ręce uwolniły ją natychmiast ze śmiertelnego uścisku Leah, druga para rąk odciągnęła na bok Shelley i wypchnęła ją do góry. Jaine zobaczyła wierzgające nogi siostry i chciała pójść w jej ślady, ale pozostawała bez powietrza dłużej niż Shelley. Traciła siły. Dokładnie w chwili, gdy poczuła, że idzie na dno, chwycił ją jeden z umundurowanych policjantów i obie siostry razem wypłynęły na powierzchnię, by zaczerpnąć życiodajnego powietrza.

Resztkami świadomości zarejestrowała, że ktoś wyciąga ją z basenu i układa na płytkach obok. Otworzyła usta i zaczęła kasłać, próbując wpuścić choć trochę powietrza do spuchniętego gardła. Usłyszała ochryple krzyki Shelley i

jednocześnie rozmowy policjantów. Wokół kręcili się ludzie, ktoś wskoczył do wody. Krople ochlapały jej twarz.

Nagle znalazł się przy niej Sam, blady jak ściana. Pomógł jej usiąść i mocno przytulił.

— Nie bój się — powiedział uspokajająco. — Nie walcz. Oddychaj powoli. Spokojnie, kochanie. Właśnie tak. Oddychaj swobodnie, głęboko, miarowo...

Całą uwagę skupiła na głosie Sama, na tym, by wykonywać dokładnie jego polecenia. Kiedy przestała spazmatycznie chwytać powietrze, ucisk w gardle natychmiast się zmniejszył, a tlen przyniósł ukojenie spuchniętym strunom głosowym. Jaine oparła głowę na piersi Sama i jednocześnie położyła mu rękę na ramieniu, by wiedział, że jest przytomna.

— Nie zdążyłem — powiedział. — Boże, nie zdążyłem. Próbowałem dzwonić, ale nie odpowiadałaś. Dlaczego nie odebrałaś tego cholernego telefonu?

— Bez przerwy wydzwaniali dziennikarze — wykrztusiła Shelley. — Wyłączyłam aparaty. — Skrzywiła się i chwyciła za żebra z pobladłą twarzą.

Powietrze przeszło wycie syren. Kiedy ich dźwięk stał się już nie do wytrzymania, zupełnie niespodziewanie ustał, a lekarze w białych fartuchach otoczyli Shelley i Jaine, którą wyrwano z opiekuńczego uścisku Sama.

— Nie... zaczekajcie. — Walczyła rozpaczliwie, wykrzykując jego imię, lecz zamiast krzyku z jej gardła wydobywało się tylko ledwo słyszalne skrzeczenie. Sam poprosił ich gestem, żeby się cofnęli, i objął Jaine.

— T.J.? — wykrztusiła ze łzami w oczach.

— Żyje — odparł głosem wciąż ochryplym z emocji. — Znaleźli ją w magazynie w Hammerstead.

Jaine nadal patrzyła pytająco.

Sam zawahał się.

— Jest ranna, kochanie. Nie wiem, jak ciężko, ale najważniejsze, że żyje.

Sam nie czekał, aż ciało Leah vel Corina Lee zostanie usunięte z ba-

senu. Na miejscu zostało wystarczająco wielu policjantów, by mogli się wszystkim zająć. Zresztą i tak dom Shelley znajdował się pod jurysdykcją innego okręgu. A Sam miał ciekawsze rzeczy do roboty — na przykład nie opuszczać Jaine. Kiedy ją i Shelley odwieziono do szpitala, on pojechał za nimi trakiem.

Na miejscu od razu zabrano obie siostry do gabinetów zabiegowych. Upewniwszy się, że szpital zawiadomił Ala, Sam oparł się o ścianę. Było mu słabo i niedobrze. Przysięgał, że będzie służył i chronił, a nie zdołał nawet ocalić życia ukochanej kobiety. Wiedział, że nie zapomni aż do śmierci tego dnia, gdy przeciskał się z trudem przez zakorkowane ulice, wiedząc, że już jest za późno i nie zdoła ocalić Jaine.

Złożył w całość kawałki układanki, ale nie uchronił Jaine i T.J. przed niebezpieczeństwem.

T.J. znajdowała się w stanie krytycznym. Według Bernsena ocaliło ją tylko to, że padając, przekreśliła się na bok i jej głowę osłoniło stare biurowe krzesło. Coś musiało wystraszyć Leah, która nie dokończyła swego dzieła i poszła szukać Jaine.

Kiedy przyszedł Bernsen, Sam siedział na jednym z niewygodnych plastikowych krzesełek w poczekalni.

— Chryste, co za koszmar — jęknął Roger, padając na krzesło obok. — Słyszałem, że Jaine odniosła niegroźne obrażenia. Co oni tak długo robią?

— Chyba nikomu się nie spieszy. Shelley, siostrę Jaine, zabrali na prześwietlenie. Poza tym badają dokładnie gardło Jaine. Nic więcej nie wiem. — Potarł twarz. — Mało brakowało, a wszystko bym spieprzył. Złożyłem te kawałki stanowczo za późno. Nie zdążyłem na czas.

— Domyśliłeś się wszystkiego akurat w samą porę, żeby wysłać do nich pomoc. Gdyby T.J. wtedy nie znaleziono, już by nie żyła. Policjanci, którzy wyciągnęli kobiety z basenu, twierdzili, że obie o mało nie utonęły. Gdybyś ich nie zawiadomił, nie wysłał tam ekipy... — Roger zawiesił głos i wzdrygnął się. — Osobiście uważam, że odwaliłeś kawał dobrej roboty, ale jestem tylko detektywem, co ja tam wiem...

Z pokoju zabiegowego, do którego zabrano Jaine, wyszedł lekarz.

— Zostawimy ją na noc na obserwację — powiedział. — Gardło ma po-

siniaczone i spuchnięte, ale krtań na szczęście nie uległa przebicciu. Kość gnykowa też jest cała, więc Jaine na pewno wyzdrowieje. Chcemy się tylko upewnić...

— Czy mogę się z nią zobaczyć? — spytał, wstając.

— Oczywiście. Aha. Jej siostra ma dwa złamane żebra, ale też wyzdrowieje.

— Zrobił krótką pauzę. — Walczyły jak lwy.

— Fakt — powiedział Sam i wszedł do pokoju zabiegowego, gdzie Jaine siedziała na winylowym stole do badań. Na widok Sama rozbłysnęły jej oczy. Nie wyrzekła ani słowa, ale wystarczyło mu całkowicie jej spojrzenie i wyciągnięcie ręki. Ujmując delikatnie jej dłoń, przyciągnął Jaine do siebie i mocno przytulił.

Dwadzieścia dwie godziny później T.J. zdołała uchylić jedno spuchnięte oko i poruszyć palcami na tyle, by ucisnąć rękę Galana.

Rozdział 29

— Nie wierzę, że nie powiedziałaś rodzicom. — Głos T.J. był wciąż jeszcze cichy i słaby, ale wyraźnie pobrzmiwał w nim wyrzut — Nie, zaczekaj. Wierzę, że nie powiedziałaś rodzicom, ale nie wierzę, że nie wspomniałaś o niczym Shelley i Davidowi. Jak mogłaś nie powiedzieć rodzicom, że ktoś próbował zabić ciebie i Shelley i prawie mu się to udało?

Jaine potarła czubek nosa.

— Chyba pamiętasz, że w dzieciństwie robiłaś wszystko, żeby ukryć przed rodzicami swoje kłopoty? Ja właśnie postąpiłam w ten sposób, a zresztą... — Wzruszyła ramionami. — Przecież i tak było już po wszystkim. Ty przeżyłaś, mnie i Shelley nic nie dolegało, a ja nie miałam ochoty o tym rozmawiać. Media doprowadzały mnie do szału, musiałam jakoś przetrwać pogrzeb Luny i nie starczyło mi czasu na nic innego.

T.J. poruszyła ostrożnie zabandażowaną głową i wyjrzała przez okno. Z oddziału intensywnej terapii wypisano ją przed tygodniem, ale nie pamiętała prawie nic z tego, co się działo przedtem. Nie pamiętała nawet okoliczności ataku, więc nie ustalono dokładnie, co zaszło.

— Żałuję, że nie mogłam być na jej pogrzebie — powiedziała, patrząc przed siebie smutnym, nieobecny wzrokiem.

Jaine nie odpowiedziała, ale wstrząsnął ją dreszcz. Sama wolałaby tego

nie pamiętać.

Po dwóch tygodniach wciąż jeszcze budziła się w środku nocy i siadała przerażona na łóżku, zlana potem, choć nie pamiętała koszmaru, który się jej przyśnił. Oczywiście, biorąc pod uwagę sposób w jaki Sam leczył zaburzenia snu, nie mogła narzekać. Budziła się, drżąc ze strachu, lecz wkrótce potem zasypiała znowu, obezwładniona rozkoszą.

Sam na początku też nie mógł spać. I choć był bohaterem, nie umiał wybaczyć sobie tego, że nie zdążył do niej na czas. Aż pewnego razu Jaine weszła pod prysznic i zaczęła krzyczeć: „Pomocy, pomocy, tonę!”. To znaczy próbowała krzyczeć, ale gardło miała wciąż posiniaczone i spuchnięte, toteż wydobyła z siebie tylko cichy skrzek. Sam odsunął zasłonę i patrzył na Jaine, a tymczasem woda zalewała podłogę.

— Kpisz sobie z moich kompleksów?

— Tak — odparła i znów wsadziła głowę pod prysznic, udając, że się topi.

Zakręcił szybko wodę i dał jej dość mocnego klapsa.

— Hej! — powiedziała z oburzeniem.

W odpowiedzi objął ją tylko i wyniósł z łazienki.

— Zapłacisz mi za to — warknął, zmierzając w stronę łóżka. Rzucił Jaine na pościel i cofnął się o krok, żeby zdjąć ubranie.

— Ach tak? — mruknęła, wyginając plecy w łuk, po czym przewróciła się na plecy i zaczęła pieścić jego członek. Zamarł.

Gdy poczuł dotknięcie jej delikatnego języka, wzdrygnął się na całym ciele. A potem już tylko jęczał.

Od tego czasu przynajmniej raz dziennie robił minę męczennika i mówił, że czuje się winny.

No cóż.

Jaine pokonała uraz dzięki postępowaniu Sama, który ani przez chwilę nie próbował być nadopiekuńczy. Kochał ją po prostu, pocieszał i zaspokajał seksualnie. Dzięki niemu znów nauczyła się śmiać.

Codziennie odwiedzała T.J., która już przechodziła rehabilitację, by wyeliminować skutki urazów głowy. Mówiła wciąż jeszcze niewyraźnie, ale

codziennie lepiej. Sprawność prawej nogi odzyskała zaledwie w pięćdziesięciu procentach, lecz to również miało się wkrótce poprawić. Galan nie opuszczał jej ani na chwilę i psie oddanie w jego oczach świadczyło wyraźnie o tym, że ich małżeńskie problemy skończyły się raz na zawsze.

— Wróćmy do twoich rodziców — powiedziała T.J. — Powiesz im dziś na lotnisku?

— Nie od razu. Muszę im najpierw przedstawić Sama. Potem pewnie porozmawiamy o ślubie. Poza tym myślę, że będzie mi łatwiej w towarzystwie Shelley.

— Zrób to, zanim pojedą do domu, bo wyreczą się chętnie ich sąsiedzi...

— Dobrze już, dobrze.

— I powiedz im jeszcze, że to mnie zawdzięczają przesunięcie ślubu o tydzień, dzięki czemu będą mogli odpocząć po powrocie z podróży — dodała z uśmiechem.

Jaine prychnęła tylko sarkastycznie w odpowiedzi. Owszem, przesunięcie uroczystości gwarantowało obecność T.J., choć na wózku inwalidzkim, lecz Jaine wątpiła, by jej ojciec był za to komukolwiek wdzięczny. Na pewno wolałby nie przeżywać zamieszania związanego z przygotowaniem do uroczystości.

Zerknęła na zegarek.

— Muszę iść. Za godzinę jestem umówiona z Samem. — Pocałowała T.J. w policzek. — Do zobaczenia jutro.

Do pokoju wszedł Galan z bukietem lilii w ręku. Pokój wypełnił się natychmiast ich mocnym zapachem.

— W samą porę — rzekła Jaine, mrugając do niego znacząco,

— Tak — powiedział J. Clarence Cosgrove drżącym, starczym głosem. — Świetnie pamiętam Corin Street. Sytuacja była naprawdę nietypowa, ale nie mogliśmy nic zrobić. Dopóki Corin nie wkroczyła w wiek dojrzewania, nie wiedzieliśmy nawet, że jest dziewczynką. Tak, płeć była wpisana na świadectwie urodzenia, ale kto to sprawdza? Matka twierdziła, że to chłopiec, więc...

— Wychowano ją jak chłopca? — spytał Sam. Siedział przy biurku, nogi oparł o otwartą szufladę, a do ucha przyciskał słuchawkę.

— Z tego, co wiem, matka Corin nigdy nie pogodziła się z tym, że urodziła dziewczynkę, Corin cierpiała na poważne zaburzenia psychiczne, naprawdę bardzo poważne. W szkole zabiła ulubione zwierzątko kolegów, ale pani Street nie chciała przyjmować do wiadomości faktów. Wszystkim, którzy mieli ochotę jej słuchać, powtarzała bardzo często, że ma idealnego synka. Bingo — pomyślał Sam. Idealny synek. Mr Perfect. Wtedy pękła bomba od lat tykająca wolno w Corin Lee. Corin Lee vel Leah nie potrafiła się pogodzić nie tyle z treścią Listy, ile z jej tytułem.

— Zabrała Corin z mojej szkoły — ciągnął pan Cosgrove. — Chciałem jednak poznać dalsze losy tego dziecka. Z biegiem lat problemy wychowawcze zaczęły się oczywiście pogłębiać. Kiedy Corin miała piętnaście lat, zabiła matkę. Przypominam sobie, że morderstwo było wyjątkowo brutalne, choć nie pamiętam szczegółów. Corin spędziła kilka lat w zakładzie psychiatrycznym i nie oskarżono jej nigdy o morderstwo.

— Czy to się stało w Denver?

— Tak.

— Dziękuję panu. Pomógł mi pan bardzo wiele wyjaśnić.

Sam odłożył słuchawkę i stukając ołówkiem o biurko, myślał o tym, czego się dowiedział o Corin Lee Street. W szpitalu psychiatrycznym przebywała jako Corin, ale gdy z niego wyszła, przybrała imię Leah, zapewne ze względu na jego podobieństwo do Lee. Z opowieści pana Cosgrove wyłaniał się obraz kobiety chorej psychicznie i niezwykle niebezpiecznej, torturowanej przez matkę zarówno psychicznie, jak i fizycznie do czasu, gdy agresja narastająca w dziewczynie przez te wszystkie lata wymknęła się spod kontroli. Psychiatrzy byliby zapewne w stanie spierać się nawet i cały dzień o to, co było pierwsze: przemoc czy zaburzenia osobowości, ale Sama to nic nie obchodziło. Chciał uzyskać jasny obraz kobiety, która spowodowała tyle zła.

Po rozmowie z panem Cosgrove, dyrektorem Corin ze szkoły średniej, Sam zadzwonił do komendy policji w Denver i w końcu uzyskał połączenie z detektywem prowadzącym śledztwo w sprawie zabójstwa pani Street. Corin

zatlukła matkę na śmierć lampą stojącą, a potem wylała jej na twarz spirytus i podpaliła. Kiedy odkryto ciało, Corin nie wiedziała, co się stało. Uznana za chorą psychicznie, została zamknięta w zakładzie, gdzie przebywała przez siedem lat.

Dzięki dalszym poszukiwaniom Sam dotarł do lekarki zajmującej się Corin. Poinformowana o okolicznościach śmierci swej byłej pacjentki, kobieta ciężko westchnęła.

— Wypuszczono ją wbrew moim zaleceniom. Ale i tak funkcjonowała lepiej, niż się spodziewałam, skoro minęło tyle lat, zanim jej stan się pogorszył. Kiedy brała leki, dawała sobie jakoś radę, ale nadal była psychicznie chora. Wiedziałam, że zacznie zabijać. Miała wszystkie klasyczne objawy.

— W jaki sposób z Corina zmieniła się w Leah?

— Jej dziadek ze strony matki miał na imię Corin. Matka nie chciała po prostu przyjąć do wiadomości faktu, że Corin jest dziewczynką. Dziewczynki, kobiety, były według niej... nic niewarte i brudne. Pani Street nadała Corin męskie imię, wychowała ją jak chłopca, ubierała jak chłopca, mówiła wszystkim, że Corin to jej syn. Jeśli Corin popełniała jakiś błąd, nawet jako bardzo małe dziecko, karano ją na najrozmaitsze sposoby: była bita, kłuta szpilkami, zamykana w ciemnych komórkach. Potem weszła w wiek dojrzewania i wtedy dosłownie i w przenośni rozpętało się piekło. Pani Street nie mogła się pogodzić ze zmianami zachodzącymi w ciele Corin. Szczególnie zirytowała ją menstruacja,

— Domyślam się — mruknął Sam, który po tej litanii tortur poczuł lekkie mdłości.

— Potem, kiedy już osiągnęła dojrzałość, matka stosowała wobec niej tortury o charakterze seksualnym. Szczegóły pozostawiam pańskiej wyobraźni.

— Dzięki — powiedział cicho Sam.

— Corin nienawidziła swego własnego ciała, swojej kobiecej seksualności. Dzięki terapii i lekom udało się jej w końcu rozwinąć kobiecą osobowość. Przybrała nawet imię Leah. Bardzo się starała być kobietą. Ja jednak nigdy nie miałam nadziei na to, że Leah nawiąże jakiś związek o charakterze

seksualnym czy nawet jakąkolwiek inną normalną relację z kimkolwiek. Nauczyła się pewnych kobiecych zachowań, a dzięki lekom panowała nad agresją, ale nie miała zbyt silnego poczucia rzeczywistości. Bardzo się dziwię, że pracowała tyle lat w tej samej firmie. Chce pan wiedzieć coś jeszcze?

— Nie, pani doktor. Uzyskałem odpowiedź na wszystkie pytania — odparł Sam. Musiał wiedzieć. Gdyby Jaine kiedykolwiek go o to pytała, mógłby jej przedstawić gotowe odpowiedzi, ale jak do tej pory nie wykazała takiego zainteresowania.

Może tak było lepiej. Zawsze uważał, że Jaine to bardzo dzielna osoba, lecz teraz energia, jaką wkładała w proces zdrowienia, naprawdę go zdziwiła. Jaine traktowała swój stan jak wroga, którego należy zniszczyć. Nie mogła pozwolić na to, by pokonał ją ktoś taki jak Leah. Zerknął na zegarek i doszedł do wniosku, że robi się późno.

— Cholera! — mruknął. Jaine nie dałaby mu żyć, gdyby spóźnili się po jej rodziców na lotnisko. Ponieważ we czwórkę wraz z bagażem potrzebnym na sześciotygodniowe wakacje nie zmieściliby się ani do vipera, ani do traka, postanowili skorzystać z lincolna jej mamy. Kiedy Sam wyskoczył zdyszany ze swojego samochodu, Jaine siedziała już za kierownicą.

— Spóźniłeś się — powiedziała i ruszyła natychmiast z piskiem opon. Sięgnął, żeby zapiąć pas.

— Zdamy — powiedział pewnie. Jaine prowadziła, więc nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Pomyślał, że może powinien jej zwrócić uwagę na nadmierną prędkość, ale w końcu zrezygnował.

— Pamiętasz tę rozmowę w sprawie pracy, jaką prowadziłem parę tygodni temu? — spytał.

— Dostałeś pracę? — spytała.

— Skąd wiesz?

— Bo inaczej byś o tym nie mówił.

— Skończyłem stanową akademię policyjną, więc nie będę musiał się już szkolić. Mogę od razu podjąć pracę detektywa. Tyle że to wymaga zmiany miejsca zamieszkania.

— I? — Przewróciła oczami.

— Przestań. Patrz na drogę!

— Przecież patrzę.

— Nie przejmujesz się przeprowadzką? Dopiero co kupiłaś dom.

— Przejmowałabym się, gdybyśmy musieli mieszkać osobno. Toby dopiero był kwas.

Rany! Kwas! Jego ulubione słowo. Dojechała na lotnisko w rekordowym tempie i zaparkowała auto. Kiedy wpadali do hali przylotów, popatrzyła na niego przelotnie.

— Pamiętasz, że tatuś ma parkinsona i dlatego drży mu ręka?

— Pamiętam — powiedział, wyciągając nogi, żeby za nią nadażyć.

Dotarli do bramki niemal razem z pasażerami. Rodzice Jaine wyszli bardzo szybko. Jaine podbiegła do matki, zarzuciła jej ręce na szyję i uściskała gorąco, a potem zrobiła to samo z ojcem.

— Oto Sam — powiedziała, ciągnąc go za rękę. Rodzice już wiedzieli o planowanym małżeństwie, więc matka Jaine również przywitała wylewnie przyszłego zięcia.

Ojciec Jaine wyciągnął drżącą dłoń.

— Uściśnij mi rękę, a ja będę potrząsał.

Sam wybuchnął śmiechem.

— No wiesz, Lyle — ofuknęła męża matka Jaine.

— Co? — Pan Bright był wyraźnie urażony tą wymówką. — Po co mi ten cały parkinson, skoro nie mogę się nim bawić? — W inteligentnych niebieskich oczach mężczyzny Sam dostrzegł błysk, który mówił mu wyraźnie, że Jaine jest nieodrodną córką swego ojca.

— Mamy masę wiadomości — powiedziała Jaine, biorąc matkę pod rękę i wyprowadzając ją z holu. — Ale musicie obiecać, że nie będziecie wściekli.

Sam pomyślał, że dzięki temu wstępowi rodzice Jaine na pewno zachowają spokój.

— Jeśli nie rozbiłaś mego auta — powiedział Lyle Bright.